

# VENDETTA!

WILLIAM B. BREUER

Odkrywa prawdę o spiskach na życie Castra

Castro  
i bracia  
Kennedy

WYDAWNICTWO  
MAGNUM

Castro i bracia Kennedy





Amerykanie nawet nie wyobrażają sobie ogromu nienawiści,  
jaką Fidel żywi wobec Stanów Zjednoczonych.  
Jego celem i obsesją jest zniszczenie Ameryki.

*Juanita Castro*  
(siostra Fidela)

11 czerwca 1965

---

---

## Spis treści

1. Terrorysty w akcji – zamach na Nowy Jork . . . . .	11
2. Machinacje w Meksyku . . . . .	20
3. Plan zdobycia Białego Domu . . . . .	27
4. Widowisko w górach . . . . .	34
5. Wąsy Wujka Sama . . . . .	43
6. „Dwa zgniłe jaja” . . . . .	51
7. „Zginie dwieście tysięcy jankesów!” . . . . .	60
8. Sprzeczności na szczytach amerykańskiej władzy . . . . .	65
9. Amerykańskie safari . . . . .	70
10. „Stany Zjednoczone powinny działać na własną rękę” . . . . .	78
11. „Bobby – twardy jak stal!” . . . . .	86
12. Tajny plan . . . . .	91
13. Intrygi i akcje . . . . .	100
14. Ćwiczenia z „poprawiania zdrowia” . . . . .	107
15. Tajniacy i „załatwianie Fidela” . . . . .	114
16. „Głupie gołowasy” . . . . .	123
17. „Złowrogie gniazdo jankeskich szpiegów” . . . . .	131
18. Próba sił w Zatoce Guantanamo . . . . .	140
19. „Prezydent powiedział – nie” . . . . .	150
20. „To katastrofa” . . . . .	158
21. Szukanie kozła ofiarnego . . . . .	164
22. „Prezydent-bis” pojawia się na scenie . . . . .	173
23. Eleanor Roosevelt – „stara, głupia baba” . . . . .	178

24. Ścisłe tajne: agenci CG-5824S oraz NY-694S . . . . .	183
25. Dominikański łącznik . . . . .	190
26. Zielone światło dla „Mangusty” . . . . .	199
27. Napięcie w Waszyngtonie . . . . .	208
28. „Krew zmroziło nam w żyłach” . . . . .	217
29. „Spotkamy się w piekle” . . . . .	226
30. Czystka w dowództwie tajnej wojny . . . . .	234
31. Radziecki statek ostrzelany . . . . .	240
32. „Trzeba wreszcie coś zrobić z tym Fidelem” . . . . .	246
33. „Zastrzelono prezydenta!” . . . . .	254
34. Gitmo w oblężeniu . . . . .	260
35. „Wara od Gitmo!” . . . . .	270
36. Międzynarodówka rewolucjonistów . . . . .	280
37. Tragedia w Los Angeles . . . . .	287
 Epilog . . . . .	 294
 Przypisy . . . . .	 300
Indeks nazwisk . . . . .	313

# 1

## Terroryści w akcji – zamach na Nowy Jork

Był rześki poranek, sobota, 17 listopada 1962 roku. Różowawe, zimowe słońce wychyliło się zza obelisku Waszyngtona w stolicy Stanów Zjednoczonych, rozpoczynając mozolną wędrówkę po błękitnym niebie. W gmachu dyrekcji Federalnego Biura Śledczego światła paliły się całą noc. Stąd właśnie Alan H. Belmont, asystent dyrektora FBI, J. Edgara Hoovera, nadzorował i koordynował tajną operację w Nowym Jorku. Chodziło o wytropienie i aresztowanie grupy castrowskich terrorystów, zanim zdążą podpalić lub wysadzić w powietrze kilka ważnych obiektów w mieście.

Z meldunków głęboko utajnionych informatorów FBI wynikało, że Kubańczycy spod znaku Fidela Castro zamierzają podłożyć bomby zegarowe w trzech wielkich domach towarowych – Macy, Gimbel i Bloomingdale. Ładunki miały eksplodować w szczytowym okresie zakupów przed świętami Bożego Narodzenia. Ale lista celów upatrzonych przez dywersantów nie kończyła się na trzech magazynach, była znacznie obszerniejsza, obejmowała także kilka obiektów wojskowych w okolicy Nowego Jorku oraz rafinerie naftowe w sąsiednim stanie New Jersey, po drugiej stronie rzeki Hudson.

Al Belmont nie wychodził z biura od blisko dwudziestu czterech godzin. Jego gabinet wyglądał jak wojskowe centrum dowodzenia. Bateria telefonów zapewniała stałą łączność z delegaturą FBI w Nowym Jorku oraz, co ważniejsze, z radiowozami krążącymi po mieście w poszukiwaniu kubańskich spiskowców.

Operacja była niezwykle skomplikowana – tak jest zawsze, gdy w grę wchodzi pościg za ludźmi – a czas miał tu pierwszorzędne znaczenie. Plan Belmonta polegał na tym, by wszystkich trzech przy-

wódców spisku zatrzymać jednocześnie. Dwóch z nich wytropiono w ciągu nocy i ustalono, gdzie przebywają. Belmont jednak zakazał aresztowania w obawie, by „Trzeci”, dowiedziawszy się o zatrzymaniu towarzyszy, nie ukrył się, bądź nie zbiegł na Kubę.

– Całonocna, tajna obserwacja dwóch Kubańczyków, prowadzona w taki sposób, by „figuranci” nie nabrali podejrzeń, wymagała ogromnego wysiłku od agentów w Nowym Jorku – powie później W. Raymond Wannall, ówczesny szef sekcji w Wydziale Wywiadu [FBI] w Waszyngtonie – ale też chłopcy wywiązali się z zadania znakomicie<sup>1</sup>.

Przez cały czas trzydziestosześciodzinnej operacji Wannall przebywał w biurze Belmonta, skąd słał informacje mające znaczenie dla ustalenia miejsca pobytu szefów grupy terrorystycznej. O świcie obaj byli śmiertelnie zmęczeni. Także agenci, przeczesujący od dwudziestu czterech godzin Nowy Jork, czuli się skrajnie wyczerpani. Nadal jednak nie wiadomo było, gdzie przebywa „Trzeci”.

O dziewiątej rano John F. Malone, SAC (Special Agent in Charge – agent specjalny dowodzący placówką), czyli szef biura w Nowym Jorku, zadzwonił do Belmonta z pytaniem, czy nie zmieni decyzji. Skoro „Trzeciego” nie udaje się znaleźć, to może jednak „zdać” dwóch pozostałych, o których wiadomo, gdzie są. Belmont, naciskany przez dyrektora Hoovera, któremu składał meldunki przez całą noc, pozostał przy swoim planie, choć zdawał sobie sprawę, że jeśli nie uda się szybko ustalić miejsca pobytu „Trzeciego”, to dwóch może zbiec.

– Wszyscy zresztą, to znaczy wszyscy przebywający wtedy w jego gabinecie, byliśmy tego samego zdania – wspomina Ray Wannall – ale też czuliśmy ulgę, że nie do nas należy ostateczna decyzja. Jeśli sprawy przybrałyby zły obrót, Hoover nie byłby zadowolony<sup>2</sup>.

Godzinę później John F. Malone zameldował z Nowego Jorku, że właśnie znaleziono „Trzeciego”. Belmont wydał rozkaz aresztowania całej trójki.

Najpierw zatrzymano dwóch, których agenci FBI śledzili przez całą noc. José Garcia Orelanno oficjalnie był właścicielem sklepu ze sztuczną biżuterią. Dwudziestodwuletni Marino Antonio Estebán Del Carmen Sueiro y Cabrera – jego pracownikiem.

„Trzeci”, dwudziest siedmioletni Roberto Santiestebán Casanova\*, stawił opór i agenci FBI musieli użyć siły fizycznej. Miał przy so-

\* Wedle tradycji latynoskiej używa się dwóch nazwisk – ojca i nazwiska panińskiego matki. To ostatnie na końcu. Casanova to nazwisko po matce, Santiestebán po ojcu i ono jest właściwym nazwiskiem.

bie naładowanego, półautomatycznego mauzera. Gdy zakładano mu kajdanki, przeklinał agentów FBI i próbował połknąć kawałek papieru z notatkami o sporządzaniu materiałów wybuchowych. Po przewiezieniu do nowojorskiej delegatury FBI przy Foley Square, Santiestebán kopnął fotoreportera. Podczas przesłuchania, a prowadził je Malone i inni funkcjonariusze, awanturował się, twierdził, że zatrzymano go z pogwałceniem prawa, ponieważ jest asystentem ambasadora Kuby przy ONZ, Carlosa Lechugi, i chroni go immunitet dyplomatyczny.

Santiestebán przybył do Nowego Jorku przed sześcioma tygodniami, tym samym samolotem co Osvaldo Dorticós Torrado, adwokat z bogatej rodziny kubańskiej, którego Castro uczynił marionetkowym prezydentem Kuby. Dorticós miał wygłosić przemówienie na sesji Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych. Władze kubańskie istotnie wystąpiły o akredytację Santiestebána jako dyplomaty, ale uczyniły to dopiero po jego przyjeździe i sprawa była w trakcie załatwiania w Ministerstwie Sprawiedliwości. Formalnie więc nie przysługiwał mu jeszcze immunitet dyplomatyczny i można go było zatrzymać.

Zaraz po aresztowaniu trójki Kubańczyków agenci FBI dokonali drobiazgowego przeszukania sklepu ze sztuczną biżuterią, Model-Craft, pod numerem 242 przy 27 Ulicy Zachodniej w Nowym Jorku. Znaleźli spory zapas materiałów wybuchowych, detonatorów, granatów i środków zapalających, jak również instrukcje o montażu zapalników i nastawianiu mechanizmów zegarowych, aby eksplozja nastąpiła między sześćdziesiątą a siedemdziesiątą piątą minutą od uruchomienia zegara. Znaleźli też, ukryte w stalowym sejfie, plany terenów portowych i węzłów kolejowych najbardziej podatnych na akty sabotażu i dywersji.

W sklepie znaleziono również dokumenty należące do Santiestebána, „kluczowej postaci spisku”<sup>3</sup>, wedle opinii Vincenta L. Brodericka, prokuratora federalnego z prokuratury rejonowej w Nowym Jorku.

– Mamy do czynienia z rewolucjonistą, na którym ciąży poważne zarzuty o stosowanie przemocy – podkreślił Broderick<sup>4</sup>.

José Garcia i Marino Sueiro, dwóch pozostałych zatrzymanych, brało czynny udział w życiu procastrowskich organizacji w Nowym Jorku. Obaj bywali w Casa Cuba Club przy Columbia Avenue 691, lokalu rozpoznanym przez FBI jako miejsce spotkań sympatyków Fidela Castro. Obaj byli też aktywnymi uczestnikami Movimiento del 26 de Julio (Ruchu 26 Lipca) – jak Fidel Castro określał swoją

rewolucję. Należeli także do Fair Play for Cuba Committee (Komitetu na rzecz Uczciwych Stosunków z Kubą), organizacji, wobec której senacka Komisja do spraw Bezpieczeństwa Wewnętrznego prowadziła śledztwo w związku z podejrzeniem o działalność wywrotową.

Na kilka tygodni przed aresztowaniem przez FBI Sueiro odesłał spodziewającą się dziecka żonę na Kubę. Nie chciał, jak powiadał, by z tytułu urodzenia w Ameryce dziecko stało się obywatelem Stanów Zjednoczonych. Zatrzymano go u zbiegu nowojorskiej Trzeciej Alei i 24 Ulicy w towarzystwie pięknej, dwudziestosześcioletniej kobiety, którą też zatrzymano jako świadka. Okazała się obywatelką amerykańską – nauczycielką i kierowniczką ośrodka rekreacyjnego Hudson Guild, znajdującego się przy 27 Ulicy Zachodniej, dwie przecznice od sklepu ze sztuczną biżuterią José Garcii<sup>5</sup>.

Prokurator Broderick postawił także zarzuty dwudziestosześcioletniemu José Gomezowi Abadowi i jego dwudziestoletniej żonie Elisie Monterio de Gomez Abad. Oskarżył ich o współdziałanie w spisku terrorystycznym poprzez dostarczanie broni i materiałów wybuchowych niedoszłym kubańskim dywersantom. Ponieważ jednak oboje należeli do personelu dyplomatycznego Misji Kubańskiej przy Narodach Zjednoczonych w randze attaché, nie zostali aresztowani.

FBI podejrzewało, że również dziesięciu innych Kubańczyków związanych z ONZ prowadziło w Nowym Jorku „szkołę sabotażu” i wielka ława przysięgłych wezwała ich do złożenia zeznań. Zdaniem Johna Malone’a „szkoła prowadziła tajny instruktaż w zakresie stosowania materiałów wybuchowych i środków podpalających”<sup>6</sup>.

Ambasador Kuby, Carlos Lechuga, był wielce oburzony w związku z falą aresztowań. Występując w mediach, skarżył się na brutalność FBI, zwłaszcza wobec Roberto Santiestebána, któremu w czasie aresztowania rzekomo podbito oko.

Adwokat Santiestebána, Leonard B. Boudin, zarzucił FBI dokonanie „przestępstwa kryminalnego”. Stwierdził także, że jego klient jako posiadacz immunitetu dyplomatycznego „miał prawo stawiać opór podczas aresztowania”<sup>7</sup>.

Nie minęły nawet dwadzieścia cztery godziny od momentu ogłoszenia przez Hoovera w Waszyngtonie wiadomości o ujawnieniu i rozbiciu spisku terrorystycznego w Nowym Jorku, gdy policja w sąsiednim New Jersey została postawiona w stan alarmu w związku z doniesieniem, że trzy czy cztery samochody pełne „kubańskich rewolucjonistów” zmierzają w kierunku wielkiej rafinerii Bayway w Linden, należącej do koncernu Esso, i w kierunku innych rafinerii<sup>8</sup>.

Do żadnego incydentu jednak nie doszło. Szybka akcja policji i FBI okazała się skuteczna, choć niewykluczone, że alarm był fałszywy. Fałszywy czy nie, to jednak we wszystkich bazach wojskowych i jednostkach w rejonie Nowego Jorku tego dnia obowiązywały szczególnie środki ostrożności w związku z informacjami o możliwych akcjach sabotażowych planowanych przez zwolenników Fidela.

W Waszyngtonie tymczasem trzydziestosiedmioletni prokurator generalny, Robert F. Kennedy, oficjalnie wyraził uznanie FBI. Dyrektor Hoover i jego ludzie – oświadczył – „nawiązali do szczytnych tradycji z przeszłości, kiedy to w przeddzień wybuchu II wojny światowej i w jej trakcie, FBI skutecznie chroniło Stany Zjednoczone przed penetracją ze strony nazistowskich szpiegów i dywersantów”<sup>9</sup>.

W Hawanie trzydziestosześcioletni, brodaty Fidel Castro, który 1 stycznia 1959 roku przejął władzę nad wyspą, zdecydowanie potępił aresztowanie trójki Kubańczyków w Nowym Jorku. Oświadczył, że zostali zatrzymani „bezpodstawnie” i że był to akt „nieuzasadnionej retorsji” za to, iż tydzień wcześniej kubańskie służby bezpieczeństwa zatrzymały niejakiego Miguela Angela Orozco Crespo. Orozco – wedle Fidela Castro – był szefem siatki operującej na Kubie z poruczenia CIA i przygotowywał właśnie akcję terrorystyczną, której celem były zakłady wydobywcze Matahambre. Zamierzał – twierdził Castro – wysadzić kopalnię i dokonać „morderstwa” na co najmniej czterystu robotnikach<sup>10</sup>.

Kubański spiszek to niewielki fragment nie kończącej się vendetty z udziałem Fidela Castro z jednej strony oraz braci Kennedych – prezydenta Johna Fitzgeralda i prokuratora generalnego Roberta. Dowództwo operacyjne w tajnej wojnie przeciwko Kubie należało do CIA. Akcjami kierowano z centrali CIA, znajdującej się ówczesnie w dawnym kompleksie budynków dowództwa Marynarki Wojennej przy Ohio Drive, niedaleko Mauzoleum Lincolna, w śródmieściu Waszyngtonu. Z kolei centrum operacyjne CIA, Quarters Eye (Oko Kwatery), jak nazywali je wtajemniczeni – zajmowało dawne koszary WAVE (Pomocniczej Służby Kobiet). Stamtąd szły rozkazy i samą też nadzorowano i koordynowano wszelkie tajne misje i przedsięwzięcia CIA na całym świecie.

Funkcje dowództwa operacyjnego akcji przeciwko Kubie pełniła placówka CIA w Miami na Florydzie, oznaczona kryptonimem JM WAVE. Przez dziesięć lat czyniła niewiele, ale z początkiem lat sześćdziesiątych rezydentura w Miami stała się największą placówką CIA na całym świecie. Koszty JM WAVE są nadal chronione tajemnicą, ale ocenia się, iż roczny budżet placówki sięgał pięćdziesięciu pię-

ciu milionów ówczesnych dolarów (około pięciuset pięćdziesięciu milionów, licząc wedle wartości dolara w roku 1997).

JM WAVE było miastem w mieście i to sporym. Centrum dowodzenia znajdowało się w dawnym hangarze sterowców na terenie Uniwersytetu Miami. Sztyd na pilnie strzeżonym, dwukondygnacyjnym budynku głośił: Zenith Technical Enterprises (Przedsiębiorstwa Techniczne Zenith).

Podobnych „firm” było zresztą znacznie więcej, w sumie około pięćdziesięciu. Rzekome biura handlu nieruchomościami, agencje detektywistyczne, przedsiębiorstwa wynajmu jachtów i łodzi rybackich, morskie instytuty badawcze i wiele, wiele innych służyły jako przykrywa do operacji wywiadowczo-dywersyjnych na niebywałą skalę, co potwierdzał zgromadzony w magazynach sprzęt: karabiny maszynowe, granaty, radiostacje polowe<sup>11</sup>.

Wśród personelu był i psychiatra, i specjalista obsługujący wariograf – maszynę do wykrywania kłamstw. Ich zadaniem była weryfikacja rzeczywistych i potencjalnych agentów. Pomoc medyczna, gdy ktoś zachorował albo odniósł rany, zapewniały skrupulatnie sprawdzone pod względem bezpieczeństwa, prywatne kliniki i szpitale<sup>12</sup>.

Specjaliści, znający język hiszpański, sporządzali tajnopisy z odpowiednimi instrukcjami dla agentów na Kubie. Zwyczajny z pozoru list ujawniał prawdziwą treść, gdy kartkę zwilżyło się sokiem z cytryny. Do JM WAVE przydzielono licznych specjalistów z wojska. Szkolili agentów w zakresie technik przetrwania na lądzie i morzu, uczyli zasad nawigacji.

Większość czterystuosobowego personelu stanowili tzw. case officers, oficerowie prowadzący agentów działających na Kubie, a także wśród kubańskiej emigracji na Florydzie. W sumie zwerbowano około czterech tysięcy agentów. Każdy z kadrowych oficerów CIA prowadził siedmiu, ośmiu tzw. principal agents, głównych agentów, ci zaś mieli pod sobą od dziesięciu do piętnastu tajnych współpracowników.

JM WAVE dysponowało blisko stoma samochodami. Oficerowie operacyjni, poruszający się bocznymi drogami i docierający do odległych zakątków na południu Florydy, jeździli fordami, chevroletami i plymouthami – wozami popularnych marek, które nie wzbudzały niczyjej uwagi. Oficerowie wyższej rangi korzystali z pontiaków i buicków, rzadko zresztą opuszczając rejon Miami. Szef placówki, Theodore „Ted” Shackley, jeździł oldsmobilem<sup>13</sup>.

Jedną z największych tajemnic JM WAVE stanowiły bazy o charakterze wojskowym, usytuowane głównie na Florida Keys, wyspach i wysepkach ciągnących się łańcuchem od krańca Florydy w kierunku

południowo-zachodnim, a więc w stronę Kuby. W bazach tych po kryjomu, pod okiem i kierunkiem specjalnie dobranych przez CIA fachowców zwanych PM-ers (Paramilitary Officers), funkcjonariuszami paramilitarnymi, szkolono zwerbowanych uchodźców kubańskich i przygotowywano tajne operacje przeciwko Kubie.

PM-ers najlepiej scharakteryzował generał William J. „Wild Bill” Donovan, twórca i szef OSS – Office of Strategic Services (Biura Służb Strategicznych), poprzednika CIA z czasów II wojny światowej. Wedle niego typowy PM-ers to „piekielnik, wyrachowany bandyta, człowiek śmiały i specjalnie wyszkolony do działań o charakterze agresywnym”.

Takim typowym „piekielnikiem” w służbie JM WAVE był William „Rip” Robertson, czterdziestoosmioletni awanturnik, weteran wojny koreańskiej. W czasie walk w Korei działał jako tajny agent CIA na zapleczu sił nieprzyjacielskich. Wysoki, około metra osiemdziesięciu, szczupły, o ogorzałej twarzy, był typem samotnika, nie znosił ani wojskowej dyscypliny, ani mundurów. Ubierał się po cywilnemu i raczej niechlujnie, w znoszone spodnie i czapkę baseballową. Ale kubańscy podwładni uwielbiali go, traktując jako uosobienie amerykańskiej odwagi i szlachetności<sup>14</sup>.

Przez rok, prawie co tydzień, oddziały Kubańczyków pod dowództwem PM-ers wyruszały z Florida Keys na Kubę z tajnymi zadaniami. „Kiedy zatrzymywano nas na miejscu, Rip szalał i chorował” – wspomina jeden z działaczy emigracyjnych organizacji kubańskich.

Wykonywano zadania wywiadowcze, dostarczano broń i amunicję podziemnym organizacjom na Kubie, głównie jednak przygotowywano akcje sabotażowe, obliczone na osłabienie i tak już kulejącej gospodarki kubańskiej. W czasie misji dywersanci ubierali się w znoszone mundury, podobne do uniformów kubańskiej milicji. Uzbrojeni byli w pistolety maszynowe z tłumikami, rusznice i materiały wybuchowe.

Tajne operacje koordynowano i planowano z taką samą dbałością o detale i szczegóły, jak wyprawy brytyjskich komandosów do okupowanej Francji przed lądowaniem aliantów w Normandii w czasie II wojny światowej. Minutowe plany, obejmujące wszystkie działania, od wyjazdu z bazy na Florydzie, przez lądowanie na Kubie i powrót, przygotowywali amerykańscy oficerowie mający doświadczenie w działaniach typu partyzanckiego. Niezbędnych informacji dostarczał wywiad satelitarny.

Oddziałom dywersyjnym przedstawiano szczegółową prognozę pogody, obejmującą stan morza i warunki w docelowym rejonie na Ku-

bie. Dawano im do wglądu najnowsze zdjęcia lotnicze wykonywane przez samoloty wywiadowcze U-2. Pilotów tych maszyn rekrutowano oczywiście z wojska, z tym jednak, że najpierw zwalniano ich oficjalnie do cywila, a następnie – po swego rodzaju kwarantannie, zwanej w żargonie CIA „sheep dipping” (nurzaniem owieczek) – przyjmowano na tajne etaty do CIA.

U-2 to wyjątkowa maszyna i unikalna konstrukcja, mająca niewiele wspólnego ze zwykłymi samolotami. Kadłub mierzy około piętnastu metrów, rozpiętość skrzydeł około dwudziestu pięciu, a zasięg samolotu – około sześciu tysięcy kilometrów. Maszyna lata na pułapie ponad dwudziestu kilometrów, zużywa około trzech tysięcy ośmiuset litrów paliwa, przy maksymalnym zasięgu. Powiada się, że U-2 ma „wzrok” ostrzejszy niż jastrząb. Obiektywy siedmiu doskonałych kamer fotograficznych obejmują odcinek szerokości dwustu kilometrów i długości czterech tysięcy ośmiuset kilometrów (!), a więc tyle, ile wynosi odległość między Londynem a Nowym Jorkiem. Taki odcinek rejestrowany jest na czterech tysiącach zdjęć z dwóch kamer jednocześnie, co pozwala na uzyskanie fotografii stereoskopowych o znakomitej rozdzielczości. Dość powiedzieć, że przy odpowiednim powiększeniu na zdjęciach wykonanych z pułapu szesnastu kilometrów można odczytać tytuły gazet.

Aby zmniejszyć ciężar maszyny, konstruktorzy U-2 zrezygnowali z podwozia. Samolot startuje ze specjalnego wózka, ląduje natomiast, jak wczesne modele szybowców, bezpośrednio na kadłubie, oczywiście stosownie wzmocnionym.

Licząc się z możliwością wpadki czy niepowodzenia operacji, dywersantom przygotowywano odpowiednie dokumenty i legendy. Wynikało z nich, że posiadacz jest cywilnym pracownikiem amerykańskiej firmy na Florydzie (której adres można było znaleźć w książce telefonicznej), że właśnie prowadził badania na morzu i tylko na skutek złej pogody czy wypadku znalazł się na Kubie.

Wiele operacji miało charakter działań psychologicznych. Chodziło o wywołanie i podtrzymanie niepokoju w kierownictwie kubańskim i stworzenie wrażenia, że szykuje się inwazja wojsk amerykańskich na wyspę. Stale jednak i systematycznie zwiększano skalę i zasięg działań dywersyjnych. Wysadzano mosty, podpalano plantacje trzciny cukrowej, dokonywano aktów sabotażu na sprzęcie transportowym wojsk kubańskich. Między innymi zaatakowano wielką rafinerię należącą kiedyś do koncernu Texaco, a przejętą przez Fidela Castro, wytwórnię silników Diesla w Casildzie, fabrykę kwasu siarkowego

w Santa Lucia oraz dwa statki radzieckie w jednym z portów w prowincji Oriente.

Zabezpieczenie operacji JM WAVE wymagało oczywiście współpracy i współdziałania wielu instytucji: Federalnego Biura Śledczego, Ministerstwa Sprawiedliwości, Pentagonu, Służby Imigracyjnej, Departamentu Stanu oraz Straży Wybrzeża i Ministerstwa Skarbu – to na szczeblu federalnym. Na samej Florydzie z JM WAVE współdziałało siedemnaście stanowych i lokalnych oddziałów policji. CIA korzystała też z pomocy niektórych miejscowych gazet, radiostacji i telewizji oraz funkcjonariuszy administracji stanowej i prywatnych instytucji finansowych.

Większość agentów JM WAVE występowało pod przybranymi nazwiskami i posługiwało się fałszywymi dokumentami. Korzystano z nich także występując o prawo jazdy, paszport, czy zakładając konto bankowe. Jest to oczywiście przestępstwo, na które jednak zainteresowane instytucje przymykały oko.

Gdy zdarzało się, że przy rutynowej kontroli drogowej policja znajdowała broń lub materiały wybuchowe w samochodzie zatrzymanego agenta JM WAVE, był on po cichu zwalniany z aresztu, a sprawę tuszowano. Zaufani dziennikarze z „Miami Herald” otrzymywali regularne informacje od Teda Shackleya i innych wysokich funkcjonariuszy JM WAVE. Stawiano im tylko jeden warunek, aby nic co opublikują, nie zagroziło bezpieczeństwu operacji CIA i życiu kogokolwiek<sup>15</sup>.

JM WAVE w istocie prowadziła operacje o zasięgu globalnym. W każdej rezydenturze CIA co najmniej jeden, a częściej kilku oficerów operacyjnych zajmowało się wyłącznie sytuacją na Kubie. Materiały wywiadowcze dotyczące Fidela Castro, pozyskane w Europie, wysyłano do centrali CIA w Waszyngtonie. W rezydenturach CIA w Ameryce Łacińskiej przedmiotem szczególnej uwagi były działania i inicjatywy Fidela na rzecz „eksportu” rewolucji kubańskiej.

Pierwszy akt vendetty między braćmi Kennedy a Fidelem Castro dokonał się w Meksyku, siedem lat przed spiskiem terrorystycznym, mającym na celu wysadzenie obiektów w Nowym Jorku. Kuba i Ameryka stanęły naprzeciw siebie w pojedynku. Narzędziem walki były olbrzymie siatki szpiegowskie, jakie oba państwa stworzyły i uruchomiły nie tylko w Ameryce Łacińskiej, ale na całym świecie.

## Machinacje w Meksyku

Samolot typu *Britannia* – brytyjskiej konstrukcji, ze znakami kubańskich linii lotniczych Cubana Airlines – lecący z Hawany, podchodził do lądowania w Mexico City. Wśród pasażerów był dwudziestodwuletni Fidel Castro. Wysoki, krzepki mężczyzna o kręconych włosach, przybywał do kraju, w którym od lat znajdowali azyl lewicowi dysydenci z licznych państw. Fidel zjawiał się wszakże z bardzo konkretnym zamiarem – tu bowiem, w Meksyku, chciał zorganizować i wyszkolić grupę oddanych i zdyscyplinowanych partyzantów, aby następnie wrócić na Kubę i obalić dyktatora Fulgencio Batistę y Zaldivara. Był 7 lipca 1955 roku.

Dwadzieścia dwa lata wcześniej, w roku 1933, smagły trzydziestoletni Batista przeprowadził udaną rewoltę przeciwko skorpumpowanemu władcy Kuby, Gerardo Machado y Morales. Zaraz potem Batista, sierżant mający za całe wykształcenie pięć klas szkoły podstawowej, awansował na pułkownika. Jednocześnie został nowym *caudillo*, wodzem Kuby. Przez wiele następnych lat będzie sprawował faktyczną władzę na wyspie, mianując i odwołując marionetkowych prezydentów wedle swojego widzimisię.

Los niekiedy potrafi płatać figle i właśnie Fidel Castro, jak na ironię, miał dług wdzięczności wobec Batisty, którego z całej duszy nienawidził. Za jego to sprawą bowiem odzyskał wolność. Utracił ją po nieudanym, wręcz głupim ataku z grupą desperatów na koszary Moncada, w prowincji Oriente 26 lipca 1953 roku. Chciał zdobyć broń i amunicję, ale akcja zakończyła się katastrofą. Większość towarzyszy Fidela zginęło na miejscu. Resztę, łącznie z nim i jego młodszym bratem Raúlem, wtrącono do więzienia.

Po krótkiej rozprawie przed sądem, na początku października 1953 roku, Fidel został skazany na piętnaście lat więzienia. Raúl na dwanaście. Osadzono ich w osławionym zakładzie karnym na wyspie Pines, leżącej tuż na południe od zachodnich wybrzeży Kuby. 15 maja 1955 roku Fulgencio Batista popełnił największy błąd w swoim życiu – w ramach powszechnej amnestii uwolnił obu braci Castro.

Nie minął nawet tydzień od wyjścia z więzienia, gdy Fidel zaczął atakować Batistę i innych przedstawicieli skorumpowanych władz, na łamach dwóch gazet: „La Calle” i „Bohemia”. Rychło jednak dotarła doń wiadomość, że milicja ma go na oku i że szykuje się zamach na jego życie. Podobno przygotowano już auto, w którym miano umieścić jego ciało. Auto ostrzelano, aby uprawdopodobnić historię, że „Castro zginął stawiając opór milicji”<sup>1</sup>.

Wzniesienie buntów, uciekanie się do przemocy, to dla Fidela Castro nic nowego. Miał dziewiętnaście lat, gdy rozpoczął studia na uniwersytecie w Hawanie. Bogaty ojciec wyznaczył mu miesięczne „kieszonkowe” w wysokości pięciu tysięcy dolarów, co było sumą zaiste królewską jak na owe czasy i jak na tak młodego człowieka. Mimo to Fidel nosił się z ostentacyjną pogardą dla otoczenia. Ubierał się w wyświechtane spodnie, znoszone, brudnawe koszule, rzadko zaglądał do fryzjera. Wśród kolegów studentów zwano go zresztą *bola de churre* – brudną kulą.

Nie przeszkodziło mu to jednak sięgnąć po prezesurę organizacji studenckiej – skromnej liczbowo, raczej elitarnej, ale za to bojowej i zorientowanej na idee komunistyczne. Niemal na drugi dzień po wyborze Fidel skorzystał z nadarzającego się pretekstu, jakim była ogłoszona właśnie podwyżka cen biletów autobusowych w Hawanie i wyprowadził swoich ludzi na ulice w hałaśliwej demonstracji.

Jeśli chciał doprowadzić do konfrontacji, to zamiar udał się w pełni. Milicja pobiła demonstrantów. Kilka osób trochę oberwało, ale poważniejszych kontuzji nie było.

Sam Fidel wyszedł ze starcia bez szwanku, ale natychmiast owinął głowę bandażami i zaczął odwiedzać redakcje prasowe i radiostacje, przedstawiając się jako żywy dowód „brutalności organów władzy”. Już wtedy wiedział, jak skutecznie manipulować opinią publiczną<sup>2</sup>.

Gdy Castro oznajmił, że studenci ponownie wyjdą na ulice i to w znacznie większej sile, wtedy dr Ramón Grau San Martín, który w 1944 roku zwyciężył w wyborach, mając za przeciwnika faworyta Fulgencio Batistę, zaprosił delegację federacji studenckiej do Pałacu Prezydenckiego na debatę w sprawie cen biletów autobusowych.

Rozmowa odbywała się na piątym piętrze siedziby prezydenta z widokiem na główny plac Hawany. Gdy w pewnej chwili dr. Grau wywołano z sali, Castro, ciągle jeszcze w bandażach, szepnął do swoich towarzyszy: „Możemy pozbyć się sukinsyna i przejąć władzę. Jak wróci, wyrzucimy go przez balkon, ogłosimy rewolucję studencką i zwrócimy się do narodu przez radio”<sup>3</sup>.

Ze spontanicznej rewolucji nic jednak nie wyszło. „Przyszliśmy, żeby załatwić obniżkę biletów autobusowych, a nie, żeby mordować” – zawołał jeden z przerażonych propozycją Fidela kolegów<sup>4</sup>.

Fidel nie ukrywał – zwierzał się bowiem swoim pretorianom – że jego celem było wygranie wyborów na przewodniczącego organizacji studenckiej. Liczyła ona wtedy trzysta tysięcy członków. Analizując sytuację i swoje szanse, doszedł do wniosku, że przyjdzie mu rywalizować z Leonelem Gomezem, wielce popularnym przewodniczącym organizacji uczniowskiej w hawańskiej szkole średniej nr 1. Było pewne, że Gomez rozpocznie z nowym rokiem studia na uniwersytecie<sup>5</sup>.

Fidel uważał go za groźnego kontrkandydata i uznał, że należało by go „wylimitować”. Podzielił się swoimi planami z ówczesnym przyjacielem, Rafaellem Díazem Balartem, proponując mu wspólne „usunięcie przeszkody”, czyli zabójstwo młodego Gomeza. Balart zdecydowanie odmówił<sup>6</sup>.

Fidel jednak planów nie zmienił. Z dwoma innymi kolegami zaczął się na Gomeza przy wejściu na stadion uniwersytecki, na którym rozgrywano właśnie mecz piłki nożnej. Gdy po meczu Gomez stanął oko w oko z trójką zamachowców, Fidel wystrzelił z pistoletu raniąc chłopca w płuca. Rana była poważna, ale Gomez przeżył<sup>7</sup>.

Castro tymczasem, w obawie przed aresztowaniem, ukrył się w domu generała Juana Rodrigueza. Generał pochodził z Dominikany, był politycznym uchodźcą, przygotowywał plany obalenia ówczesnego dyktatora Dominikany, generalissimusa Rafaela Trujillo, który rządził żelazną ręką od 1930 roku. Plan generała zakładał stworzenie odpowiednio silnej armii i dokonanie inwazji na Dominikanę<sup>8</sup>.

Fidel bez wahania przyjął propozycję generała i przystąpił do jego Legionu Karaibskiego, liczącego około tysiąca pięciuset bojowników z Kuby, Dominikany, Wenezueli i Gwatemali. Żołnierzy szkolili komunistyczni weterani wojny domowej w Hiszpanii. Legion miał do dyspozycji sprzęt i amunicję wartości około dwóch milionów ówczesnych dolarów. Arsenal przechowywano w majątku José Alemana, kubańskiego ministra oświaty, który brał udział w spisku i o którym powiadano, że defraudował pewne fundusze ministerialne na rzecz legionu.

Docelowo legion powinien dysponować dwoma statkami, na których oddziały miały przedostać się na Dominikanę, oraz czterestoma samolotami, artylerią, nie mówiąc już o karabinach i pistoletach maszynowych. Zakupami broni zajmował się zaufany człowiek Alemana, Manolo Castro (zbieżność nazwisk z Fidelem przypadkowa). Był on jednocześnie współprzewodniczącym Socjalistycznego Ruchu Rewolucyjnego, najpoważniejszego ugrupowania politycznego na Uniwersytecie Hawańskim. Podejrzewano go o morderstwo na jednym z profesorów uczelni, zwolniono jednak z aresztu z braku dowodów.

Manolo założył biuro w jednym z luksusowych hoteli w Miami na Florydzie. Kupował bardzo dużo broni, nie stosując przy tym żadnych środków ostrożności. Przeciwnie, rozpowiadał na lewo i prawo o przygotowywanej rewolucji. Skutek był taki, że w „Miami Herald” ukazał się artykuł ujawniający spisek.

Rząd Stanów Zjednoczonych wywarł nacisk na prezydenta Grau'a (który ponoć o wszystkim wiedział). Na skutek nie trzeba było długo czekać. Do akcji weszły oddziały armii kubańskiej, likwidując obóz legionu na wyspie. Zatrzymano większość bojowników, przejęto jedenaście samolotów. Fidel, jak wąż, zdołał wyślizgnąć się z pułapki<sup>9</sup>.

Wybuchł oczywiście skandal. Minister José Aleman musiał złożyć dymisję, nie oskarżono go jednak o defraudację dwóch milionów dolarów z funduszy ministerialnych. Zbiegł później na Florydę, gdzie zmarł, zostawiając majątek oceniany na dziesięć milionów dolarów<sup>10</sup>.

Rok po przygodzie z legionem dwudziestojednoletni Fidel Castro, z przyjacielem Rafaellem del Pino, znalazł się w stolicy Kolumbii – Bogocie. Tam właśnie odbywała się Konferencja Państw Amerykańskich z udziałem dwudziestu jeden delegacji krajów półkuli zachodniej. Wedle informacji pozyskanych przez wywiad Stanów Zjednoczonych komiści planowali wywołanie krwawych zamieszek w mieście, liczyli na zerwanie konferencji i obalenie legalnie wybranego prezydenta, Ospina Pérez.

Uzyskano też informacje, że spiskowcy zamierzają zamordować amerykańskiego sekretarza stanu, George'a C. Marshalla. Jednak Ambasada Stanów Zjednoczonych w Bogocie nie przekazała stosownej wiadomości do Waszyngtonu<sup>11</sup>.

Tymczasem powstanie w Bogocie – jak dobrze naoliwiony mechanizm – wybuchło. Stało się to 8 kwietnia 1948 roku. Uzbrojone w koktajle Mołotowa i materiały wybuchowe bandy wyszły na ulice, podpalając, rabując, plądrując miasto.

Padły setki ofiar, a gdy wreszcie zaprowadzono porządek, piękna Bogota leżała w gruzach i wyglądała jak europejskie miasta po wojnie.

Entuzjastyczny komentarz na temat wydarzeń w Bogocie dał nowojorski, komunistyczny dziennik „Daily Worker”, pisząc piórem swego korespondenta w Kolumbii, Josepha Starobina:

Zerwanie konferencji ministrów spraw zagranicznych w Bogocie to cios wymierzony w amerykański Departament Stanu i jego sojuszników z kręgów wielkiego kapitału. Świat przekonał się, że amerykański kolos wspiera się na glinianych nogach<sup>12</sup>.

Dwa dni po krwawych zamieszkach, do hotelu Claridge przybyli dwaj agenci kolumbijskiej policji. Poszukiwali Fidela Castro i Rafaela del Pino, którzy stanęli w tymże hotelu przed dwoma tygodniami. Nie udało się jednak ich zatrzymać. Przed przybyciem policji obaj spiskowcy ukryli się w Poselstwie Kuby. Wkrótce potem załatwiono im powrót na Kubę.

W wolnych od rewolucyjnych działań chwilach Fidel Castro starał się o względy pięknej blondynki, Mirty Díaz Balart. Córka jednej z najbogatszych rodzin na Kubie studiowała filozofię na Uniwersytecie Hawańskim. Fidel przyjaźnił się z jej bratem, Rafaelem. Wszystko odbywało się z zachowaniem wszelkich zasad. Mirta spotykała się z Fidelem zawsze pod czujnym okiem przyzwoitki.

Czarnooka, drobna, cicha Mirta zakochała się po uszy w charyzmatycznym młodzieńcu. Poślubiła go 10 października 1948 roku. Małżeństwo zawarto w kościele katolickim w mieście Banes, w którym ojciec panny młodej pełnił urząd burmistrza. Była to wielka uroczystość, ale pan młody poszedł do ołtarza uzbrojony w pistolet. Już wówczas zdawał sobie sprawę, że ma licznych wrogów.

Castro nie był chętny do płacenia własnych rachunków, pod tym względem pozostanie konsekwentny przez całe życie. Podróż poślubną młodej pary do Miami i Nowego Jorku opłacił papa Díaz; wręczył Fidelowi dziesięć tysięcy dolarów na ten cel (sto tysięcy, wedle siły nabywczej dolara z 1997 roku).

14 września 1949 roku Mirta powiła syna. Otrzymał on imię Felix Fidel Castro Díaz. Rodzice nazywali go Fidelito, mały Fidel. Niecały rok później, w 1950 roku, ojciec Fidelita otrzymał dyplom ukończenia Wydziału Prawa Uniwersytetu Hawańskiego, a jednocześnie coraz głębiej i szerzej angażował się w działalność rewolucyjną. Został aresztowany za podżeganie uczniów w mieście Cienfuegos do strajku protestacyjnego.

Fidel Castro nigdy nie przejmował się pieniędzmi, ale nie miał też problemów z utrzymaniem rodziny. O to dbał ojciec. Syn miał blade

pojęcie o finansach i wartości pieniądza. Przeżył więc szok, gdy w połowie 1955 roku w Meksyku pojął wreszcie, że rewolucja na Kubie będzie przedsięwzięciem znacznie kosztowniejszym, niż to sobie wyobrażał. Broń i amunicja kosztowały sporo, zwłaszcza na czarnym rynku. Trudności potęgował fakt, że Castro przybył do Meksyku na podstawie wizy turystycznej, a ta zezwalała na co najwyżej sześciomiesięczny pobyt. Za przedłużenie trzeba było dać sporą łapówkę, a bez wizy Fidelowi groziła deportacja.

Pisał więc z goryczą do swoich zwolenników i sympatyków na Kubie, członków Ruchu 26 Lipca:

Nie mamy ani centa, wydaliśmy wszystko na druki i znaczki pocztowe. Nie da się sfinansować rewolucji za pomocą nędznych groszy, jakie przywieźliśmy ze sobą i jakie od czasu do czasu napływają z Kuby<sup>13</sup>.

Zabiegając o fundusze Castro zawsze podkreślał, że jego Ruch nie korzystał ze wsparcia milionerów i bogaczy. Liczył na prostych ludzi. „To sprawa zasad” – oświadczał. Ale bez wahania odstąpił od własnych pryncypiów i zaczął zabiegać o pieniądze wśród bogatych emigrantów kubańskich.

W małym miasteczku na granicy z Gwatemalą odbył tajne spotkanie z byłym prezesem Banku Rozwoju w Hawanie, Justo Carrillo. Bankier wyraził opinię, że bez poparcia wojska nie ma mowy o udanej rewolucji na Kubie i ujawnił przed Fidelem, iż bierze udział w spisku młodych, lewicowo nastawionych oficerów armii kubańskiej i że na czele tajnej organizacji stoi pułkownik Ramón Barquín, attaché wojskowy ambasady kubańskiej w Waszyngtonie.

Barquín i jego poplecznicy wywodzili się z klasy średniej. Większość odebrało staranne wykształcenie na Uniwersytecie Hawańskim i studiowało też na amerykańskich uczelniach. Wszyscy odnosili się z pogardą do generałów Batisty – niewykształconych, awansowanych kaprali i sierżantów, którzy dorobili się majątków na łapówkach i wymuszanych „podatkach”.

Carrillo dodawał, że młodzi oficerowie cieszą się poparciem bogatych emigrantów kubańskich i że działając z zaskoczenia, zamierzają aresztować Batistę, a następnie wydalić go z kraju, rozpisując jednocześnie wybory powszechne.

Bankier zaoferował Fidelowi Castro sumę pięciu tysięcy dolarów z przeznaczeniem na umocnienie aparatu władzy po udanym przewrocie przeprowadzonym przez młodych oficerów. Wedle sugestii Carrillo Fidel Castro mógłby po rewolucji objąć urząd burmistrza Hawany. Castro oczywiście na wszystko natychmiast przystał. Pienią-

dze wziął, ale też nie zamierzał dzielić z nikim władzy w przyszłym państwie kubańskim.

26 kwietnia 1956 roku rzecznik dyktatora Fulgencio Batisty ogłosił, że władze zdemaskowały zdraziecką siatkę działającą w wojsku. Przywódca spiskowców Ramón Barquín został aresztowany. Osiem dni później odbył się proces, a werdykt łatwo było przewidzieć. Barquín i dwóch innych przywódców spisku, młodych oficerów, skazano na osiem lat więzienia, pozostałych oskarżonych na cztery lata.

Dwa tygodnie później w Meksyku doszło do kolejnego spotkania Justo Carrillo z Fidelem Castro. Tym razem Carrillo wystąpił w roli klienta, w świetle bowiem ostatnich wydarzeń Castro i jego grupa nabierali większego znaczenia, bo tylko oni pozostali na scenie i tylko oni mogli podjąć próbę obalenia Batisty. Fidel Castro otrzymał nie tylko kolejną „dotację”, ale także listę potencjalnych bogatych sponsorów, którzy z różnych przyczyn pozostawali w opozycji do Batisty.

Castro skorzystał z listy Carrillo. W krótkim czasie pusta do tej pory kasa „rewolucji” napelniła się trzydziestoma tysiącami dolarów.

Można więc było przystąpić do organizowania oddziału zbrojnego, który wkrótce wylądował na Kubie. W sukurs Fidelowi przybył z Miami Miguel Sánchez, uchodźca z Kuby, bardziej znany jako „El Coreano” („Koreańczyk”) – pozostałość po wojnie koreańskiej, w której brał udział w szeregach armii Stanów Zjednoczonych. „El Coreano” miał zająć się szkoleniem bojowników Fidela. Innym instruktorem wojskowym został sześćdziesięcioczworoletni Alberto Bayo, Kubańczyk mieszkający w Meksyku, były pułkownik lotnictwa z czasów wojny domowej w Hiszpanii. Walczył oczywiście po stronie Republiki przeciwko siłom generalissimusa Franco. Później zaciągnął się do oddziałów partyzanckich w Maroku. W istocie był najemnikiem.

Pod kierunkiem Bayo, „El Coreano” oraz jeszcze jednego specjalisty, Kubańczyka José Smitha, rozpoczęło się szkolenie w zakresie taktyki walk partyzanckich. Kursy prowadzono w prywatnych mieszkaniach w Meksyku, a także na strzelnicy Santa Fe, na przedmieściu stolicy. Gdy Castro wszedł w posiadanie informacji, że policja meksykańska, prawdopodobnie we współpracy z batistowskimi siłami bezpieczeństwa, przystąpiła do rozpracowywania jego siatki, zlikwidował kursy w stolicy i przeniósł operację do „Santa Rosa” – wielkiego rancha na odludziu, około trzydziestu kilometrów na południe od stolicy. Wobec właściciela gospodarstwa wystąpił jako potencjalny nabywca i pod tym pretekstem pozwolono mu zeń korzystać<sup>14</sup>.

# 3

## Plan zdobycia Białego Domu

23 czerwca 1956 roku największa gazeta w stolicy Meksyku, „Excelsior”, informowała na pierwszej stronie o zatrzymaniu kubańskich spiskowców. Wielki tytuł na całą szerokość strony głosił:

ARESztOWANIE SIEDMIU KUBAŃSKICH KOMUNISTÓW W MEKSYKU.  
PRZYGOTOWYWALI POWSTANIE PRZECIWKO BATIŚCIE

Jednym z zatrzymanych był Fidel Castro. Według gazety to on stał na czele spiskowców. Castro wpadł na skutek własnej nieostrożności, nie zorientował się, że policja meksykańska śledziła każdy jego ruch. Ostatecznie zatrzymano go na „melinie” razem z sześcioma innymi spiskowcami. Przy okazji znaleziono spory zapas broni i amunicji, a co gorsza, mapę tajnego obozu szkoleniowego „Santa Rosa”. Dzień później policja okrążyła obóz, aresztując czterdziestu jeden bojowników Fidela.

Castro postanowił przekuć porażkę w zwycięstwo, uznał, że w nowej sytuacji i on, i jego Ruch mogą zyskać rozgłos, a co za tym idzie, szersze poparcie. Dziennikarzy, którzy rozmawiali z nim w więzieniu, przekonywał, że nie jest komunistą, został zatrzymany bez powodu, a właściwie to porwany, i co więcej, poddany torturom. Oświadczył, że choć więziony jest od trzech tygodni, to nie przedstawiono mu żadnych zarzutów. Odpowiedzialnością za to, co się stało, obarczył rząd Stanów Zjednoczonych. Powiedział, że do jego aresztowania doszło na skutek nacisków amerykańskich. Było to pierwsze publiczne oskarżenie Waszyngtonu o działania wymierzone przeciwko jego osobie. W przyszłości będzie ich więcej<sup>1</sup>.

Castro wygrał kampanię. Zgodnie z przewidywaniami prasa meksykańska z oburzeniem pisała o „porwaniu” i uwięzieniu bez formalnych podstaw. To z kolei wywołało falę protestów społecznych. Władze znalazły się w kłopotliwej sytuacji. To, a także, jak można przypuszczać, stosowne łapówki sprawiły, że Castra i jego towarzyszy zwolniono z aresztu. Postawiono wszakże jeden warunek, a mianowicie, Castro miał opuścić Meksyk w ciągu dwóch tygodni, informując Ministerstwo Spraw Wewnętrznych o konkretnej dacie i miejscu wyjazdu z kraju.

Castro oczywiście przyjął stawiane warunki, ale tylko pozornie, bo w istocie nie miał najmniejszego zamiaru wyjeżdżać z Meksyku, zanim nie zorganizuje oddziału gotowego do walki o władzę na Kubie. Tymczasem w kasie znowu zaczęło być pusto. Łapówki i inne wydatki okazały się kosztowne. I tym razem z pomocą przyszli przyjaciele, aranżując spotkanie Fidela z Carlosem Prío Socarrásem, prezydentem Kuby w latach 1948–1952. Gdy drogi Prío i Batisty rozeszły się, były prezydent wyemigrował do Stanów Zjednoczonych.

Nienawidzi Batisty jak psa – rekomendował Prío jeden z przyjaciół Fidela. Co ważniejsze, uciekając do Ameryki w obawie przed aresztowaniem przez siepaczy Batisty, Prío ponoć wywiózł z kraju miliony skarbu. Były prezydent nie był kryształową postacią. Pieniądze zdobył nieuczciwie, ze szkodą społeczeństwa, któremu miał przewodzić jako głowa państwa.

We wrześniu 1956 roku Castro zmylił śledzących go agentów bezpieczeństwa i nielegalnie przekroczył granicę ze Stanami Zjednoczonymi. Nocą, wpław pokonał Río Grande, kierując się w stronę miasteczka McAllen w Teksasie, gdzie w nędznym motelu doszło do spotkania z Prío. Castro wywarł wielkie wrażenie na byłym prezydencie, co znalazło materialny wymiar, nader hojny. Prío zasiłił kasę Ruchu 26 Lipca kwotą stu tysięcy dolarów (siedmiuset pięćdziesięciu tysięcy według szacunków z 1997 roku).

To nie było wszystko. Zaczęły też napływać fundusze z Wenezueli, Kuby, Meksyku i kilku innych krajów latynoamerykańskich. Było tego dużo. Wystarczyło nie tylko na uzbrojenie, ale także na przekupienie meksykańskich urzędników, aby uniknąć przymusowej deportacji.

Część pieniędzy otrzymanych od Prío Castro przeznaczył na zakup jachtu *Granma*. Właściciele, amerykańskie małżeństwo Ericsonowie, zażądali piętnastu tysięcy dolarów. Łódź miała ledwie dwadzieścia metrów długości, była więc niewielka, ale Castro ocenił, że pomieści do stu osób, gdy już będzie gotów do wyprawy na Kubę.

Na Kubie tymczasem doskonale wiedziano o poczynaniach Fidela. Batista miał w Meksyku własną siatkę agentów i informatorów, wiedział też kogo przekupić, aby móc wpływać na sprawy. Dyktator zlekceważył jednak sygnały. Uznał, że Castro nie jest groźny. Wedle wiarygodnego źródła, Batiście przedstawiono plan zamachu na Fidela i zaoferowano wysadzenie jachtu *Granma*. Batista obie oferty odrzucił.

Podczas gdy Fidel Castro szykował się do przejęcia władzy siłą, w innym kraju młody senator John F. Kennedy snuł plany dojścia do władzy w sposób bardziej demokratyczny. Obaj byli ambitni, inteligentni, zdolni i pełni energii. Nie wiedzieli wszakże, bo nie mogli wiedzieć, że oto zaczynają marsz, który pewnego dnia doprowadzi ich do konfrontacji, a świat zepchnie na krawędź wojny nuklearnej.

Tymczasem dobiegała końca pierwsza połowa 1956 roku. Lada dzień miała się rozpocząć Konwencja Partii Demokratycznej\*. Jack Kennedy, jak zdrobniale nazywała go rodzina i bliscy, po raz pierwszy chyba w swoim trzydziestodwuletnim życiu postanowił postąpić wbrew radom i życzeniom ojca, Josepha P. Kennedy'ego seniora. Po sześciu latach spędzonych w Izbie Reprezentantów i trzech latach w Senacie Stanów Zjednoczonych Jack Kennedy myślał o urzędzie wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych.

Ojciec był przeciw. Choć nigdy nie pełnił żadnego stanowiska z wyboru, sześćdziesięcioośmioletni Joe Kennedy był zręcznym i przewidującym politykiem. W 1956 roku uznał, że w konkurencji z wielce popularnym prezydentem Dwightem D. Eisenhowerem, który z pewnością będzie ubiegał się o drugą kadencję, żaden demokrata nie ma szans.

Joe Kennedy brał pod uwagę jeszcze jedną przesłankę. Otóż nigdy jeszcze katolik nie piastował urzędu prezydenta czy wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych. Jack, jak cała rodzina, był katolikiem i ojciec obawiał się, że jeśli syn uzyska nominację na wiceprezydenta, a następnie demokraci przegrają wybory, to odium porażki spadnie na niego, co może przekreślić szanse Jacka w przyszłości.

Kennedy senior i jego żona Rose mieli dziewięcioro dzieci, w tym czterech synów: Jacka, Joe jr., Boba i Teda. Ojciec od lat już żywił pragnienie, by jego syn został pierwszym w historii Ameryki prezydentem katolikiem. Do tej roli przygotowywał najstarszego – Josepha (Joe juniora). Na przeszkodzie stanął jednak ślepy los. Joe był pilotem, brał udział w nalotach bombowych na Niemcy i 12 sierpnia 1944 roku zgi-

\* Zjazd, na którym oficjalnie desygnuje się kandydata na prezydenta Stanów Zjednoczonych [przyp. tłum.].

nał nad Francją. Pilotował wtedy eksperymentalną maszynę, a zadanie, jakie załoga otrzymała, polegało na zbombardowaniu wyrzutni rakietowej, z której Niemcy wysyłali pociski na Anglię. Maszyna Joe Kennedy'ego z nieznanymi przyczyn eksplodowała w powietrzu. Zginęli wszyscy. Szczątków nigdy nie odnaleziono<sup>2</sup>.

Jack Kennedy też walczył na wojnie. Był dowódcą kutra torpedowego na Pacyfiku. Gdy wrócił do domu, ojciec wyznaczył mu nowe zadanie: zastąpi starszego brata i rozpocznie karierę polityka. Zrazu Jack próbował stawiać opór, co nie na wiele się zdało. Jak przyznał później w wywiadzie prasowym (z Bobem Considine'em),

był to po prostu rozkaz. Ojciec pragnął, żeby najstarszy z nas wkroczył na scenę polityczną. Nie tyle zresztą pragnął, ile żądał. Zna pan mojego ojca, więc może pan sobie to wyobrazić!

Kiedy w połowie 1956 roku delegaci demokratów zbierali się w Chicago na zjeździe, wszyscy wiedzieli, że Jack Kennedy stara się o drugie miejsce – wiceprezdenckie – na liście wyborczej. Co do pierwszego – prezydenckiego – to było niemal oczywiste, że przypadnie ono Adlai'owi Stevensonowi, politykowi, który już cztery lata temu stawał w wyborcze szranki przeciwko Eisenhowerowi. Starsi i wpływowi demokraci, jak choćby Harry S. Truman czy James Farley, szara eminencja demokratów, ostrzegali Stevensona przed wyborem Kennedy'ego, uważając, że jest „zbyt młody, zbyt niedoświadczony i zbyt katolicki”.

Tradycyjnie w amerykańskiej polityce o wyborze kandydata na wiceprezydenta decyduje osoba nominowana do prezydentury. Nie chcąc dolewać oliwy do ognia i pogłębiać sporów wewnątrz partii, Stevenson postanowił nie korzystać z przysługujących mu prerogatyw i decyzję o wyborze kandydata na wiceprezydenta pozostawił zjazdowi. Kennedy przegrał głosowanie. Nominację, nieznaczną większością głosów, uzyskał senator Estes Kefauver z Tennessee.

Ale Jack Kennedy wyszedł z konwencji z tarczą, bo Stevenson, chcąc przyciągnąć młodszy elektorat, właśnie do niego zwrócił się z prośbą o wygłoszenie tradycyjnego przemówienia nominacyjnego, czyli o formalne zgłoszenie kandydatury Stevensona. Kennedy nie odmówił, przeciwnie, zgodził się z wielką ochotą. Kandydatura Stevensona przeszła w pierwszym głosowaniu. Przemówienie Kennedy'ego, transmitowane przez telewizję, przyniosło mu ogólnokrajowy rozgłos. Z dnia na dzień Jack Kennedy stał się politykiem dużego formatu, zgromadził cenny kapitał, który przyda mu się w przyszłości.

Po konwencji Kennedy wyjechał na Florydę, gdzie ojciec wypoczywał w willi należącej do rodziny. Wspólnie przeanalizowali sytuację, jaka powstała po konwencji i zastanawiali się nad dalszymi planami, ustalając, że Jack powinien spróbować swych sił w wyborach za cztery lata, w 1960 roku, gdy druga kadencja Eisenhowera dobiegnie końca.

Tak powstał plan operacji, której celem był Biały Dom. W pierwszym etapie Jack powinien w spektakularny sposób wygrać wybory na drugą kadencję senatorską, które przypadają na rok 1958. Chodziło o zwycięstwo tak przekonywujące, aby nikt – wpływowi politycy Partii Demokratycznej, prasa i całe społeczeństwo – nie miał najmniejszych wątpliwości, iż Kennedy jest poważnym kandydatem do prezydentury.

Rodzina Kennedych wywodzi się z Massachusetts. Dziadek Jacka, ojciec Josepha Patricka Kennedy'ego (seniora), był właścicielem tawern w Bostonie, ale też udzielał się na lokalnej scenie politycznej i uchodził za człowieka wpływowego w mieście. Joseph Patrick studiował na Uniwersytecie Harvarda, a po dyplomie, który obronił w roku 1912, zajął się interesami, a przejawiał w tych sprawach niezwykły talent. Mając lat dwadzieścia cztery przejął faktyczną kontrolę nad bankiem Columbia Trust Company w rodzinnym mieście.

To był początek, bo rychło syn właściciela tawern dorobił się bajecznej wręcz fortuny. Grał na giełdzie, próbował sił w Hollywood, angażując się w produkcję popularnych filmów, wykorzystywał kontakty polityczne, aby zapewnić sobie dogodną pozycję jako oficjalnego importera szkockiej whisky. W interesach był twardy, przebiegły i nie miał skrupułów. „Wszyscy biznesmeni to sukinsyny” – zwykł był mawiać<sup>3</sup>.

Jego małżonka, Rose, elegancka, pełna uroku i głęboko religijna dama – codziennie przystępowała do komunii – wywodziła się ze starej bostońskiej rodziny. Jej ojciec, John F. „Honey Fitz” („Słodki Fitz”) Fitzgerald, legendarny polityk, był ongiś burmistrzem Bostonu, zasiadał też w Izbie Reprezentantów Kongresu Stanów Zjednoczonych. Rose dbała o rodzinę, zajmowała się wychowaniem dziewięciorga dzieci. Każde z nich w stosownym czasie podejmowało naukę w renomowanej szkole prywatnej.

Joseph tymczasem podróżował. Liczne interesy, jakie prowadził sprawiały, że w domu bywał rzadko, ale o dzieci dbał. Na rzecz całej dziewiątki ustanowił specjalny fundusz powierniczy, zapisując na konto każdego po milionie dolarów. Z funduszu młodzi będą korzystać po skończeniu dwudziestego pierwszego roku życia. Ojciec inte-

resował się też postęпами w nauce, pobudzał ambicje dzieci, planował kariery, śledził ich życie towarzyskie i uczuciowe. A było co obserwować – w żyłach Kennedych płynęła gorąca krew.

Już przy pierwszej kampanii wyborczej Jacka do Izby Reprezentantów w 1946 roku zmobilizowano siły klanu. Cała rodzina pracowała na zwycięstwo. Podobnie w roku 1952, gdy Jack wystartował w wyborach do Senatu, mając za przeciwnika Henry'ego Cabote Lodge'a jr. – polityka ogromnie wpływowego, należącego do starej i szacownej rodziny bostońskiej, której korzenie sięgały pionierów przybyłych do Ameryki na statku *Mayflower*. Szefem sztabu wyborczego Jacka został jego brat, Robert. Mimo młodego wieku okazał się twarde, wręcz bezwzględny, ale niezwykle kompetentnym menedżerem kampanii wyborczej. W 1960 roku stanął na czele kampanii prezydenckiej swojego brata.

Bobby, jak zwano go w rodzinie i wśród przyjaciół, był niezwykle skuteczny, nie cofał się przed trudnościami ani przed przeszkodami. Liczył się tylko cel. Ojciec był zeń bardzo dumny. „To mój chłopak – mawiał – lepiej mu się nie narażać, bo jeśli ktoś mu podpadnie, to nie ma przeprós”<sup>4</sup>.

Podczas gdy Jack podróżował po całym stanie Massachusetts wygłaszając setki przemówień, ściskając tysiące dłoni i polecając się wyborcom, jego matka, Rose, wydawała dziesiątki herbatek dla pań, podejmując – bywało – po dwa tysiące kobiet naraz. W sztabie wyborczym Jacka pracowała także Eunice, najbardziej energiczna z siostr Kennedych.

To o niej ojciec powiedział kiedyś, że „gdyby urodziła się z jajami, to byłby z niej diablo dobry polityk”.

Patricia i pozostałe siostry reprezentowały brata na niezliczonych przyjęciach na jego cześć, rozdawały literaturę wyborczą, i prowadziły kampanię przez telefon, co uchodzi za niezwykle skuteczną formę zdobywania głosów.

Ale najwięcej wysiłku w kampanię wkładał oczywiście sam Jack. Okazał się niezwykle energicznym, ale też skutecznym i charyzmatycznym politykiem. Jego młodzieńcza aparycja i cięty dowcip ujmowały zwłaszcza kobiety. „Niech mi kto powie, co takiego ma ten Kennedy, że każda baba między osiemnastym a dwudziestym ósmym rokiem życia uważa za swój święty obowiązek pracować na jego zwycięstwo” – żalił się sztabowiec z przeciwnego obozu w czasie kampanii senackiej w 1952 roku<sup>5</sup>.

Ojciec wspierał kampanie syna hojną ręką, zwłaszcza zaś kampanię, której celem był Biały Dom. Nie dopuszczał myśli o porażce.

„Drugie miejsce w tym wyścigu nie daje żadnych profitów” – przypominał stale.

Kiedy na Florydzie dopięto plan działań na rzecz zwycięstwa w wyborach prezydenckich w 1960 roku, Jack Kennedy odleciał do Bostonu, szykując się tymczasem do kampanii senatorskiej 1958 roku. Podczas gdy kampania Kennedy'ego nabierała rozmachu, w Meksyku ruch rewolucyjny Fidela Castro przeżywał serię dotkliwych porażek, a przynajmniej tak mogło się wydawać.

## Widowisko w górach

Teresa Casuso, „czterdziestka z plusem” – jak o sobie mawiała – wielce towarzyska Kubanka, wdowa po bojowniku Brygad Międzynarodowych w czasie wojny domowej w Hiszpanii, mieszkała w Meksyku od dziesięciu lat, gdy w lipcu 1956 roku, całkiem przypadkowo, poznała Fidela Castro. Nie była ani pierwszą, ani ostatnią kobietą, która od pierwszego spotkania znalazła się pod urokiem trzydziestoletniego mężczyzny. Było w nim coś zniewalającego, coś, co sprawiało, że każda chciała otoczyć go opieką, zadbać i pomóc.

Teresa też. Dała Fidelowi wizytówkę, zaprosiła do siebie, nie licząc zresztą, że przyjdzie. Z pewnym więc zdziwieniem stwierdziła, że Fidel w sposób bardzo dosłowny potraktował deklarację „niech mój dom będzie pańskim domem”. Zjawiał się nocami, przynosił broń i amunicję, które następnie ukrywał po różnych domowych zakamarkach. Bez najmniejszego skrępowania traktował mieszkanie Teresy jak swoje własne. Nastąpił nie tylko w jej domu, ale i w życiu. Bywało jednak, że zamykał się sam w pokoju na górze. Bez końca rozkładał, czyścił i składał broń. Najwyżej cenił sobie karabin snajperski z lunetą. Podnosił do ramienia i celował w antenę telewizyjną w domu naprzeciwko<sup>1</sup>.

To trwało do listopada 1956 roku, gdy 21 tego miesiąca zjawiła się policja. Fidela akurat nie było. Dom przetrząsnęto, znajdując trzyście tysięcy sztuk amunicji i sporo broni zmagazynowanej przez Fidela. Teresę zatrzymano, aresztowano także dwóch Kubańczyków.

Fidel uniknął aresztowania, ostrzeżono go, żeby nie wracał. Uczynił to zaprzyjaźniony (czy raczej przekupiony) urzędnik meksykański. Dodał, że policja dokładnie rozpracowała siatkę Fidela, oraz że

on i jego ludzie mają siedemdziesiąt dwie godziny na opuszczenie Meksyku.

Fidel zaalarmował towarzyszy. Nocą obszedł wszystkie kryjówki w mieście, polecając, aby wymknęli się z miasta i stawili w umówionym miejscu, w pobliżu Veracruz na wschodnim wybrzeżu Meksyku. Tak też się stało. W pojedynkę, parami, autobusami, czy jak komu się udało, wszyscy opuścili stolicę, udając się do Tuxpan, na północ od Veracruz, nie wiedząc zresztą, że tam właśnie czeka na nich *Granma*.

Castro tymczasem wysłał szyfrowaną wiadomość do swoich zwolenników w Hawanie i też ruszył do Tuxpan. Jechał samochodem. Była noc z 23 na 24 listopada, gdy nagle na szosie błysnęły światła i z mroku wyskoczyło kilkanaście niewyraźnych postaci. Zatrzymali auto. Byli to, jak się okazało, funkcjonariusze Biura Imigracyjnego. Castro nie dał się zaskoczyć, był przygotowany i na taką ewentualność. Wystarczył zwitek banknotów, skądinąd spory, aby zrezygnowano z dalszych czynności. Do celu, do Tuxpan, dotarł na czas i bez przeszkód.

Jednego tylko nie wiedział, a mianowicie, że przez cały czas pozostawał pod ścisłą obserwacją. Dwóch agentów meksykańskiej służby bezpieczeństwa śledziło każdy jego krok. Ledwie więc dotarł do portu, Fulgencio Batista otrzymał wiadomość, że człowiek, którego uwolnił z więzienia na wyspie Pinos, szykuje się wraz z grupą uzbrojonych ludzi na wyprawę na Kubę, aby położyć kres jego panowaniu<sup>2</sup>.

Wpół do drugiej w nocy, 25 listopada, *Granma* wzięła kurs na Kubę. Na pokładzie jachtu, zaprojektowanego dla dwunastu osób, tłoczyło się ponad dziewięćdziesięciu zdecydowanych na wszystko ludzi. Przed sobą mieli tysiąc sześćset kilometrów żeglugi przez Zatokę Meksykańską. Po sześciu dniach, głodni, wyczerpani morską chorobą, spragnieni, znaleźli się u brzegów Kuby na wysokości prowincji Oriente. W tym momencie nad jachtem przeleciał śmigłowiec. Zatoczył krąg i skierował się w stronę lądu. Od kilku dni marynarka i lotnictwo Batisty patrolowały morskie szlaki w poszukiwaniu rebeliantów.

Castro zamierzał dobić do brzegu pod osłoną nocy, ale w tej sytuacji nie wolno było zwlekać. W kilka minut, brodząc po szyje w wodzie, załoga *Granmy* przedostała się na ląd. Większość sprzętu i broni – radia i karabiny maszynowe – trzeba było zostawić na pokładzie.

A na brzegu już na nich czekali. Wojsko Batisty przygotowało zasadzkę. Większość oddziału Fidela zginęła na miejscu, wielu schwytano. Tylko Castro i jedenastu spośród dziewięćdziesięciu towarzy-

szy, zdołali wymknąć się z pułapki. Zbiegli w pobliskie góry Sierra Maestra – dziki zakątek pełen ostrych skał, splątanej tropikalnej roślinności i przepastnych bagien. W kubańskiej „mitologii rewolucyjnej” dwunastu bojowników z Sierra Maestra nazywa się „Apostołami”.

Wśród nich byli młodszy brat Fidela, Raúl; lekarz z Argentyny, który porzucił medycynę dla rewolucji, Ernesto „Ché” Guevara; buntownik z Hawany, Faustino Pérez; niegdysiejszy pomywacz z Nowego Jorku, Camilo Cienfuegos. Wszyscy oni zajmą wysokie stanowiska w przyszłym państwie komunistycznym.

Siedemset dwadzieścia cztery kilometry od Sierra Maestra, w Pałacu Prezydenckim w Hawanie, Fulgencio Batista nadal lekcewał garstkę „bandytów”, kryjących się w górach. Tyle tylko że za głowę Fidela Castro wyznaczył nagrodę stu tysięcy dolarów.

Batista był przekonany, że Castro i jego ludzie i tak skazani są na śmierć na odludziu. I niemal do tego doszło. Nie było żywności. Karmiono się tym, co można było znaleźć na miejscu, głównie owocami mango i korzonkami. I czekano, czekano, czekano. Wszyscy zapuścili brody, po części dlatego, że nie było czym się golić, a po części po to, że potrzebny był taki wyróżnik dla Ruchu 26 Lipca. Tak uznał Castro, mający ogromne wyczucie w tych sprawach.

Tymczasem zbliżało się Boże Narodzenie i jak Kuba długa i szeroka zaczęto szykować się do świąt. W hawańskich gazetach ogłaszał się dom towarowy El Encanto, reklamując świąteczne prezenty. Usługi polecało Rancho Luna, wytworna restauracja. W ciągu ostatnich trzech lat – dumnie stwierdzał szef kuchni – podano trzysta dwadzieścia cztery tysiące dań z kurczaka. Tylko „Havana Post” zamieścił wzmiankę o „rewolucjonistach z Oriente”, których wojsko Batisty ma zamiar zlikwidować „przy minimalnych stratach własnych”.

W tym też czasie jeden z „Apostołów”, Faustino Pérez, zdołał niepostrzeżenie przedrzeć się przez posterunki wojskowe, dotarł do Hawany, nawiązując kontakt ze skromnym podziemiem Ruchu 26 Lipca. Pérez pochodził z protestanckiej, średnio zamożnej rodziny. Jego misja w Hawanie polegała na zorganizowaniu i skoordynowaniu akcji bombowej wymierzonej w kubański establishment – elitę polityczną i społeczną. I rzeczywiście, w dzień Nowego Roku, miastem targnęły wybuchy. Bomby podłożono w kilku miejscach, w tym także w słynnym nocnym klubie Tropicabana. Straty były znaczne, a wśród ofiar

znalazła się siedemnastoletnia dziewczyna, której wybuch urwał rękę. Ranna została też córka byłego szefa policji w Hawanie.

Pod rządami Batisty Hawana zyskała reputację największego lupanaru na całej półkuli zachodniej. Nie trzeba było niczego więcej, aby bogaci Amerykanie jęli tłumnie odwiedzać „Perłę Antyli”, jak od lat nazywano wyspę. Garnęli się na erotyczne występy w nocnych lokalach. W jednej tylko Hawanie swoje usługi polecało dwanaście tysięcy prostytutek i tyluż naganiaczy. Elegancki klub Mambo zasłynął jako miejsce, gdzie bogaci zawsze mogą znaleźć stosowne damskie towarzystwo. Znacznie tańsze domy publiczne przy Virtue Street (ulicy Cnotliwej) obsługiwały miejscową klientelę.

Lukratywnym przemysłem na Kubie stał się hazard, a ten opanowali amerykańscy mafiosi, otwierając liczne luksusowe kasyna, płacąc Batiście i jego popiecznikom ponad milion dolarów miesięcznie w formie łapówek. Meyer Lansky otworzył kasyno w eleganckim hotelu Riviera tuż nad morzem. Jego brat, Jake, rządził kasynem International. Santo „Sam” Trafficante władał kasynami w wytwornych hotelach San Souci, Seville-Biltmore i Deauville. Nicholas Di Constanzo z Charles'em „Żyletą” Tourine prowadzili dom gry Captril, najmując jako recepcjonistę hollywoodzkiego gwiazdora, George'a Rafta, co z pewnością nie było tanie.

Korupcja wpisana była w historię i tradycję wyspy, ale za rządów Batisty zjawisko stało się powszechne. Kradli wszyscy, od kaprali w lokalnych garnizonach, którzy bez żenady zabierali chłopom ostatnią kurę, po samego Batistę i jego pretorianów, zwyczajowo biorących trzydzieści procent prowizji od wszelkich zamówień rządowych.

Gdy hawański kupiec chciał ściągnąć więcej klientów do swego sklepu, to wystarczyło dać cztery tysiące dolarów komu trzeba w wydziale komunikacji, a już przed wejściem ustawiano przystanek autobusowy. Generał Francisco „Pancho” Tabernilla, tłustawy szef sztabu armii Batisty, brał „działkę” od każdej butelki szkockiej whisky importowanej na Kubę. Trudno się dziwić, że o whisky w tamtych czasach mówiono „Old Tabernilla”.

Od dowódców garnizonów na prowincji wymagano po piętnaście tysięcy dolarów miesięcznie z tytułu „dobrowolnych składek”, wpłacanych przez lokalnych biznesmenów na rzecz Batisty.

Oficjalne pensje urzędników administracji rządowej były nader skromne, ale też każdy dostawał znacznie większe, miesięczne „kompertówki”. Za specjalne zasługi wręczano specjalne premie. Ochrońnik w Pałacu Prezydenckim dostawał dwa i pół tysiąca dolarów

„nagrody” na święta Bożego Narodzenia. Inni więcej lub mniej, w zależności od stopnia zasługi wobec Batisty.

Na początku 1957 roku „armia” Fidela Castro liczyła osiemnastu bojowników. Dysponowali dwudziestoma trzema sztukami broni: pięcioma półautomatycznymi karabinami, czterema zwykłymi, dwoma automatami Thompsona, dwoma pistoletami automatycznymi, jednym pistoletem pneumatycznym oraz dziewięcioma karabinami z celownikami teleskopowymi. Pojawiły się oznaki zwątpienia, narastały problemy z dyscypliną. Ten i ów z młodych ludzi domagał się wyprawy do miasta „dla rozrywki”. Castro reagował ostro. Zapowiedział, że za nieposłuszeństwo, dezercję i defetyzm jest tylko jedna kara – kula w łeb.

Ale nie można wykluczyć, że i sam Commandante jał żywić wątpliwości. Nikt bowiem i na Kubie, i za granicą nie okazywał ani jemu, ani jego sprawie żadnego zainteresowania. W rzeczy samej „Havana Post”, powołując się na nie wymienionego z nazwiska pułkownika Batisty, ogłosił, że przywódca rewolucji nie żyje. Castro uznał, że jedynym ratunkiem dla Ruchu 26 Lipca jest... prasa i to nie kubańska, ale amerykańska. Jak kania dżdżu, tak Castro łaknął rozgłosu, bez niego bowiem rewolucji nie będzie. Wysłał więc jednego z najbardziej zaufanych ludzi, Rene Rodriguez, do Hawany z zadaniem sprowadzenia jakiegoś amerykańskiego dziennikarza w góry Sierra Maestra. Chciał udzielić wywiadu i rozpropagować swoją sprawę.

Rodriguez skontaktował się z Felipe Pazosem, wybitnym kubańskim ekonomistą, byłym prezesem Narodowego Banku Kuby za czasów prezydenta Prío. Syn Pazosa działał od dwóch lat w podziemnych strukturach opozycyjnych wobec Batisty i on to zapewne namówił ojca do przystąpienia do konspiracji.

Felipe Pazos udał się do hawańskiego biura „The New York Timesa”. Szefowa biura, Ruby Hart Phillips, od 1933 roku specjalizowała się w problematyce kubańskiej. Swojego rozmówcę potraktowała z uwagą i życzliwie. Poczyniła też stosowne starania i w efekcie w Hawanie zjawiał się pięćdziesięciosiedmioletni wybitny publicysta „Timesa”, Herbert Matthews. Właśnie on miał przeprowadzić wywiad z Fidelem w jego górskiej kryjówce. Aby ukryć prawdziwy cel przyjazdu, przyleciał z Nowego Jorku w towarzystwie małżonki. Oboje zamieszkali w domu pewnego małżeństwa nauczycielskiego, sympatyzującego z Fidelem<sup>3</sup>.

15 lutego 1957 roku Matthews udał się na wycieczkę w góry. Po dwóch godzinach wspinaczki dotarł na umówione miejsce. Gdyby Castro nie poświęcił się rewolucji, zbilby fortunę na reklamie. Jeśli cho-

dzi o public relations, był wręcz genialny i gdyby tylko chciał, zrobiłby karierę na Madison Avenue\*. W każdym razie scenariusz, jaki opracował i zrealizował na użytek wizyty Matthews, okazał się majstersztykiem.

Przed przybyciem dziennikarza polanie w dżungli nadano wygląd placówki sztabowej z prawdziwego zdarzenia i choć na miejscu było ledwie dwóch czy trzech ludzi, Matthews mógł odnieść wrażenie, że wszystko tu tętni życiem, a partyzantów są dziesiątki. Castro prze-myślnie kazał na siebie czekać. Matthewsowi wyjaśniono, że Commandante prowadzi właśnie naradę w „sztabie generalnym”. Matthews dał się zwieść, był pod ogromnym wrażeniem.

Wreszcie, jakby znikąd, zjawił się Castro. Szczupły, wysoki, roztaczał wokół siebie aurę mesjasza. Bez wątplenia zaimponował Matthewsowi, skoro ten tak później napisał:

[stanął przede mną] rosły mężczyzna, metr osiemdziesiąt z okładem, śniady, o okrągłej twarzy, mocny charakter, silna osobowość.

Przez kilka dobrych godzin doświadczony reporter najbardziej wpływowej gazety na świecie, słuchał tyrady młodego rewolucjonisty. Castro za całą „armię” miał osiemnastu ludzi, ale przekonał Matthews, że jego siły są znacznie, ale to znacznie większe.

Zgodnie z nakreślonym przez Fidela scenariuszem jego ludzie – parami, trójkami – krążyli wokół obozu. Znikali w dżungli, by pojawić się za chwilę przed oczami amerykańskiego dziennikarza w nieco innym ubraniu. Matthews uwierzył, że ma do czynienia z oddziałem liczącym setki, jeśli nie tysiące partyzantów.

W stosownym momencie odegrano jeszcze jeden skecz na użytek reportera. Oto z gąszczu wyłonił się Raúl Castro, prowadząc ze sobą najwyraźniej utrudzonego partyzanta. Podeszli do Fidela. Zasalutowali. Raúl złożył meldunek:

– Komendancie, przybył łącznik z Kolumny Numer Dwa.  
– Niech poczeka, aż skończę z panem redaktorem – odparł Castro karcącym tonem, udając niezadowolenie, że ktoś ośmiela się zwrócić doń bez wezwania.

Matthews nie tylko dał się zwieść, ale też poddał się urokowi Commandante, a co ważniejsze, uwierzył w głoszone przezeń hasła o walce za „demokrację i wolność narodu kubańskiego”. Rezultatem wyprawy w góry Sierra Maestra był cykl trzech artykułów na pierwszej

\* Aleja w Nowym Jorku, przy której znajdują się biura największych amerykańskich agencji reklamowych [przyp. tłum.].

stronie „Timesa”. Choć Castro i jego „armia” głównie kryli się przed wojskiem, Matthews w pierwszym artykule zaręczał, iż od siedemdziesięciu dziewięciu dni Castro prowadzi operacje zbrojne przeciwko siłom Batisty, a szeregi jego armii stale rosną. Zacytował następujące stwierdzenie Fidela:

Batista wystawił przeciwko nam trzy tysiące wojska tu w górach. Z oczywistych powodów nie zdradzę, ilu nas jest, ale jedno mogę powiedzieć: tam, gdzie oni wystawiają setkę, my idziemy w dziesięciu, czasami w czterdziestu ludzi i wygrywamy!

Od siebie Matthews dodał, że łatwo pojąć, dlaczego jego żołnierze uwielbiają Fidela i dlaczego Castro zdobył serca i umysły młodych ludzi na całej wyspie<sup>4</sup>.

W kolejnym artykule Matthews napisał:

Ruch 26 Lipca nie ma nic wspólnego z komunizmem<sup>5</sup>.

Publikacje Matthews'a odbiły się szerokim echem nie tylko na Kubie, nie tylko w Stanach Zjednoczonych, ale na całym świecie. Prasa „odkryła” Fidela Castro i jego rewolucję. Tłum reporterów z całego świata spieszył na Kubę, wszyscy marzyli o jednym – o wywiadzie z Fidelem. Niektórzy zjawiali się na Kubie incognito, aby uniknąć ewentualnych kłopotów z batistowskimi siłami bezpieczeństwa. Inni, podając się za plantatorów trzciny bądź techników, też dawali sobie radę z posterunkami milicji. Wszyscy ciągnęli w góry. Łącznicy, a częściej łączniczki Fidela, doprowadzali reporterów na umówione miejsca, gdzie Commandante łaskawie udzielał wywiadu „na wyłączność”.

Castro wiedział, jak kształtować swój publiczny wizerunek. Astygmatyk od urodzenia, rzadko pokazywał się w okularach. (Wódz nie może nosić szkieł – pouczał swoich pretorianów.) Gęsta broda pełniła nie tylko funkcję „znaku firmowego” rewolucji, ale też skutecznie kamuflowała podwójny podbródek.

Moda na Castra trwała. CBS, największa wtedy amerykańska sieć telewizyjna, wysłała na Kubę specjalną ekipę filmową. Castro wyznaczył ludzi, by przenieśli ważący ponad sto pięćdziesiąt kilogramów sprzęt w góry. W roli tłumacza wystąpił Marcelo Fernández, były rektor politechniki hawańskiej. Osobiście wspinał się na skały, prowadząc Wendella Hoffmana i Roberta Tabera, dwóch reporterów CBS.

Przebywali w obozie dwa dni. Castro skutecznie przekonał ich, że walczy o ideały demokracji, że Batista musi odejść. Reportaż zatytu-

łowany *Historia bojowników z kubańskiej dżungli* został nadany w maju, gromadząc liczną widownię przed telewizorami.

W tym samym mniej więcej czasie do obozu Raúla Castro w Sierra Maestra dotarł inny dziennikarz amerykański, Charles Shaw, szef dzienników w filadelfijskiej stacji WCAU-TV. Przedstawił on później na antenie zaiste przedziwną tezę, że Ruch 26 Lipca to w istocie ugrupowanie protestantów, którzy chcą przejąć władzę w kraju w większości katolickim<sup>6</sup>.

Z dziennikarską pielgrzymką przybył też sam Ed Sullivan, autor i prezenter popularnego programu... rozrywkowego, który zwykle wypełniały występy brzuchomówców, treserów niedźwiedzi, magików i tym podobnych artystów. Sullivan nie był mistrzem wywiadów, a pytania do Fidela formułował tak, że odpowiedź była oczywista.

– Nie jest pan komunistą, prawda?

– Święta prawda – potwierdził Fidel, głaszcząc się po gęstej brodzie.

– Jest pan głęboko wierzącym katolikiem, prawda?

– Ależ oczywiście.

Gazety, radio i telewizja amerykańskie prześcigały się w głoszeniu chwały wodza rewolucji kubańskiej. Bezkrytyczni komentatorzy obdarzali Fidela mianem Robin Hooda Karaibów i kreślili podobieństwo z Abrahamem Lincolnem i Jerzym Waszyngtonem. Z dnia na dzień niemal nikomu nie znany rewolucjonista stał się znakomitością w skali międzynarodowej, osobistością obdarzoną niemal boską mądrością, potęgą i wręcz jezusowym sercem.

Skutkiem prasowej lawiny uwielbienia szeregi „barbudos” – brodaczy – stale rosły. Rosło także finansowe zaplecze Fidela. Pieniądze zawsze traktował jako „tajną broń”. Od antybatistowskich emigrantów z Florydy miesiąc w miesiąc napływało dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. Plantatorzy trzciny i przedsiębiorcy, działający na opanowanych przez rebeliantów terenach na wschodzie wyspy, też dokładali się do fidelowskiej kasy poprzez „podatki”, jakie na nich Castro zechciał nałożyć. Także amerykańskie firmy funkcjonujące na Kubie nie odmawiały „dobrowolnych datków”, gdy poplecznicy Fidela jęli domagać się takowych.

Spory strumień gotówki płynął też ze Związku Radzieckiego tajnymi kanałami przez poufne konta sekretnych ugrupowań w rozmaitych krajach latynoamerykańskich, w tym zwłaszcza w Wenezueli, Chile, Kostaryce i Argentynie<sup>7</sup>.

Nie było już problemu z bronią i uzbrojeniem. Z Kostaryki przyleciał dwusilnikowy samolot typu *Beechcraft* z ładunkiem pistoletów

maszynowych, karabinów i granatów. Był to prezent od lewicującego przywódcy Kostaryki – José „Pepe” Figueresa. Karabiny kosztowały wtedy, bagatelka, tysiąc dolarów od sztuki, ale Castro dostawał ich setki, dzięki staraniom swoich sympatyków w Stanach Zjednoczonych, którzy zamawiali hurtowe dostawy u handlarzy bronią. Z początku 1958 roku z Ocala i Lakeland na Florydzie regularnie startowały samoloty z zaopatrzeniem, bronią i amunicją dla Fidela Castro.

W krótkim stosunkowo czasie polityczne losy Fidela odmieniły się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Podobnie jak losy Jacka Kennedy'ego w Stanach Zjednoczonych. Obaj szli do przodu jak burza.

# 5

## Wąsy Wuja Sama

Był to zaiste miódowy okres. Nie tylko prasa kochała się w Fidelu, także Waszyngton ulegał jego wdziękowi, może nie całemu, ale z pewnością spora jego część.

Kiedy więc Arthur Gardner doświadczony dyplomata, stary lis, którego niełatwo wywieść w pole, poznał się na Fidelu i ostrzegał Waszyngton, że przywódca kubańskiej rewolucji to komunista, a przynajmniej człowiek bliski komunistom, Richard „Roy” Rubottom, zastępca sekretarza stanu do spraw Ameryki Łacińskiej, całkowicie lekceważył depeche z Hawany.

Występując na forum senackiej Podkomisji do spraw Międzypaństwowych, Rubottom złożył takie oto oświadczenie:

Nie ma dowodów, aby w Ruchu Fidela Castro brały udział zorganizowane grupy komunistów, nie ma też dowodów, aby sam *señor* Castro pozostawał pod wpływem komunistów<sup>1</sup>.

Tymczasem na Kubie ambasador Gardner sugerował Batiście niewątpliwie radykalne rozwiązanie problemu Fidela Castro. FBI lub CIA mogłyby, gdyby zwrócono się do nich z taką prośbą, wysłać tajnych agentów w góry Sierra Maestra z zadaniem fizycznej eliminacji Commandante. Reakcja Batisty przynajmniej niektórym mogła wydać się dziwna. Propozycji nie przyjął. „Nie możemy tego zrobić, jesteśmy Kubańczykami”<sup>2</sup>.

Tymczasem kierownictwo Departamentu Stanu miało dość ciągłych alarmów Gardniera i odwołało go z placówki w trybie dość niezwykłym. Następcą Gardniera został Earl E. T. Smith, siwy, mierzący

metr dziewięćdziesiąt wzrostu, wyglądający jak hollywoodzkie wcielenie dostojnego dyplomaty.

Pochodził z szacownej rodziny, jego przodkowie należeli do pierwszych kolonistów w Massachusetts. Studiował w Yale, gdzie zasłynął także jako utalentowany bokser, zdobywając rozmaite tytuły sportowe. Zrobił karierę na giełdzie w Nowym Jorku, dorobił się majątku, należał do śmietanki towarzyskiej, która krąży między Nowym Jorkiem a Palm Beach. Hojnie łożył na kampanie wyborcze Eisenhowera, miał się za republikańskiego konserwatystę, a gdy trzeba, potrafił walczyć o swoje.

A wracając do Gardnera i jego niezwykle odwołania, to nie zaproszono go nawet do Departamentu Stanu na zwyczajowy „debriefing” – dyskusję o stanie spraw w kraju urzędowania, choć z całą pewnością nie było wtedy większego znawcy problematyki kubańskiej. Nie poproszono go nawet na spotkanie z następcą, Smithem, aby mógł się z nim podzielić doświadczeniami i wprowadzić w sprawy placówki. Był to wypadek bez precedensu, afront wobec powracającego ambasadora, a także sygnał, że Departament Stanu odcina się od jego poglądów<sup>3</sup>.

26 czerwca 1958 roku Raúl Castro na czele dwustu ludzi wyruszył z bazy w Sierra Cristal w rejon Zatoki Moa w północnej części prowincji Oriente. Przeprowadził operację polegającą na uprowadzeniu dziesięciu obywateli Stanów Zjednoczonych i dwóch Kanadyjczyków, pracujących w tej części Kuby. Wśród nich był dziekan Wydziału Geologii Uniwersytetu Stanowego w Minnesocie.

Następnego dnia, sześćdziesiąt cztery kilometry na południe od miejsca poprzedniej akcji, ludzie Raúla uprowadzili kolejne ofiary: dyrektora cukrowni Ermita, Desmonda Elsmore'a oraz szefa cukrowni Isabel, Kanadyjczyka Richarda Sargenta. Inny oddział rebeliantów uwięził sześciu wysokich urzędników United Fruit Company\* oraz dwóch pracowników firmy Nicaro.

Podczas gdy Waszyngton zastanawiał się, co począć w sprawie Kuby, Fidel Castro, oszołomiony hołdami prasy i pewny swego, bo pieniądze płynęły wartkim strumieniem, postanowił pociągnąć Wuję Samę za wąsy. Wybrał w tym celu potężną amerykańską bazę wojskową

\* Wielkiej amerykańskiej firmy działającej w wielu krajach Ameryki Łacińskiej i przez wielu traktowanej jako symbol amerykańskiego kolonializmu gospodarczego [przyp. tłum.].

na Guantanamo. Jeszcze w roku 1903 rząd Stanów Zjednoczonych wydzierżawił od Kuby siedemdziesiąt dwa kilometry kwadratowe ziemie nad Zatoką Guantanamo, na wschodnim wybrzeżu wyspy. Dzierżawa miała charakter wieczysty i zgodnie z umową do Stanów Zjednoczonych należy wyłączna jurysdykcja nad Guantanamo. Z punktu widzenia Fidela Castro i w jego rozumowaniu, Guantanamo to widomy dowód amerykańskiego ucisku.

Od lądu bazę odgranicza wysoki na trzy i pół metra, czterdziestotrzykilometrowy płot z siatki. Od dawien dawna jednak, od początku istnienia bazy, w soboty amerykańscy żołnierze jeździli na przepustki na drugą stronę „siatki”, do pobliskich miast i miasteczek kubańskich. Ale w lipcu 1958 roku autobus – cywilny, co trzeba podkreślić – wiozący trzydziestu amerykańskich marynarzy i żołnierzy Piechoty Morskiej, jadących na przepustkę, po cywilnemu i bez broni, został zatrzymany przez bandę uzbrojonych po zęby rebeliantów Raúla Castro. Kazano im wysiadać, groząc rozstrzelaniem w razie oporu.

Akcja była przemyślana i starannie przygotowana. Jeszcze tego samego dnia ambasador Smith otrzymał oficjalne pismo od Raúla Castro, określające warunki ewentualnego uwolnienia zakładników. Raúl żądał, po pierwsze – natychmiastowego wstrzymania dostaw broni i sprzętu wojskowego dla reżimu Batisty, po wtóre – wstrzymania dostaw paliwa lotniczego dla batistowskich sił powietrznych z bazy Guantanamo i po trzecie wreszcie – gwarancji, że Batista nie będzie używał sprzętu i broni już przekazanych przez Amerykę do działań przeciwko oddziałom Castra<sup>4</sup>.

Waszyngton był wzburzony w najwyższym stopniu. Sekretarz stanu, John Foster Dulles, oświadczył na konferencji prasowej, że Ameryka nie pozwoli się szantażować. Senatorowie, William Knowland i Styles Bridges, zażądali uwolnienia zakładników „w ciągu czterdziestu ośmiu godzin”, oświadczając, że w przeciwnym wypadku „Stany Zjednoczone udzielą Batiście skutecznej pomocy”.

Ambasador Smith i dowództwo Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych opowiadali się za natychmiastową interwencją wojskową, proponując wysłanie dywizji Piechoty Morskiej na Kubę. Departament Stanu był przeciw, argumentując, że operacja wojskowa może wystawić na niebezpieczeństwo życie zakładników i twierdził, że należy dążyć do rozwiązania minikryzysu na drodze dyplomatycznej<sup>5</sup>.

Mało kto w Waszyngtonie i w Hawanie zdawał sobie wtedy sprawę, że uprowadzenie pasażerów autobusu to początek wielkiej ven-

detty, a ta nasili się, gdy Jack Kennedy zostanie prezydentem Stanów Zjednoczonych.

Z polecenia Waszyngtonu, Park Wollam, szef amerykańskiej placówki konsularnej w Santiago de Cuba, dwustutysięcznym mieście położonym około stu kilometrów na zachód od Guantanamo, udał się śmigłowcem do Sierra Cristal na rozmowy z Raulem Castro w sprawie uwolnienia zakładników. Brat Fidela oświadczył, że zakładników wzięto w proteście przeciwko poparciu Stanów Zjednoczonych dla reżimu Batisty. Był to więc klasyczny przykład szantażu politycznego, z pogwałceniem wszelkich norm międzynarodowych, ale szantażu skutecznego i udanego, bo Ameryka uległa.

Departament Stanu zobowiązał się do wstrzymania dostaw amerykańskich samolotów szkoleniowych, które już obiecał Batiście i za które Batista zapłacił. Dyplomaci wyjaśniali, że podjęli decyzję w trosce o los zakładników, a ci, w wyniku negocjacji konsula z Raulem, zostali uwolnieni.

Rewolucja castrowska nasilała się i ogarniała cały kraj. W Hawanie i innych miastach ludzie zamykali się wieczorami w domach i słuchali Radia Rebelde, radiostacji Fidela Castro – jedyne, niezależnego radia na Kubie. Dwugodzinny program zaczynał się o ósmej wieczorem. „Aquí Radio Rebelde, transmitiendo desde el territorio libre de Cuba!” – „Tu Radio Rewolucji, nadajemy z wyzwolonych ziem kubańskich!” – ogłaszał spiker na początku audycji.

*Libre de Cuba!* to hasło znajdowało chętnych słuchaczy i to nie tylko wśród zwolenników Castra. Zaraz po zapowiedzi spikera nadawano hymn Kuby, następnie hymn Ruchu 26 Lipca, a potem zaczynały się wiadomości, głównie oczywiście o zwycięskich bitwach i potyczkach z wojskami Batisty. Nie trzeba dodawać, że sukcesom rewolucji nadawano odpowiednio wielki wymiar, a porażki pomniejszano.

Od czasu do czasu rebelianci i ich sympatycy podkładali ładunki wybuchowe w kinach, kasynach, bankach, budynkach rządowych i innych obiektach symbolizujących władzę i reżim Batisty. Na ulicach rozsypywano gwoździe, aby uniemożliwić normalny ruch. Na energetyczne linie rzucano łańcuchy, co powodowało awarie i wyłączenia prądu na wiele godzin. Wieczorami w Hawanie odpalano petardy i ognie sztuczne, aby podtrzymać atmosferę zagrożenia. Padały ofiary także wśród ludności cywilnej. Batistowska policja i siły bezpieczeństwa stosowały brutalne represje. Schwytych bojowników,

a także osoby podejrzane o sprzyjanie rewolucji torturowano i rozstrzelano. Zwłoki porzucano na ulicach jako ostrzeżenie dla innych.

Propaganda castrowska wykorzystała śmierć siedemnastoletniego chłopca – bojownika oddziałów partyzanckich, który został zastrzelony przez milicję w czasie akcji, gdy rzucał koktajl Mołotowa na pewien budynek – do rozpętania wielkiej, międzynarodowej kampanii, obliczonej na zyskanie poparcia dla sprawy rewolucji, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych. Opracowano dokładny scenariusz, a specjalną rolę nadano ugrupowaniu o nazwie Kobiety Marti. Organizację powołała do życia dr Martha Frade Barraque, zaprzysięgła komunistka. Erupcja propagandy nastąpiła, gdy 31 lipca 1958 roku ambasador Smith, wbrew zdaniu doradców, udał się w podróż do Santiago w prowincji Oriente.

Zaraz na rogatkach około czterdziestu działaczek spod znaku Kobiet Marti zatrzymało samochód ambasady. Ubrane w żałobną czerni wszczęły hałaśliwą demonstrację. Rozwinęły sztandary i transparenty z napisami „Nie zabijajcie naszych synów”, choć mała która z demonstrantek była matką.

Uprzedzona wcześniej prasa, także radio i telewizja były na miejscu, rejestrując wszystko, zwłaszcza zaś akcję milicji, która przystąpiła do rozpędzania demonstracji kobiet przy użyciu sikawek strażackich. Doszło, jak to zwykle bywa, do kilku brutalnych incydentów.

Zdjęcia, migawki filmowe i reportaże z Santiago obieły cały świat i był to autentyczny sukces, bonanza – można by powiedzieć – propagandy castrowskiej, a zarazem porażka Batisty. Milicjantów rozpędzających demonstrację jedna z gazet amerykańskich okrzyknęła „batistowskimi esesmanami”.

Na początku listopada Fulgencio Batista urządził wybory prezydenckie, by pokazać, że niby to społeczeństwo ma zdecydować, kto będzie jego następcą. Wygrał Andrés Rivero Agüero, kandydat wskazany przez Batistę. Wedle rządowych danych uzyskał dwukrotnie więcej głosów aniżeli trójka rywali. Prezydent-elekt miał objąć urząd 24 lutego 1959 roku.

Wybory były oczywiście manipulowane. Karty do głosowania drukowano w bazie wojskowej Columbia w pobliżu Hawany, rzekomo pod ścisłą kontrolą niezależnej komisji wyborczej. Jednak poza wiedzą komisji, w tajemnicy, dodrukowano dodatkowy zestaw kart, niosząc na nie głosy na Rivero Agüero<sup>6</sup>.

Gdy Kubańczycy „wybierali” prezydenta, mieszkańcy Massachusetts, ogromną, niespotykaną większością ośmiuset pięćdziesięciu

dziewięciu tysięcy głosów, odnowili senatorski mandat Johna Fitzgeralda Kennedy'ego. Tak rekordowego zwycięstwa nie notowano w historii wyborów do Senatu w Massachusetts.

Cały klan Kennedych zebrał się w rodzinnej rezydencji w Hyanisport. Joe senior był zachwycony. Plan, jaki dwa lata temu nakreślił wspólnie z Jackiem w Palm Beach na Florydzie, realizował się bez zakłóceń i przynosił owoce. Tak jak zakładano, prasa zaczynała już głosić, że senator Kennedy będzie ubiegał się o prezydenturę w roku 1960, gdy druga kadencja Dwighta Eisenhowera dobiegnie końca.

Krótko po „wyborach” na Kubie, ambasador Earl Smith wydał wielką galę w nowojorskim hotelu Waldorf Astoria. Było to wydarzenie towarzysko-polityczne najwyższej rangi. Pięciuset uczestników płaciło po czterdzieści dolarów za przywilej pokazania się w wytwornym towarzystwie. Przybyła cała śmietanka emigracji kubańskiej.

Smith znał się na reklamie i postarał się, by gala znalazła stosowne odbicie w prasie. Wśród gości krążył fotoreporter wpływowego wtedy i popularnego tygodnika „Life”. Z Hawany sprowadzono redaktorkę rubryki towarzyskiej „Diario de la Marina”, prestiżowego dziennika kubańskiego. Zwolennicy Batisty mieli okazję pograć się w blasku hollywoodzkich sław, światowych znakomitości i amerykańskich polityków.

W sumie było to dość dziwne zgromadzenie. Bo większość gości uchodziło za liberałów i jakby nie zdawało sobie sprawy, że w istocie udziela swojego autorytetu reakcyjnemu dyktatorowi Kuby, Fulgencio Batiście. Z Hollywood przybyli między innymi David Niven, Merle Oberon, Dina Merrill i dwudziestojednoletnia wtedy Jane Fonda. Obecna była Maria Callas, primadonna światowej opery. Przybyli najbardziej wzięci wtedy członkowie światowej socjety: Aly Kahn z Egiptu i Porfirio Rubirosa z Dominikany.

Ale najwięcej uwagi zwracała obecność czterdziestojednoletniego senatora z Massachusetts, Jacka Kennedy'ego. Towarzyszyła mu małżonka, piękna Jacqueline. Wyglądała wspaniale w sukni od Givenchy'ego. Przybyła także mama Kennedy, Rose, z najmłodszym synem Tedem. Chłopięca aparycja sprawiała, że Ted wyglądał na mniej lat, niż miał. Ambasador Smith, zdeklarowany konserwatysta, nie podzielał większości poglądów Kennedy'ego i jego filozofii, ale obie rodziny pozostawały w przyjacielskich stosunkach. Sąsiedowali ze sobą w Massachusetts.

Na początku grudnia w Waszyngtonie nadal rozwijała się akcja antycastrowska. Doszło wtedy do bardzo interesującego spotkania

w Departamencie Stanu między Williamem D. Pawleyem, biznesmem wielkiego kalibru i nieformalnym od trzydziestu pięciu lat doradcą rządu amerykańskiego, a Williamem Wielandem, dyrektorem Departamentu Meksyku i krajów basenu Morza Karaibskiego oraz zastępcą sekretarza stanu, „Royem” Rubottomem. Atmosfera była napięta. Wieland był szeregowym pracownikiem Ambasady Stanów Zjednoczonych w Brazylii, gdy placówce szefował Pawley. Od tamtych czasów uważał go za ultrakonserwatystę, który w istocie nie rozumie problemów Ameryki Łacińskiej. Pawley ze swej strony miał Wielanda za stronnika lewicy.

Bill Pawley był człowiekiem wielu dokonań. W latach dwudziestych założył kubańskie linie lotnicze (sprzedał je później PanAmerican ze znacznym zyskiem). W latach trzydziestych zbudował w Chinach trzy fabryki samolotów, a gdy Japonia rozpoczęła wojnę w Chinach, zorganizował słynną eskadrę „Latających Tygrysów”, złożoną z amerykańskich najemników. Później prowadził tajne negocjacje z generalissimem Francisco Franco, dyktatorem Hiszpanii i politycznym sojusznikiem Adolfa Hitlera, w sprawie utworzenia amerykańskich baz wojskowych na terytorium Hiszpanii. Jeszcze później szefował amerykańskim przedstawicielstwom dyplomatycznym w Peru i Brazylii.

Swoim rozmówcom w gabinecie na czwartym piętrze budynku Departamentu Stanu opowiedział o spotkaniu, jakie odbyło się niedawno w jego luksusowej rezydencji, pałacyku w Miami. Brało w nim udział kilka wybitnych osobistości: wysocy przedstawiciele Departamentu Stanu w randze dyrektorów generalnych – Lawrence Snow i Henry Holland oraz pułkownik J.C. King, szef wydziału Ameryki Łacińskiej w Centralnej Agencji Wywiadowczej. Wspólnie doszli do wniosku, że jeśli nie podejmie się, i to w trybie pilnym, określonych działań na Kubie, to sytuacja całkowicie wymknie się spod kontroli i Castro przejmie władzę. Pawley miał plan i uważał siebie za najbardziej powołanego do jego realizacji. Plan zaś polegał na tym, że uda się na Kubę, wymusi na Batiście rezygnację, namówi go do opuszczenia kraju, z jednoczesnym przekazaniem władzy na Kubie w ręce „neutralnej junty”.

Ujawnił także, że przedstawił ten plan „swemu staremu przyjacielowi”, prezydentowi Eisenhowerowi i „prezydent udzielił mu całkowitego poparcia”.

Wieland zachnął się na słowo „junta”, zauważając zgryźliwie, że koncepcja „kolektywnego kierownictwa” pasuje do psychiki Kubańczyków „jak pięść do nosa”<sup>7</sup>.

Pawley poczuł się dotknięty krytyką. Wyjaśnił, że junta będzie sprawować władzę tymczasowo. Gdy sytuacja ustabilizuje się, będzie można rozpisać wybory.

– Nie ja spieprzyłem sytuację na Kubie, ale mogę wyprowadzić sprawy na prostą. Mam dobre stosunki z Batistą i gotów jestem z nich skorzystać. Wszystko ustawię jak trzeba!<sup>8</sup> – zapewniał Pawley, wbijając wzrok w Wielanda.

Pod koniec listopada oddział Raúla Castro rozłożył obóz w górach Sierra Cristal, na północ od Guantanamo. Raúl miał pod sobą około pięciuset ludzi i kontrolował prawie całą wschodnią i północną część prowincji Oriente. Wojsko Batisty trzymało się z daleka. Na zajętych przez siebie terenach rebelianci urządzili dziesięć lądowisk dla samolotów. Transporty z bronią i zaopatrzeniem, głównie zresztą z Florydy, napływały regularnie.

Na stanowisko dowodzenia Raúl wybrał wioskę Mayarí Arriba, w pobliżu Guantanamo. Rzadko tam zresztą przebywał. Wizytował oddziały, rozjeżdżając się po okolicy terenową toyotą, którą „oswobodził” z rąk bogatego zwolennika Batisty. Dwudziestosiemioletni, młodszy od Fidela o cztery lata, był bez reszty oddany starszemu bratu.

Od 1939 roku baza Guantanamo korzystała z ujęć wody na rzece Yateras po stronie kubańskiej. Wodę pompowano dwiema nitkami rurociągu długości sześciu i pół kilometra. Na miejscu, w Gitmo (jak w skrócie Amerykanie nazywali bazę) ujęć wody nie było. Rurociąg, jak pępowina, był niezbędny do życia. Wiedząc o tym, Raúl trzykrotnie, co prawda na krótko, wyłączał pompy na rzece, pozbawiając bazę wody.

Dowództwo bazy chciało z miejsca wysłać batalion Piechoty Morskiej do ochrony pompowni na rzece, ale Waszyngton odmówił zgody.

Sprawa wylądowała na biurku prezydenta Eisenhowera, a prezydent potrafił działać zdecydowanie i energicznie, zwłaszcza gdy go prowokowano. Nieoficjalnym kanałem dano znać Fidelowi, że dalsze podobne prowokacje wywołają poważne konsekwencje.

Z podsłuchu, jaki CIA udało się założyć na Kubie, wiadomo jak przebiegała rozmowa Fidela z Raulem. Fidel kategorycznie nakazał bratu zostawić Gitmo w spokoju. Tymczasem. Gdy bowiem uzna, że ma dość sił, Fidel też podejmie działania przeciwko „symbolowi jankeskiego ucisku”.

A 9 grudnia Bill Pawley rozpoczął swoją tajną misję w Hawanie. Wysadzając Batistę z siodła, chciał jednocześnie zablokować Fidelowi Castro drogę do władzy.

## 6

### „Dwa zgniłe jaja”

9 grudnia po południu Bill Pawley spotkał się w zaciszu pewnego prywatnego domu w Hawanie z jedynym Amerykaninem pracującym na Kubie, który wiedział o jego misji – z rezydentem CIA, Jimem Noelem. Był wściekły. Krążył po pokoju jak tygrys w klatce, wymachiwał gasnącym cygarem i kłął jak szewc, ciskając najgorsze obelgi pod adresem Departamentu Stanu, który – jak twierdził – wystawił go do wiatru tuż przed odlotem do Hawany. Sprawa zaś polegała na tym, iż kategorycznie zakazano mu powoływać się w rozmowie z Batistą na prezydenta Eisenhowera.

Oznaczało to, i Pawley doskonale zdawał sobie z tego sprawę, że Batista może potraktować go jak prywatnego obywatela, za którym nikt i nic nie stoi, a w konsekwencji odrzucić jego plan jako nic nie znaczący.

Ale już kilka godzin później został przyjęty przez premiera Gonzalo Güella, prywatnie szwagra Batisty.

Güell zajmował luksusową rezydencję w eleganckiej dzielnicy Hawany, Miramar. Wywodu Pawleya wysłuchał z kamienną twarzą, a ten, mimo zakazów Departamentu Stanu, nie omieszkał wtrącić, iż jego plan ma poparcie samego prezydenta Eisenhowera. Plan zaś polegał na tym, że Batista uda się na emigrację, otrzyma stosowną rezydencję w Daytona Beach na Florydzie, a władzę na Kubie przejmie wojskowo-cywilna junta, przez co szanse Castra zostaną przekreślone, a zwolennikom Batisty włos z głowy nie spadnie.

Pawley wymienił też kilka nazwisk kubańskich osobistości, kandydatów do proponowanej junty. Żadnej z tych osób nie pytano o zdanie, żadna nawet nie wiedziała, że jest obiektem amerykańskiego

zainteresowania, ale też były to osoby doświadczone, z autorytetem, stawiające na więzy z Ameryką i – co najważniejsze – nie powiązane ani z Batistą, ani z Fidelem Castro. Junta sprawować będzie władzę do czasu, kiedy powstaną warunki do przeprowadzenia prawdziwych wyborów.

Zaraz po rozmowie z Pawleyem Güell pospieszył do Pałacu Prezydenckiego. Budynek chronił silny oddział wojska. Batista zareagował wybuchem wściekłości. Odmówił spotkania z Pawleyem, co z kolei rozgniewało Amerykanina, bo jak to możliwe, żeby upadający dyktatorzyna odmawiał spotkania z „emisariuszem prezydenta Stanów Zjednoczonych”. Na takie dictum Batista zmiękł i zgodził się przyjąć Pawleya.

Rozmowa w cztery oczy, w prywatnym gabinecie Batisty na drugim piętrze pałacu, trwała dwie godziny. Gdy Pawley z ponurą miną opuścił rezydencję prezydenta, pretorianie Batisty, którzy zgromadzili się przed drzwiami, wbiegli do gabinetu. Batista, zwykle ostentacyjnie spokojny, dyszał ze złości. Wykrzykiwał, że żadnej amerykańskiej propozycji nie przyjmie. To, co go rozwścieczyło do ostateczności, to fakt, iż na liście kandydatów do junty znaleźli się jego najzgorzalsi przeciwnicy polityczni. „Żałuję tylko, że nie dałem mu kopa w tyłek” – zwierzył się szwagrowi<sup>1</sup>.

W Waszyngtonie tymczasem prezydent Eisenhower był zaniepokojony sprzecznymi informacjami na temat Kuby, jakie otrzymywał z rozmaitych źródeł i niejednoznaczными opiniami prasy, jeśli chodzi o Ruch 26 Lipca i Fidela Castro. Poleciał pełniącemu obowiązki sekretarza stanu, Christianowi A. Herterowi, byłemu gubernatorowi Massachusetts, przygotowanie dogłębnej analizy sytuacji na wyspie.

23 grudnia raport był gotowy. Na czterech stronach opatrzonych adnotacją „tajne, specjalnego znaczenia” Herter omawiał wydarzenia na kubańskiej scenie politycznej, konkludując, że pozycja rządu Batisty gwałtownie się pogarsza, że „osiemdziesiąt procent społeczeństwa opowiada się przeciwko Batiście”.

W dalszym jednak ciągu stwierdzał, że „choć komuniści wykorzystują w pewnej mierze Ruch Fidela Castro, to jednak nie ma wystarczających dowodów na poparcie tezy, że komuniści zdominowali dowództwo rewolucji”<sup>2</sup>. Raport nie zawierał najmniejszego nawet odniesienia do opinii ambasadora Arthura Gardnera, który przecież wielokrotnie ostrzegał, że Fidel i jego brat Raúl skłaniają się ku komunistom.

Departament Stanu stanowczo odrzuca ewentualność przejścia władzy przez Castrą i w związku z tym podejmował i podejmuje działania na rzecz wykreowania trzeciej siły, która stanowić będzie alternatywę dla Batisty i Castrą. Działania te mają charakter dyskretny, tak aby nie narażać na szwank oficjalnej polityki niezaangażowania i nieingerencji<sup>3</sup>.

Ostateczna konkluzja raportu Hertera brzmiała

warunkiem rozwiązania problemu kubańskiego jest rezygnacja Batisty (...) Batista musi oddać władzę i opuścić Kubę<sup>4</sup>.

Tego samego dnia, kiedy raport Hertera dotarł do Białego Domu, prezydent wziął udział w posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa Narodowego (National Security Council – NSC), na którym swój pogląd na temat Kuby i Fidela Castro przedstawił Allen Welsh Dulles, szef CIA, którego wytworne maniere niejednego mogły wprowadzić w błąd.

Radę Bezpieczeństwa Narodowego powołano w 1947 roku na mocy Ustawy o bezpieczeństwie narodowym. W skład rady wchodzi prezydent, wiceprezydent oraz sekretarze stanu i obrony. Prezydent ma prawo zapraszać także innych polityków i urzędników wedle potrzeb i własnego uznania. Utarło się więc, że w posiedzeniach rady biorą także udział dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej oraz szef Połączonych Szefów Sztabów. Prezydent Eisenhower zapraszał również sekretarza skarbu i członków Połączonych Szefów Sztabów. Bardzo też, w odróżnieniu od swego poprzednika, Harry Trumana, polegał na opiniach rady we wszystkim, co dotyczyło zimnej wojny.

Allen Dulles, syn pastora, to weteran tajnych operacji. Zasłynął jako rezydent Office of Strategic Services (Biura Służb Strategicznych) w Szwajcarii podczas II wojny światowej. Nosił się z dyskretną elegancją. Zawsze w tweedowej marynarce, zawsze w szklach bez oprawy i zawsze z fajką w ręku. Ale za wytworną maską krył się stalowy charakter.

Zdaniem Dullesa „komuniści i inni radykalni ekstremiści przeniknęli do Ruchu Fidela Castro i jeśli Castro dojdzie do władzy, wejda zapewne do rządu”<sup>5</sup>.

Eisenhower znalazł się w kropce. Różnica ocen między Herterem a Dullesem w kwestii wpływów komunistów w Ruchu Fidela Castro była spora. Ale nie zgodził się z sugestią jednego z członków Rady Bezpieczeństwa Narodowego, który proponował, aby jednak postawić na Batistę, jako na „mniejsze zło”.

– Jeśli ten facet (Castro) okaże się tak fatalny, jak twierdzi nasz wywiad – oświadczył Eisenhower – to jedyną nadzieję możemy wiązać

z jakąś „trzecią siłą”, a więc z ośrodkami nie związanymi ani z Batistą, ani z Castrem<sup>6</sup>.

Pod koniec grudnia Fidel Castro uznał, że ma już wystarczające siły, a nastroje antybatistowskie w społeczeństwie są na tyle mocne, że może rozpocząć decydującą ofensywę. Ruszył więc z Sierra Maestra na zachód ku Hawanie. Ostatecznym celem był Pałac Prezydencki.

Po krótkiej, ale ostrej walce kilkusetosobowy oddział partyzantów pod wodzą Ernesto „Ché” Guevary pokonał ponadtrzytysięczny garnizon wojsk batistowskich w Santa Clara. Było to pierwsze większe miasto (sto pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców), zdobyte przez bojowników spod znaku Ruchu 26 Lipca. Batista próbował coś jeszcze zdziałać. Na pomoc obleżonemu garnizonowi wysłano transportem kolejowym silny oddział wojska, ale żołnierze odmówili wykonania rozkazu, nawet nie wysiedli z wagonów.

Wiadomość o zwycięstwie rebeliantów i faktycznym buncie wojska wstrząsnęła Batistą. Dyktator zdał sobie sprawę, że jest skończony. Wszystko, co mu zostało, to ratować własną skórę. Wysłał więc szwagra, premiera Güella z tajną misją do Dominikany. Generał Rafael Leonidas Trujillo, starzejący się przywódca Dominikany, obiecał azyl nieszczęsnemu Batiście.

Hawana witała sylwestra 1958 roku w atmosferze obłężenia. Pogłoski o rychłym przewrocie kursowały po mieście od rana. Około południa co najmniej dwustu gości wycofało rezerwacje na wielki bal sylwestrowy w luksusowym hotelu Riviera. Do wieczora w ich ślady poszło dwustu dalszych. Większość hawańczyków postanowiło sylwestrowy wieczór spędzić w domu, przy telewizorze. Gwoździem programu były „Nowe przygody Charlie Chana”.

Podczas gdy chytry, chiński detektyw ścigał złoczyńców na ekranie, opustoszałymi, ciemnymi ulicami Hawany przemknęła kolumna czarnych cadillaków Fulgencio Batisty i jego najbliższych współpracowników. Dyktator udawał się na sylwestrowy bankiet w podstołecznej bazie wojskowej Columbia, a w istocie na swoją „ostatnią wieczerzę”.

Atmosfera w rezydencji Batisty w bazie była ciężka, choć sześćdziesięciu zaproszonym gościom naprawdę niczego nie brakowało. Przyjęcie, jak zwykle u Batisty, było bogate. Goście tymczasem skupiali się w małych grupach. Oficerowie byli w galowych mundurach, z orderami, małżonki w kreacjach prosto z Paryża i Nowego Jorku.

Z wybiciem północy Batista uniósł filiżankę kawy wzmocnionej koniakiem, życząc *Felicidades* – Szczęśliwego Nowego Roku! – wszystkim zebranym.

– *Felicidades!* – odpowiedzieli chórem goście.

Wydawało się, że „ostatnia wieczerza” dobiega końca. Tymczasem była to tylko przygrywka. Bo oto wstał generał Eulogio Cantillo:

– Siły zbrojne uznały, że dla ratowania republiki generał Batista powinien złożyć władzę<sup>7</sup> – oświadczył uroczystym tonem, jak było umówione.

Na te słowa wstał Batista, aby do końca odegrać przypisaną sobie rolę:

– Nie opuszczę [Kuby], zanim nie przekażę władzy w godne ręce. Trzeba wyznaczyć następcę.

Owym „godnym następcą” okazał się nie kto inny, jak Andrés Rivero Agüero, ten sam, który wygrał „wybory” i miał objąć urząd 24 lutego. Zaprzysiężono go natychmiast, ale prezydentem był krótko, wszystkiego dwie godziny – najkrócej w całej historii kubańskiej prezydentury<sup>8</sup>.

Gdy tylko polityczne widowisko dobiegło końca, Batista z rodziną i goście w najwyższym pośpiechu jęli szykować się do wyjazdu. Chcieli i musieli opuścić Kubę, zanim Castro zjawi się w Hawanie. Batista z żoną Martą i bagażem pełnym kosztowności (oraz – jak powiadano – czterdziestoma milionami dolarów w gotówce) odleciał z lotniska Columbia do Dominikany. Szef milicji, Pilar Garcia, obwołany przez zwolenników Castra „najgorszym z całej bandy” oraz generał Pancho Tabernilla – ten sam, który pobierał „opłaty” od importowanej whisky – odlecieli do Jacksonville na Florydzie.

W ciągu kilku godzin, między północą a świtem, zbiegł z wyspy cały rząd.

Wiść o ucieczce Batisty i jego świty najbardziej na Kubie zaskoczyła Fidela Castro. Nie tylko zaskoczyła, ale i zmartwiła. Przywódca rewolucji poczuł się oszukany przez los, marzyło mu się bowiem, że będzie miał szansę wymierzenia „potworowi i zabójcy”, jak zawsze określał Batistę, „rewolucyjnej sprawiedliwości”.

1 stycznia 1959 roku Hawanę ogarnęła prawdziwa gorączka. Rozentuzjamentowani studenci wyszli na ulice. Wielu niosło flagi Ruchu 26 Lipca. Doszło do zamieszek. Splądrowano redakcje dwóch gazet, niszczone kasyna, podpalano domy osób podejrzanych o sprzyjanie Batiście. Tysiące dziewcząt i młodych kobiet ubranych w czerń i czerwień (barwy rewolucji) manifestowało radość na ulicach<sup>9</sup>.

Dokonywano aktów samosądu na milicjantach. Zwolennicy Fidela, którzy błyskawicznie opanowali radio i telewizję, podawali na antenie numery milicyjnych samochodów.

Nie wszyscy się cieszyli i nie wszyscy strzelali do milicji. Tysiące ludzi związanych z dawnym reżimem rozpaczliwie usiłowało wydostać się z wyspy. Kto mógł zabierał się samolotem. Maszyny prywatne i liniowe odlatywały z nadkompletem pasażerów. Przepelnione były promy. Od brzegów Kuby odbijały setki jachtów i łodzi wszelkiego typu. Jednego z pilotów kubańskich linii lotniczych zmuszono pod groźbą pistoletu do wystartowania do Nowego Jorku z dziewięćdziesięcioma sześcioma pasażerami na pokładzie. Setki uciekinierów lądowała w Miami, Ocala, West Palm Beach i Florida Keys. Dwa samoloty wylądowały aż w Nowym Orleanie. Na pokładzie jednego z nich wywieziono z Kuby dwójkę najmłodszych dzieci Batisty – sześciolatniego syna, Fulgencio i czteroletnią córeczkę, Martę Marię.

Amerykańscy mafiosi opuścili Hawanę na pokładzie trzech wynajętych prywatnych samolotów. Meyer Lansky, szef syndykatu kontrolującego większość domów gry na Kubie, Santo „Sam” Trafficante, właściciel kasyna w hotelu San Souci oraz Charles „Żyleta” Tourine – z bagażami pełnymi łupów, świtą, żonami i kochankami – wylądowali w Jacksonville na Florydzie.

A tymczasem do Hawany dotarła pierwsza kolumna brodatych, niechlujnych bojowników rewolucji pod wodzą dwóch „Apostołów” – „Ché” Guevary i Camilo Cienfuegosa. Wjechali do miasta na zdobycznych czołgach i z miejsca zajęli dwa najważniejsze punkty strategiczne: bazę Columbia i Cytadelę. Fidel pozostawał jeszcze w Sierra Maestra. Wieczorem zjawi się w Santiago de Chile, „kolebce rewolucji”.

Czekać nań będą rozkrzyczane tłumy uradowanych mieszkańców miasta. W parku Céspedes Fidel wygłosi pierwsze z serii zwycięskich przemówień. Wobec oszalałego ze szczęścia zgromadzenia przyrzeknie wolną prasę, wolne wybory, swobodę wypowiedzi i ziemię dla chłopów. Oświadczy, że dla siebie nie żąda niczego, na co tłum odpo- wie chóralnym skandowaniem: Fi-del, Fi-del, Fi-del!

Mesjasz uśmiechnie się i pogładzi po brodzie.

Rankiem następnego dnia, 2 stycznia 1959 roku, Fidel na czele Zwycięskiego Marszu ruszył na Hawanę. Długa kolumna zdobywczych czołgów, jeepów, autobusów, samochodów i ciężarówek przetoczyła się przez wyspę. Sam wódz odcinki między poszczególnymi

miastami pokonywać będzie śmigłowcem, ciesząc się jak dziecko nową zabawką. „To moje, to wszystko moje!” – wykrzykiwał z niekłamną radością<sup>10</sup>.

Castro był mistrzem teatru. Smakował każdą sekundę swego Marszu Zwycięstwa. Wiedział, jak podsycać napięcie, więc raz po raz kolumna przystawała i Castro wygłaszał długie oracje. Wszędzie po drodze witały go tłumy rozentuzjzmowanych ludzi, w każdym mieście kolumnę zatrzymywano. Jak Kuba długa i szeroka rozbrzmiewały okrzyki: Fi-del, Fi-del!, które kwitował nie kończącymi się przemówieniami, pełnymi zapewnień o wolnej prasie, wolnych wyborach i swobodach obywatelskich.

Trwało to tydzień. Wreszcie 8 stycznia parada zwycięstwa dotarła do stolicy, której mieszkańcy wprost nie mogli się doczekać. Zamknięto sklepy i zakłady pracy. Na wieść, że „jedzie, jedzie” wszyscy wylegli na ulice, nasłuchując warkotu silników i szczerku gąsienic wozów pancernych. Mesjasz objawił się wreszcie we własnej osobie. Zaraz za czołgami, w jeepie, z cygarem montecristo (po pięćdziesiąt centów sztuka) w ustach, wjeżdżał triumfalnie, jak rzymski cesarz, przy ogłuszających wiwatach i owacjach całego miasta<sup>11</sup>.

Uradowani pretorianie, zachłyśnięci uwielbieniem tłumów, torowali drogę pośród ludzkiego morza ku Pałacowi Prezydenckiemu. A tam wzruszony do łez wódz wziął w ramiona pięćdziesięcioletniego Manuela Urrutię Lleó, bezbarwnego polityka, którego kilka dni wcześniej mianował prezydentem Kuby. Obrzucając wzrokiem fasadę pałacu, sięgnął po mikrofon.

– Nigdy mi się ten dom nie podobał! – rzucił w stronę tłumy, co powitano wrzaskliwym rechotem.

Castro zdecydował o wyznaczeniu Urrutii Lleó na prezydenta w typowy dla siebie sposób, pod wpływem chwili. Niewiele o nim wiedział, znał go raczej ze słyszenia. Urrutia był sędzią w Santiago i dziewiętnaście miesięcy wcześniej zwrócił na siebie uwagę wodza, gdy uwolnił od zarzutów grupę castrowskich bojowników, stwierdzając w uzasadnieniu, że rewolucja na Kubie jest prawem zagwarantowanym w konstytucji.

Werdykt oczywiście był policzkiem wymierzonym Batiście. Sędzia Urrutia musiał uchodzić z kraju. Zamieszkał w Nowym Jorku, ale wrócił na Kubę na wieść o upadku rządów Batisty. Castro rychło przekona się, że nominacja Urrutii była błędem. Nowy prezydent też zresztą nie miał pojęcia, w co się wdaje. Należał bowiem do przyjaciół Stanów Zjednoczonych i do wrogów komunizmu.

Castro tymczasem zapewniał zachwyconych Kubańczyków, że sam nie będzie sięgał po władzę, przywróci konstytucyjne prawa i stworzy warunki do jak najszybszego sformowania normalnego rządu. „Nie interesuje mnie władza – oświadczył – i nie będę po nią sięgał. Od dziś, absolutnym suwerenem jest naród”<sup>12</sup>.

Z Pałacu Prezydenckiego procesja z Fidelem na czele podażyła do bazy Columbia, tej samej, w której przed dziewięciu zaledwie dniami Batista ze świętą żegnał stary rok. Trzydzieści pięć tysięcy ludzi zgromadziło się przed budynkiem, aby przyjąć Fidela. Usłyszeli kolejne zapewnienia o „pokoju i wolności, pokoju i sprawiedliwości, pokoju i poszanowaniu praw”. I znów tłum oszalał z zachwytu<sup>13</sup>.

Wreszcie, tuż przed świtem, po trzydziestu sześciu godzinach podróży, nie kończących się przemówień i hołdów, umęczony Fidel dotarł do hotelu Hilton w Hawanie, gdzie czekało nań łóżko w apartamencie zwanym Kontynentalnym.

Mniej więcej w tym samym czasie wywiad Stanów Zjednoczonych uzyskał informację z pewnego źródła, że bojówkarze Fidela Castro planują uwięzienie ambasadora Earla Smitha i jego najbliższych współpracowników. Plan przewidywał, że szef placówki i jego urzędnicy zostaną zamknięci na ostatnim piętrze budynku ambasady i pozostaną w izolacji tak długo, aż Waszyngton uzna oficjalnie nowy reżim na Kubie. Gdyby jednak Waszyngton stawiał opór, to wtedy zakładnicy będą kolejno likwidowani. Będzie się ich zrzucać z balkonu, a na pierwszy ogień pójdzie sam ambasador.

Smith praktycznie nie wychodził poza teren ambasady, a jeśli już, to zawsze z ochroną. Towarzyszył mu samochód z czterema marines z automatami gotowymi do strzału, a przy kierowcy w jego limuzynie zajmował miejsce uzbrojony strażnik. Także w rezydencji był zawsze pod ochroną. Straż stała na korytarzach i przed drzwiami sypialni. W samej sypialni zainstalowano czułe mikrofony i stale nasłuchiwało, czy wszystko jest w porządku.

W Waszyngtonie tymczasem sześćdziesięciodziewięcioletni Allen Dulles studiował raport o przewrocie na Kubie, przygotowany dla prezydenta Eisenhowera przez zespół analityków Centralnej Agencji Wywiadowczej. Za oknem padał śnieg. Dulles pociągnął fajkę i zmarszczył brwi. Nie był zachwycony tym, co czytał. Castro odniósł przytłaczający sukces – stwierdzał raport – głównie dlatego, że naród miał dość korupcji i terroru reżimu Batisty. Dulles uznał jednak, że sprawa

jest znacznie bardziej złożona, konkluzja zaś autorów raportu zbyt uproszczona.

Wprowadził więc do tekstu poprawki. Jego bowiem zdaniem zwycięstwo Fidela Castro nie było prostą konsekwencją nadużyć, jakich dopuszczał się poprzedni reżim. Naród kubański niczego nie zyskał, „zamienił jedno zgniłe jajo na drugie” – napisał Dulles – zaznaczając jednocześnie, że jego zdaniem w Hawanie zacznie się rzeź, przy której rewolucja francuska jawić się będzie jak zabawa grzecznych dzieci. „Krew lać się będzie strumieniami” – ostrzegł szef CIA<sup>14</sup>.

## „Zginie dwieście tysięcy jankesów!”

8 stycznia 1959 roku, zaraz po przejęciu przez Fidela Castro ciepłego jeszcze po Batiście Pałacu Prezydenckiego w Hawanie, funkcjonariusz Ruchu 26 Lipca w Stanach Zjednoczonych skontaktował się z Departamentem Stanu i zażądał natychmiastowego odwołania ambasadora Smitha, ponieważ „manifestuje on otwarcie wrogość wobec dr. Fidela Castro – narodowego bohatera Kuby”.

Również członek Izby Reprezentantów, Adam Clayton Powell z Harlemu, wnosił o dymisję Smitha, a jednocześnie o pilne przekazanie Fidelowi Castro dwustu milionów dolarów z funduszy państwowych w formie pomocy dla nowego reżimu.

Także w samym Departamencie Stanu nie brakło wysokich urzędników, którzy domagali się głowy Smitha. Ambasadora wezwano więc do Waszyngtonu na „konsultacje”. Zaraz po przyjeździe dowiedział się on z ust zastępcy sekretarza stanu, „Roya” Rubottoma, że Stany Zjednoczone zamierzają wkrótce uznać rządy Castro, a jednocześnie o swojej dymisji.

Pozostało mu wszakże jeszcze jedno zadanie do wykonania. Smith wrócił więc do Hawany, udał się do Ministerstwa Spraw Zagranicznych z oficjalną notą dyplomatyczną, potwierdzającą uznanie reżimu Fidela Castro i wyrażającą nadzieję, że nowa władza będzie „honorować międzynarodowe umowy i zobowiązania spoczywające na Kubie”.

W samochodzie, w drodze z ministerstwa do ambasady, Earl Smith pomyślał sobie, że właśnie przyszło mu oddać Kubę w ręce komunistów<sup>1</sup>.

Wieczorem, w sobotę 10 stycznia, ojciec Jorgé Bez Chabebe, duszpasterz Ruchu Młodzieży Katolickiej w Santiago, „kolebce rewolucji”,

brał udział w uroczystym bankiecie, gdy w pewnej chwili podszedł do niego znajomy kapłan, ojciec Rafael Escala. Pochylił się i szepnął głosem pełnym troski:

– Proszę pójść ze mną, ojcze, jesteśmy potrzebni. Wyznaczono właśnie proces i egzekucję czterech oficerów Batisty.

Ojciec Jorgé spoważniał, przeprosił gospodarzy i zaczął szykować się do wyjścia. „Proces i egzekucja” – powtarzał w myślach, zastanawiając się, jak to się dzieje, że wyrok, najwyższy wymiar kary, znany jest jeszcze przed rozpoczęciem rozprawy.

Ale bardziej zaskoczyło go to, co zobaczył w sądzie. Gdy obaj księża dotarli na miejsce, rozprawa właśnie się zaczynała. Za stołem sędziowskim zasiadało pięciu bojówkarzy Castra, z których tylko jeden mógł mieć jakie takie pojęcie o przepisach prawa. Także prokurator i adwokat byli ludźmi Castra. Błyskawicznie odczytano akt oskarżenia, wysłuchano zeznań pięciu „świadków” powołanych przez prokuratora. Jeszcze krócej trwała „narada” składu sędziowskiego. Czterej oskarżeni uznani zostali za winnych zarzucanych im czynów, wyrok zaś brzmiał – kara śmierci. Ogłoszono też, że wyrok podlega natychmiastowemu wykonaniu.

Była druga dziesięć w nocy, gdy obaj księża wspięli się na ciężarówkę z czternastoma zatrzymanymi, wśród których była czwórka skazańców. Po drodze wysłuchali spowiedzi i udzielili ostatniego namaszczenia.

Więźniów zabierano na poligon Campo de Tiro w górach San Juan (gdzie Teddy Roosevelt, późniejszy prezydent Stanów Zjednoczonych, szarżował na czele swojego Pierwszego Ochotniczego Pułku Kawalerii, tzw. Bezwzględnych Jeźdźców, w czasie wojny hiszpańsko-amerykańskiej, po której Kuba zyskała niepodległość). Na miejscu skazańcom kazano wysiąść. Ręce mieli spętane na plecach, w oczach – strach. Ktoś zapłakał, ktoś jął zapewniać, że zawsze sprzyjał rewolucji, inni, pełni rezygnacji, stali w milczeniu.

Na miejscu, jak ojciec Jorgé z przerażeniem zobaczył, było już kilka ciężarówek z więźniami. W sumie miano stracić około sześćdziesięciu skazanych. Dwóch wcześniej przybyłych księży słuchało spowiedzi. W pewnej chwili jednemu ze skazanych udało się wyrwać z rąk oprawców. Zaczął uciekać w stronę pobliskiego lasu, ale szybko schwytano go i przywleczono z powrotem. Około połowie skazanych zawiązano oczy.

W świetle reflektorów samochodowych jeden z księży poprowadził pierwszą parę skazańców na miejsce kaźni, na skraj wykopanego w ziemi dołu, głębokiego na trzy metry, szerokiego też na trzy, ale o prawie piętnastometrowej długości. Wykopano go całkiem niedaw-

no, w czasie sądowej pokazówki, używając w tym celu spychacza. Ksiądz pobłogosławił skazanych znakiem krzyża i cofnął się. Pluton egzekucyjny złożony z sześciu bojówkarzy wypalił ze wszystkich luf. Rozdarte pociskami ciała osunęły się do zbiorowej mogiły.

Przyszła kolej na następną parę i jeszcze jedną, i jeszcze. Grób wypełniał się martwymi, pokrwawionymi ciałami. Jeszcze przez sześć godzin księża udzielali ostatniego namaszczenia, podczas gdy salwy rozdzierały nocną ciszę. Jednemu ze skazanych, Enrique Despaigne, którego castrowski prokurator oskarżył o pięćdziesiąt trzy zabójstwa, a którego proces trwał dziesięć minut, darowano dodatkowe trzy godziny życia. Wniosła o to ekipa telewizji kubańskiej. Chciała poczekać do świtu, żeby mieć lepsze światło.

Na wzgórzach otaczających miejsce egzekucji zebrał się tymczasem tłum gapiów, zwabionych odgłosami strzałów. Po każdej salwie rozlegały się krzyki: Zabić ich, zabić!

Dopiero o dziesiątej rano było po wszystkim. Z wysokości ciężarówki ojciec Jorgé raz jeszcze obrzucił wzrokiem miejsce kaźni. Spychacz stary i metodycznie zasypywał mogiłę jak wykop na budowie<sup>2</sup>.

Masowe egzekucje przeprowadzono z rozkazu Raúla Castro, młodszego brata Fidela, mianowanego właśnie wojskowym komendantem prowincji Oriente. W odróżnieniu od większości wodzów rewolucji Raúl miał słaby zarost, nie mógł więc zapuścić brody. Wyrównywał to sobie długimi do ramion włosami. Był weteranem lewicy. W czasach studenckich jeździł jako delegat na konferencje młodzieżówki komunistycznej za żelazną kurtynę. Pytany przez zagranicznych dziennikarzy o masowe egzekucje na poligonie Campo de Tiro, wrzucił tylko ramionami, dodając, że „zawsze na miejscu jest ksiądz, który, jak trzeba, wysłucha spowiedzi”<sup>3</sup>.

12 stycznia Fidel Castro zszedł do hallu hotelu Hilton. Jak zawsze i wszędzie, zaraz otoczył go tłum podnieconych ludzi. Każdy chciał zerknąć na wyzwoliciela, co śmielsi nawet dotknąć. Castro uwielbiał zachwyty tłumów. Otoczył ramieniem najbliższego wielbiciela, uśmiechnął się szeroko i zawołał: „Ludzie! Ludzie! – Dajcie ludziom popatrzeć na mnie, pozwólcie im porozmawiać”<sup>4</sup>.

Wokół *Líder Máximo* – Najwyższego Przywódcy – jak Castro zaczął o sobie mówić, zawsze kłębił się liczny orszak brodatych rewolucjonistów z rodzinami i przyjaciółmi oraz sporo zgrabnych dziewcząt w oliwkowych mundurach. Wszyscy chcieli być jak najbliżej, każdy pragnął „pogrzać się” w blasku wodza, przekrzykiwano się, rozmawiano, ale donośny głos Najwyższego Przywódcy unosił się ponad gwarem.

Robert Pérez, dziennikarz z Londynu, zdołał przedrzeć się przez ludzkie kłębowisko i stanął tuż obok Fidela. Rodem z Puerto Rico, ale wychowany w Ohio, Pérez władał hiszpańskim równie biegle jak angielskim. Nie usłyszał pytania, czy uwagi, która wprawiła Fidela w złość, ale zapamiętał wypowiedziane przezeń złowieszcze słowa: „Jedno wam powiem, niech tylko Ameryka wyśle na nas marines, to zginie dwieście tysięcy jankeskich *gringos!*”<sup>5</sup>

Nie tylko Pérez to usłyszał, także inni zachodni reporterzy. Nie mogło być pomyłki. Tak Castro powiedział – potwierdzał Pérez w rozmowie z Edwinem Tetlowem z „London Daily Telegraph”.

Tymczasem słowa wypowiedziane przez Fidela Castro błyskawicznie powtórzyły na czołówkach niemal wszystkie amerykańskie gazety. „Zginie dwieście tysięcy jankesów!” Ameryka wstrzymała oddech. Wszyscy byli zaskoczeni, zwłaszcza czołowi politycy administracji Dwighta Eisenhowera. Nikt bowiem nawet nie pomyślał, by wysłać wojska na Kubę.

Dwa tygodnie później, czternaście dni po zainstalowaniu się na dwudziestym trzecim piętrze hawańskiego Hiltona, Fidel Castro dokonał wielkiego odkrycia. Odkrył mianowicie niezwykłą siłę i moc telewizji. Z miejsca stał się jej największym wyznawcą. Zaczął pojawiać się przed kamerami i wygłaszać pięcio-, sześciogodzinne przemówienia, a właściwie mowy albo gawędy. Kuba ciągle jeszcze żyła w euforii, ciągle nie mogła złapać oddechu, równowagi, a produkcja, i tak niewielka, jeszcze bardziej spadała. Robotnicy albo się spóźniali, albo w ogóle nie przychodzili, do świtu bowiem słuchali maratońskich oracji Najwyższego Przywódcy.

Kubańska nawa dryfowała bez steru i kierunku, co zaczęło nieco niepokoić nawet najzacieklejszych zwolenników Fidela Castro. Jak choćby Teresę Casuso. Właśnie przybyła na Kubę po odsiedzeniu dwóch lat w meksykańskim więzieniu za ukrywanie broni i amunicji Fidela w czasie jego meksykańskiego epizodu. Od przyjazdu była stale u boku wodza. Zaczęła dostrzegać, że Castro się zmienił. Holdy i adoracje sprawiały, że stał się arogancki.

Była wręcz przerażona, widząc, że wódz poczyna zachowywać się jak „nieodpowiedzialny młokos”. Oto na przykład raz po raz sięgał do kieszeni koszuli, wyjmował książeczkę czekową i bez zastanowienia, bez planu i szerszej wizji, wypisywał sumę na jakiś cel, do którego przypadkowy rozmówca właśnie go przekonał. A takich nie brakowało. Castro spotykał się z setkami ludzi w czasie codziennych wy-



nych winni są spowodowania śmierci". W tej sytuacji wszystkich oskarżonych uniewinniono.

Castro dostał furii. Kazał natychmiast sprowadzić do siebie głównego obrońcę w procesie lotników, Aristedesa Dacostę. Tak też uczyniono. Dostarczono go do Hawany samolotem, a tam Najwyższy Przywódca udzielił mu stosownego pouczenia. Zaraz potem do Santiago wysłano ministra obrony, Augusto Martinezę, w celu „weryfikacji procesu”. Wyrok został zmieniony. Piloci otrzymali po dwadzieścia lat ciężkich robót. Pozostali oskarżeni odpowiednio niższe kary. Dwóch podsądnych uniewinniono.

Podczas gdy w Santiago trwała rozprawa przed „sądem”, plutony egzekucyjne nadal szalały. Rozstrzelano dalszych trzydzieści osób. Ogólna liczba ofiar pogromu Castra wynosiła już trzysta dziewięćdziesiąt dwa.

W tym też czasie, dwa miesiące po objęciu władzy, Najwyższy Przywódca znów stanął przed kamerami TV. Perorował przez trzy godziny i dwadzieścia minut o groźbie kontrrewolucji. Wrogowie kupują broń w Miami, a FBI nie zwraca na to najmniejszej uwagi – wykrzykiwał z najwyższym oburzeniem<sup>1</sup>.

Pod wpływem ostrej krytyki całego świata, Castro wymyślił nowy manewr taktyczny obliczony na wykazanie, że Kubańczycy stoją za nim murem, mimo masowych egzekucji i mimo takiego a nie innego stanowiska wobec Stanów Zjednoczonych. Wezwał rodaków, by zgromadzili się na placu przed Pałacem Prezydenckim.

Uczyniono wszystko, aby apel przywódcy nie pozostał bez echa, a wiec okazał się sukcesem. Z całej Kuby zwożono autobusami zachwyconych wieśniaków, których noga nigdy jeszcze nie stanęła w stolicy. No i udało się. Wyznaczonego dnia pół miliona Kubańczyków stawilo się „ochotniczo” na plac przed pałacem.

Najwyższy Przywódca w towarzystwie brodatych weteranów z czasów Sierra Maestra przez ponad dwie godziny perorował przed mikrofonem. Był w znakomitej formie, a tłum reagował jak należy, gdy w gigantofonach zabrzmiało: „my – Kubańczycy – nie musimy przepraszać Stanów Zjednoczonych za egzekucje (na wrogach ludu)”. Aplauzom i okrzykom nie było końca.

A gdy gorączka sięgnęła szczytu, pół miliona gardeł jęło skandować: *par-e-dón, par-e-dón!*, co wprowadziło zamieszanie wśród amerykańskich dziennikarzy obecnych na wiecu. Angielskie „pardon” bowiem oznacza „ułaskawienie”. Czyżby tłum był łaskawszy niż Najwyższy Przywódca? Sprawa wyjaśniła się, gdy któryś z dziennikarzy

zapytał spoconego Kubańczyka o nalanej twarzy, co właściwie znaczy *paredon*?

– Jak to co? – odparł spytany. – *Par-e-dón*, to znaczy „pod ścianę drani”<sup>2</sup>.

W Waszyngtonie tymczasem trwał spór między Herterem a Dullesem, co do istoty i celów politycznej filozofii Fidela Castro, Księcia Partyzantki – wedle niektórych gazet – kubańskiego Jerzego Waszyngtona i Robin Hooda Karaibów, jak pisały inne. Sekretarz stanu Herter zdawał się pomniejszać znaczenie wpływów komunistów na nowe władze na Kubie i jakby nie dostrzegał komunistycznych skłonności *Lídera Máximo*.

Z drugiej strony, Allen Dulles, doświadczony szef CIA, uprzedzał prezydenta Eisenhowera, że „reżim Castra zmierza w kierunku dyktatury komunistycznej. Komunistom nie stawia się żadnych przeszkód, działają otwarcie w wojsku, związkach zawodowych i innych organizacjach”<sup>3</sup>.

William C. Sullivan, koordynator COINTELPRO (Programu Kontrwywiadowczego w FBI), jeden z najbliższych współpracowników dyrektora J. Edgara Hoovera, przedłożył swemu szefowi szczegółowy raport na temat Kuby. Podkreślał w nim, że Castro i jego poplecznicy ani nie są komunistami, ani też nie ulegają wpływom komunistycznym<sup>4</sup>.

Hoover mianował Sullivana szefem COINTELPRO jeszcze w roku 1956. Program Kontrwywiadowczy, czyli zespół aktywnych działań operacyjnych, miał na celu neutralizację i likwidację amerykańskiej Partii Komunistycznej. Istota Programu – wedle słów Sullivana – polegała na tym, że wobec krajowych ugrupowań wywrotowych zastosowano techniki i metody kontrwywiadowcze sprawdzone w czasie II wojny światowej. „Bez żadnych ograniczeń. Wszystkie chwytły były dozwolone. Sięgaliśmy po te same metody zwalczania przeciwników, co oni” – ujawniał Sullivan<sup>5</sup>.

Według innego wysokiego funkcjonariusza FBI, działania w ramach COINTELPRO sprowadzały się do tego, aby „dać [komunistom] popalić, siejąc zamieszanie w szeregach KP USA – Komunistycznej Partii Stanów Zjednoczonych”.

Prowadzono więc wiele działań operacyjnych. Wysyłano na przykład tajnych współpracowników na zebrania i wiece komunistów z zadaniem podnoszenia kontrowersyjnych problemów i zadawania kłopotliwych pytań, choćby takich: „Dlaczego radzieckie wojska wkroczyły na Węgry [w 1956 roku] i jak to się stało, że pod sowiec-

kimi czołgami ginęli niewinni ludzie?”, „Jak to się dzieje, że w Związku Radzieckim jest tyle antysemityzmu?”

Tajni agenci FBI penetrowali struktury komunistów, zyskiwali wpływy, stawali się prominentnymi działaczami i to do tego stopnia, że w pewnej chwili Hoover z Sullivanem całkiem poważnie rozważali, czy ich ludzie nie powinni udzielić decydującego poparcia którejś z partyjnych frakcji, aby jeszcze skuteczniej kontrolować organizację. Od tego jednak odstąpiono. Hoover obawiał się porażki. Nie wykluczał bowiem, że jego ludzie mogą postawić na słabszego konia i w efekcie razem z popieraną przez siebie frakcją zostaną usunięci z partii<sup>6</sup>.

Jedną z najbardziej skutecznych metod zwalczania komunistów polegała na podrzucaniu kompromitujących materiałów – „falszywek”. Zastosowano to z powodzeniem przeciwko jednemu z wysokich działaczy partyjnych w Nowym Jorku, Williamowi Albertsonowi. Właśnie do jego samochodu podrzuciono „falszywkę”, rzekomy donos do FBI, a następnie postarano się za pomocą anonimowych telefonów, aby inny z działaczy komunistycznych „odkrył” kompromitujący dokument. Rezultat był taki, że Albertsona usunięto z hukiem z partii. „Daily Worker”, nowojorska gazeta komunistyczna, nazwała go „donosicielem”. W rzeczy samej życie Albertsona znalazło się w niebezpieczeństwie.

Organizowano także odpowiednie, obliczone na wywołanie zamętu w szeregach komunistów, publikacje prasowe przy pomocy „zaprzyżnionych” dziennikarzy. Kiedy przywódca KP USA, Gus Hall, kupił sobie nowy samochód, postarano się, by w prasie ukazało się kilka demaskujących artykułów, sugerujących, że Hall zdefraudował fundusze partyjne. Podobne techniki stosowano też wobec innych prominentnych członków partii, oskarżając ich na łamach prasy o nadużycia, fałszerstwa i najprzeróżniejsze przestępstwa.

Za pomocą anonimowych telefonów i listów rozsiewano szkodliwe plotki i pomówienia, że ten czy ów z przywódców partii to homoseksualista, czy wręcz zboczeniec. Obrona przed takimi pomówieniami jest trudna, a przynajmniej czasochłonna, co oczywiście odbijało się negatywnie na pozycji ofiary w ramach partii.

Dyrektor Hoover z ogromnym zadowoleniem śledził rezultaty działań w ramach COINTELPRO. Stale też domagał się nowych, świeższych pomysłów na zwalczanie KP USA<sup>7</sup>.

Bill Sullivan wyrósł na największego specjalistę w FBI od walki z komunistami. Zyskał opinię najwybitniejszego znawcy problemów komunizmu. Gdy więc na początku 1959 roku stwierdził autorytatywnie, że reżim Fidela Castro nie ma charakteru komunistycznego,

to opinia ta miała swoje znaczenie i spotkała się z określonym oddźwiękiem w kręgach administracji Eisenhowera, zwłaszcza zaś w Departamencie Stanu, w którym wyrażano podobny pogląd<sup>8</sup>.

W tym samym mniej więcej czasie, kiedy Bill Sullivan wręczał swój raport J. Edgarowi Hooverowi, część, niewielka zresztą, prasy amerykańskiej zaczęła zmieniać ton i wyłamywać się z jednolitego frontu zachwyty wobec Najwyższego Przywódcy Kuby. I tak na przykład Constantine Brown z „Washington Evening Star” skrytykowała „tych w Departamencie Stanu, którzy spoglądają na Kubę przez różowe okulary”, podkreślając, że Herter i jego współpracownicy z kierownictwa Departamentu, zlekceważyli pierwszorzędne doniesienia wywiadu, wskazujące na powiązania braci Castro z komunistami:

Fidel znany jest jako zdecydowany sympatyk komunizmu. W 1948 roku współorganizował przecież w Bogocie demonstrację przeciwko (sekretnemu) George'owi C. Marshallowi... A tymczasem Departament Stanu twierdzi, że Castro jest czysty jak łąka i biały jak lilia<sup>9</sup>.

Tygodnik „U.S. News & World Report” opublikował fragmenty poufnego raportu jednej z zagranicznych agend wywiadowczych na temat Raúla Castro. W dokumencie charakteryzowano go jako „oddanego komunistę i najbardziej niebezpiecznego z całego kierownictwa kubańskiego”. Podkreślano między innymi, że Raúl właśnie ożenił się z niejaką Vilma Espín, komunistką i zdeklarowaną przeciwniczką Stanów Zjednoczonych. „Raúl też jest głęboko i brutalnie antyamerykański”<sup>10</sup>.

Trzeźwiące sygnały ginęły jednak w powszechnym chórze zachwyty wobec Fidela Castro. On tymczasem, licząc, że ów chór nadal będzie piał na jego cześć, postanowił zdyskontować sprzyjającą, propagandową koniunkturę i to wcale nie na Kubie, ale w Waszyngtonie i Nowym Jorku.

## Amerykańskie safari

Fidel Castro, jak to miał w zwyczaju, gdy zastanawiał się nad jakąś sprawą, gładził się po brodzie. Z zainteresowaniem słuchał, co przybysz z Ameryki ma do powiedzenia. A gościł właśnie Bernarda Rellinga, dyrektora nowojorskiej firmy, specjalizującej się w usługach z zakresu public relations. Ten zaś przybył specjalnie do Hawany, by swemu kubańskiemu klientowi przedstawić plan reklamowego zdyskontowania zbliżającej się podróży Castra do Ameryki. Chodziło o to, aby stworzyć jak najkorzystniejszy wizerunek Najwyższego Przywódcy.

Relling przedstawił dwa radykalne pomysły. Po pierwsze, rewolucjoniści – współpracownicy Castra, którzy będą mu towarzyszyć w podróży, powinni zgolić brody i przyzwolicie się ostrzyć, a po drugie, do osobistej ochrony Najwyższego Przywódcy należy dobrać osoby z wykształceniem, najlepiej wyższym i znające język angielski. Castro wysłuchał, w miarę cierpliwie, po czym skwitował oba pomysły krótkim, „nie!”.

Idea podróży do Ameryki zrodziła się trzy miesiące wcześniej u... Sardiego, w popularnej wśród artystów i w ogóle ludzi z branży rozrywkowej restauracji w Nowym Jorku. Był styczeń 1959 roku. Mniej więcej w tydzień po triumfalnym wjeździe Castra do Hawany, przy stoliku u Sardiego zebrała się trójka dziennikarzy, aby przy przedobiednich drinkach zastanowić się, kogo z głośnych w świecie osób zaprosić jako honorowego gościa na doroczną konwencję ASNE (American Society of Newspapers Editors – Amerykańskiego Stowarzyszenia Dziennikarzy). Trzy mądre głowy pochylone nad drinkami u Sardiego należały do: George'a Healy'ego z „New Orleans Times-Picayune”, urzędującego przewodniczącego stowarzyszenia, Alicii Patter-

son, publicystki nowojorskiego dziennika „Newsday” oraz Dona Maxwella z „Chicago Tribune”. I właśnie między jednym drinkiem a drugim, któreś z nich rzuciło:

– A czemu nie Castro?

Wybór był logiczny, więc cała trójka przyjęła pomysł z entuzjazmem. Ameryka była ciekawa młodego rewolucjonisty. Jego obecność sprawi, że zjazd stanie się wydarzeniem, które skupi na sobie powszechną uwagę. Należało jeszcze tylko skonsultować pomysł z Turnerem Catledge'em, naczelnym „The New York Timesa”. Ten rzecz załatwił krótko:

– Świetny pomysł! – ocenił.

Jeszcze tego samego dnia Don Maxwell zadzwonił do korespondenta „Chicago Tribune” w Hawanie, Julesa Duboisa, z poleceniem przedłożenia sprawy Fidelowi. Przed zachodem słońca Dubois dał odpowiedź, że Najwyższy Przywódca przyjmuje zaproszenie.

17 kwietnia, ubrany jak zawsze w wojskowe drelichy Fidel Castro z orszakiem brodatych i zarośniętych towarzyszy rewolucjonistów wystartował z lotniska w Hawanie na pokładzie turbośmigłowca *Britannia*. Wśród osób towarzyszących była między innymi Teresa Casuso. Siedziała w milczeniu obok Fidela, przeglądając komiksy<sup>1</sup>.

Po dwóch godzinach samolot wylądował na lotnisku National w Waszyngtonie. Wyłączono silniki i Najwyższy Przywódca zstąpił ze swego podniebnego rydwanu między wielotysięczny tłum Amerykanów, przybyłych na powitanie.

– Cześć Fidel! – wołano, walcząc o to, aby móc choćby zerknąć z bliska na bohatera, choćby dotknąć rąbka jego ubrania.

W Waszyngtonie Fidel roztoczył wszystkie wdzięki. Był nad wyraz czarujący. Mówił tylko to, co słuchacze chcieli usłyszeć. W wystąpieniu na forum Komisji Spraw Zagranicznych Senatu Stanów Zjednoczonych zapewnił, że nie ma najmniejszego zamiaru konfiskowania własności amerykańskich na Kubie. Na wyraźne pytanie senatora Johna Sparkmana z Alabamy: „Jakie są pańskie związki z komunizmem?” Odparł krótko i zdecydowanie: „Żadne”<sup>2</sup>.

Poglądy, otwartość i pozorna szczerłość Castra wywarły wielkie wrażenie na większości członków Kongresu. „Uważam, że powinniśmy udzielić mu wszelkiej pomocy, na jaką nas stać” – oświadczył kongresman James G. Fulton z Pensylwanii<sup>3</sup>.

Christian Herter, pełniący obowiązki sekretarza stanu, wydał wielkie śniadanie na cześć Najwyższego Przywódcy w najlepszym lokalu w mieście – w salach bankietowych hotelu Statler-Hilton. Przy-

był „cały Waszyngton” i co najmniej dwadzieścia siedem znakomitości ogólnokrajowych. Wydawałoby się, że zblazowanym weteranom waszyngtońskich frontów towarzysko-politycznych niczym już nie da się zaimponować, a jednak Castro zdołał ich zadziwić i zachwycić, kiedy pojawił się w towarzystwie ośmiu zarośniętych, uzbrojonych po zęby ochroniarzy-rewolucjonistów i zażądał, aby zrobić im miejsce przy stole wśród gości.

Gospodarz, szef Departamentu Stanu, znalazł się w kropce. Nie bardzo wiedział, jak zareagować na nietypowe żądanie. W końcu znaleziono kompromisowe wyjście: ochroniarze zostawili broń w sąsiedniej sali i rozsiadli się na podłodze między stołami biesiadnymi.

Tego samego dnia tygodnik „Time” doniósł, że liczba ofiar egzekucji na Kubie wzrosła do pięciuset dwudziestu jeden.

Ale euforia trwała, zwłaszcza gdy Fidel Castro wystąpił w prestiżowym programie publicystycznym sieci telewizyjnej NBC – „Meet the Press” i zadeklarował się jako zdecydowany przeciwnik komunizmu, podkreślając, że gdyby doszło do konfliktu między Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Radzieckim, to on, Castro, stanie po stronie Ameryki. W czasie spontanicznego spotkania-wieczu w jednym z waszyngtońskich parków powiedział studentom, że jego ideałem jest „kubanizm”, a nie komunizm.

Wszystkie te wypowiedzi doprowadzały do furii Raúla Castro, który tymczasem doglądał spraw w Hawanie. Dzwonił co wieczór do starszego brata, karcąc go i napominając.

Fidel – grzmiał przez telefon – wygląda na to, że idziesz na lep jankesów! Tak przynajmniej ludzie tutaj mówią!<sup>4</sup>

W powszechnej euforii, przy ciągłych trzaskach migawek, szumie kamer telewizyjnych i błyskach fleszy niewiele osób zauważyło, że prezydent Stanów Zjednoczonych był nieobecny. „Zirytowała mnie wiadomość o zaproszeniu [Castra]” – przyznał później Eisenhower<sup>5</sup>.

Prezydent przed przyjazdem Castra opuścił Waszyngton, udając się na „robocze wakacje” do Georgii, zatrzymując się w letniej rezydencji, w pobliżu ulubionego pola golfowego w Augusta. W golfa prezydent grywał namiętnie, choć graczem był raczej przeciętnym. Formuła „roboczych wakacji” pozwalała uniknąć bezpośredniego spotkania z brodatym rewolucjonistą, który stale poddawał krytycznym atakom i Stany Zjednoczone, i prezydenta. W tej sytuacji rola gospodarza, który miał podjąć Fidela Castro w imieniu Białego Domu, przypadła czterdziestosześcioletniemu wiceprezydentowi, Richardowi Nixonowi.

Na miejsce spotkania wyznaczono rzadko używany gabinet wiceprezydencki na Kapitolu\*. Wybrano też niedzielę, kiedy to na Kapitolu nie ma praktycznie żywego ducha. Zastosowano wyjątkowo skromną oprawę protokolaną – spotkanie w cztery oczy, bez doradców, prasy i fotoreporterów. Nixon dołożył starań, aby dać do zrozumienia, iż Castra przyjmuje inaczej, aniżeli przedstawiciele zaprzyjaźnionych krajów.

W niedzielę 19 kwietnia w Waszyngtonie lało jak z cebra, ale Castro przybył na spotkanie na Kapitolu w pogodnym wręcz nastroju. Właśnie zakończył występ w telewizji, w „Meet the Press” i miał powody do zadowolenia. Program zyskał wysokie oceny, stał się „hitem”, jak powiadają specjaliści od reklamy z nowojorskiej Madison Avenue. Nie minęło kilka minut, gdy Nixon wyrobił sobie zdanie o rozmówcy. Kubański przywódca był bez wątpienia człowiekiem inteligentnym, przebiegłym i nader elokwentnym.

Znakomicie dawał sobie radę z pytaniami Nixona, a ten niczego nie owijał w bawełnę.

– Dlaczego nie rozpisano wolnych wyborów?

Castro, jak zwykle, najpierw pogłodził się po brodzie, a za chwilę odpalił – naród kubański nie życzy sobie wyborów, bo w ich wyniku powstają złe rządy.

– Dlaczego wrogom rewolucji nie daje się możliwości obrony przed sądem?

Bo lud tego nie chce. Naród domaga się, aby wszystkich z miejsca rozstrzelać.

– Czy pan nie obawia się, że komuniści z pańskiego otoczenia przejmą władzę?

Nie, nie obawiam się i nie boję się komunistów, dam sobie z nimi radę.

Spotkanie przeciągnęło się do prawie czterech godzin. W szczególowej notatce dla prezydenta, Nixon napisał tak:

Castro jest albo nieprawdopodobnie naiwny, jeśli chodzi o komunistów, albo przeciwnie, jest wyjątkowo przebiegłym komunistą<sup>6</sup>.

Tyłu chętnych, ilu zabiegało o zaproszenia na wystąpienie Castra na konwencji Amerykańskiego Stowarzyszenia Dziennikarzy w hotelu Hilton, nie notowano od co najmniej dziesięciu lat. Po raz ostatni takie tłumy szturmowały dziennikarskie forum, gdy gościem honorowym był generał Douglas MacArthur, który właśnie na konwencji

\* Z mocy prawa wiceprezydent pełni funkcję przewodniczącego Senatu Federalnego, a przez to dysponuje oficjalnym biurem w senackiej części budynku Kongresu USA [przyp. tłum.].

ASNE wygłosił swoje pożegnalne przemówienie. W największej sali hotelowej tysiąc poważnych redaktorów z całej Ameryki pilnie słuchało, co im powie brodaty Kubańczyk w wojskowym mundurze. A la! miód w ich spragnione serca, przedstawiając się jako niezłomny bojownik o wolność prasy.

- Wolna prasa jest pierwszym wrogiem dyktatury - oświadczył dobitnie.

I nadal, w tym samym tonie, przez długie minuty kładł w dziennikarskie uszy dokładnie to, co redaktorzy chcieli słyszeć. Nic dziwnego, że żegnano go burzliwą owacją na stojąco.

Po występach w Waszyngtonie wędrowną trupą magików Fidela Castro ruszyła pociągiem do Nowego Jorku. Po drodze zatrzymała się w Princeton, na spotkanie ze studentami szacownego uniwersytetu, które Najwyższemu Przywódcy wyjednał u rektora Princeton, Roberta Goheena, liberał z przekonania, uczony z powołania i bogacz z pochodzenia - profesor Roland T. Ely.

Wysiadającego z salonki króla masowej wyobraźni, powitało morze chorągiewek w kubańskich barwach narodowych i szalona owacja studentów. Później zaś, w największej auli im. Woodrowa Wilsona, zaczęło się widowisko. Sala była nabita, gdy w drzwiach stanął Castro i dziesięciu brodatych ludzi z jego świty. Wśród szaleńczych wiwatów i owacji przeszli, jak na paradzie, środkiem auli między rzędami, ku podium.

Gdy wreszcie umilkły brawa, Castro zabrał głos. Mówił bite dwie godziny, głównie o konieczności nawiązania współpracy między Stanami Zjednoczonymi a „nową Kubą”. Gdy skończył, zachwyceni studenci ponieśli go na ramionach, ku zaskoczeniu brodatej ochrony. Chłop był wielki i ważył niemało, ponad sto kilogramów.

Nowy Jork też oszalał. Całą drogę z dworca Grand Central karawana samochodów jechała wśród gęstego szpaleru ludzi, którzy deptali sobie po nogach, pracowali łokciami i tratowali wzajemnie, aby tylko móc na własne oczy obejrzeć Najwyższego Przywódcę.

W hotelu Astor Castro dał powtórkę waszyngtońskiego nabożeństwa na cześć wolnej prasy. Przemawiał na lunchu zorganizowanym przez Klub Prasy Zagranicznej. Urodzony aktor wzniósł się na szczyty talentu, głosząc umiłowanie wolności i głębokiej przyjaźni dla wspaniałego, cudownego, niepowtarzalnego narodu Ameryki. I znów dostał „burzliwe oklaski przechodzące w owację”.

Dzień po wyjeździe Fidela Castro z czarownej krainy hołdów i zachwyków, w niewiele godzin po jego powrocie na utrudzoną Kubę, Christian Herter zameldował się ze sprawozdaniem u prezydenta Eisenhowera.

- Castro - oceniał Herter - to niesłychanie interesująca osobowość. W pewnych sprawach wszakże jest jak dziecko, zwłaszcza jeśli chodzi o praktyczne problemy związane ze sprawowaniem władzy. Brak mu dojrzałości i doświadczenia.

- Gdy mówi po angielsku - zauważał Herter - Castro jest ostrożny, wyważony, elegancki, gdy zaś przechodzi na hiszpański, podnieca się, robi się gwałtowny, niemal szalony<sup>7</sup>.

Eisenhower szanował swego sekretarza stanu i liczył się z opinią tego schorowanego, cierpiał bowiem na artretyzm, sześćdziesięcioletniego byłego gubernatora Massachusetts, którego w Waszyngtonie już dawno obdarzono etykietką „liberał Ikea”, a to za sprawą ścisłych związków z Uniwersytetem Harvarda, uchodzącym w oczach wielu za siedlisko liberalnego zła.

Wiedząc o tym, prezydent poprosił również o ocenę „z drugiej strony”. W kilka godzin po konferencji z Herterem przyjął w Gabinetecie Owalnym szefa CIA, Allena Dullesa. Castro podkreślał, że miejsce Kuby na frontach zimnej wojny przeciwko Związkowi Radzieckiemu jest oczywiście po stronie Zachodu - potwierdził Dulles - dodając wskaże, że deklaracja Fidela w tej kwestii „była raczej nieprzekonująca”<sup>8</sup>.

Zdaniem Dullesa „reforma rolna zapowiadana przez Castra, może negatywnie odbić się na niektórych interesach Stanów Zjednoczonych”<sup>9</sup>, co w przełożeniu na prosty język oznaczało, że trzeba się liczyć z konfiskatą własności amerykańskiej na Kubie.

„Castro nie odróżnia wiecu od demokracji, wyjaśniał Dulles, myli wiecowe zachwyty z demokratyczną zasadą, że decyzja należy do większości. Błędem wszakże byłoby niedocenywanie Castra. Jest to bowiem silna osobowość, urodzony przywódca, człowiek odważny, przekonany do swoich racji”<sup>10</sup>.

Niezależnie od tych, dających wiele do myślenia, ocen CIA stwierdziła w konkluzji, że „choć sam Castro ciągle jeszcze pozostaje nieodgadniony, to jednak istnieje realna możliwość nawiązania konstruktywnych stosunków z nim i jego rządem”<sup>11</sup>.

Jako naczelny dowódca sił sojuszniczych w Europie podczas II wojny światowej, jako naczelny dowódca wojsk NATO, wreszcie jako prezydent, Eisenhower spotykał wielu polityków rozmaitego kalibru i pochodzenia. Fidela Castro jednak nie potrafił rozszyfrować. Po wyjściu Dullesa napisał na marginesie raportu CIA: „Ad acta, wróćmy do sprawy za rok!”<sup>12</sup>

Tymczasem na Kubie pospiesznie sklecony aparat władzy rewolucyjnej nie dawał sobie rady z kaprysmi Fidela Castro, premiera

z własnego nadania, w istocie funkcjonującego jako jednoosobowy gabinet ponad i poza wszelką kontrolą. Na tym właśnie tle zaczęły się spory, a później starcia z Manuelem Urrutią, byłym sędzią z Santiago, którego Castro pod wpływem chwili uczynił prezydentem. Urrutia energicznie protestował przeciwko rosnącemu wpływowi komunistów we władzach Kuby.

Takie było tło przemówienia telewizyjnego, jakie Castro wygłosił wieczorem, 16 lipca 1959 roku. Przypuścił gwałtowny atak na prezydenta. Zarzucił mu sabotowanie wysiłków rządu, podkreślił, że Urrutia odmawia podpisu przygotowanych przez rząd (czyli przez Fidela) ustaw, że pozuje na antykomunistę i że w istocie zdradził Kubę. I znów operacja była starannie wyreżyserowana. Gdy tylko Castro pojawił się na ekranach, przed Pałacem Prezydenckim zebrał się tłum demonstrantów, wznoszący okrzyki: „Precz ze zdrajcą!” Nim jeszcze Najwyższy Przywódca zakończył wystąpienie przed kamerami, paromiesięczny prezydent zdążył złożyć rezygnację.

Nowym, marionetkowym szefem państwa, którego faktyczna funkcja sprowadzała się do pieczętowania woli i zachcianek Najwyższego Przywódcy, został – też z jego osobistego nadania – czterdziestoletni Osvaldo Dorticós, były prezes Stowarzyszenia Prawników, a ostatnio minister Rewolucyjnego Prawa – szef resortu wymiaru sprawiedliwości. Ci, którzy go znali, uważali go za komunistę. Jedno natomiast jest pewne, był ciałem i duszą oddany młodszemu z braci Castro<sup>13</sup>.

Rankiem 29 lipca major Pedro Díaz Lanz, ongiś jeden z członków starej gwardii, a obecnie szef Rewolucyjnych Sił Powietrznych, leżał jeszcze w łóżku, bo nie do końca wykurował się z nękającej go od paru dni choroby, gdy zjawił się zaprzyjaźniony człowiek z wiadomością, że Fidel zamierza go zdymisjonować. Faktem jest, że wielu dawnych towarzyszy rewolucji skarżyło się na zbyt daleko idące komunistyczne wpływy w wojsku, ale tylko on, Díaz Lanz, zdecydowanie i oficjalnie wystąpił w tej sprawie. Wydał mianowicie rozkaz likwidacji komunistycznego szkolenia ideologicznego, któremu poddawani byli słuchacze szkół wojskowych, podległych dowódcy wojsk lotniczych.

Na wieść, co się dzieje, major wygrzebał się z pościeli i udał się do źródła, czyli do swego starego druha, Fidela. Ten na jego widok obrócił się tylko na pięcie i wyszedł z pokoju. Major zdał sobie sprawę, że jego los jest przesądzony, ale nie dał za wygraną. Przeciwnie, z herezji uczynił cnotę. Wydał oświadczenie dla prasy, w którym energicznie demontował pogłoski, jakoby został uwięziony. Stwierdzał, że owszem, był cho-

ry, ale właśnie wyzdrowiał, wraca do służby i przystępuje do wykonywania obowiązków dowódcy Rewolucyjnych Sił Powietrznych.

„Pragnę z całą mocą oświadczyć, że nas, rewolucjonistów, zamknięto w więzieniach tylko za dyktatury Batisty. Pod rządami rewolucyjnej demokracji coś takiego jest absolutnie wykluczone” – napisał. A jakby tego było mało, dodał, że „jest przeciwko wszelkim formom dyktatury, w tym także przeciwko najbardziej nieludzkiej dyktaturze komunistycznej”, czym oczywiście pogroził się do reszty.

Fidel o mało nie dostał apopleksji, zaraz też posłał po Díazę Lanza.

– Jak śmiałeś napisać coś podobnego? – wybuchnął.

– Nie rozumiem, napisałem tylko, że nie siedzę i jestem przeciwko komunizmowi – bronił się major. – Co w tym złego?

– Później pomyślę, co z tobą zrobić – uciął Castro, polecając nieszczęsnemu dowódcy pozostanie w domu do czasu ostatecznych rozstrzygnięć.

Ten wszakże postanowił nie czekać. Doskonale wiedział, jaki los czeka tych, którzy ośmielają się „podnieść rękę na rewolucję”. Postarał się o niewielką łódkę i z żoną oraz bratem zbiegł na Florydę. Był pierwszym wysoko postawionym funkcjonariuszem nowego reżimu, który to uczynił<sup>14</sup>.

W połowie września na rozmowy w sprawie zakazu prób z bronią nuklearną zjechał do Waszyngtonu radziecki dyktator, Nikita Chruszczow. Urodzony w 1894 roku Ukrainiec był w czasie wojny politrukiem w randze generała i komisarzem politycznym w Armii Czerwonej. Gdy Stalin umierał w roku 1953, niewiele osób słyszało o Chruszczowie. Ten jowialny z pozoru tłuścioszek, wzorem swego poprzednika, opanował najpierw aparat partyjny, by później, w marcu 1958 roku, sięgnąć po pełnię władzy w Moskwie.

I oto przybył do Stanów Zjednoczonych. Dwudniowe rozmowy z Dwightem Eisenhowerem wyznaczono w Camp David, wiejskiej rezydencji prezydentów Stanów Zjednoczonych, w pobliskich górach Catoctin w stanie Maryland. Roosevelt, który jako pierwszy korzystał z tego miejsca, nazwał je „Shangri La”<sup>\*</sup>, Eisenhower zmienił nazwę na Camp David – na cześć wnuka.

W czasie debaty z amerykańskim prezydentem sowiecki dyktator stale podkreślał militarną potęgę swego kraju. Przechwalał się, że Związek Radziecki sprawia sobie nie tylko potężniejsze od amerykańskich nuklearne okręty podwodne, ale wkrótce będzie miał tyle pocisków raketowych, ile potrzeba, czyli – jak dodał – „dużo”<sup>15</sup>.

\* Szczęśliwa kraina w powieści Jamesa Hiltona *Lost Horizon*, obecnie synonim idyllicznego spokoju [przyp. tłum.].

## „Stany Zjednoczone powinny działać na własną rękę”

Rok 1959, upalne październikowe popołudnie. Kilkuset uczestników konwencji American Society of Travel Agents (Amerykańskiego Stowarzyszenia Biur Podróży) sęczyło drinki w hawańskim Hiltonie. Skusił ich Fidel Castro, mistrz reklamy i sztuki public relations. Od pewnego już czasu starał się uzupełnić szczupłe zasoby dewiz, ściągając na wyspę amerykańskich turystów z kieszeniami pełnymi „zielonych”. Na początek postarał się, by doroczny zjazd przedstawicieli branży odbył się w Hawanie.

W pewnej chwili ponad gwarem rozmów, rozległ się gwałtowny huk baterii przeciwlotniczych. Goście wybiegli na zewnątrz zaniepokojeni. Nad portem krążył stary, ale jak było widać, całkiem jeszcze sprawny bombowiec z czasów II wojny światowej, bez żadnych znaków na skrzydłach i kadłubie. Zręcznie uniknął zapory ogniowej i skierował się nad centrum miasta. W tym też momencie otworzyły się luki bombowe i z brzucha samolotu posypały się... tysiące ulotek piętnujących Castra jako komunistę. Zaraz potem maszyna zawróciła i wzięła kurs na Florydę.

Fidel znów dostał furii, bo sprawa była kłopotliwa, zwłaszcza że w mieście goszczono wiele osób z zagranicy. Pospieszył do telewizji, zasiadł przed kamerami i przez bite dwie godziny demaskował „zdrajcę”, który siedział za sterami maszyny. Trafnie zresztą odgadł, że pilotem był nie kto inny, jak major Pedro Díaz Lanz, były szef jego własnego lotnictwa i pierwszy z wodzów Ruchu 26 Lipca, który zbiegł na Florydę.

Najwyższy Przywódca nie szczędził też słów potępienia wobec prezydenta Eisenhowera i w ogóle władz amerykańskich, a zwłaszcza CIA,

która udostępniła Díazowi Lanzowi samolot. I w tym przypadku Castro miał rację, choć operacja niekoniecznie odbyła się za wiedzą i zgodą Białego Domu.

Zaraz potem zakasali rękawy fidelowscy propagandyści. Poranne wydanie „Revolución” ukazało się z wielkim tytułem *Hawański Pearl Harbor* na pierwszej stronie. Licząc na przychylnie komentarze w prasie światowej, „Revolución” i inne dzienniki kubańskie oburzały się na „zdradziecki nalot, w którym śmierć poniosły niewinne dzieci i ludność cywilna”. Kto tylko chciał, mógł obejrzeć dramatyczne zdjęcia stosów ofiar „tchórzliwego nalotu”. Zrobiono je najpewniej gdzie indziej i kiedy indziej, bo trudno zakładać, aby sypiące się z nieba kartki papieru komukolwiek zrobiły krzywdę.

Kilka dni później major Camilo Cienfuegos, który swego czasu mieszkał w Nowym Jorku, a później towarzyszył Fidelowi na jachcie *Granma*, wystartował awionetką z lotniska w prowincji Camagüey, w środkowej części wyspy, biorąc kurs na Hawanę. Cienfuegos piastował urząd szefa sztabu wojsk lądowych pod dowództwem Raúla Castro. Lot do Hawany był rutynowy. Cienfuegos nie prowadził sam. Miał pilota, a na pokładzie był jeszcze osobisty ochroniarz szefa sztabu.

Cienfuegos był jednym z „Apostołów”. Przeżył pierwsze starcie z siłami Batisty, gdy osiemdziesięciu jeden rewolucjonistów wylądowało w prowincji Oriente, w grudniu 1956 roku. W 1958 roku stał na czele jednego z dwóch oddziałów, które pod wodzą Raúla „wyzwoliły” z rąk Batisty pierwsze większe miasto, Santa Clara.

Uchodził za niezwykle charyzmatycznego przywódcę, był ogromnie popularny, ustępował pod tym względem tylko samemu Najwyższemu Przywódcy.

Podobnie jak Fidel miał wycucie sceny. Broda skrywała niemal całe jego oblicze, ale w tej gęstwinie połyskiwały czarne oczy i widać było stale roześmiane usta. Nad zarośniętą twarzą wznosiła się strzecha czarnych włosów i teksaski kapelusz z szerokim rondem. Kowbojskie nakrycie głowy stało się swoistym znakiem firmowym „Apostoła”. Thumy uwielbiały go za dowcip, wdzięk i poczucie humoru. Wszędzie, gdzie się pojawił, witano go owacyjnie.

Oczywiście popularność i uwielbienie tłumów musiały zwrócić uwagę braci Castro i co ambitniejszych dworaków z ich świty. Takie sprawy zawsze kłują w oczy. Zwłaszcza pozbawiony poczucia humoru i bezbarwny Raúl był zazdrosny o hołdy, jakie zbierał Cienfuegos, a i Fidel też chyba nie był zachwycony, że ma rywala cieszącego się uwielbieniem mas.

Awionetka z Cienfuegosem na pokładzie wystartowała jak należy, ale nie dotarła do celu. Rozpłynęła się w powietrzu, znikła bez śladu. Tajemnicze zniknięcie członka ścisłej czołówki politycznej spowodowało oczywiście zamęt na najwyższych szczeblach władzy. Zastanawiano się, czy „Apostoł” poszedł w ślady majora Díaza Lanza i zbiegł na Florydę.

Tymczasem sprawę trzymano w głębokiej tajemnicy. Dopiero po trzech dniach od zniknięcia Cienfuegosa ukazał się oficjalny komunikat. Zaraz też wszczęto zakrojone na szeroką skalę poszukiwania szczątków samolotu. Tysiące ochotników przeczesywało tereny między Camagüey a Hawanę. Dziesiątki samolotów patroloowało góry i wybrzeża. Nie trafiono na żaden ślad.

A co naprawdę stało się z majorem Camilo Cienfuegosem? Czy zbiegł do Stanów Zjednoczonych, zgolił brodę, ukrył się, korzystając z azylu załatwionego przez CIA i czeka na możliwość sprowadzenia żony i dzieci? Nie ujawnia się w obawie o życie rodziny pozostającej na Kubie? A może nie dotarł na Florydę, zabrakło paliwa i samolot spadł do morza? Może rozbił się wcześniej, w górach? Jeśli tak, to dlaczego nie odnaleziono wraku? Wyspa nie jest duża, a obszar, nad którym mogło dojść do katastrofy, ograniczony.

W Hawanie powstało wiele wersji. Wedle jednej – samolot z Cienfuegosem został zestrzelony. Komuś bowiem zależało na eliminacji popularnego oficera. Komu? Być może Raúlowi. Raúl wiedział o locie, był przełożonym Cienfuegosa. Można też spekulować, że gdyby nagle zabrakło Fidela, gdyby Najwyższy Przywódca padł ofiarą zamachu, zaaranżowanego na przykład przez CIA, to kto zająłby jego miejsce – Raúl, czy bardziej popularny Cienfuegos?

Teorii było wiele. Żadna nie doczekała się potwierdzenia. Ci, którzy mogliby rzucić jakieś światło na sprawę, milczeli i milczą.

Prawdy usiłował dociec jeden z bliskich przyjaciół Cienfuegosa, major Húber Matos, weteran i bohater rewolucji, z wykształcenia i zawodu nauczyciel. Zasłużył się Fidelowi, organizując w marcu 1958 roku pierwszy transport broni z Kostaryki do Sierra Maestra. Matos przez cały czas działał w podziemiu na Kubie. Walczył, odznaczył się odwagą, dosłużył stopnia majora – najwyższej rangi w formacjach rewolucji. Po obaleniu Batisty Castro mianował go komendantem wojskowym prowincji Camagüey.

Od dłuższego już czasu Matos pozostawał w konflikcie z Najwyższym Przywódcą. Zaczęło się od tego, że publicznie zaprotestował przeciwko przejmowaniu przez komunistów – kosztem zasłużonych

działaczy Ruchu 26 Lipca – stanowisk w wojsku, a także w strukturach cywilnych. Do ówczesnego prezydenta Urrutii zwrócił się z pismym żądaniem wyjaśnienia, dlaczego komunistów wprowadza się na kluczowe urzędy w prowincjach i miastach.

Próbował także interweniować u Fidela, ten jednak był zbyt zajęty, by przyjąć dawnego towarzysza. Sfrustrowany Matos postanowił złożyć spektakularną dymisję. Nastąpiło to 19 października, a wraz z nim do dymisji podało się osiemnastu oficerów w Camagüey.

Castro, niepomny dawnych zasług Matosa, zareagował błyskawicznie. 21 października silny oddział wojska otoczył koszary Agramonte, rozbroił garnizon Matosa, a jego samego aresztował.

Godzinę później Castro pojawił się w telewizji. Wygłosił kolejną długą orację, oskarżając byłego przyjaciela o zdradę, o podżeganie do buntu, konszachty z byłym prezydentem Urrutią, z Batistą i generałem Rafaellem Trujillo, dyktatorem Dominikany.

– Zdrajca został aresztowany – oświadczył Castro – wierne rewolucji oddziały położyły kres rebelii w Camagüey.

Matosa i osiemnastu jego towarzyszy przewieziono do Hawany i osadzono w lochach Cytadeli. Pokazowy proces odbył się w sali kinowej dawnej bazy wojskowej Columbia, przemianowanej na Ciudad Libertad (Miasto Wolności). W roli świadka wystąpił sam Fidel Castro. Telewizja transmitowała jego sześciogodzinne „zeznanie”, a w istocie mowę oskarżycielską przeciwko „zdrajcom”. Trzyosobowy trybunał, dobrany oczywiście przez Fidela, nie interweniował.

Wina oskarżonych jest oczywista i niewątpliwa, dowody niepodważalne – rzucał gromy Najwyższy Przywódca – historia nie wybaczyłaby sądowi, gdyby wbrew dowodom zechciał ich uniewinnić<sup>1</sup>.

Wyrok ogłoszono 15 grudnia. Wszystkich oskarżonych uznano za winnych zdrady. Matosowi darowano jednak życie, nie stanął przed plutonem egzekucyjnym. „Wyrok jest zgodny z duchem rewolucji – brzmiało uzasadnienie – ale rewolucja sięga po najwyższy wymiar kary tylko wtedy, gdy wymaga tego bezpieczeństwo i trwałość państwa”. Matos, weteran z Sierra Maestra, dostał dwadzieścia lat więzienia.

Podczas gdy w Ciudad Libertad trwała pokazówka z Matosem w roli głównej, na stołecznym stadionie Tropical zebrało się sto tysięcy młodzieży przybyłej z całej wyspy na Krajową Konferencję Katolicką. Przywódca Ruchu Młodzieży Katolickiej, dr José Lasaga, zwrócił się do zebranych z następującym przesłaniem:

Uważamy, że stosunek katolików do rewolucji najlepiej można wyrazić zdaniem: Tak – dla sprawiedliwości społecznej. Nie – dla komunizmu!

Wystąpienie przyjęto dziesięciominutową owacją. Cały stadion skandował zgodnym chórem:  
Sprawiedliwość – tak, komunizm – nie!<sup>2</sup>

Castro tymczasem wziął się za kolejnego wroga rewolucji – Świętego Mikołaja. Siwy staruszek w czerwonym kabacie zjawił się na Kubie razem z choinką w latach trzydziestych, prosto z Ameryki. Takie pochodzenie klasyfikowało go jako „imperialistę” i groźbie należało położyć kres.

W miejsce Mikołaja wprowadzono postać zwaną Don Feliciano (Pan Szczęście), żywo przypominającą kubańskich wieśniaków. Don Feliciano nosił zdobną, stosowną do klimatu, wykładaną na spodnie koszulę *quayabera* i słomkowy kapelusz, spod którego wystawała czarna broda. Ale rywalizacji z Mikołajem nie wygrał. Ten ostatni zbyt już głęboko zakorzenił się w wyobraźni dzieci.

Wraz z nastaniem Don Feliciano zakazano importu choinek. Jednocześnie starano się dawną tradycję świąteczną przysposobić do potrzeb nowego systemu. Obiektem wdzięczności miał być nie Najwyższy z niebios, ale Najwyższy Przywódca z Hawany.

Castro piastował rozliczne funkcje i urzędy. Przewodniczył także Krajowemu Instytutowi Turystyki. I właśnie jako szef turystyki wydał w sylwestra 1959 roku wielkie przyjęcie w Hiltonie dla tysiąca zaproszonych gości z kraju i zagranicy. Delegacja ze Stanów Zjednoczonych składała się niemal wyłącznie z Murzynów. Castro liczył, że uda mu się wciągnąć w orbitę swojej rewolucji ubogie kraje afrykańskie, chciał więc pokazać się jako obrońca czarnoskórych. Zaprosił więc wielu czarnoskórych sportowców amerykańskich o głośnych w świecie nazwiskach, a wśród nich Joe Louisa, byłego mistrza świata wszechwag w boksie oraz baseballistów: Roya Campanellę, Willie Maysa i Jackie Robinsona. Z zaproszenia skorzystał tylko Louis. Wielce go w Hawanie fetowano. Na przyjęciu w Hiltonie usadzono go obok Fidela.

Louis, wielki bokser, podczas II wojny światowej był żołnierzem armii amerykańskiej. Walczył dzielnie, ale po wojnie, gdy przeminęła sportowa sława, popadł w kłopoty. Był bankrutem, urząd podatkowy domagał się ponad miliona dolarów z tytułu zaległych podatków. Imał się więc różnych zajęć. Był nawet krupierem w kasynie Ceasar's Palace w Las Vegas. Ale marzył o dawnej świetności, potrzebował pieniędzy i protektorów. Castro taką perspektywę stwarzał, więc w grudniu 1959 roku Joe Louis zjawił się w Hawanie.

Castro oczekiwał odeń zapewne ostrych słów potępienia wobec Stanów Zjednoczonych, ale tego jednak się nie doczekał. Jedyne bowiem znaczące zdanie, jakim były mistrz obdarzył gorliwą prasę, brzmiało: „poza Kubą jest niewiele miejsc na świecie wolnych od dyskryminacji”.

Tuż przed świętami Bożego Narodzenia Jorge Zayas, wydawca dziennika „Avance”, dowiedział się, że stał się obiektem szczególnej uwagi Najwyższego Przywódcy. Mógł się tego spodziewać. Gazeta bowiem niejednokrotnie alarmowała, że Castro prowadzi Kubę do dyktatury komunistycznej. Na zjeździe związków zawodowych sporą część czterogodzinnego przemówienia Fidel Castro poświęcił właśnie gazecie Zayasa. Napiętnował go jako zdrajcę rewolucji, a „Avance” nazwał „niebezpieczną gazetą”. Na rezultat nie trzeba było długo czekać. 18 stycznia 1960 roku grupa drukarzy-związkowców wdarła się do redakcji, ogłaszając przejście dziennika „w imię rewolucji”.

Kolejne miejsce na proskrypcyjnej liście Fidela zajmował dziennik „Diario de la Marina”, którego wydawca, José Ignacio Rivero, pozwalał sobie na ostrą krytykę coraz większej liczby komunistów w rządzie, związkach zawodowych i siłach zbrojnych. Jego też Fidel napiętnował w telewizji. Ignacio rozumiał, co się święci i miał już zamiar zamknąć pismo i zejść ze sceny, ale czterystu pracowników wydawnictwa ublağalo go, aby jednak walczył dalej. Wszyscy podpisali petycję.

Ignacio polecił, aby tekst wydrukowano w gazecie. Nim jednak maszyny puszczono w ruch, do drukarni wdarło się dwudziestu brodatych „nieznanych sprawców”. Młotami i łomami zniszczyli cały przygotowany skład. Ignacio nie ustąpił. Polecił złożyć tekst na nowo, po czym opuścił redakcję, udając się na umówione spotkanie.

Późnym wieczorem, jak zwykle, świeże wydanie gazety dostarczono wydawcy do domu. Nie zawierało ono jednak tekstu listu podpisanego przez czterystu pracowników „Diario de la Marina”. Zamiast tego na czołówce znalazł się wielki artykuł, z jeszcze większym tytułem: *Ignacio Rivero to narzędzie w rękach jankeskiego imperializmu*. Jak się okazało, zaraz po wyjściu wydawcy do drukarni wdarli się bojówkarze Fidela i przejęli gazetę. Ignacio Rivero uznał, że dalsza walka jest beznadziejna. Zgłosił się do ambasady amerykańskiej i poprosił o azyl<sup>3</sup>.

Pod koniec roku 1959 Fidelowi Castro za pomocą zręcznych kampanii propagandowych udało się skutecznie przekonać miliony mieszkańców Ameryki Łacińskiej, że oskarżenia wysuwane przez Wa-

szynngton, dotyczące jego związków z komunizmem, to zwyczajne pomówienia, obliczone na kompromitację autentycznych reform. W rezultacie ci sami politycy z Ameryki Łacińskiej, którzy prywatnie naciskali na prezydenta Eisenhowera, aby pozbył się Fidela, publicznie nie wypowiadali złego słowa na temat kubańskiego przywódcy.

W roku 1948 na konferencji w Bogocie dwadzieścia państw z Ameryki Łacińskiej oraz Stany Zjednoczone powołały do życia Organizację Państw Amerykańskich. OPA występowała przeciwko próbom rozciągnięcia wpływów komunistycznych na półkulę zachodnią. Prezydent Eisenhower stanął przed niezwykle złożonym problemem. Chcąc, by Organizacja Państw Amerykańskich podjęła wspólną akcję przeciwko Kubie, musiał najpierw udowodnić, że Fidel Castro jest komunistą.

„Udana prezentacja problemu Kuby na forum OPA – stwierdził Christian Herter w notatce dla prezydenta – wymaga drobiazgowej dokumentacji, która pozwoli na wykazanie związków Kuby z komunizmem”. Eisenhower z niejakim cynizmem napisał na marginesie: „Dokumentacja w tej sprawie jest zerowa”<sup>4</sup>.

Kilka dni później Herter poinformował Eisenhowera, że członkowie OPA gotowi byłiby ewentualnie poprzeć akcję przeciwko Kubie, ale pod warunkiem, że jednocześnie Stany Zjednoczone wystąpią przeciwko generałowi Rafaelowi Trujillo, reakcyjnemu dyktatorowi Dominikany i poplecznikowi Batisty. Herter ostrzegł zarazem, że ewentualne usunięcie Trujillo mogłoby otworzyć drogę do przejęcia władzy w Dominikanie przez komunistów, ze wszystkimi tego konsekwencjami, a więc nie jest wskazane<sup>5</sup>.

W czasie narady z udziałem Hertera i grupy doradców, Eisenhower, wyraźnie zdenerwowany impasem, oświadczył: „Ten Castro, to szaleniec” i dodał, że w jego przekonaniu, jeśli nie uda się skłonić OPA do wspólnej akcji, to „Stany Zjednoczone powinny podjąć działania na własną rękę”<sup>6</sup>.

Zaraz potem Eisenhower wezwał do siebie Allena Dullesa, dyrektora CIA, aby z nim omówić sytuację. Prezydent uważał, że Herter i biurokraci z Departamentu Stanu potrafią wyłącznie mówić, a jego zdaniem czas już przejść od słów do czynów.

Dulles sięgnął do aktówki i wyjął kilka fotografii zrobionych z pokładu samolotu wywiadowczego U-2. Przedstawiały jedną z większych cukrowni na Kubie. Dulles proponował tajną operację sabotażową, której celem miał być ten właśnie zakład. Eisenhower nie był specjalnie zachwycony. Cukrownię można wyremontować w kilka dni.

– Proszę o konkretny plan rozwiązania problemu Kuby. Ma pan na to kilka dni – polecił Dullesowi<sup>7</sup>.

Tydzień później w siedzibie CIA odbyła się narada Grupy Specjalnej, podkomisji Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Szef CIA zarysował plan działań w sprawie Kuby, jaki przygotował na polecenie prezydenta. Grupa Specjalna miała za zadanie ocenić propozycje CIA i przedstawić je ze stosowną rekomendacją na forum Rady Bezpieczeństwa Narodowego.

Plan CIA określono kryptonimem „Cuban Project” (Projekt kubański). Celem była „eliminacja” Fidela Castro. Grupa Specjalna w składzie: Gordon Gray, doradca prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego, Livingston Merchant z Departamentu Stanu oraz admirał Arleigh „31 Węzłów” Burke, głównodowodzący Marynarki Wojennej, przyjęła plan bez zastrzeżeń.

Niedługo potem powołano do życia Cuban Task Force (oddział do zadań kubańskich). Zadanie zaś polegało na inicjowaniu, prowadzeniu i koordynowaniu konkretnych, tajnych operacji na rzecz obalenia reżimu Castra. Już na pierwszym posiedzeniu oddziału, 9 marca, pułkownik J.C. King, szef Wydziału Operacyjnego Departamentu Półkuli Zachodniej Centralnej Agencji Wywiadowczej, ujawnił sensacyjną wiadomość.

– Z meldunków wywiadowczych wynika – oświadczył – że w otoczeniu Fidela Castro planuje się podjęcie akcji zbrojnej przeciwko amerykańskiej bazie wojskowej Guantanamo. W tej sytuacji – ciągnął King – istnieje pilna konieczność przyspieszenia tajnych operacji z naszej strony. Jeśli bowiem nie uda się „za jednym zamachem wyeliminować” całej „wielkiej trójki”: Fidela, Raúla i „Ché” Guevary, to wtedy może już nie być wyboru i trzeba będzie rozpocząć operację wojskową na wielką skalę<sup>8</sup>.

– Jeśli meldunki wywiadu były trafne, i Kubańczycy szykują się do napaści na Guantanamo, to grozi wojną na większą skalę, po stronie Kuby bowiem – argumentował King – opowie się Związek Radziecki.

Tak oto rozpoczęła się vendetta: Castro – Stany Zjednoczone.

Napięcie wokół Guantanamo wyraźnie rosło. Castro stale podnosił sprawę na forum publicznym. Baza na „kubańskiej ziemi”, to symbol jankeskiego imperializmu – wywodził. Wtórowały mu „Hoy” i „Revolución”, a wkrótce do chóru włączyły się komunistyczne gazety na całym świecie.

## „Bobby – twardy jak stal!”

Senator Jack Kennedy krążył niespokojnie po swoim biurze na Kapitolu. Zaglądał do wszystkich pokoi, wreszcie wziął papiery, zasiadł za biurkiem i zaczął je przeglądać. Trwało to jednak krótko. Odsunął od siebie dokumenty, spojrzął w sufit, przeniósł wzrok na zegar na ścianie. Wyglądał – opowiadał później jeden z asystentów senatora – jak folblut przed najważniejszym startem. Była dwunasta piętnaście, sobota, 2 stycznia 1960 roku.

Kilka minut później senator wstał zza biurka. W otoczeniu gromadki przyjaciół i asystentów wyszedł z gabinetu, kierując się do sali konferencyjnej na drugim końcu korytarza. Sala wypełniona była do ostatniego miejsca. Reporterzy, kamery, mikrofony i spore grono zwolenników Jacka Kennedy'ego. Gdy senator stanął w drzwiach, sala zabrzmiała brawami. Pośród owacji Jack wszedł na podium. Odczekał chwilę, aby przycichły oklaski i zaczął:

Niniejszym zgłaszam swoją kandydaturę na urząd prezydenta Stanów Zjednoczonych...

Dysponował imponującym kapitałem politycznym, znany był jako liberał i jego dorobku pod tym względem nikt nie mógł podważyć. AFL-CIO\* stwierdzała, że na szesnaście kluczowych głosowań w Senacie, w jakich uczestniczył w ciągu ośmiu lat zasiadania w Izbie, piętnaście razy głosował „prawidłowo”, to znaczy – zgodnie z interesem związkowców.

\* Amerykańska Federacja Pracy – Kongres Organizacji Przemysłowych [przyp. tłum.].

Najbliższym doradcą Jacka, wręcz jego alter ego, a także organizatorem kampanii prezydenckiej był młodszy brat, Robert – Bobby, jak nazywali go bliscy. Bobby też już dał się poznać na krajowej scenie politycznej jako pierwszy doradca senackiej komisji do badania nieprawidłowości w działaniach związków zawodowych oraz pracodawców. Szefował sześćdziesięciopięcioposobowemu zespołowi prawników i urzędników obsługujących komisję. Głównie zaś zajmował się badaniem działalności Teamsters Union (Związku Kierowców Ciężarówek), na którym ciążyło podejrzenie o kontakty i konszachty z mafia.

W czasie transmitowanych przez telewizję przesłuchań w Senacie wiosną 1957 roku, Bobby ścierał się ostro z przewodniczącym związku, Davidem Beckiem, który aż dwieście trzy razy odmówił odpowiedzi na zadawane mu przez młodego Kennedy'ego pytania, zasłaniając się przepisem Konstytucji – V Poprawką – gwarantującą prawo do odmowy zeznań, gdy mogły one być wykorzystane przeciwko zeznającemu. Rok później, w marcu 1958 roku, doszło do kolejnego starcia. Tym razem przeciwnikiem Bobby'ego był James R. „Jimmy” Hoffa, który tymczasem zastąpił Becka na fotelu szefa związku. Na oczach całej Ameryki doszło wręcz do awantury, gdy Kennedy publicznie oskarżył Hoffę „o poważne nadużycia dotyczące związkowych pieniędzy” i o przekształcenie związku w „bandyckie imperium”<sup>1</sup>.

O młodym Kennedym zaczęto mówić „bezlitosny Bobby”, a za sprawą uporczywości i nieustępliwości zyskał jeszcze jeden przydomek – „Pitbull”, świadczący o jego zawziętej naturze.

„Bobby to twardziel” – zwierzył się nie bez dumy stary Joe Kennedy w wywiadzie prasowym. W innej wypowiedzi dla prasy powiedział, że „Bobby jest twardy jak stal”. Jeszcze innemu dziennikarzowi zwierzył się: „Bobby, jak ja, nienawidzi wszystkich”, ale tę wypowiedź później wycofał i zaprzeczał, że w ogóle coś takiego powiedział<sup>2</sup>.

W każdym razie były to nader trafne oceny. Dość przypomnieć, co Bobby powiedział kiedyś pewnej bardzo wpływowej osobistości w czasie kampanii prezydenckiej. Otóż człowiek ten krążył beczynnienie po siedzibie sztabu wyborczego Jacka i uważał się, że notowania Kennedy'ego zmieniają się. Wtedy to Bobby, nie bacząc na rangę gościa, warknął, że „jeśli nie ma zamiaru zająć się czymś pożytecznym, to niech lepiej nie zwraca głowy i znika”<sup>3</sup>.

Wkrótce po oficjalnym zgłoszeniu swojej kandydatury w wyborach prezydenckich Jack Kennedy opublikował artykuł *Strategy for Peace* (Strategia dla pokoju), w którym wyrażał się dość życzliwie o Fidelu Castro. Artykuł wzbudził sporo kontrowersji. „Castro – pisał Kennedy

– wpisuje się w tradycję Simona Bolívara”. Bolívar – jak wiadomo – wywalczył w XVIII wieku niepodległość takich krajów, jak Boliwia, Kolumbia, Ekwador, Peru i Wenezuela, wcześniej należących do Hiszpanii. Nazywano go *El Libertador* – „Wyzwoliciel”. Mówiono o nim także „George Washington of South America” (Jerzy Waszyngton Ameryki Południowej). Kennedy pisał, że korzenie rewolucji Fidela Castro sięgają właśnie rewolucji Bolívara, w czasie której „wygrano wojnę z Hiszpanią, ale nie obalono w istocie upokarzającego systemu feudalnego”.

Kennedy posunął się nawet krok dalej. Oceniając negatywnie politykę prezydenta Eisenhowera, stawiał tezę, że w świetle „bezkrytycznego i zbyt długiego” poparcia, jakiego administracja Eisenhowera udzielała Batiście, Castro mógł być „jeszcze bardziej radykalnym kursem”. Stwierdzał też, że stosunki kubańsko-amerykańskie byłyby znacznie lepsze, gdyby Eisenhower zgotował cieplejsze przyjęcie Fidelowi w czasie jego pobytu w Waszyngtonie w roku 1959.

Tymczasem nastął lipiec 1960 roku. W Los Angeles zaczynała się konwencja wyborcza Partii Demokratycznej. Bobby Kennedy zainstalował swoje stanowisko dowodzenia na ósmym piętrze hotelu Biltmore. Dopinał wszystko na ostatni guzik. Ku zaskoczeniu wielu znawców amerykańskiej sceny politycznej Jack Kennedy wygrał całą serię prawyborów i uchodził obecnie za faworyta do nominacji.

Równie wiele uwagi, co faworytowi, prasa poświęcała jego bratu, chwając go na ogół; ale w przysłowiowej beczce miodu można było znaleźć niejedną łyżkę dziegciu. Popularny i wpływowy komentator, Jim Bishop, określił Bobby'ego jako „zirytowanego i irytującego człowieka”. Jest „bezlitosny, niegrzeczny i niecierpliw... Po rozmowie z nim działacze polityczni wychodzą z wrażeniem, że jeśli nie postąpią dokładnie tak, jak Bobby sobie tego życzy, to spotka ich kara boska”.

Rzeczowy, energiczny i pracowity Bobby stał za sterem politycznej nawy swojego brata. Działał jak maszyna. Z jego polecenia czterdziestu asystentów bez przerwy krążyło wśród delegatów na konwencję, nakładając im do głosowania na Jacka. Jack tymczasem jeździł od hotelu do hotelu, spotykając się z liderami. Ścisnął dłonie, namawiał, a gdy trzeba było, to i błagał o poparcie. Jednego tylko dnia wystąpił na dziewięciu konwentyklach stanowych, na których delegaci uzgadniają wspólne stanowisko.

Wydajna, sprawna, wysokoprężna machina polityczna klanu Kennedy'ego nie pozostawiła żadnych szans rywalom. Jack uzyskał nominację już w pierwszym głosowaniu. Zdobył osiemset sześć głosów, prawie dwa

razy więcej niż najgroźniejszy konkurent, Lyndon B. Johnson, senator z Teksasu, wielce doświadczony weteran walk politycznych.

Po nominacji zwycięzca przedstawia konwencji do zatwierdzenia wybranego przez siebie kandydata na wiceprezydenta. Zadanie nie jest łatwe, ale klan Kennedy'ego wystąpił ze śmiałym pomysłem. Johnson cieszył się poparciem konserwatywnego elektoratu, reprezentował Południe Stanów Zjednoczonych, a więc znakomicie wypełniał pole, na którym sam Kennedy czuł się mniej pewnie. Jack zaproponował więc Johnsonowi miejsce wiceprezydenta na swojej liście wyborczej.

Bobby; Pierre Salinger, sekretarz prasowy senatora; Sargent Shriver, szwagier i bliski współpracownik polityczny Jacka; Kenneth O'Donnell, pierwszy doradca, a także wielu innych współpracowników i sympatyków Jacka Kennedy'ego, włączając w to liczne grono gubernatorów stanowych z Partii Demokratycznej oraz przywódców związkowych, od których poparcia wiele zależy, nie posiadali się z oburzenia. Naciskali na Jacka, aby zmienił decyzję. Tak też się stało. Jack zgodził się nie wysuwać kandydatury Johnsona.

Johnson w głębi duszy nie znosił Kennedy'ego, z drugiej jednak strony marzył, by wspiać się jeszcze szczebel wyżej w polityce. Przyjął więc pierwszą propozycję. Być może brał pod uwagę także i to, że co czwarty prezydent Stanów Zjednoczonych umiera w trakcie kadencji, a wtedy najwyższy urząd przypada wiceprezydentowi. Był więc wręcz wściekły, gdy Bobby Kennedy zwrócił się doń z sugestią, aby jednak zrezygnował z miejsca na liście.

Wytworzyła się wybuchowa sytuacja. Gdyby sprawy wymknęły się z rąk, i doszło do kłopotliwej debaty na konwencji w sprawie kandydata na wiceprezydenta, Jack mógłby stracić szanse na sukces w listopadowych wyborach. Powrócił więc do swojej pierwszej propozycji. Dał do zrozumienia, że wytypuje jednak Johnsona. Z pomocą pospieszył także stary Joe Kennedy. Jak ujawnił to później w wywiadzie prasowym Joe McCormack – spiker Izby Reprezentantów, polityk z Massachusetts i przyjaciel klanu Kennedy'ego – Joe zadzwonił w nocy do Johnsona z wyrazami ubolewania za zamieszanie i z deklaracją o pełnym poparciu dla jego kandydatury<sup>4</sup>.

Z różnych przyczyn była to jednak kontrowersyjna kandydatura, i tak czy owak na konwencji mogło dojść do przepychanki. Kilkuset liberałów zapowiadało ostry protest. Klan znów puścił w ruch swoją polityczną maszynę, by uniknąć skandalu. Z sali zgłoszono wniosek, aby kandydaturę Johnsona przyjąć przez akklamację, co przewodniczący obradom zaraz ogłosił jako oficjalną decyzję konwencji, choć rozległy się liczne głosy niezadowolonia.

Gdy w Los Angeles obradowała konwencja demokratów, prezydent Eisenhower przebywał na wakacjach w Newport w stanie Rhode Island. Wiadomość o nominacji Johnsona przyniósł mu zaufany doradca, William Robinson.

– Jak Johnson mógł się zgodzić po tym wszystkim, co opowiadał o Kennedych i po deklaracjach, że urząd wiceprezydenta w ogóle go nie interesuje? – zastanawiał się głośno Robinson.

– Johnson to człowiek małego formatu – odparł Eisenhower – nie ma ani wizji, ani zdolności intelektualnych, by unieść wielką odpowiedzialność. To oportunistą i pozer<sup>5</sup>.

Eisenhower nie znosił Johnsona, ale jeszcze bardziej Jacka i całego klanu Kennedych. Asystent Eisenhowera, Ellis Slater, odnotował taką oto jego uwagę na temat Kennedych:

Boję się, że jak już wejdą na szczyt, to nigdy go nie opuszczą. Stworzą sobie jeszcze lepszą maszynę polityczną niż ta, dzięki której demokraci opanowali Nowy Jork<sup>6</sup>.

Jednemu z przyjaciół Eisenhower zwierzył się, że „gotów byłby na wszystko, byle tylko nie oddać fotela prezydenckiego Kennedy'emu”<sup>7</sup>.

Wobec doradcy naukowego, dr. George'a Kistiakowsky'ego, powrócił do sprawy Johnsona, mówiąc, że „myślący działacze Partii Demokratycznej są przerażeni jego wyborem” i że Johnson, to „najbardziej niewiarogodny polityk w Kongresie, na którym w ogóle nie można polegać”<sup>8</sup>.

Po konwencji Jack Kennedy udał się na krótkie, tygodniowe wakacje, po czym wznowił kampanię, już jako oficjalny kandydat swojej partii. Atakował coraz wyraźniej „braki i słabości administracji Eisenhowera”. Prezydenta i wiceprezydenta, Richarda Nixona, oskarżył o zaniechania, których wynikiem stała się „przepaść rakietowa” między Ameryką a Związkiem Radzieckim.

Także prywatnie nie szczędził słów krytyki wobec prezydenta:

Mógłbym zrozumieć, gdyby grał w golfa ze starymi kolegami z wojska, ale on po prostu nie ma przyjaciół. Nie ma człowieka mniej lojalnego wobec przyjaciół niż Eisenhower. To facet bez serca. A w golfa grywa tylko z krezusami, których poznał po 1945 roku<sup>9</sup>.

Eisenhower, znany skądinąd z gwałtownych reakcji, wielce nerwowo przyjmował krytykę płynącą z obozu Kennedych. Kiedy republikański senator, Styles Bridges, zwrócił mu kiedyś uwagę na pewien specjalny fragment wystąpienia Kennedy'ego w czasie kampanii, że „siedemnaście milionów Amerykanów chodzi spać z pustym żołądkiem”, prezydent zgryźliwie odparł, że „pewnie są na diecie”.

# 12

## Tajny plan

Gdy wyborcza karawana Kennedych przemierzała Stany Zjednoczone wzdłuż i wszerz, 17 marca 1960 roku, przed kutą w żelazie bramę Białego Domu zajechała czarna limuzyna. Po chwili dyrektor CIA, Allen Dulles (bo to on przybył na spotkanie z prezydentem), meldował się w Gabinetcie Ovalnym. Towarzyszył mu Richard M. Bissell jr, szef Tajnych Operacji CIA, jeden z najbliższych współpracowników dyrektora. Mieli przedstawić prezydentowi najnowszy plan rozwiązania problemu kubańskiego.

Bissell, absolwent Yale, nauczyciel akademicki, wymagający, pracowity i rzeczowy, trafił do CIA w roku 1954, za namową samego Dullesa. Wkrótce potem przeszedł chrzest bojowy, współorganizując antykomunistyczny przewrót w Gwatemali. Później opracowywał i nadzorował plan lotów maszyn zwiadowczych U-2 nad Związkiem Radzieckim. W ich wyniku uzyskano ogrom materiałów wywiadowczych. Operację prowadzono przed dłuższy czas. Dobięła kresu, gdy Rosjanie zestrzelili samolot i ujęli pilota, Francis Garry'ego Powersa<sup>\*</sup>.

Wysoki, szczupły Bissell był jednym z nielicznych wysokich funkcjonariuszy CIA, którzy nie mieli za sobą stażu w OSS – Office of Strategic Services (Biurowie Służb Strategicznych). Nie miał więc, jak Dulles i inni, operacyjnego doświadczenia z czasów II wojny światowej. Ale też nie miał z tego tytułu żadnych kompleksów. Był człowie-

<sup>\*</sup> Francis Garry Powers, skazany w głośnym procesie w Moskwie w 1960 roku na 10 lat więzienia, w 1962 roku został wymieniony na radzieckiego agenta, pułkownika Rudolfa Abła, aresztowanego w Stanach Zjednoczonych za szpiegostwo. Zginął w 1977 roku w katastrofie policyjnego śmigłowca, patrolującego ruch uliczny w Los Angeles [przyp. tłum.].

kiem ogromnej wiedzy. Świetnie wykształcony, nie czuł się wcale gorszy od bardziej doświadczonych kolegów.

Pod okiem dyrektora referował prezydentowi szczegóły planu obalenia Fidela Castro. Plan był złożony. Obejmował akcje sabotażowe i propagandowe w skali całej półkuli, a także działania partyzanckie i dywersyjne. Na początek postanowiono przeszkolić dwudziestu pięciu Kubańczyków\* zwerbowanych spośród mieszkających w Ameryce uchodźców. Przejdą stosowny trening w należącem do US Army Centrum Szkolenia do Walk w Dżungli w Panamie. Z kolei każdy z tej grupy zwerbuj i przeszkoli dwóch innych Kubańczyków. W stosownym czasie siedemdziesięciopięciuosobowy oddział zostanie przerzuty na wyspę z zadaniem utworzenia podziemnej organizacji i przystąpienia do akcji dywersyjnych i sabotażowych.

Eisenhower zatwierdził plan. Zaraz po spotkaniu udał się na partię golfa do klubu Burning Tree. Nie wiedział, bo nie mógł wiedzieć, że oto zapoczątkował lawinę wydarzeń, które za kilka miesięcy zawojują wielką operacją wojskową – inwazją na Kubę.

Sześć dni później, w gabinecie Dullesa w siedzibie CIA, odbyła się kolejna narada. Ta miała charakter roboczy. Oprócz Bissella i Dullesa udział brali: generał Charles Cabell, zastępca dyrektora CIA, David Phillips, specjalista do spraw propagandy, Tracy Barnes, zastępca Bissella, prawnik, absolwent Harvardu oraz Richard Helms (który za sześć lat zostanie dyrektorem CIA)<sup>1</sup>.

Tym razem Bissell przedstawiał szczegóły planu. Zakładał między innymi utworzenie sił lotniczych, morskich i lądowych z udziałem kubańskich uchodźców. Lotnictwo ulokuje się w tajnych bazach na terenie Nikaragui. Flotyllę statków i łodzi rozmieści się dyskretnie w Stanach Zjednoczonych i w portach państw środkowoamerykańskich. Oddziały lądowe szkolić się będzie w tajnych ośrodkach w Nikaragui i Gwatemali, przyjazne stosunki władz tych krajów ze Stanami Zjednoczonymi gwarantowały, że przymkną one oczy na nielegalne działania na ich terenie<sup>2</sup>.

Całość koordynować będzie CIA, ale oczywiście stworzy się wszelkie pozory, że za operacją stoją wyłącznie przeciwnicy reżimu Castra, uchodźcy z Kuby, i to oni zaplanowali, zorganizowali i sfinansowali akcję w celu obalenia reżimu na wyspie.

Chyba w żadnym innym państwie na świecie służby wywiadowcze nie działają tak otwarcie i z takim rozgłosem jak w Stanach Zjednoczonych. O Deuxième Bureau – francuskim odpowiedniku amerykań-

\* Wg innych źródeł dwudziestu sześciu [przyp. tłum.].

skiej CIA – czy o brytyjskim MI-5, zwykły Francuz czy Brytyjczyk wie niewiele, a często nawet nie zdaje sobie sprawy z istnienia tych instytucji. Poza wybraną garstką najwyższych funkcjonariuszy rządowych, nikt nie zna nazwisk agentów, a nawet członków kierownictw Deuxième Bureau czy MI-5. W Ameryce – przeciwnie. W oficjalnych informatorach publikuje się obszernie dane o strukturze i składzie osobowym CIA. Dyrektor Agencji jest osobistością publiczną o wysokiej randze protokolarnej.

Utajnia się w istocie tylko jedno, a mianowicie liczebność personelu Agencji powołanej do życia w 1947 roku. Ale wedle wiarygodnych ocen, w omawianym okresie, na liście plac Agencji, będącej oczami i uszami Waszyngtonu, figurowało około trzydziestu tysięcy funkcjonariuszy, z których większość nie czyniła żadnej tajemnicy z faktu, że pracują w instytucji, która z samej swojej istoty powinna być tajna. Na niejednym przyjęciu w Waszyngtonie wymianie kart wizytowych towarzyszy informacja, że nowo poznany znajomy pracuje „w instytucji rządowej”.

Inaczej też niż we Francji czy Wielkiej Brytanii, dziennikarze nie unikają kontaktów z CIA, a szefowie Agencji nie wzbraniają się przed udzielaniem zaufanym przedstawicielom prasy „dyskretnych informacji” (często prawdziwych, czasami celowo preparowanych). Amerykańscy oficerowie operacyjni mają zwyczaj wykorzystywać swoje służbowe osiągnięcia do błysnięcia w towarzystwie albo wręcz na forum publicznym. CIA to jedyna chyba w świecie w założeniu tajna instytucja, która rozprowadza oficjalne serwisy prasowe na swój temat.

Do Hawany tymczasem zawiązał francuski frachtowiec *La Coubre*. Zaczekał przy nabrzeżu i zaczął wyładunek sprzętu wojskowego oraz amunicji zakupionej przez Castra w Belgii. W pewnej chwili miastem wstrząsnął potężny wybuch. Eksplodowały ładownie na *La Coubre*. Ze statku pozostały wypalone szczątki. Siedemdziesiąt osób zginęło na miejscu. Wielu rannych trafiło do hawańskich szpitali.

Zaraz też Najwyższy Przywódca zjawił się w studiu telewizyjnym. Stanął przed kamerami, ale nie po to, by wyrazić współczucie ofiarom i ich bliskim, lecz po to, aby ostro potępić Dwighta Eisenhowera („podżegacza wojennego”) i Stany Zjednoczone za „wyjątkowo okrutny i brutalny akt sabotażu”. Następnego dnia „Revolución” oskarżyła CIA o spowodowanie eksplozji na statku w celu stworzenia pretekstu do rozpoczęcia szeroko zakrojonej operacji wojskowej przeciwko Kubie.

To był zaledwie początek wielkiej kampanii propagandowej. W ruch puszczona została cała kubańska machina, wspomagana

przez sowieckich ekspertów z zakresu wojny psychologicznej. Błyskawicznie wyprodukowano pełną krwawych zdjęć i opisów broszurę, mającą przekonać świat, że Stany Zjednoczone ponoszą odpowiedzialność za katastrofę w porcie hawańskim.

Analitycy z CIA też skłaniali się ku opinii, że wybuch nie był przypadkowy, z tym jednak, że ich zdaniem spowodowali go ludzie Castro. Wskazywali, że statek z niebezpiecznym ładunkiem zacumował przy nabrzeżu, podczas gdy zwykle amunicję przeładowuje się na dziedzi na mniejsze jednostki.

Gdzie leży prawda, nie wiadomo. Jedno natomiast jest pewne, a mianowicie to, że katastrofa w porcie jeszcze bardziej pogorszyła i tak już napięte stosunki między Hawaną a Waszyngtonem.

Oskarżeniom Castra wobec Stanów Zjednoczonych nie było końca. Kolejne dotyczyły „świadomego i celowego zaniechania”. Castro zarzucał władzom w Waszyngtonie, że nie czynią nic, by uniemożliwić „naloty” na Kubę. Chodziło zaś o to, że startujące z lądowisk na Florydzie lekkie samoloty rzeczywiście zrzucały na Kubę niewielkie bomby i urządzenia zapalające, atakując w śmiałych rajdach plantacje trzciny cukrowej. Był to okres tuż przed zafra – trzcinowymi żniwami. Produkcja cukru stanowi główną podstawę gospodarki kubańskiej.

Waszyngton, w rzeczy samej, patrzył przez palce na te rajdy lotnicze. Nie przywiązywał do nich zresztą większej wagi, bo też nie miały istotniejszego znaczenia. Jeśli chodzi o skutki, to można je raczej porównać do ukąszenia komara. Castro też nie podejmował żadnych zdecydowanych kroków, aby położyć kres „nalotom”, a przecież awionetki nie miałyby szans w starciu z odrzutowcami lotnictwa kubańskiego. Niewykluczone, że Najwyższy Przywódca uznał, że „naloty” można wykorzystać do umacniania nastrojów antyamerykańskich, budowania wizerunku Ameryki jako bezwzględnego agresora.

Nie brakło zresztą dowodów, że przynajmniej za niektórymi lotami stoi Hawana, a ludzie Castra najmują amerykańskich pilotów, zlecając im rajdy nad Kubą, aby zdyskredytować Stany Zjednoczone w oczach opinii światowej. W kwietniu organa ścigania w Miami zdobyły informacje, że agenci Castra szukają kontaktów z amerykańskimi posiadaczami licencji pilotów. Tego typu incydentów miało być sporo. Nie stanowiły jeszcze bezspornego dowodu, że Castro sam organizuje „naloty” na swoją wyspę, ale wkrótce miał nastąpić ciąg dalszy.

Nad cukrownią Expaña w prowincji Las Villas eksplodował w powietrzu samolot. Pilot zginął na miejscu. Okazało się, że był Amerykaninem. Nazywał się Robert Ellis Frost. W trzy tygodnie później

kubańska artyleria przeciwlotnicza zestrzeliła w pobliżu Matanzas samolot z dwuosobową załogą. Piloci – William L. Schergales i Howard Rundquist uszli z życiem. Zabrano ich do szpitala.

Amerykański wicekonsul z placówki w Hawanie uzyskał zezwolenie na odwiedzinę w szpitalu, w którym pod strażą przebywał Schergales. Jak później poinformował Departament Stanu, Schergales złożył oficjalne oświadczenie, że jego lot został opłacony przez władze kubańskie.

Wskazał przy tym na Juana Ortę, szefa gabinetu Fidela Castro, jako na człowieka, który wyznaczył cel i wręczył pieniądze. Waszyngton wystąpił o ekstradycję obu pilotów, chcąc postawić ich przed sądem w Miami pod zarzutem naruszenia amerykańskich przepisów o neutralności, ale Hawana pozostała głucha na prośby<sup>3</sup>.

Pod koniec kwietnia dowództwo bazy amerykańskiej Marynarki Wojennej na Guantanamo wydało komunikat o zwolnieniu z pracy miejscowego robotnika, Kubańczyka. Oficjalnym powodem zwolnienia była nieudolność, faktycznie zaś chodziło o to, że człowiek ten, szef miejscowej komórki związków zawodowych, ustawicznie podburzał do buntu i wszczynał niepokoje wśród trzech tysięcy kubańskich pracowników, zatrudnionych w bazie.

Castro wykorzystał incydent do nasilenia ataków na Stany Zjednoczone. Przesłał oficjalny protest do Waszyngtonu, domagał się cofnięcia zwolnienia i przywrócenia swego rodaka do pracy na zajmowanym stanowisku. Kubański minister pracy, Augusto Martinez, wystąpił w telewizji z oświadczeniem, że „janekscy gwałciciele prawa” z Guantanamo „powinni przestrzegać przepisów obowiązujących na Kubie”<sup>4</sup>.

Narastał tymczasem konflikt Castra z Kościołem katolickim, do którego zresztą Fidel z racji chrztu też należał (jak większość jego rodaków). Spór, a ściślej gniew Fidela w stosunku do Kościoła, nasilił się, gdy arcybiskup Santiago, Enrique Pérez Serantes, wydał 16 maja list pasterski potępiający komunizm. „Wróg [komunizm] stoi u naszych bram!” – oświadczył arcybiskup.

Kilka tygodni później w katedrze hawańskiej odbyła się msza za ofiary komunizmu na całym świecie. Przybyło setki wiernych, kościół pękał w szwach. Gdy jednak Boza Masvidal, sufragan diecezji hawańskiej, wszedł na ambonę i zaczął kazanie, usłyszała go ledwie garstka. Ktoś bowiem wyłączył nagłośnienie.

Na zakończenie mszy odśpiewano *Niech żyje Chrystus Król*, ale – wbrew obyczajowi i tradycji – nie zainonowano hymnu narodowego.

Przez cały czas tłum na zewnątrz świątyni, bez wątpienia nastłany, wznosił wrogie okrzyki i starał się na wszelkie możliwe sposoby przeszkodzić w nabożeństwie. Gdy w kościele rozległ się hymn ku czci Chrystusa, na zewnątrz zaczęto śpiewać *Międzynarodówkę*.

A potem, gdy wierni zaczęli opuszczać świątynię, doszło do przepychanek, bójek. Po chwili sytuacja stała się jeszcze groźniejsza. Wtedy też do akcji wkroczyło wojsko, zatrzymując wielu uczestników starcia, z tym jednak, że wśród aresztowanych nie było ani jednej osoby spośród tłumu, który usiłował przeszkodzić w nabożeństwie. Zatrzymywano wyłącznie tych, którzy wychodzili ze świątyni<sup>5</sup>.

Miesiąc później Fidel Castro znów przystąpił do kampanii propagandowej przeciwko bazie na Guantanamo. Major Calixto García, komendant prowincji Oriente, wystąpił z oficjalnym oskarżeniem, że amerykańskie okręty wojenne, bazujące na Guantanamo, wpływają na kubańskie wody terytorialne, gwałcąc międzynarodowe przepisy prawne i przeprowadzają ćwiczenia artyleryjskie w odległości mniejszej niż pięć kilometrów od brzegów Kuby, przez co stwarzają zagrożenie dla życia ludności cywilnej.

Departament Stanu odpowiedział błyskawicznie i krótko: – Odczepcie się<sup>6</sup>.

Nonsens! – skomentował oświadczenie Garcíi kontradmirał Frank W. „Mike” Fenno, komendant bazy Guantanamo. – Owszem, odbyły się strzelania, ale co najmniej trzydzieści dwa kilometry od brzegów wyspy<sup>7</sup>.

Admirał Fenno nie lekceważył jednak sytuacji. Postawił Guantanamo w stan alarmu. Zarządził stałe patrole i wystawił uzbrojone straże z psami wzdłuż całej czterdziestokilometrowej linii, odgraniczającej bazę od terytorium Kuby.

Do sprawy włączyła się Moskwa. Ustami korpulentnego dyktatora, Nikity Chruszczowa, zaczęła potępiać amerykańską obecność w Zatoce Guantanamo. Więcej nawet, Chruszczow bowiem zapowiedział, że w przypadku agresji na Kubę Związek Radziecki pospieszy na pomoc i „wspomoże Kubę raketami”.

Od kilkunastu miesięcy Fidel Castro z najbliższymi pomocnikami, „Ché” Guevarą i bratem Raúlem, przygotowywał kampanię na rzecz rozszerzenia rewolucji na kraje Ameryki Łacińskiej i wzniesienia tam powstań wymierzonych przeciwko Stanom Zjednoczonym. Przygotowując propagandowy grunt pod przyszłe działania, Castro określał

Kubę jako „Wolny kraj Ameryki”, sugerując w ten sposób, że reszta nie jest suwerenna, bo zniewolona przez USA.

Waszyngton, a ściślej Departament Stanu, nie dostrzegał albo nie chciał dostrzec groźby, jaką stanowiła kubańska kampania propagandowa. A tymczasem za pośrednictwem swoich placówek dyplomatycznych Kuba rozprowadzała w całej Ameryce Łacińskiej tysiące egzemplarzy instruktażowej książki „Ché” Gueavary *Wojna partyzancka*.

Był to w istocie podręcznik strategii, organizacji i taktyki działań dywersyjnych przeciwko legalnym rządóm. Guevara pisał:

W słabo rozwiniętych krajach Ameryki Łacińskiej rewolucja musi zyskać poparcie mas robotniczych i chłopskich. Walkę zbrojną należy prowadzić przede wszystkim na wsi.

Lekarz z wykształcenia, dr Ernesto „Ché” Guevara, nie wyglądał na rewolucjonistę. Był nieśmiały, schorowany (cierpiał na astmę) i zamknięty w sobie. Podobnie jak Castro, wywodził się z bogatej rodziny i jak on był inteligentny i zdecydowany. Urodził się w Rosario, w Argentynie. Ukończył studia medyczne, ale nie rozpoczął praktyki. Podróżował po kontynencie. Zaglądał do Chile, do Panamy, Boliwii, Peru, Wenezeli. Prowadził cygański tryb życia. Sporo czytał, a do jego ulubionych lektur należały dzieła Karola Marksa i Mao Tse-tunga – przywódcy chińskich komunistów, który w 1949 roku podporządkował sobie Chiny po długiej i krwawej „wojnie ludowej”.

Jeszcze jako uczeń, ale już przesiąknięty ideami komunistycznymi, zaczął żywić nienawiść do Stanów Zjednoczonych. Gdy w roku 1954 CIA zainspirowała w Argentynie przewrót obliczony na odsunięcie komunistów od władzy, Guevara pospieszył do Gwatemali, gdzie schronili się obaleni politycy. Wkrótce jednak przeniósł się do Meksyku i tam w 1955 roku poznał Fidela Castro. Byli w tym samym wieku, ale nie tylko to ich łączyło. Od początku obaj przyglęśli do siebie.

Rok później Guevara porzucił żonę – Peruwiankę – i wraz z braćmi Castra i ich bandą rewolucjonistów, pożeglował na Kubę na pokładzie jachtu *Granma*.

Nie tylko jego podręcznik słało w tysięcznych nakładach do krajów Ameryki Łacińskiej, także tony literatury propagandowej wszelkiego autoramentu. Większość drukowano w wydawnictwach, jakie reżim Castra zabrał prawowitym właścicielom na Kubie.

Kubańskie placówki dyplomatyczne w Ameryce Łacińskiej stały się ośrodkami propagandy, centrami działalności wyrotowej i szpiegowskiej. Wszczywały niepokoje polityczne w krajach swego urzędo-

wania. Kubańscy „dyplomaci” nawiązywali kontakty z miejscowymi dziennikarzami, z młodzieżą, z przywódcami związkowymi. We wszystkich niemal krajach Ameryki Łacińskiej zaczęły funkcjonować „towarzystwa przyjaźni” i podobne „stowarzyszenia”, za którymi kryły się prawdziwe zamiary Fidela Castro. Powołano ponad pięćdziesiąt takich „instytucji”, tworząc infrastrukturę i bazę przyszłej rewolucji.

Pod koniec maja 1960 roku Castro wysłał swego marionetkowego prezydenta, Osvaldo Dorticósa Torrado oraz ministra spraw zagranicznych, Raúla Roa wraz z delegacją wyższych oficerów, z „wizytą przyjaźni” do krajów Ameryki Łacińskiej. Rzeczywisty cel podróży był jednak inny. Chodziło o przedstawienie Kuby jako ofiary amerykańskiej agresji militarnej i gospodarczej. Na niezliczonych konferencjach prasowych Dorticós opowiadał, jak to niemal codziennie Kuba staje się celem nalotów bombowych. Samoloty startujące z Florydy „niszczą plantacje trzciny cukrowej, zrzucają bomby na zakłady przemysłowe, szpitale, a nawet na stolicę, Hawanę”.

Kuba tymczasem, deklarował Dorticós, to kraj miłujący pokój, nie mający nic wspólnego z komunizmem, kraj wolnej prasy i wolności słowa, państwo mające znakomite stosunki z Kościołem katolickim – dominującym wyznaniem w Ameryce Łacińskiej.

Castro i jego pomocnicy nie ograniczali się w swojej rewolucyjnej wizji do ziem między Rio Grande na północy i Ziemią Ognistą na południu. W istocie snuli plany, że rewolucja dotrze także do Stanów Zjednoczonych, a kubańska machina propagandowa podejmowała konkretne działania w tej mierze. Drukowano i rozprowadzano tysiące ulotek i boszur propagandowych adresowanych przede wszystkim do czarnej ludności Ameryki, zwłaszcza zaś mieszkańców nowojorskiego Harlemu i amerykańskiego Południa. Murzyńskie masy miały powstać przeciwko władzy w Waszyngtonie.

Działania propagandowe prowadzono nie tylko za pomocą materiałów drukowanych. Castro sprowadził ze Szwajcarii wyposażenie do radiostacji krótkofalowej i zaczął nadawać audycje propagandowe, adresowane do mieszkańców Ameryki Łacińskiej i południowych stanów USA. Głównym tematem tych audycji był „jankeski imperializm” i „źli ludzie w Waszyngtonie”.

Castro poczynął sobie coraz śmieiej. Być może poczuł się pewniej w siodle po oświadczeniu Chruszczowa, że Moskwa bronić będzie Kuby rakietami, gdyby Stany Zjednoczone dokonały zbrojnej agresji.

W czerwcu 1960 roku Najwyższy Przywódca zażądał, by należące do Amerykanów i Brytyjczyków rafinerie na Kubie przerobiły dwa zbiornikowce radzieckiej ropy. Taki ładunek dostarczono właśnie na Kubę. Shell, Texaco i Esso z miejsca odmówiły. W odpowiedzi Castro znacjonalizował nie tylko rafinerie, ale wszystkie obce przedsiębiorstwa.

Skonfiskowano zakłady „jankeskich imperialistów” o łącznej wartości jednego miliarda dolarów: cukrownie, browary, gorzelnie, mydlarnie, mleczarnie, młyny, rozlewnie, apteki, sklepy i domy towarowe, kina, przedsiębiorstwa budowlane i transportowe, słowem – wszystko. Pod koniec 1960 roku nie zostało już nic, co Castro mógłby jeszcze zrabować Amerykanom.

Prezydent Eisenhower zareagował energicznie i zdecydowanie. Ogłosił natychmiastowe embargo na import kubańskiego cukru. Tylko w jednym, 1960 roku, kiedy zakaz objął resztę przewidzianych na ten rok kwot eksportowych, Kuba straciła co najmniej sto milionów dolarów.

W CIA wrzało jak w ulu. Z początkiem 1960 roku, pod energicznym kierownictwem szefa Tajnych Operacji CIA, Dicka Bissella, zaczęto organizować oddziały, które wkrótce powinny wylądować na Kubie i doprowadzić do obalenia reżimu Fidela Castro. Czyniono wszystko, by świat uwierzył, że skomplikowana operacja jest dziełem kubańskich patriotów – zaciekle przeciwników Castra – a niezbędne fundusze pochodzą od życzliwych sympatyków ich sprawy. CIA weszła w porozumienie z armatorem Alfredo Garcia. Firma Garcii dysponowała biurami w Nowym Jorku i w Hawanie, a jej jednostki obsługiwały praktycznie cały eksport kubańskiego cukru, więc ich obecność na kubańskich wodach terytorialnych nie powinna budzić żadnego zdziwienia. Wyraził on zgodę na udział w operacji. Na jego statkach oddziały inwazyjne zostaną przetransportowane na Kubę.

CIA zapewniła sobie także współpracę maklera jachtowego z Miami, Charles'a C. Millsa. Ten z kolei użyczył swojej firmy do nabycia dwóch barek desantowych LCI (Landing Craft, Infantry) z demobilu. W podobny sposób także kupiono dwa pełnomorskie statki – *Blagar* i *Barbara J.* Zarejestrowano je pod fałszywą firmą w Key West na Florydzie. CIA weszła też w porozumienie z United Fruit Company, wielkim koncernem prowadzącym rozległe interesy na Karaibach, kontrolującym większość eksportu produktów rolnych w całym regionie. United Fruit zgodził się odstąpić dwa frachtowce na potrzeby operacji. Zostaną użyte do transportu wojsk, amunicji i zaopatrzenia z tajnych baz w Gwatemali na Kubę. Rozmowy z decydentami United Fruit Company prowadzono poza wiedzą zarządu firmy<sup>1</sup>.

Zalogi statków zamierzano skompletować wyłącznie spośród Kubańczyków. Szybko jednak uczyniono wyjątek. CIA nie miała zaufania do kwalifikacji kubańskich szyprów. Na stanowiska kapitańskie zwербowano więc fachowców z US Navy Military Sea Transportation Service (Służby Transportowej Amerykańskiej Marynarki Wojennej).

Zgromadzono niezbędny sprzęt lotniczy. Samoloty czekały na zalogi w bazie US Air Force (Amerykańskich Sił Powietrznych) w Eglin na Florydzie, w której funkcjonowało Special Air Warfare Center (Centrum Specjalnych Operacji Lotniczych), jednostka wsparcia lotniczego dla tajnych operacji na całym świecie. Podstawowym typem samolotu, jaki zamierzano użyć w czasie inwazji, były dwusilnikowe bombowce B-26 z czasów II wojny światowej. Na kadłubie i skrzydłach namalowano znaki lotnictwa kubańskiego, aby jeszcze bardziej uprawdopodobnić wersję, że operacja jest dziełem samych Kubańczyków. Samoloty pochodziły oczywiście z demobilu. Od czasów wojny, gdy zostały wycofane z wyposażenia US Air Force, przechodziły przez wiele rąk, więc w razie czego przeciwnikom trudno będzie udowodnić, że w istocie należą do CIA.

Powstał problem pilotów. W czasie, jaki pozostawał do dyspozycji, nie sposób było przeszkolić kubańskich uchodźców, więc CIA postanowiła zwərbować pilotów spośród lotników Gwardii Narodowej w Wirginii, Arkansas i Alabamy, którzy latali na bombowcach B-26. W Gwardii Narodowej służą rezerwiści. Jednym z nich był Albert C. „Buck” Persons. Na co dzień pracował jako pilot w firmie budowlanej w Birmingham w Alabamie. Pewnego dnia kazano mu się zameldować w biurze generała majora, George'a R. Dostera, dowódcy 117 Pułku Lotnictwa Taktycznego Gwardii Narodowej Alabamy.

– Buck – powiedział Doster – potrzebuję sześciu doświadczonych pilotów na maszyny czterosilnikowe i sześciu na B-26. Nie może to być nikt ze służby czynnej. Chciałbym, żebyś wziął C-54. Na dziś mogę ci powiedzieć tylko tyle, że będą to loty bojowe i jest to sprawa rządowa<sup>2</sup>.

Persons przyjął propozycję, nie wiedząc nawet, że jego gaża wyniesie dwa tysiące osiemset dolarów miesięcznie, nie licząc premii (była to bardzo przyzwoita suma, jak na tamte czasy). – Robota na trzy miesiące – usłyszał od generała Dostera. Z łatwością domyślił się, że chodzi o Kubę.

Niedługo potem Persons i pozostałych zwərbowanych pilotów zaproszono na spotkanie z czterema mężczyznami, którzy przedstawili się jako bogaci uchodźcy z Kubę, finansujący operację mającą na celu obalenie Fidela Castro. Kamuflaż był wyraźny. Piloci doskonale zda-

wali sobie sprawę, że ich rozmówcy to agenci CIA. A zresztą „bogaci Kubańczycy” szybko zrezygnowali z tej wersji. Zaczęli się podawać za przedstawicieli pewnej firmy elektronicznej z Nowej Anglii.

W Miami poddano pilotów drobiazgowemu sprawdzaniu. Przeszli nawet badania na „wykrywaczu kłamstw”. Później zaś załadowano ich do minibusa ze znakami Hertza, firmy wynajmującej samochody, i przewieziono na podmiejskie lotnisko. Zasiadając za sterami transportowca C-54, Persons ze zdziwieniem stwierdził, że załoga samolotu, którym przyszło mu dowodzić, składa się wyłącznie z Azjatów. Włączył silniki, wiekowa maszyna uniosła się w powietrze. Zgodnie z instrukcją Persons wziął kurs na ukryte w gwatemalskiej dżungli lądowisko Retalhuleu.

Tymczasem w rozmaitych ośrodkach na terenie całych Stanów Zjednoczonych zwerbowani uchodźcy kubańscy przechodzili intensywne szkolenie. Ci, których przeznaczono do oddziału płetwonurków, ćwiczyli w dawnej bazie hydroplanów nad rzeką Pasguolank w pobliżu Elizabeth City w Karolinie Północnej. Z kolei w Wirginii, niedaleko historycznego Williamsburga – miasta, którego dzieje sięgają początków XVII wieku – szkolono kandydatów do służby wywiadowczej, ucząc takich arkanów sztuki, jak tajna fotografia, wywiad elektroniczny, obserwacja, tajnopisy, technika mikrofilmów, tajne środki łączności oraz otwieranie zamków rozmaitego typu. Na wyspie Vieques w pobliżu Puerto Rico ćwiczyli kandydaci do oddziałów dywersyjnych, ucząc się między innymi zasad wysadzania budowli wodnych. Dowódców oddziałów inwazyjnych szkolono w Panamie, w US Army Jungle Warfare Center (Ośrodku Szkolenia do Walk w Dżungli Armii Stanów Zjednoczonych).

Oddziały pierwszego rzutu, te, których zadaniem będzie zdobycie przyczółków na Kubie, szkoliły się w bazie Trax w Gwatemali. W ich skład wchodziły wyłącznie Kubańczycy. Szkolenie prowadzili specjaliści z US Special Forces (Zielonych Beretów), elitarnej jednostki komandosów z Fort Bragg w Karolinie Północnej. Dawali nieźle popalić swoim podopiecznym. Czasu, w którym z gromady cywilów trzeba było stworzyć regularny oddział prawdziwego wojska, było naprawdę mało.

Na tym tle doszło niebawem do poważnych konfliktów. Młodzi Kubańczycy w romantycznym porywie patriotycznym, zaciągnęli się do tajnych oddziałów, natomiast kaprale z Zielonych Beretów traktowali ich brutalnie, jak zwykłych rekrutów. Rezultatem była niechęć, która z czasem przerodziła się wręcz w nienawiść. Obiektem szczególnej niechęci Kubańczyków stał się dowódca bazy, podpułkownik armii amerykańskiej, występujący pod pseudonimem „pułkownik Frank”.

Sprytny, agresywny z usposobienia, ze słomianą czupryną, nie przejmował się tym, co kubańscy podwładni pomyślą o nim i jego „jastrzębiach”, jak nazywano instruktorów z Zielonych Beretów. Uważał, że liczy się tylko jedno, a mianowicie, zadanie, to zaś, które postawiono przed nim, zamierzał wykonać bez względu na cenę.

W kierownictwie CIA w Waszyngtonie cały czas obmyślano plany najprzeróżniejszych akcji i operacji, mających na celu zdyskredytowanie Fidela Castro. Niektóre z nich były wręcz dziwaczne. Joseph Scheider, chemik ze Służb Technicznych, wystąpił z pomysłem, aby studio telewizji w Hawanie nasycić środkiem odurzającym. Chodziło o to, że kiedy Najwyższy Przywódca zasiądzie przed kamerami, by wygłosić jedną ze swoich wielkich oracji, wtedy pod działaniem środka chemicznego straci wątek i w ogóle będzie sprawiał wrażenie osoby nie panującej nad sobą. Krótko mówiąc, dojdzie do kompromitacji. Problem polegał tylko na tym, w jaki sposób wprowadzić ową substancję do studia tuż przed przybyciem Fidela.

Pojawił się także inny pomysł, polegający na tym, aby podeszwy butów Fidela posmarować pewnym związkiem talu. Zabieg taki, w teorii przynajmniej, powinien spowodować wypadanie włosów, zwłaszcza zaś z brody. Fidel bez brody, to też byłaby kompromitacja. Ale znów powstał problem techniczny, a mianowicie, gdzie i kiedy dobrać się do obuwia Castra. Uznano, że można tego dokonać, gdy Najwyższy Przywódca wystawi buty do czyszczenia w hotelu. Brakło tylko odpowiedzi na pytanie, kiedy i w jakim hotelu zastawić pułapkę.

Ale były też bardziej tradycyjne – chciałoby się powiedzieć – akcje i intrygi. Jedna z nich łączyła się z osobą pięknej, kruczoczarnej Niemki, Marie „Marity” Lorenz. Sprawa zaczęła się w lutym 1959 roku, półtora miesiąca po zwycięstwie Fidela Castro nad Batistą. Do portu w Hawanie zawinął wówczas statek wycieczkowy *Berlin* pod dowództwem kapitana Heinricha Lorenza, który na ten akurat rejs zabrał swoją dziewiętnastoletnią, pełną wdzięku córkę Maritę.

Żadny reklamy dla siebie i „nowej” Kuby Castro przyjął zaproszenie na wieczór kapitański na pokładzie *Berlina*. Usadzono go oczywiście na honorowym miejscu, wyznaczając do towarzystwa piękną Maritę, a ta zrobiła piorunujące wrażenie na Najwyższym Przywódcy. Z miejsca zaproponował jej, by została na Kubie jako jego zaufana sekretarka.

Marita odmówiła. Nazajutrz *Berlin* odpłynął, biorąc kurs na północ. Dwa tygodnie później zawinął do Nowego Jorku, gdzie już czekali wysłannicy Fidela ze specjalnym posłaniem. Castro błagał, aby

Marita zechciała jednak przybyć do Hawany. Argumentował, że potrzebuje zaufanej tłumaczki z niemieckiego.

Tym razem dziewczyna uległa. Castro przysłał specjalny samolot i Marita odleciała z Nowego Jorku na Kubę. Dano jej apartament w hotelu Havana Libre, zaraz obok apartamentu na stałe zarezerwowanego dla Przywódcy, który często zeń korzystał.

Wkrótce jednak Marita miała dość Fidela, „nowej” Kuby i w ogóle całej sprawy. W sobie tylko wiadomy sposób weszła w kontakt z agentami CIA na wyspie, a ci w tajemnicy wywieźli ją z Kuby. Ale kilka miesięcy później, zapewne za namową i pod egidą CIA, wróciła do Hawany w przebraniu zwykłej turystki. Odczekała, aż Fidel nie było w mieście. Przebrała się w oliwkowy mundur rewolucjonistki, prezent od Fidela i korzystając z klucza, który zatrzymała z czasów, gdy pełniła funkcję „tłumaczki”, wśliznęła się do apartamentu Fidela w Havana Libre. Udało się jej zebrać obfite żniwo w postaci tajnych dokumentów i map, i następnie przekazać prowadzącym ją agentom w Miami<sup>3</sup>.

Jednym z nich był ponoć Frank Fiorini, znany później jako Frank Sturgis, najemnik, który służył w oddziałach Castra w Sierra Maestra, a potem zmienił front, zbiegając do Stanów Zjednoczonych. Sturgis miał także namówić Maritę do zamachu na Fidela, za sporą sumę. Zgodziła się. Plan polegał na otruciu Fidela. Maricie wręczono dwie kapsułki z trucizną. Ukryła je w pojemniku z kremem do twarzy<sup>4</sup>.

Ciąg dalszy przedstawiał się następująco: Marita poleciała do Hawany. Odnowiła znajomość z Fidelem, co oczywiście musiało skończyć się w sypialni. Fidel kazał podać kolację do numeru, a po posiłku zasnął z cygarem w zębach. Marita uznała, że to najlepszy moment na zrealizowanie planu. Cicho wysunęła się z łóżka, pobiegła do łazienki, sięgnęła po znane sobie pudełeczko, ale kapsułek nie znalazła. Rozpuściły się w kremie. „Do diabła z tym wszystkim” – zaklęła w duchu i wymknęła się z hotelu<sup>5</sup>.

Próbowano jeszcze inaczej skończyć z Fidelem. CIA odkurzyła pewien zamysł, nad którym naukowcy pracowali przez kilka dobrych lat. Chodziło o „wyprodukowanie” nieświadomego celu zabójcy przy użyciu środka określanego kryptonimem „Karczoch”. Po podaniu tego środka z najbardziej nawet nieśmiałej i łagodnej osoby można uczynić brutalnego zabójcę i skierować jego mordercze żądze na określony „obiekt”. Chyba jednak nic z tego nie wyszło i żaden zabójca nie został „wyprodukowany”.

Na początku lipca 1960 roku na Kubę przybył, pod stosownym przebraniem i wyposażony w odpowiednią legendę na wypadek areztowania, E. Howard Hunt. Hunt to dość tajemnicza postać. Szczupły, niebieskooki, niewątpliwie inteligentny, w przygotowywanej operacji przeciwko Kubie pełnił funkcję oficera politycznego. Tymczasem miał na miejscu ocenić, czy sytuacja dojrzała już do tego stopnia, że z chwilą rozpoczęcia inwazji na Kubie wybuchnie ogólnonarodowe powstanie. Zadanie nie było łatwe. Szpieczy Castra byli wszędzie, najgroźniej zaś było w samej Hawanie, a tam właśnie wylądował Hunt.

Zatrzymał się w hotelu Vedado i udał na spacer po zatłoczonych ulicach kubańskiej stolicy. Cały czas uważał, aby nie zdradzić się żadnym podejrzanym gestem. Znał miasto, bywał w Hawanie wiele razy w dawnych czasach. Uderzyła go atmosfera terroru i represji. W kioskach, w których ongiś można było kupić „Newsweeka”, „Time’a”, „Look”, „Life” i wiele innych amerykańskich czasopism i magazynów, teraz leżały tylko propagandowe druki z Chin i Związku Radzieckiego.

Któregoś wieczoru Hunt poszedł do parku, gdzie akurat José Pardo Llada, znany propagandysta nowego reżimu, wygłaszał do kilkusetosobowego tłumu prelekcję o zagrożeniu ze strony *Yanquis* i walce klasowej. Buczał przez megafony tak skutecznie, że tłum w pewnym momencie rzucił się na przechodzących obok pięciu, nieco lepiej niż inni ubranych, Kubańczyków i przy wtórze przekleństw przepędził ich z parku.

Po powrocie do bazy Hunt zameldował swemu bezpośredniemu przełożonemu, Tracy Barnesowi, że wedle jego przekonania większość Kubańczyków stoi murem za Fidelem Castro i tylko głupiec mógłby liczyć na wybuch powstania wspierającego inwazję.

Ze swej strony Hunt przedstawił cztery propozycje działań. Pierwsza to zamordowanie Fidela. Hunt nie przebierał w słowach, zawsze mówił otwarcie i nazywał rzeczy po imieniu. Użył więc słowa „zamordować”, a nie „wyliminować”, jak to czyniono w CIA.

Hunt był człowiekiem czynu, więc nękał Barnes'a ciągłymi pytaniami, co się dzieje z jego propozycją zamordowania Fidela Castro. Barnes nieodmiennie odpowiadał, że sprawą „zajmuje się Grupa Specjalna”<sup>6</sup>.

Przygotowania do inwazji szły pełną parą, gdy 7 lipca 1960 roku zebrała się Rada Bezpieczeństwa Narodowego, aby omówić sytuację na Kubie. Sekretarz obrony, Thomas S. Gates, przedstawił komplet moż-

liwych posunięć przeciwko reżimowi Castra, od ewakuacji wszystkich obywateli USA z Kuby, po akcję zbrojną zakończoną okupacją wyspy.

Sekretarz skarbu, Robert Anderson, wystąpił z „długim i jastrzębim” przemówieniem na rzecz ogłoszenia stanu wyższej konieczności.

– To, co Castro robi na Kubie, to akt sowieckiej agresji [przeciwko Stanom Zjednoczonym] – oświadczył w konkluzji<sup>7</sup>.

W tym samym czasie sekretarz stanu Christian Herter otworzył drugi front, z nadzieją na stworzenie silnego bloku państw Ameryki Łacińskiej przeciwko Fidelowi Castro. Na zwołanej przez siebie konferencji zainteresowanych państw w Kostaryce udało mu się tak manipulować przy komunikacie końcowym, że zawierał on w rezultacie ostre potępienie „ingerencji bądź groźby ingerencji” Związku Radzieckiego w sprawy Ameryki Łacińskiej<sup>8</sup>.

# 14

## Ćwiczenia z „poprawiania zdrowia”

Około dwudziestej pierwszej 20 lipca 1960 roku do centrali wpłynął pilny szyfrogram od szefa placówki CIA w Hawanie. Placówka informowała, że pozostający na jej kontrakcie rozczarowany reżimem Kubańczyk ma wkrótce spotkanie z Raúlem Castro i w związku z tym prosi o instrukcje, jakie tematy tajny współpracownik CIA powinien poruszyć w rozmowie i jak wykorzystać zapowiedziane spotkanie.

Dużurny oficer w centrum operacyjnym z miejsca przekazał sprawę w ręce pułkownika J.C. Kinga oraz Tracy Barnes, zastępcy Dicka Bissella w wydziale tajnych operacji. Barnes, absolwent Harvardu, prawnik, służył w czasie II wojny światowej w OSS. Działał między innymi w okupowanej Francji, za co otrzymał medal. Miał doświadczenie w grach wywiadowczych.

Sześć godzin później wysłano odpowiedź do Hawany: „Centrala rozważa możliwość eliminacji czołowej trójki kierownictwa kubańskiego”. (Owa trójka to Fidel i Raúl Castro oraz „Ché” Guevara.) Pytano jednocześnie, czy kubański TW (tajny współpracownik) byłby w stanie „spowodować śmiertelny wypadek”, którego ofiarą padłby Raúl?<sup>1</sup> Za wykonanie takiego zadania TW otrzyma dziesięć tysięcy dolarów, płatne wszakże dopiero po udanej akcji. Nie ma też mowy o zaliczce, bo nie można wykluczyć, że Kubańczyk jest podwójnym agentem<sup>2</sup>.

Oficer prowadzący Kubańczyka zbladł z wrażenia, czytając szyfrogram z Waszyngtonu. Po raz pierwszy w życiu przyszło mu brać udział w operacji, której celem jest morderstwo. Opanował się i za-

dzwonił do swego agenta. Ostrożnie, jak tylko potrafił, unikając takich słów, jak „morderstwo” i „zabić”, sprecyzował zadanie.

– Chodzi – powiedział – o radykalne zminimalizowanie wpływów Raúla.

Kubańczyk niechętnie, ale jednak przyjął zadanie. Postawił tylko jeden warunek, a mianowicie, gdyby zginął, Amerykanie ufundują studia uniwersyteckie dwóm jego synom. CIA przystała na warunek<sup>3</sup>.

Nazajutrz rano do placówki CIA w Hawanie nadeszła kolejna depesza z centrali. „W wiadomej sprawie – brzmiała – wycofujemy polecenie”. Oficer, który zbladł czytając pierwszą depeszę, tym razem poczerwieniał ze zdenerwowania. Jego agent wyruszył już na zapowiedziane spotkanie z Raúlem i nie było z nim żadnego kontaktu. Oficer odetchnął dopiero dwa dni później, gdy agent pojawił się z meldunkiem, że nie znalazł jednak możliwości „doprowadzenia do wypadku Raúla”<sup>4</sup>.

Na początku sierpnia 1960 roku, tydzień przed rozpoczęciem konwencji wyborczej Partii Demokratycznej, do biurowca Senatu w Waszyngtonie, z zachowaniem dyskrecji, przybyło pięciu kubańskich uchodźców, działaczy emigracyjnego Frente Revolucionario Democrático (Demokratycznego Frontu Rewolucyjnego), koalicji antycastrowskich organizacji z siedzibą w Miami. Przybyli do stolicy na spotkanie z senatorem Johnem F. Kennedym.

Pośrednikiem, który doprowadził do tego nieoficjalnego spotkania, był – jak można się domyślać – Dick Bissell, szef tajnych operacji CIA. W kręgach Agencji uchodził za zwolennika Kennedy'ego w zbliżających się wyborach. Ale CIA niczego nie przesądzała i niczego nie zostawiała przypadkowi. Rywal Kennedy'ego, Richard Nixon, też miał doskonale informacje o poczynaniach i planach Agencji, związanych z Kubą. Było to o tyle łatwe, że Nixon jako wiceprezydent otrzymywał potrzebne wiadomości „z urzędu”. Wizyta Kubańczyków u Kennedy'ego miała zabezpieczyć interesy Agencji na drugim froncie. Chodziło o to, aby Biały Dom, niezależnie, kto w nim będzie urzędował, nadal sprzyjał akcji przeciwko Kubie.

Wśród pięciu działaczy koalicji, którzy dostąpili zaszczytu uściśnięcia dłoni senatora, a zarazem kandydata na prezydenta, byli między innymi Manuel Antonio „Tony” Varona oraz dr Manuel Artime. Łysiejący, przysadzisty Varona był premierem Kuby za prezydentury Carlosa Prío, którego administracja uchodziła za najbardziej skorumpowaną w dziejach wyspy. Sam Varona wszakże cieszył się niepoproszoną opinią. Więcej nawet, kpiono z niego, że odszedł z rządu

bez grosza przy duszy. Dwudziestoosmioletni Artime zmontował podziemną siatkę przeciwników Castra na Kubie. Został wyznaczony na politycznego kierownika planowanej inwazji.

Dwa miesiące później, we wrześniu 1960 roku, Fidel Castro z pięćdziesięcioosobowym orszakiem udawał się do Nowego Jorku na sesję Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych. Gdy tylko maszyna na typy *Britannia* wzniosła się w powietrze, Najwyższy Przywódca zwrócił się do szefa ochrony, Ramiro Valdésa, z pytaniem, czy towarzyszy im eskorta kubańskich myśliwców.

Valdés jękając się odparł, że eskorta nie została przewidziana. Castro spojrział nań stalowym wzrokiem:

– Gdybym ja był szefem CIA, to kazałbym ten samolot strącić nad morzem, głośno wołając, że to zwykły wypadek. Tak więc grozi nam niebezpieczeństwo.

Atmosfera na pokładzie samolotu specjalnego zageściła się jeszcze bardziej, gdy raptem pojawiły się cztery myśliwce. Czyżby miały sprawdzić się najgorsze przypuszczenia? CIA odczytała myśli Najwyższego Przywódcy? Po chwili jednak okazało się, że samoloty noszą znaki US Air Force i stanowią eskortę honorową, bo właśnie samolot Castra wszedł w amerykańską przestrzeń powietrzną.

Łądowanie na lotnisku Idlewild (później przemianowym na port lotniczy im. Johna F. Kennedy'ego) przebiegło bez zakłóceń. Kłopoty zaczęły się na ziemi. Amerykanie zażądali, aby wszyscy członkowie delegacji zdeponowali broń na lotnisku, co oczywiście wyprowadziło Najwyższego Przywódcę z równowagi, ale też nie miał innego wyjścia, jak zastosować się do amerykańskich przepisów. Dyszał jeszcze ze złości, gdy wreszcie wraz z całą delegacją dotarł do hotelu Shelburne na Manhattanie, w miejscu dość odległym od siedziby Narodów Zjednoczonych. Większość delegacji na sesje ONZ zatrzymuje się w hotelach w pobliżu UN Plaza, gdzie mieści się Sekretariat i sala Zgromadzenia Ogólnego, ale – czego Castro nie wiedział – żaden z tych hoteli nie zgodził się na przyjęcie Kubańczyków. Dyrekcja Shelburne też była niechętna, uległa dopiero pod naciskiem Departamentu Stanu. Menedżer hotelu, Edward Spatz, zgodził się także na prośbę Departamentu Stanu, aby wobec delegacji kubańskiej zastosować preferencyjną stawkę dwudziestu dolarów od osoby.

Tymczasem Castro, gdy tylko stanął w hotelu, zaczął się awanturować, że nad wejściem wisi flaga amerykańska i zażądał, by wywieszono również flagę Kuby. Tego już dla Spatza było za dużo. Odmówił. Nie był to wszakże koniec awantury. Castro wystąpił z oskarże-

niem, że hotel chce go oszukać, dyrekcja zażądała bowiem od kubańskich gości dziesięciu tysięcy dolarów tytułem zaliczki za wynajęte pokoje.

Castro postanowił skorzystać z okazji i wymyślił manewr, który, jak mniemał, zyska mu sympatię wśród krajów rozwijających się, zwłaszcza zaś afrykańskich. Snuł przecież plany o wciągnięciu ich w orbitę światowej rewolucji.

Przez dwadzieścia cztery godziny Kubańczycy nie ruszali się na krok ze swoich pokoi, po czym, na oczach zgromadzonych tłumów, dziennikarzy i ekip telewizyjnych, cała delegacja opuściła hotel.

– Nie dam się okradać – oświadczył dumnie Najwyższy Przywódca, zajmując wraz z orszakiem miejsca w czekających limuzynach. Z piaskiem opon cała kolumna ruszyła w stronę Harlemu, murzyńskiej dzielnicy nowojorskiej metropolii, gdzie delegacja kubańska zainstalowała się w nędznym hotelu Theresa. Windy tam nie działały, w łazienkach nie sposób było spuścić wody, ale Castro postawił na swoim. Zamanifestował, że ma gdzieś „kapitalistów” ze śródmieścia, bo woli być ze „swoimi” w Harlemie, choć ci „swoi” bez żenady zdarli z niego skórę. Stawki w hotelu Theresa były wielokrotnie wyższe niż w Shelburne, ale też Castro nie liczył się z kosztami, gdy szło o reklamę w skali międzynarodowej.

– Moje miejsce jest wśród biedaków, wśród mieszkańców Harlemu – oświadczył reporterom, szykując im jeszcze jeden smakowity kąsek.

Zaprosił mianowicie dwanaście czarnoskórych osób z personelu hotelu, aby zasiadły z nim do kolacji. Wszystkie to rejestrowały kamery telewizji amerykańskiej, ale gdy tylko ekipy zwinęły sprzęt, Castro zostawił swoich gości samych.

Przemówienie Fidela Castro na sesji Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych wyznaczono na szesnastą. Już o czternastej na galerii dla publiczności i w ławach prasowych nie było jednego wolnego miejsca, tak jakby rzeczywiście chodziło o wydarzenie na miarę historii przez duże „H”.

Debaty w ONZ rządzą się swoimi prawami, przestrzega się określonych tradycji i dobrych obyczajów, a to oznacza także, że używa się języka dyplomatycznego w najostrzejszych nawet sporach. Zdaniem brytyjskiego sprawozdawcy ONZ, Edwina Tetlowa, zasady te w czasie tejże sesji złamały dwie osoby – Nikita Chruszczow i Fidel Castro. W każdym razie Tetlow obejrzał ich występy z niesmakiem, skojarzyły mu się z błazeńskimi występami hollywoodzkich komików Flipa i Flapa. Ale gdy Chruszczow usiłował w hałaśliwy sposób zagłuszyć wystąpie-

nie brytyjskiego premiera, Anthony Macmillana, który akurat wzywał do „wzajemnego zrozumienia między Wschodem a Zachodem”, to zaraz w sukurs ruszył mu Castro, jeszcze bardziej hałaśliwie manifestując poparcie dla swego sowieckiego mentora.

Castro, ubrany jak zwykle w oliwkowy mundur wojsk rewolucyjnych, wkroczył na mównicę w sali Zgromadzenia Ogólnego NZ punktualnie o szesnastej. Zaczął przemówienie i mówił, mówił, mówił... Z miejsca opowiedział się po stronie Moskwy. Wychwalał Chruszczowa za jego „propozycje rozbrojeniowe, służące sprawie światowego pokoju”, na co ten zareagował oklaskami. Wzniósł tłuste ręce nad głowę i hałaśliwie bił brawo, prowokując owację. Najwyższy Przywódca tymczasem ruszył do ataku na Stany Zjednoczone. – Amerykańscy „monopolisci i ciemniźcyiele” – powiedział – chcieli zamienić Kubę w swoją własną kolonię.

Przewodniczący sesji, irlandzki dyplomata, Frederick Boland, bez powodzenia próbował przywołać Castra do porządku, gdy ten, wbrew dobremu obyczajom, zaczął pogardliwie wyrażać się o kandydatach na prezydenta USA – Richardzie Nixonie i Johnie Kennedym – nazywając ich „bezmózgowcami”. Kennedy, zdaniem Castra, to „analfabeta i głupi milioner”, który zresztą, jak i Nixon, próbuje doprowadzić do zbrojnej rewolty na Kubie<sup>5</sup>.

Przemawiał cztery godziny i dwadzieścia sześć minut. Było to najdłuższe przemówienie w dziejach ONZ. Absolutny rekord. Gdy skończył, ci, którzy jeszcze nie zasnęli, zgotowali mu owację.

Godzinę później Castro pospieszył do siedziby delegacji Czechosłowacji i spędził tam dobre trzy godziny. Czechosłowacja była wtedy w bloku radzieckim głównym eksporterem broni.

Od niejakiego już czasu w jednej z komórek Służb Technicznych CIA, znanej pod nazwą „Komisja do spraw poprawy stanu zdrowia”, prowadzono badania nad środkami chemicznymi, za pomocą których można by wpływać na umysłowość człowieka, a także nad śmiertelnymi toksynami, nie pozostawiającymi wykrywalnych śladów w organizmie. Pracowano także nad związkami chemicznymi, które można by wykorzystać przeciwko Fidelowi Castro. W CIA nie brakowało autorytetów wyrażających pogląd, że najskuteczniej uporano by się z Castrem, gdyby udało się zniszczyć jego publiczny wizerunek *macho*<sup>6</sup>.

Powstał więc projekt, by podsunąć mu pudełko jego ulubionych, ale odpowiednio spreparowanych cygar. Miano je nasycić środkiem powodującym wypadanie włosów. Krótko mówiąc, gdy Fidel wypali kilka sztuk, straci brodę, a bez brody nie będzie już tym samym, po-

budzającym wyobraźnię, rewolucjonistą. Planowano, że „trefne” pudełko cygar podrzuci mu się w czasie występu w telewizji, został bowiem zaproszony do udziału w popularnym wówczas talk show znanego dziennikarza Davida Susskinda.

Zasięgnięto opinii Davida Phillipsa, specjalisty w zakresie propagandy a zarazem eksperta CIA w kwestiach wojny psychologicznej. Pytanie brzmiało, czy wizerunek Fidela ucierpi, gdy pozbawi się go brody. – Ależ oczywiście – odparł autorytatywnie Phillips. Powstał wszakże problem: co się stanie, jeśli spreparowane cygara trafią przypadkiem w obce ręce, gdy, na przykład, David Susskind wypali takie cygaro i wyłysieje? <sup>7</sup>

Dwa dni po przemówieniu na forum Zgromadzenia Ogólnego – telewizja kubańska transmitowała je na żywo – Castro zaczął szykować się do wyjazdu z Nowego Jorku. Wtedy to do hotelu dostarczono podejrzany pakiet adresowany do Najwyższego Przywódcy. Obawiając się, że w pakiecie może być bomba, ochrona Castra wezwała pirotechników z policji nowojorskiej. Ci otworzyli paczkę. Bomby nie było. W pakiecie znajdowało się pięć kilogramów proszku na pchły. Anonimowy nadawca zatroskał się widać o stan zmierzwionych czupryn i bród Castra i jego orszaku.

Pałacyni Najwyższego Przywódcy spakowali zakupy poczynione przezeń w Nowym Jorku: lodówkę, dwie klatki z białymi myszami i cały zestaw pluszowych zabawek dla dzieci. Zapowiadał się triumfalny powrót do Hawany.

Tymczasem okazało się, że samolot Najwyższego Przywódcy – *Britannia* w barwach kubańskich linii lotniczych – został... zaaresztowany na polecenie amerykańskiego sądu federalnego. Sąd podjął taką decyzję na wniosek pewnej agencji reklamowej z Miami, która zażądała zatrzymania samolotu jako zabezpieczenia na poczet długu rządu kubańskiego. Agencja przedstawiła dowody, że Kuba nie zapłaciła jej należnych dwustu osiemdziesięciu pięciu tysięcy dolarów. Uziemiony w gnieździe wroga Castro zwrócił się o pomoc do przyjaciela, Nikity Chruszczowa, prosząc o wypożyczenie jego maszyny. Ten oczywiście nie odmówił. Cały zaś incydent Castro postanowił zdykontować propagandowo.

– Spójrzcie tylko – zwrócił się Najwyższy Przywódca do tłumu reporterów i ekip telewizyjnych na lotnisku – Ameryka zabiera samolot, a Związek Radziecki daje. Widać jak na dłoni, kto jest przyjacielem, a kto wrogiem!

Chodziło oczywiście o przedstawienie Wuja Sama jako bezdusznego krwio pijcy. Nie wzbudziło to zainteresowania prasy. Jeden z reporterów zaczął z innej beczki.

– Czy pański rząd jest komunistyczny? – zapytał.

Castro poczerwieniał ze złości. – Komunizm! Dlaczego nie zapyta pan CIA? <sup>8</sup>

Zaraz po wylądowaniu w Hawanie pożyczonym od Chruszczowa *Hem-18*, Najwyższy Przywódca pospieszył do Pałacu Prezydenckiego, przed którym pretorianie już zgromadzili ponad trzydziestotysięczny tłum. Castro wyszedł na balkon i zaczął przemawiać. Amerykę określił jako państwo wrogie wobec Kuby:

W czasie dziesięciu dni pobytu w Nowym Jorku amerykańscy „oprawcy” pobili setki Kubańczyków, w tym kobiety i dzieci.

W Ameryce prześladowane są Murzynów, a wielkie monopole eksploatują rolników. Prasa to „imperialistyczna bestia”, dziennikarze kłamią i oglupiają ludzi. Jakże inaczej przedstawia się Kuba, kraj wolny, w którym ludzie są dobrze zorientowani i znają prawdę! <sup>9</sup>

## Tajniacy i „załatwianie Fidela”

We wrześniu 1960 roku Miami zaczęło coraz bardziej upodabniać się do Hawany. Z dnia na dzień rosła liczba uchodźców z Kuby. Przedostawali się na Florydę, jak tylko mogli. Niektórzy łodziami, inni na tratwach, a bywało, że docierali do Ameryki nawet na beczkach po ropie. W mieście pojawiły się hiszpańskojęzyczne napisy. Wieczorami tłumy uchodźców wylegały na ulice Miami, włóczęc się bez celu.

W mieście i najbliższej okolicy działało ponad sto emigracyjnych organizacji, stowarzyszeń, grup i związków. Od niewielkich, wręcz miniaturowych, które skupiały najbliższą rodzinę, po spore, z wieloma tysiącami członków, jak choćby Frente Revolucionario Democrático, na którego czele stał Antonio Varona, były przewodniczący Senatu kubańskiego, ten sam, który przed dwoma miesiącami uczestniczył w otoczonym tajemnicą spotkaniu z Johnem Kennedym w Waszyngtonie.

Wśród emigrantów krążyło, jak oceniano, około dwustu agentów wywiadu Fidela Castro. Starali się przenikać do emigranckich organizacji i stowarzyszeń, a przede wszystkim zbierać materiały o ich związkach z CIA i o roli, działaniach oraz zamierzeniach Agencji w związku z Kubą. Trop w trop za nimi podążali funkcjonariusze FBI. Ilu ich było, trudno powiedzieć. Wiadomo tylko, że starali się mieć oko na agentów Castra, szpiegujących jego przeciwników<sup>1</sup>.

Tymczasem kierownictwo Frente Revolucionario Democrático powołało pułkownika Martina Elenę na szefa spraw wojskowych. Elena nie cieszył się zbyt dobrą opinią. Uważano go raczej za dość mernego oficera i działacza, więc jego nominacja spotkała się z chłodnym przy-

jęciem wśród liderów emigracji. Howard Hunt, oficer polityczny operacji kubańskiej z ramienia CIA, powiadomił Elenę, że ma się on zająć przede wszystkim opracowaniem planu operacji i na ten czas otrzyma stosowną kryjówkę w Miami.

Elena był zachwycony. Nie wiedział, że w istocie został odstawiony na boczny tor, a plany, jakie sporządzi, nie będą miały najmniejszego znaczenia. Nikt się nimi nie zainteresuje i nie one decydować będą o przebiegu operacji w „I-Day” – Invasion Day (Dniu Inwazji na Kubę). Konkretnie plany w tym względzie powstawały w Waszyngtonie, pracowali nad nimi specjaliści z Pentagonu i CIA, co jednak nie znaczy, że z pracami Eleny nie wiązano pewnych nadziei. Otóż liczone się z tym, że to, co wymyśli Elena, może trafić w ręce szpiegów Castra. Korzyść z takiego obrotu spraw polegałaby na tym, że przeciwnik zostałby wprowadzony w błąd.

A tymczasem okazało się, że cały system zabezpieczeń i ochrony zamierzonej operacji szwankuje, jak świadczył o tym incydent, do jakiego doszło w pewnym motelu niedaleko lotniska w Miami. W tym właśnie motelu wynajęła pokój przebywająca na Florydzie na urlopie pewna sekretarka-stenotypistka, mająca rodzinne kontakty z FBI – jej brat pracował w biurze. Zwróciła ona uwagę na dość głośną rozmowę w pokoju obok, a że owo sąsiednie pomieszczenie oddzielały od jej pokoju cienkie i nieszczelne, bo z dwucalową szparą u dołu, drzwi, słyszała dokładnie każde słowo. W głosach dwóch mężczyzn za drzwiami pobrmiewał twardy, hiszpański akcent. Stenotypistka doszła do wniosku, że za ścianą siedzi dwóch kubańskich szpiegów i zaczęła spisywać treść rozmowy, po czym przekazała stenogram bratu z FBI. Biuro natychmiast wszczęło śledztwo. Okazało się jednak, że jednym z rozmówców był Frank Bender, oficer CIA, odpowiadający w sztabie w Waszyngtonie za polityczną stronę operacji kubańskiej.

Prawdziwe nazwisko Bendera brzmiało Drucher. Pochodził z Niemiec, skąd przed laty wyemigrował, uzyskując azyl w Ameryce. Ku niezadowoleniu Hunta, który odpowiadał za sprawy polityczne w Miami, Bender, choć nie powinien, często zaglądał na Florydę, wprowadzając zamieszanie wśród miejscowych agentów CIA, i ich kubańskich podopiecznych, według bowiem kompetencji powinien ograniczać się do Waszyngtonu i Nowego Jorku.

W motelu, w którym podsłuchiwała go sekretarka, konferował z jednym z liderów emigracji kubańskiej, oczywiście w tajemnicy przed Huntem i innymi funkcjonariuszami CIA z Miami. FBI przedstawiła wyniki śledztwa decydentom odpowiedzialnym za ochronę i bezpieczeństwo w CIA. Bender dostał ostrą naganę.

Nie był to wszakże jedyny incydent. Zabezpieczenie operacji kubańskiej pozostawiało wiele do życzenia, a nie tylko Bender wykazał się brakiem ostrożności. Hunt wynajmował w Miami jednopokojowe mieszkanie, a odwiedzało go tam tak wielu gości, że wzbudziło to podejrzania sąsiadów, zawiadomili więc policję. Ta zajęła się sprawą. Detektyw z komendy w Miami, udając agenta ubezpieczeniowego, zaczął rozpytywać o Hunta. Dotarł między innymi do właścicielki domu, a ta wyraziła opinię, że Hunt jest zapewne bukmacherem, a w jego mieszkaniu funkcjonuje chyba nielegalny totalizator.

Hunt nie miał innego wyjścia, jak rozejrzeć się za większym mieszkaniem i takim miejscem, w którym duża liczba gości nie będzie nikogo kłuła w oczy. Znalazł nawet odpowiedni dom w podmiejskiej dzielnicy Coral Gables, nad samą zatoką. Gdy jednak właściciel domu zadzwonił pod podany przezeń numer, żeby – jak to się zwykle czyni przy tego typu transakcjach – sprawdzić wiarygodność kredytową potencjalnego lokatora, usłyszał w słuchawce, że nigdy nie słyszano o kimś takim jak Hunt. Nadgorliwy agent CIA, on to bowiem odebrał telefon od właściciela domu, uznał, że jakakolwiek informacja o Huncie mogłaby go zdekonspirować.

Do wynajmu nie doszło. Właściciel stwierdził, że ma do czynienia z podejrzanym osobnikiem, pewnie gangsterem z Nowego Jorku albo Chicago. Hunt musiał poszukać czegoś innego. Znalazł wreszcie niewielki dom w dzielnicy Coconut Grove. Był nawet zadowolony, bo miejsce było idealne na tajne spotkania. Dom i wejście osłaniały liczne drzewa. Najbliższej sąsiadce, życzliwie usposobionej wdowie w średnim wieku, Hunt szepnął, że szuka samotności, aby dojść do siebie po bardzo nieprzyjemnej sprawie rozwodowej. (W rzeczywistości Hunt żył w szczęśliwym stadle małżeńskim.)

Ale wdowa okazała się wścibska i pewnego dnia zainteresowała się, dlaczego jej sąsiada odwiedzają „obce typy”. Hunt wyjaśnił wtedy, że jest współwłaścicielem spółki promującej pewnego obiecującego boksera zawodowego pochodzącego z Kuby i że w domu odbywają się narady związane z jego karierą.

Wyjaśnienie to chyba nie przekonało wdowy. Przyznała bowiem później, że z córką, przystojną blondynką występującą w reklamówkach telewizyjnych, doszły do wniosku, że ich sąsiad to pewnie pederasta, bo jak inaczej wytłumaczyć owe ciągłe, męskie wizyty<sup>2</sup>.

18 października 1960 roku, na niespełna miesiąc przed wyborami prezydenckimi, dyrektor FBI, J. Edgar Hoover, poinformował szefa CIA, Allena Dullesa, że Sam „Moo Moo” Giancana, jeden z bossów

mafii w Chicago, planuje zabójstwo Fidela Castro, a przynajmniej macza palce w spisku, mającym taki właśnie cel. Wiadomość uzyskana w wyniku podsłuchu telefonicznego, jaki kilka tygodni wcześniej FBI założyło u Giancana w ramach operacji rozpracowywania świata zorganizowanej przestępczości<sup>3</sup>.

Nie wszyscy w CIA byli zaskoczeni rewelacjami Hoovera. W istocie za planami mafii stał nie kto inny, jak Richard Bissell. On to bowiem był pomysłodawcą planu, który zrodził się przed dwoma miesiącami. Bissell rozumował następująco: skoro w wyniku castrowskiej rewolucji mafia została pozbawiona krociowych zysków, jakie czerpała z hazardu, prostytucji i przemytu alkoholu na Kubę, i skoro musiała pospiesznie opuszczać wyspę, żeby zdążyć ująć przed Fidelem, to ma wszelkie powody, aby załatwić, a przynajmniej chcieć załatwić, Najwyższego Przywódcę<sup>4</sup>.

Bissell skontaktował się z ekspertem od tajnych operacji, Robertem A. Maheu, byłym etatowym funkcjonariuszem FBI, a obecnie ryczałowym współpracownikiem CIA i powierzył mu specjalne zadanie. Maheu miał dotrzeć do ludzi w mafii i, przedstawiając się jako reprezentant pewnej grupy finansistów z Wall Street i międzynarodowych korporacji, poinformować kogo trzeba, że jego mocodawcy utworzyli określony fundusz na rzecz „załatwienia” Fidela Castro. W rozmowach z mafią Maheu miał użyć znanego tylko wtajemniczonym słowa „tweep”. W żargonie CIA oznacza ono „ostateczną likwidację”. Jednocześnie jednak poczyniono wszelkie starania, aby nikt nie dopatrzył się związków Maheu z CIA.

Maheu umówił się z niejakim Johnnym Rosellim, delegatem mafii w Los Angeles i Las Vegas. Spotkali się w Hollywood, w modnej restauracji Brown Derby, do której chadzała „cała branża filmowa”. Roselli odniósł się do sprawy wręcz entuzjastycznie. Wyraził opinię, że zapewne da się do niej namówić dwóch bossów mafii, którzy musieli związać interesy na Kubie, a mianowicie „Moo Moo” Giancanę i Santa „Sama” Trafficante.

Wkrótce jednak doszło do dekonspiracji Maheu. Roselli zaczął się domyślać, że pod przykrywką „finansistów z Wall Street” w istocie kryje się CIA, ale z misji nie zrezygnował. Uznał ją, jak twierdzili niektórzy, za swój patriotyczny obowiązek. Z drugiej wszakże strony warto zwrócić uwagę, że Roselli był nielegalnym imigrantem. Niewykluczone więc, że „patriotyczny obowiązek” traktował jako polisę ubezpieczeniową na wypadek, gdyby chciano go deportować.

Giancanę perspektywa pozbycia się Castra wręcz podnieciła. Odmówił jednak, podobnie jak i Roselli, przyjęcia stu pięćdziesięciu ty-

sięcy dolarów, jakie CIA gotowa była wypłacić za „pomoc”. Być może kalkulowali sobie, że wdzięczność rządowej agencji da im w przyszłości znacznie większe korzyści niż pieniądze.

Giancana był niekwestionowanym szefem mafii w Chicago. W latach wojny nie dał się wziąć do wojska. Jego „dorobek” to przede wszystkim prominentne miejsce na liście FBI dziesięciu najbardziej poszukiwanych przestępców. Sześćdziesiąt razy trafiał do aresztu, w tym trzy razy pod zarzutem morderstwa, jeszcze jako nieletni. Obracał się w towarzystwie hollywoodzkich znakomitości. Do jego przyjaciół zaliczał się Frank Sinatra, a oficjalną sympatią była kusząca Phyllis McGuire, piosenkarka występująca w popularnym ówczesnie trio Siostr McGuire. „Naręczona”, nawiasem mówiąc, była młodszą od oblubieńca o całe ćwierć wieku.

Robert Maheu, człowiek dynamiczny, przebiegły i zdecydowany, stuprocentowy profesjonalista, znakomicie nadawał się do roli wykonawcy planu CIA. Wywodził się ze stanu Maine. Skończył najpierw College Holy Cross (Świętego Krzyża), a następnie Wydział Prawa na waszyngtońskim Georgetown University. Zaraz potem, co zbiegło się z wybuchem II wojny światowej, wstąpił do FBI. Przez sześć lat był oficerem operacyjnym i, jak powiadano, należał do ulubieńców dyrektora. W każdym razie ceniono go w pracy, więc pewne zdziwienie musi budzić fakt, że wystąpił ze służby w 1947 roku, mając ledwie trzydzieści lat.

Poszedł „na swoje”. W 1954 roku otworzył firmę w Waszyngtonie o nazwie „Robert A. Maheu Associates” i rozpoczął nową karierę – agenta do wynajęcia. Miał doskonałe kontakty, „superukłady”, w rządzie, policji, agendach wywiadowczych, w wielkim biznesie, ale także w podziemiu przestępczym. Najlepsze chyba koneksje miał w samej CIA. Brał przecież z Agencji miesięczny ryczałt za wykonywanie rozmaitych „trudnych misji” (to jego termin), a także za udostępnianie szyldu swojej firmy jako przykrywkę dla pewnych tajnych operacji wywiadowczych<sup>5</sup>.

Był zawodowcem. O takich, jak on, powiada się w branży „consummate spook”, a terminem tym określa się specjalistów najwyższej klasy, skutecznych, co to wiedzą, kiedy pójść na siłę, a kiedy sięgać po inne środki, niekoniecznie zgodne z prawem.

W 1956 roku Maheu został głównym „spookiem” u Howarda Hughesa – wielce „ekscentrycznego”, jak powiadano, choć raczej słowo „paranoik” byłoby bardziej na miejscu – miliardera. Ongiś bywalec w najlepszych kręgach towarzyskich, Hughes po II wojnie światowej zamknął się w luksusowym apartamencie na najwyższym piętrze jed-

nego z hoteli w Los Angeles. „Bo jest chorobliwie nieśmiały” – powiadano, co było nonsensem. W każdym razie nie wychodził ze swojej samotni, choć nadal żelazną ręką kontrolował rozliczne interesy. Bezpośredni dostęp do Hughesa miała tylko garstka najbardziej zaufanych współpracowników, a wśród nich właśnie Maheu. Mniej więcej co dwa tygodnie latał do Los Angeles na spotkania z Hughesem, a w imperium Hughesa odgrywał specyficzną rolę. Inwigilował dyrektorów przedsiębiorstw należących do Hughesa, przekazywał w jego imieniu milionowe datki na cele polityczne (głównie związane z konserwatystami republikańskimi), wprowadzał w firmach Hughesa system szyfrowania danych, aby nie dopuścić do tajemnic szefa nikogo niepowołanego, „organizował” sobowtóry Hughesa, którzy zastępowali go przy pewnych publicznych okazjach.

Na zlecenie Hughesa załatwiał kiedyś dyskretną sprawę z niejakim Stuartem Cramerem III, oficjalnie jednym z dyrektorów wielkiej firmy lotniczej Lockheed w Kalifornii Południowej, nieoficjalnie cichym agentem CIA. Cramer ubiegał się o wdzięki pięknej Jean Peters, gwiazdy z Hollywood, w której również kochał się Hughes.

Maheu sprawdził najpierw w CIA i rzeczywiście okazało się, że Cramer jest pracownikiem Agencji, o czym oczywiście poinformował Hughesa. Tymczasem Jean Peters wyszła za Cramera, ale małżeństwo trwało krótko. W grudniu 1956 roku Cramerowie rozeszli się. Wkrótce potem, na wiosnę 1957 roku, piękna Jean wyszła za Hughesa.

Tymczasem, we wrześniu 1960 roku, po spotkaniu w Brown Derby, Maheu z Johnnym Rosellim udali się razem do Nowego Jorku. Zatrzymali się w luksusowym hotelu Plaza. Wkrótce dołączył do nich Jim O'Connell, oficer operacyjny z CIA. We trójkę odlecieli do Miami. Stanęli w równie eleganckim, jak Plaza, hotelu Fontainebleau i tam doszło do spotkania z „Moo Moo” Giancaną i „Samem” Trafficante. Ten pierwszy przedstawił się jako Sam Gold, drugi jako Joe, a O'Connell wystąpił pod nazwiskiem Jim Olds.

Trafficante szefował mafii na Florydzie, wcześniej działał w Nowym Jorku. Ciążyły na nim uzasadnione podejrzenia o wielokrotne morderstwa. Gdy Meyer Lansky i inni szefowie podziemia przezornie opuścili Kubę wzorem Fulgencio Batisty w sylwestra 1958 roku, Trafficante jako jedyny spośród mafiosów został w Hawanie.

Castro z miejsca wsadził go za kratki, ale traktował ulgowo. Trafficante miał się w castrowskim więzieniu wcale nieźle, co nie jednemu dawało do myślenia, że być może Najwyższy Przywódca i „wróg ludu” weszli w jakiś układ, który czymś tam zaowocuje w przyszłości. Trafficante przyjmował w więzieniu mnóstwo wizyt rozmaitych kum-

pli ze Stanów. Był wśród nich drobny mafioso z Dallas, Jack Ruby (ten sam, którzy cztery lata później zastrzeli na oczach całego świata Lee Harveya Oswalda, głównego podejrzanego o zabójstwo prezydenta Johna F. Kennedy'ego).

Po zwolnieniu z więzienia, co nastąpiło we wrześniu 1959 roku, Trafficante wrócił na Florydę i, jak powiadano, do nielegalnych interesów. Część jego gangu została na Kubie.

Zwolnienie Trafficante wywołało niejakie zdziwienie w kręgach emigrantów kubańskich w Miami. Zastanawiano się, jak do tego doszło, dlaczego Castro uwolnił gangstera. Krążyły różne w związku z tym teorie i pogłoski, a nie brakło i takich, że trzymano go za kratami, aby przekonać świat, że Castro serdecznie go nie znosi, podczas gdy w rzeczywistości Trafficante został jego agentem i w tym charakterze pozwolono mu wrócić na Florydę<sup>6</sup>.

Tymczasem Trafficante zgodził się na udział w spisku przeciwko Fidelowi i swoimi kanałami zwerbował pewnego chętnego uchodźcę z Kuby, który za dziesięć tysięcy dolarów (z funduszy CIA) podjął się wykonania zadania. Fidela zamierzał „załatwić” za pomocą trucizny. Znał, jak zapewniał, pewną kobietę, pracującą w ulubionej restauracji Fidela w Hawanie i ona to miała podać mu truciznę, a konkretnie jad kiełbasiany, który, jak wyjaśnił Kubańczyk, nie zostawia żadnych śladów. Dwa dni po spożyciu zatrutego jedzenia Fidel zejdzie z tego świata, niby to na skutek przypadkowej, nie budzącej głębszych podejrzeń choroby.

Wszystko byłoby w porządku i plan zostałby wykonany, gdyby nie atak zazdrości, jaki nagle ogarnął „Moo Moo” Giancanę. Otóż doszło do niego, że ukochana Phyllis McGuire ma ponoć romans z Danem Rowanem, popularnym aktorem i konferansjerem telewizyjnym\*. Giancana rwał się do Las Vegas, bo tam właśnie piękna Phyllis miała mu przyprowadzić rogi, ale Maheu przytrzymał go w Miami, obiecując, że osobiście sprawdzi, czy Phyllis rzeczywiście zadaje się z Rowanem. Przyrzekł, że postara się założyć podsłuch w apartamencie Rowana w hotelu w Las Vegas.

Jak obiecał, tak zrobił. Za tysiąc dolarów z funduszy CIA najął kogo trzeba w Las Vegas. Ów ktoś z kolei najął odpowiedniego wykonawcę, a ten z odpowiednimi narzędziami zakradł się do pokoju

\* Późniejszym gwiazdorem wielce udanego, klasycznego dziś, programu rozrywkowego „Rowan and Martin Laugh-In”, w którym debiutowała Goldie Hawn [przyp. tłum.].

Rowana. Miał jednak pecha, bo nakryła go pokojówka i trafił w ręce lokalnej policji.

Stawiało to pod znakiem zapytania spisek przeciwko Fidelowi, bo Giancana cierpiał z powodu zawiedzionej miłości. Maheu zwrócił się więc do CIA z prośbą o pilną interwencję w Las Vegas. Tak też się stało. CIA zwróciła się do Departamentu Sprawiedliwości z wnioskiem o zwolnienie biedaka, który włamał się do hotelowego numeru gwiazdora telewizji, tłumacząc, że chodzi o sprawę dotyczącą „bezpieczeństwa narodowego”.

Można więc było przystąpić do realizacji właściwego planu. Truciznę przemycono na Kubę. Dostarczono kuchennej w ulubionej restauracji Fidela. Wszystko zapięto na ostatni guzik, gdy tymczasem Fidel przestał tam przychodzić. W rzeczy samej nigdy już jego noga nie stanęła w tym lokalu. Robert Maheu i co poniektórzy w CIA nabrali podejrzeń, że Najwyższy Przywódca musiał zostać uprzedzony o spisku, zapewne przez Trafficante.

W połowie października do tajnej bazy Trax w Gwatemali zaczęto dostarczać całymi skrzyniami nowoczesny sprzęt wojskowy. Skrzynie nie miały żadnych oznaczeń, samoloty, którymi je przywożono też, a za sterami siedzieli anonimowi piloci. Żadnych śladów, żadnych nazwisk. (Można oczywiście założyć, że obsługa samolotów to ludzie zwerbowani z jednostek Gwardii Narodowej.) Pod ręką energicznego pułkownika Franka gromada kubańskich cywili nabierała cech prawdziwego wojska. Oddział przybrał nawet nazwę, Brygada 2506, a to na cześć Carlosa Santany, pierwszego spośród nich, który zginął. Miał on właśnie numer 2506, zginął zaś w wypadku podczas szkolenia.

Dowódcą brygady został dwudziestodwuletni José Pérez San Román, zwany „Pepe”. Mimo młodego wieku był doświadczonym oficerem. Służył w armii kubańskiej za demokracji, za dyktatury i, krótko, pod rządami Fidela Castro.

Wysoki, szczupły, raczej zamknięty w sobie, siedział w batistowskim więzieniu, gdy mesjasz zszedł z Sierra Maestra na początku 1959 roku. Po stosunkowo krótkim romansie z armią rewolucyjną ponownie trafił do więzienia, ale udało mu się zbiec. Wylądował w Miami. Znalazł się w grupie wybrańców, którzy przeszli przeszkolenie w Fort Benning w Georgii i Fort Belvoir w Wirginii. Ze swoim doświadczeniem i po takim przeszkoleniu nie miał w istocie rywali do stanowiska dowódcy Brygady 2506.

Podział brygady na cztery bataliony był dziełem pułkownika Franka. Dowódców batalionów dobrał jednak San Román. Szefem pier-

wszego, spadochronowego, został Alejandro del Valle, drugiego, piechoty, Hugo Sueiro, trzeciego, pancernego, Erneido Olivo, a czwarty, artyleryjski, objął Roberto San Román, brat „Pepe”.

Brygada, zwana w kręgach emigrantów Armią Wyzwoleńczą, miała w istocie charakter kadrowy. Frank zakładał, że zaraz po lądowaniu na Kubie do brygady zaczną się garnać tysiące ochotników, tak przynajmniej zapewniali go decydenci z centrali CIA w Waszyngtonie. Bataliony więc miały w istocie obsadę kompanii, a kompanie plutonów.

Plany operacyjne lądowania na Kubie – kryptonim „Pluto”, według terminologii Pentagonu – opracował pułkownik Jack Hawkins z Piechoty Morskiej razem z Jacobem Esterline'em z CIA<sup>7</sup>. Hawkinsa, pseudonim „pułkownik Alcott”, oddelegowano do CIA na osobistą prośbę Allena Dullesa. Korpus Piechoty Morskiej miał bogate doświadczenie w walkach partyzanckich na zapleczu wroga, wyniesione z walk przeciwko Japończykom na Pacyfiku w czasie II wojny światowej, zwłaszcza zaś z działań na filipińskiej wyspie Mindanao.

Tymczasem pod koniec października 1960 roku ludzie zaangażowani w przygotowanie operacji „Pluto” doznali autentycznego szoku, gdy „La Hora”, gwatemalska gazeta stołeczna, doniosła na pierwszej stronie, że szykuje się inwazja na Kubę i w sprawie macza palce Centralna Agencja Wywiadowcza.

# 16

## „Głupie gołowąsy”

Jesienią 1960 roku para „głupich gołowąsów”, jak nazwał ich Fidel Castro, starła się w jednej z najostrzejszych kampanii wyborczych we współczesnych dziejach. Walka republikanina Richarda Nixona z demokratą Johnem F. Kennedym przeszła do historii jako klasyczny przykład zmagania konserwy z liberałem. Inteligentnego, ale pozbawionego poczucia humoru i raczej nadętego Nixona okrzyknięto jastrzębiem w odniesieniu do Kuby i zapiekłym antykomunistą, podczas gdy wytworny i dowcipny Kennedy uchodził w obu tych kwestiach za gołębia.

Problem Kuby i Fidela Castro zdominował całą kampanię. Amerykanie niepokoiłi się, że zaledwie sto czterdzieści cztery kilometry od ich wybrzeży komuniści stworzyli sobie przyczółek. Dwójka kandydatów prześcigała się we wzajemnych oskarżeniach o zbyt „miękkie stanowisko wobec komunistów”. Kennedy obarczył administrację Nixona – Eisenhowera odpowiedzialnością za oddanie Kuby w ręce Fidela Castro.

Niemal wszyscy członkowie klanu Kennedych pracowali usilnie na rzecz Jacka. Tylko stary Joe nie pokazywał się publicznie. Znano go jako zdecydowanego konserwatystę. Przeciwnicy polityczni wytoczyli przeciw niemu zarzut o antysemityzm (przypominając, że w roku 1940 przewidywał zwycięstwo nazistów w Europie). Z taką opinią byłby raczej obciążeniem dla kampanii syna. Rywale z Partii Republikańskiej rozpuszczali pogłoski, że dwudziestoosmioletniemu Edwardowi Kennedy'emu, najmłodszemu z braci, zlecono „zadanie trymania ojca z boku”.

Siostra Eunice i bratowa (małżonka Roberta) Ethel działały w Teksasie. Udzielały wywiadów, głosząc pewne zwycięstwo Jacka. Siedemdziesięcioletnia Rose, matka Jacka, małżonka Josepha seniora, przejechała czternaście stanów, występując ponad pięćdziesiąt razy na najprzeróżniejszych spotkaniach wyborczych. Pracowała od rano do nocy. Teddy Kennedy objeżdżał Kalifornię, wygłaszając setki przemówień, ściskając tysiące dłoni i rozdając na prawo i lewo spinki do krawatów z emblematem kutra torpedowego *PT-109*, którym Jack bohatercko dowodził w czasie II wojny światowej na Pacyfiku.

Piękna małżonka Jacka, Jacqueline, nie mogła towarzyszyć mężowi na politycznym szlaku – była w zaawansowanej ciąży, spodziewała się dziecka, które miało urodzić się w grudniu. Występowała natomiast w telewizji, udzielając setek wywiadów, urządziła herbatki dla pań i patronowała rozmaitym akcjom. U boku męża pokazała się raz, w czasie parady w Nowym Jorku.

Motorem kampanii był Bobby. Działał energicznie, często wywoływał burze, wręcz sztormy polityczne, gdy szło o interes brata. Tak było, gdy zbeształ kongresmanów z południowych stanów za blokowanie ustaw, na których zależało Jackowi. Zaatakował nawet Jackie Robinsona – gwiazdora baseballa, pierwszego Murzyna, który zagrał w pierwszej lidze, łamiąc niepisane bariery rasowe – a to za to, że pozwolił on sobie zakwestionować stanowisko Jacka w kwestii praw obywatelskich.

Bobby podróżował niezmordowanie po całym kraju. Kusił, namawiał, zabiegał o poparcie, a gdy trzeba było, to karcił lokalnych bossów partyjnych za zbyt małe wysiłki na rzecz kampanii brata. Wśród działaczy terenowych kursowało nawet zawołanie „Uważaj, Mały Brat ma cię na oku”<sup>\*</sup>.

Arthur S. Schlesinger jr, profesor Harvardu, którego zadaniem było przyciągnięcie liberalnych, wpływowych wyborców do obozu Kennedy'ego, wspominał później:

John Kennedy zdawał sobie sprawę, że dobro kampanii wymaga, aby ktoś wziął na siebie rolę sukinsyna. I właśnie Bobby funkcjonował w takim charakterze. Robił wszystko to, czego nie wypada robić kandydatowi<sup>1</sup>.

Im bliżej wyborów, z tym większym niepokojem stratedzy w sztabie Kennedy'ego zastanawiali się, czy zmontowana przez CIA operacja kubańska nie ruszy przed „pierwszym wtorkiem, po pierwszym

<sup>\*</sup> Nawiązanie do powieści Orwella *Rok 1984*, w której Wielki Brat jest symbolem wszechwiedzącej tajnej policji politycznej [przyp. tłum.].

poniedziałku listopada”, czyli przed dniem głosowania. Inwazja niewątpliwie umocniłaby szanse Nixona. Uznano by go za tego, który położył kres reżimowi Castra. W sztabie Nixona wyraźnie zabiegano o to, aby tak się stało. Inwazja przed listopadem oznaczałaby „gwarantowany sukces Nixona”<sup>2</sup>.

W tej sytuacji Kennedy zmienił taktykę. Przybrał się w jastrzębie pióra i zaczął atakować Nixona, że „nie czyni niczego w kwestii komunistycznego zagrożenia, które pojawiło się tuż pod bokiem Ameryki”.

– Trzeba – wołał Kennedy – udzielić wszelkiej pomocy siłom walczącym o wolność [Kuby] na emigracji i w podziemiu.

Tydzień później powtórzył wezwanie do „poparcia oddanych sprawie wolności Kubańczyków, którzy stoją na czele ruchu oporu przeciwko Fidelowi Castro”. Administracji Nixona – Eisenhowera zarzucił, że nie uczyniła nic, aby przyczynić się do obalenia komunistycznego dyktatora.

Nixon, doświadczony polityk, ale stosujący tradycyjne, przyzwoitsze formy walki, był wściekły. Uważał i dawał temu wyraz w rozmowach ze swoimi doradcami, że Kennedy gra nieuczciwie. Był przekonany, że Jack doskonale wie o tajnych bazach na Florydzie i w Gwatemali i wie też o planie inwazji. Nie mylił się.

Nixon uważał, że nagła zmiana taktyki jego przeciwnika, fakt, iż oto stał się jastrzębiem i zaciekle antykomunistą, podyktowane zostały względami wyborczymi. Gdyby bowiem w tej sytuacji doszło do inwazji, Kennedy mógłby przekonywać wyborców, że administracja podjęła zdecydowaną akcję dopiero pod jego naciskiem.

Nixon tymczasem miał związane ręce. Nie mógł przecież poinformować opinii publicznej o przygotowywanej operacji ani nawet o tym, że Waszyngton udziela wszechstronnej pomocy przeciwnikom Castra na wychodźstwie i na Kubie. Zmienił więc taktykę, z jastrzębia stał się gołębiem, oskarżenia Kennedy'ego i jego apele o aktywne działania dezawuował jako „szkodliwe i nieodpowiedzialne”, a żądania zwiększenia pomocy dla przeciwników Castra na emigracji określał jako „fantastyczne”. Zaczął wręcz zarzucać Kennedy'emu, że wzywając do inwazji na Kubę, ryzykuje III wojnę światową.

To oficjalnie, a prywatnie obrzucał przeciwnika najgorszymi słowami.

Fidel Castro uważnie obserwował kampanię prezydencką w Stanach Zjednoczonych. Nie ma wątpliwości, że ciągłe ataki na jego osobę i reżim, jaki zaprowadził, dotykały go do żywego. Rewanżował się

więc tym samym. Codziennie niemal i on, i prasa kubańska wymierzali ciosy „imperialistycznym politykierom”. Obrzucał epitetami Eisenhamera i obu kandydatów na urząd prezydenta, a wtórowała mu posłuszna prasa. Radio i telewizja z wielokrotniały ataki.

Kubańskie radio „Mambi” nazwało Jacka Kennedy'ego „imbecylem, nędznym, tchórzliwym, obrzycając kalumnie” na Fidela Castro całych Stanach Zjednoczonych, „rzucając kalumnie” na Fidela Castro i jego kraj. Eisenhower to, według słów radia „Mambi”, „wyłysiały, głupi starzec”. Christian Herter to człowiek o „kurzym mózdzku”, Stany Zjednoczone zaś znalazły się pod władzą „najgorszej w dziejach bandy morderców i złodziei”.

W połowie września uwaga amerykańskiej opinii publicznej skupiła się na Chicago, bo tam właśnie miała się odbyć pierwsza „wielka” debata telewizyjna między dwoma kandydatami do prezydentury. Kennedy był spokojny i raczej pewny swego. Nie miał nic do stracenia. Wedle sondażu w wyścigu prowadził Nixon, za którym opowiadało się czterdzieści osiem procent ankietowanych. Za Kennedym czterdzieści dwa procent. Dziesięć procent wyborców deklarowało się jako niezdecydowani.

– To szansa, żeby go doścignąć – zwierzał się Kennedy Dave'owi Powersowi, zaufanemu doradcy. W sztabie Kennedy'ego nigdy nie padało nazwisko Nixona. O rywalu mówiono „on”.

Po dłuższych targach przedstawiciele obu sztabów uzgodnili, że debatę poprowadzi Howard K. Smith, wybitny dziennikarz CBS, akredytowany przy Białym Domu.

Zaplanowano cztery debaty, wszystkie oczywiście „na żywo”. Pierwsza, wyznaczona na 26 września, była najważniejsza. Ją to bowiem wszyscy będą obserwować z najwyższą uwagą i ona zadecyduje o sympatiach wyborców. Następne tylko umocnią opinię.

– Czuję się jak bokser przed występem na ringu w Madison Square Garden – zwierzył się Kennedy Powersowi, gdy udawał się do studia telewizji WBBM, chicagowskiej stacji CBS.

Don Hewitt, realizator programu, czuł się zapewne jak arbiter na ringu. Gdy Richard Nixon wszedł do studia z jednej strony, a Kennedy z drugiej, Hewitt nie bez sarkazmu rzekł: – Panowie się znają, jak mniemam.

Na widowni zaległa cisza. Zapalono światła, kamery ruszyły, antena! „Zawodnicy” uściśli sobie dłonie na powitanie, tak jak było to uzgodnione i zajęli przygotowane miejsca przy dwóch mównicach. Padły pierwsze pytania, pierwsze odpowiedzi. Ale nie one się liczyły.

Widzowie przed ekranami zwracali przede wszystkim uwagę na prezencję i zachowanie bohaterów przed kamerą. Taki bowiem jest mechanizm odbioru programu telewizyjnego.

Nixon chorował przez kilka dni, stracił nieco na wadze. Bezlitosna kamera pokazała go kilkakrotnie, jak oblizuje wyschnięte wargi. Nie potrafił skupić wzroku. Zerkał na lewo i prawo, wyraźnie się pocił. Na bladej cerze odcinały się smugi silnego zarostu, co sprawiało wrażenie niechlujstwa. Jack Kennedy, opalony, prosto z Kalifornii, stwarzał lepsze wrażenie. Był spokojny, pewny siebie, energiczny, opanowany, tak przynajmniej wydawało się widzom.

20 października, gdy Dick Nixon przygotowywał się właśnie w hotelu w Nowym Jorku do kolejnej debaty telewizyjnej, przyniesiono mu świeżo wydany komunikat prasowy z następującą wypowiedzią Kennedy'ego: „Musimy podjąć próbę wzmocnienia demokratycznych, antybatistowskich i antycastrowskich sił na emigracji i na Kubie, sił, które dadzą nadzieję na obalenie Castra”.

Nixon aż poczerwieniał ze złości. Podniesionym głosem, krzycząc niemal, kazał sekretarzowi zasobów naturalnych, Fredowi Seatonowi, który akurat zjawił się w hotelu, połączyć się z Białym Domem:

– Dowiedz się, czy Dulles poinformował Kennedy'ego o tym, że CIA szkoli kubańskich uchodźców z myślą o inwazji na Kubę.

Seaton, korzystając ze specjalnej linii, połączył się z generałem brygady Andrew S. Goodpasterem, który w Białym Domu odpowiadał za kontakty z CIA.

– Zaraz sprawdzę i oddzwonię – powiedział generał. Zadzwoił za niespełna pół godziny.

– Kennedy został poinformowany o całej operacji [planowanej inwazji]<sup>3</sup>.

W czasie ostatniej debaty telewizyjnej, pewny siebie i ufny w swoje siły Kennedy zapowiedział, że jeśli zostanie wybrany na prezydenta, to spowoduje, że Stany Zjednoczone udzielą wszelkiej pomocy siłom, które obalą Castra. Nixon wypadł daleko nieprzekonująco. Unikał zajęcia wyraźnego stanowiska. Nie mógł sobie pozwolić na ujawnienie faktu, że przygotowania do inwazji idą pełną parą.

W tej sytuacji niemal wszyscy uchodźcy z Kuby, a było ich tysiące na Florydzie, i wszyscy bojownicy w obozach szkoleniowych w Gwatemali i Nikaragui, zaczęli opowiadać się za Kennedym, a przeciwko Nixonowi. Tego pierwszego postrzegali jako jastrzębia, a drugiego jako gołębia.

W listopadowym głosowaniu wzięło udział sześćdziesiąt dziewięć milionów Amerykanów. Kennedy rzeczywiście odrobił straty. W sondażach przewidywano, że szanse obu kandydatów będą wyrównane, a przewaga zwycięzcy nad przegranym minimalna. Gdy podliczono wszystkie głosy, okazało się, że Kennedy wygrał ledwie 112 803 głosami.

Dyrektor FBI, J. Edgar Hoover, ustalił później, że w Illinois, a ściślej w Chicago, gdzie pod ręką burmistrza Richarda Daleya funkcjonowała prawdziwa „maszynka do głosowania” Partii Demokratycznej, dopuszczono się sfałszowania wyników głosowania, aby mieć gwarancje, że Kennedy'emu przypadną głosy elektorские z tego kluczowego stanu. Wiadomość o sfałszowaniu wyników w kilku okręgowych dzielnicach miasta, pochodziła z podsłuchu telefonicznego zainstalowanego w lokalach wyborczych<sup>4</sup>.

Zwycięstwo w Illinois nie miało jednak znaczenia, Kennedy bowiem wygrałby i bez głosów elektorских z tego stanu. Dzięki Johnsonowi zwyciężył w Teksasie, choć przewaga, jaką lista demokratów zyskała w tym stanie, była niewielka. Liczyła ledwie czterdzieści osiem tysięcy głosów. Wystarczyło to jednak, aby zgodnie z konstytucyjną zasadą „zwycięzca bierze wszystko”, zyskać całość głosów elektorских największego z kontynentalnych stanów. O Johnsonie i jego umiejętności organizowania głosów wyborców, choćby z zaświatów, opowiadano w Teksasie legendy. Ponoć kiedyś, w wyborach do Senatu, które wygrał minimalnie, o zwycięstwie zdecydowały głosy „martwej ręki”. Kpiono sobie później z minimalnego zwycięstwa, nadając Johnsonowi przydomek „Landslide” – „Miażdżący”.

W noc wyborczą w „Małej Hawanie”, jak nazywano kubańską dzielnicę Miami, manifestowano radość. Uchodźcy pamiętali, co Kennedy zapowiadał w czasie kampanii i byli przekonani, że nowy prezydent USA poprowadzi ich do ziemi obiecanej, czyli Kuby wolnej od Castra i jego pretorianów.

W Hawanie tymczasem marionetkowy prezydent Kuby, José Jimenez, oświadczył przed kamerami telewizji, że rezultaty wyborów w USA nie wpłyną na złagodzenie wrogiej postawy Waszyngtonu wobec reżimu Fidela Castro. Zdaniem Jimineza, Kennedy zechce zdemontować amerykańską potęgę i zapewne wyśle na Kubę oddziały marines<sup>5</sup>.

Radio „Mambi” oskarżyło imperialistyczne monopole o to, że otworzyły drogę do władzy „nowemu amerykańskiemu Cezarowi i Hunowi Attyli”. Inna stacja radiowa, komentując wyniki wyborów,

stwierdziła, że „głupi milioner i monopolista Kennedy” pokonał „gangstera Nixona”.

Fidel Castro oświadczył, że kubańskie służby wywiadowcze ujawniły „imperialistyczny spisek” wymierzony przeciwko Kubie i postąpił wojsko oraz milicję w stan gotowości, aby odeprzeć ewentualną napaść ze strony Stanów Zjednoczonych. – Jeśli Amerykanie poważą się zaatakować Kubę – oświadczył w czasie spotkania z grupą nauczycieli – to poniosą znacznie dotkliwsze straty, niż w czasie lądowania w Normandii, czy na Okinawie, czyli w najkrwawszych walkach w II wojnie światowej<sup>6</sup>.

Po wyborach pojawiło się wiele analiz i prac na temat wpływu telewizji na wyniki głosowania. Wskazywano na ogromne znaczenie debat z udziałem obu kandydatów. Wedle sondaży większość wyborców, którzy słuchali dyskusji Kennedy'ego z Nixonem w radiu, skłaniała się ku Nixonowi, większość zaś z tych, którzy oglądali debaty w telewizji, opowiedziało się za Kennedym.

Zaczął się nowy etap w dziejach amerykańskich wyborów prezydenckich. Przestała się liczyć treść, szczególnego natomiast znaczenia nabierały takie sprawy jak krój garnituru, kolor krawata, charakterystyka, światło, opalenizna i ujęcia kamery. Abraham Lincoln i Stephen A. Douglas, którzy przed stu dwiema laty też starli się w publicznej debacie przed wyborami, przewróciliby się w grobach.

Telewizja była narkotykiem dla społeczeństwa. Im więcej oglądano, tym więcej chciano i potrzebowano oglądać. Ekran stał się przyjaciелеm, wręcz koniecznością, dawał oparcie psychiczne i poczucie komfortu. Widzowie ślęczeli przed odbiornikami do późnej nocy, oglądając wszystko, łącznie z hymnem narodowym na zakończenie programu.

Nowo wybrany prezydent doskonale rozumiał ów mechanizm. Zdawał też sobie sprawę, że zwycięstwo zawdzięcza w istocie telewizji, a zwłaszcza transmisjom z debat. Zapowiedział więc swemu zaufanemu doradcy, Dave'owi Powersowi, że będzie „organizował telewizyjne konferencje prasowe, a dzięki temu następne wybory (w roku 1964) wygra w sposób zdecydowany. Odchodzący prezydent Eisenhower miał absolutnie dość niezyczliwych komentarzy w mediach. Przegraną republikanów potraktował nader osobiście, a wyniki wyborów uznał za wotum nieufności Amerykanów wobec swojej osoby.

Można zrozumieć gorycz starego wojownika. Prasa rozpyłyła się w zachwytach nad Kennedym, traktowała go niemal jak zbawcę, choć przecież okres dwóch kadencji prezydenta Eisenhowera był czasem pokoju i prosperity. Tymczasem dziennikarze i komentatorzy prze-

ścigali się w peanach na temat inteligencji, wizji i chrześcijańskich cnót prezydenta elekta.

W gorzkim liście do przyjaciela Eisenhower zamieścił zjadliwą uwagę na temat prominentnego ówczesnie publicysty, Ralpa McGilla:

Wygląda na to, że McGill żywi naiwne przekonanie, że oto pojawił się wśród nas prawdziwy geniusz, niezdolny do popełnienia najmniejszego nawet błędu, a przeto wolny od wszelkiej krytyki<sup>7</sup>.

# 17

## „Złowrogie gniazdo jankeskich szpiegów”

Jack Kennedy wspiął się na szczyt amerykańskiej polityki w ciągu ledwie czternastu lat. Triumfował, ale smak zwycięstwa nieco psuły podnoszone w prasie zarzuty o fałszerstwo wyborcze. Nixon jednak nie zamierzał podważać wyniku wyborów na drodze prawnej.

Przed nowym prezydentem stał ogrom pracy. Przede wszystkim należało sformować nową ekipę, co było zadaniem trudnym i skomplikowanym. To tak, jakby jednego dnia rozwiązać imperium przemysłowe General Motors, a nazajutrz zbudować je na nowo, z nowymi ludźmi i nowymi koncepcjami.

Krąg najbliższych współpracowników Kennedy'ego składał się głównie z absolwentów renomowanych uczelni amerykańskich, w wieku trzydziestu, najwyżej czterdziestu lat. Niemal wszyscy radzili, aby prezydent odwołał sześćdziesięciosześcioletniego dyrektora FBI, J. Edgara Hoovera i powołał na jego miejsce kogoś młodszego, komu bliskie byłyby liberalne idee i cele New Frontier [Nowego Pogranicza], jak prezydent elekt określił swój plan reform społecznych i politycznych. Rady te Kennedy skwitował krótko: „Nie odwołuje się Boga!”

I już 10 listopada, na pierwszej oficjalnej konferencji prasowej po wyborach, prezydent elekt zapowiedział, że zatrzyma Hoovera na stanowisku. Dyrektor FBI bogiem, co prawda, nie był, ale w oczach wielu Amerykanów był bohaterem, a wśród tych, którzy go podziwiali i darzyli szacunkiem, był Joe Kennedy senior.

Niedługo po konferencji prasowej, na której ogłosił renowację Hoovera, prezydent elekt udał się na krótki wypoczynek na Florydę, do Palm Beach, do ojca i tam 17 listopada przyjął dyrektora CIA, Allena Dullesa. Jego również zatrzymał na stanowisku, też wbrew

opinii swych najbliższych doradców. Dullesowi towarzyszył Dick Bissell, szef tajnych operacji, główny architekt planowanej inwazji na Kubę.

Bissell poinformował prezydenta elekta o wojskowych i politycznych aspektach operacji kubańskiej. Planowano, że na wstępie szesnastu bombowców B-26 zaatakuje lotniska kubańskie, aby zniszczyć samoloty i zagwarantować sobie przewagę w powietrzu. Będzie to akcja z zaskoczenia, na wzór i podobieństwo japońskiego ataku na Pearl Harbor. Zaraz potem Brygada 2506 wylądzuje na południowych wybrzeżach Kuby, zdobywając przyczółki na wyspie. Wtedy ponownie do akcji wejdą bombowce B-26. Zaatakują sieć komunikacyjną i łączność. Zadanie nie powinno nastroić specjalnych trudności. Cała bowiem łączność – krajowa i resortowa, w tym także kolejowa – opiera się na łączach mikrofalowych, a nie na kablach. Wystarczy więc kilka celnych uderzeń w stacje przekaznikowe, aby system przestał działać.

Kennedy dość sceptycznie ocenił przedstawiony plan. Miał wątpliwości, czy licząca ledwie tysiąc czterystu żołnierzy brygada zdoła pokonać dwieście tysięcy wojska i milicji Fidela Castro? Bissell wyjaśnił, że bez łączności Castro znajdzie się w pułapce. Nie będzie w stanie ocenić rozmiarów zagrożenia, zwłaszcza że tajna radiostacja CIA na wyspie Swan nadawać będzie dezinformujące wiadomości o nowych desantach z morza i o ogniskach rebelii przeciwko reżimowi Castra, a to ostatecznie pokrzyżuje wszelkie szyki Najwyższemu Przywódcy.

Wedle scenariusza przedstawionego przez Bissella, na tereny zajęte przez Brygadę 2506 przewieziony zostanie z Florydy rząd emigracyjny. Ogłosi o przejęciu przez siebie władzy i wezwie społeczeństwo pod swoje sztandary. Stany Zjednoczone uznają nowe władze i podejmą stosowne działania dyplomatyczne. W tym momencie będzie można ogłosić przerwanie działań i podjąć ewentualne rokowania z Fidalem Castro, w wyniku których powinno dojść do wolnych wyborów na wyspie.

Kennedy zaciągnął się cygarem i słuchał w zamyśleniu. Po chwili jednak zgodził się, że przygotowania należy kontynuować. Przyrzekając w trakcie kampanii wyborczej pomoc kubańskim emigrantom w działaniach na rzecz obalenia Fidela Castro, sam siebie wmanewrował w sytuację bez wyjścia. Jedyną pociechą było to, że do ewentualnego rozpoczęcia operacji pozostawało jeszcze sporo czasu, więc w razie czego będzie można się wycofać.

Z początkiem grudnia plan inwazji na Kubę stał się tajemnicą poliszylną. Wieść o szykującym się ataku kursowała i w Stanach, i w całej niemal Ameryce Łacińskiej. Castro nie sprawiał wrażenia

zaskoczonego, a już na pewno nie wpadł w panikę. Z anteny radiowej i telewizyjnej zaczął demaskować „zdrajców” i „robactwo”, które konspiruje z „imbecylami z CIA”, aby obalić jego rządy.

Szpiegzy Castra penetrowali Miami i Waszyngton, a niewykluczone, że przenikali także do tajnych baz w Gwatemali i Nikaragui. Kubańska agencja wywiadowcza, Dirección Generale de Inteligencia, orientowała się w generalnych założeniach planu inwazji, a zapewne знаła także niektóre szczegóły planowanej operacji. „The New York Times” i wiele innych gazet amerykańskich, a także prasa w wielu krajach Ameryki Łacińskiej, publikowały reportaże o obozach, w których szkolono uchodźców kubańskich. Tygodnik „Time” ujawnił nawet kryptonimy niektórych funkcjonariuszy CIA, biorących udział w operacji.

6 grudnia Jack Kennedy przybył do Waszyngtonu na spotkanie z prezydentem Eisenhowerem. Odchodzący prezydent traktował następcę z wyszukaną uprzejmością, ale też żywił do niego głęboki żal o oskarżenia w czasie kampanii wyborczej o to, że jego administracja lekceważyła zagrożenie, jakie stwarza reżim Castra. Kennedy był przecież informowany o planowanej operacji przeciwko Kubie z udziałem kubańskich uchodźców.

W prywatnych rozmowach z zaufanymi Eisenhower nazywał Kennedy'ego „chłoptasem”, o Bobbym mawiał jeszcze dosadniej – „gówniarz”, a o najmłodszym z braci, Teddym – „wyskrobek”. Ike był zdecydowanie niechętny liberalnym poglądom Jacka, był też przekonany, że o jego zwycięstwie nad Richardem Nixonem zdecydowały wyłącznie pieniądze starego Joego<sup>1</sup>.

Jack odpłacał pięknym za nadobne. Po godzinnej rozmowie w Gabinetcie Ovalnym Kennedy wyszedł z przekonaniem, że starszy odeń o dwadzieścia siedem lat generał i prezydent, jest półinteligentem<sup>2</sup>.

Większość czasu prezydenta elekta pochłaniały sprawy związane z obsadzeniem stanowisk rządowych. Jeśli chodzi o kandydatów na najwyższe urzędy, to korzystał z rad i polegał na sugestjach najbliższych współpracowników i przyjaciół. Szczególną wagę przywiązywał do zdania dwóch zwłaszcza osób: Roberta A. Lovetta, konserwatywnego republikanina, byłego ministra obrony, oraz ojca, Josepha Kennedy'ego. W rodzinie od trzech co najmniej lat wiadomo było, że mąż ojca to Jack w Białym Domu, Bobby na stanowisku prokuratora generalnego i Teddy w Senacie<sup>3</sup>.

O składzie gabinetu prezydenta Kennedy'ego dyskutowano i żartowano w rodzinie od chwili, gdy Jack zgłosił swoją kandydaturę rok wcześniej. Eunice – siostra Jacka, Bobby'ego i Tedda – powiedziała kiedyś przy rodzinnym obiedzie, że „Bobby będzie doskonałym prokuratorem generalnym, a jak już obejmie stanowisko, to wsadzi za kratki wszystkich, których tatuś nie lubi. Oczywiście trzeba będzie zbudować sporo nowych więzień!”<sup>4</sup>

Szefem sztabu Kennedy'ego w okresie przygotowań do przejęcia władzy został Clark Clifford, doświadczony prawnik, od lat działający na waszyngtońskiej scenie politycznej. Z polecenia Jacka udał się do ojca, próbując go przekonać, aby przestał się upierać i odstąpił od żądania wyznaczenia Bobby'ego na któreś z kluczowych ministerstw. Clifford zresztą żywił głębokie wątpliwości co do trafności i słuszności nominacji Bobby'ego na szefa resortu sprawiedliwości, zatrudniającego trzydzieści tysięcy ludzi. Ku swojemu rozczarowaniu nic jednak u ojca nie wskórał. Stary Joe uparł się, żeby trzydziestoczteroletni Bobby objął Departament Sprawiedliwości<sup>5</sup>.

Tak też się stało, ale reakcje w prasie były co najmniej niechętne. Gdy tylko Jack ogłosił o nominacji brata, a uczynił to na zaimprovizowanej konferencji prasowej przed swoim domem w eleganckiej części waszyngtońskiej dzielnicy Georgetown, „The New York Times” dał następujący komentarz:

Gdyby Robert Kennedy należał do grona wybitnych prawników, gdyby był szanowanym filozofem prawa, znanym prokuratorem bądź prawnikiem z doświadczeniem w instytucjach federalnych lub choćby stanowych, wtedy sytuacja wyglądałaby inaczej. Tymczasem dorobek i doświadczenie Roberta Kennedy'ego są zbyt nikłe, aby uzasadnić tę nominację<sup>6</sup>.

Był to komentarz tym bardziej znamienity, że „The New York Times” popierał kandydaturę Jacka w wyborach prezydenckich.

Znany i wpływowy publicysta amerykański, Robert Novak, poszedł jeszcze dalej, stwierdzając na łamach „Wall Street Journal”, że nominacja Roberta to „absolutna katastrofa”<sup>7</sup>.

Wiceprezydent elekt Lyndon Johnson, który szczerze nienawidził młodszego z braci Kennedych, powołał się w prywatnej rozmowie z jednym ze swoich doradców, na opinię zaprzyjaźnionego senatora Richarda Russella, że „Bobby to gówniarz”. – Russell uważa, że nominacja niedoświadczonego chłoptasia, to obraza dla urzędu i ja się z nim zgadzam – mówił Johnson. Dodawał wszakże, iż nie sądzi, aby Jack Kennedy dał się mu wodzić za nos<sup>8</sup>.

Tymczasem katastrofa nastąpiła w Centrum Operacyjnym CIA, a jeśli nie katastrofa, to szok. Zaczęło się od dyskretnego spotkania dwóch agentów CIA o kryptonimach „Sam” i „Jeff”, w konspiracyjnym lokalu w stolicy Meksyku. Przeglądali tam dokumenty dotyczące planowanej operacji na Kubie. Po spotkaniu Sam włożył dokumenty do teczki i pojechał do siebie. Zaparkował auto, ale zapomniał o teście. Została na przednim siedzeniu. Gdy po godzinie wrócił do samochodu, zastał wóz otwarty. Teczka zniknęła.

Groziło to katastrofą, jeśli chodzi o całą operację, nie mówiąc już o tym, że śmiertelne niebezpieczeństwo zawisło nad kubańskim podziemiem. Wśród zaginionych dokumentów były m.in. listy agentów CIA na Kubie i tajnych funkcjonariuszy Agencji, działających w wielu innych krajach na półkuli zachodniej.

Rezydent CIA w Meksyku skontaktował się natychmiast z miejscową policją. Nie ujawniając zawartości teczki, prosił o spenetrowanie środowisk przestępczych z nadzieją, że może uda się odzyskać zgubę. Policja przeprowadziła zmasowaną akcję, ale bez rezultatu. Teczka wsiąkała jak kamień w wodę.

Po dłuższych debatach w Centrum Operacyjnym przyjęto, że włamanie do samochodu Sama było raczej przypadkowe i sprawcami byli pospolicie złodzieje, dla których dokumenty nie przedstawiały żadnej wartości. Założono, że papiery nie dostały się jednak w ręce agentów Fidela Castro.

Nie był to jedyny kłopot. Przeszkód do pokonania było znacznie więcej. Powstał problem zaopatrzenia w paliwo bombowców B-26. Ich zasięg był zbyt mały, aby mogły dolecieć nad Kubę i wrócić do bazy. CIA podjęła więc próbę znalezienia lądowiska, najlepiej na jakiejś wysepce, na trasie między Ameryką Środkową a Kubą, na którym można by uzupełnić paliwo. Prezydent Meksyku, który był wtajemniczony w sprawę, zasugerował, aby załatwić rzecz z dowództwem lądowiska na wyspie Cozumel. Leży ona daleko od uczęszczanych szlaków i spełniałaby oczekiwania CIA.

Rezydent Agencji w Meksyku udał się więc pospiesznie na wysepkę, nawiązując kontakt z komendantem lądowiska, oficerem meksykańskiego lotnictwa. Ten oświadczył, że nie ma żadnej sprawy i w każdej chwili można na Cozumel zmagazynować kilkaset beczek z paliwem, a jakie samoloty z tego skorzystają i gdzie odlecą, to wcale go nie interesuje. Będzie to jednak kosztować. A ile ma wynosić opłata? Drobiaz – cztery nowiutkie limuzyny thunderbird, koniecznie z klimatyzacją!

Przedstawiciel CIA próbował targów. Proponował gotówkę w stosownej do ceny samochodów wysokości. Bez skutku. Albo auta, albo

interesu nie będzie. Zdruzgotany Amerykanin wyjechał, uznając, że zadanie jest niewykonalne<sup>9</sup>.

Kubę tymczasem ogarnęła „gorączka jankeskiej inwazji”. Nastrój zagrożenia potęgowały wielkie tytuły w „Hoy” i „Revolución”, inspirowane alarmującymi przemówieniami Fidela w telewizji. Gigantofony w Hawanie całymi dniami nadawały patriotyczne i rewolucyjne pieśni. Prasa, radio i telewizja bez przerwy waliły w bębny antyamerykańskiej propagandy. Rozrzucono tysiące ulotek i rozlepiano setki plakatów z wypowiedzią Fidela Castro, zaczerpniętą zresztą z jednego z wojennych przemówień Winstona Churchilla:

Bronić będziemy każdego domu od piwnic po dach, a gdy nie stanie już domów, bronąć będziemy ruin!

W telewizji Castro z dumą zapewniał:

Zgromadziliśmy broń, dużo broni [z bloku radzieckiego], znacznie więcej, niż wyobrażają to sobie jankescy imperialiści.

W rzeczy samej Castro dysponował sporym arsenałem. W czasie wielkiej defilady 2 stycznia 1961 roku w Hawanie, przed trybuną, na której miejsce zajął sam Najwyższy Przywódca, przetoczyły się ciężkie czołgi, działa 105 mm, wyrzutnie raketowe, działa przeciwpancerne i przeciwlotnicze, przeszły oddziały zbrojne w ciężkie karabiny maszynowe i ciężkie moździerze. W sumie zademonstrowano cały zestaw najnowocześniejszej broni.

Dzień później Castro wystąpił w telewizji. Wygłosił jedną ze swoich słynnych wielogodzinnych oracji. Tym razem przedmiotem szczególnego ataku stała się ambasada amerykańska w Hawanie, „zło-wrogie gniazdo jankeskich szpiegów i awanturników” – jak powiedział – żądając natychmiastowego, w ciągu dwudziestu czterech godzin, ograniczenia personelu placówki z trzystu do ośmiu osób. Była to odpowiedź Najwyższego Przywódcy na najnowsze decyzje Waszyngtonu o dalszym ograniczeniu stosunków gospodarczych z Kubą. W celu zwiększenia nacisku ekonomicznego na reżim Castra, Eisenhower wprowadził zakaz eksportu na Kubę wszystkiego poza żywnością i lekarstwami.

Osiemnaście godzin po wystąpieniu Castra prezydent Eisenhower wezwał do Białego Domu czołowych doradców na pilną naradę. „Stany Zjednoczone nie mogą pozwolić sobie na pomiatanie [przez Castra]” – oświadczył wyraźnie wzburzony. Większość współpracowników Eisen-

howera należało do jastrzębi. Sekretarz skarbu, Robert Anderson, sugerował podjęcie „działań [wojskowych] w celu pozbycia się Castra”<sup>10</sup>.

Wszystkich wręcz zaszokował sekretarz stanu, Christian Herter. Do tej pory bowiem reprezentował raczej umiarkowane stanowisko wobec Castra, teraz jednak opowiedział się za podjęciem radykalnych kroków. – Powinniśmy – stwierdził – zorganizować [niby to] napad na bazę na Guantanamo, coś takiego, co zrobił Hitler na granicy niemiecko-polskiej na jesieni 1939 roku<sup>11</sup>.

Chodziło o słynną prowokację gliwicką, rzekomy napad na radiostację w ostatnich dniach sierpnia 1939 roku, co Hitler wykorzystał do rozpoczęcia wojny przeciwko Polsce. Akcja nazistów miała przekonać świat, iż to Polska dopuszcza się aktu agresji.

Z obozu koncentracyjnego wzięto dwunastu więźniów, przebrano ich w polskie mundury i przewieziono w pobliże radiostacji w Gliwicach, tuż przy ówczesnej granicy niemiecko-polskiej. Tam ich zastrzelono. Jednocześnie też ostrzelano samą radiostację i nadano prowokacyjne komunikaty w języku polskim.

Po akcji zwieziono na miejsce dziennikarzy, pokazując im „dowody”, mające świadczyć o „wrogim akcie ze strony Polski”. W prasie światowej ukazały się zdjęcia i reportaże obrazujące „bohaterską obronę radiostacji przed polskimi napastnikami”<sup>12</sup>.

Dwadzieścia cztery godziny później tysiące niemieckich czołgów i eskadry bombowców nurkujących runęło na Polskę.

Christian Herter myślał zapewne o czymś znacznie prostszym. Wystarczyłoby bowiem, gdyby pod osłoną nocy niewielka grupka marines przeszła z Guantanamo na terytorium Kuby i ostrzelała trzymetrowy płot w jakimś odległym miejscu, gdzie strzały nie wyrządziłyby nikomu żadnej krzywdy. Taki incydent mógłby stanowić *ruse de guerre*. Prezydent Eisenhower potępiłby „akt agresji” i zaprotestowałby przeciwko „napaści”, a zaraz potem oddziały amerykańskie mogłyby rozpocząć akcję przeciwko Kubie, w odpowiedzi na „zbrojną prowokację” i w obronie amerykańskich obywateli oraz amerykańskich interesów.

Dzień po naradzie w Białym Domu Herter ogłosił o zerwaniu stosunków dyplomatycznych z Kubą. Wspaniała budynek ambasady w eleganckiej dzielnicy Malecón zabito deskami. Ział pustka, jeśli nie liczyć dwóch pracowników ambasady szwajcarskiej, którzy mieli roztoczyć nad nim opiekę. Szwajcaria podjęła się reprezentowania amerykańskich interesów na Kubie\*.

\* Interesy Kuby w Ameryce reprezentować będzie Czechosłowacja [przyp. tłum.].

Pięć tygodni po zwycięstwie wyborczym Johna Kennedy'ego, radziecki ambasador w Waszyngtonie, Michaił Mienszykow, zaprosił na lunch Bobby'ego Kennedy'ego. – Towarzysz Chruszczow – zapewniał ambasador swego rozmówcę – wielce podziwia inteligencję i energię pańskiego brata. Uważa też – przekonywał pojednawczo – że obecnie możliwe będzie osiągnięcie porozumienia między Związkiem Radzieckim a Stanami Zjednoczonymi<sup>13</sup>.

Brzmiało to zachęcająco i zapowiadało złagodzenie napięcia. W tym też duchu Jack i Bobby odebrali sygnał ambasadora. Jednak już miesiąc później, 6 stycznia 1961 roku, Chruszczow wygłosił niezwykle ostre przemówienie w Moskwie. Mówił o nieuniknionym zwycięstwie komunizmu na całym świecie.

O zwycięstwie zadecydują wojny narodowowyzwoleńcze – wołał z trybuny. – To jedyna droga, aby rzucić imperializm na kolana.

Kubę określił mianem „budzącego się kraju”, w którym „walka rewolucyjna przyniesie zwycięstwo nad kapitalistycznymi wyzyskiwaczami”<sup>14</sup>.

19 stycznia odbyło się kolejne spotkanie Kennedy'ego z Eisenhowerem w Białym Domu. Prezydent elekt podniósł sprawę amerykańskiego poparcia dla sił antycastrowskich. Eisenhower opowiedział o tym, co dzieje się w bazie Trax w Gwatemali i z całą mocą podkreślił, że „Stany Zjednoczone nie mogą godzić się na dalsze trwanie obecnego reżimu [na Kubie].” Radził też swemu następcy, aby ten kontynuował wysiłki na rzecz znalezienia odpowiedniego kandydata na szefa kubańskiego rządu na wychódźstwie. Chodzi o kogoś, kto cieszyłby się autorytetem i był jednocześnie antycastrowski i antybatistowski.

Jest to konieczne – podkreślał Eisenhower – aby inwazja na Kubę nabrała charakteru legalnej operacji<sup>15</sup>.

Tuż przed południem, 20 stycznia 1961 roku, John Kennedy przybył na Kapitol, na uroczystość zaprzysiężenia. Choć dzień był mroźny, prezydent elekt był bez płaszcza i nakrycia głowy (ale pod graniturem miał ciepłą bieliznę). Chciał się pokazać jako twardy człowiek, gotowy stawić czoło wszelkim trudnościom i zagrożeniom.

O dwunastej piętnaście został zaprzysiężony jako trzydziesty piąty prezydent Stanów Zjednoczonych przez prezesa Sądu Najwyższego, Earla Warrena. Zaraz potem wygłosił przemówienie inauguracyjne. Przygotowywał się do tej chwili długo. Pracował nad tekstem, prze-

prowadzał wiele prób. Skupił się niemal wyłącznie na problemach związanych z polityką zagraniczną. Było to wspaniałe przemówienie. Wywarło ogromne wrażenie na milionach widzów i radiosłuchaczy w Stanach Zjednoczonych i na całym świecie.

Zapłacimy każdą cenę, poniesiemy każdy ciężar, pokonamy wszelkie trudności, przyjdziemy z pomocą wszystkim przyjaciołom, i stawimy czoło wszelkim przeciwnikom, aby zapewnić przetrwanie i triumf wolności.

Dziesięć dni później, 30 stycznia, prezydent Kennedy zjawiał się w Gabinetcie Ovalnym wyjątkowo wcześnie. Był to wielki dzień. W południe prezydent wygłosił na Kapitolu, na forum obu izb Kongresu, swoje pierwsze orędzie o stanie państwa. O jedenastej zadzwonił do ojca, do Palm Beach, przypominając, aby koniecznie obejrzał przemówienie w telewizji. Joe Kennedy senior był w Waszyngtonie na inauguracji, ale zaraz potem wrócił na Florydę<sup>16</sup>.

Jeden szczególnie fragment orędzia spotkał się z życzliwą reakcją słuchaczy w Kongresie:

Rok 1961 nie będzie łatwy. Nie będzie dalszych ustępstw przed komunizmem. Odwrócimy falę, bo musimy tak uczynić. Cała ludzkość, uchodźcy z Kuby i mieszkańcy laotańskich wsi, pokładają w nas nadzieję<sup>17</sup>.

Wśród milionów widzów i radiosłuchaczy, którzy uważnie śledzili przemówienia trzydziestego piątego prezydenta Stanów Zjednoczonych, był oczywiście Fidel Castro. Nie miał już najmniejszych wątpliwości, że Kennedy zamierza z całą energią doprowadzić do obalenia obecnego reżimu na Kubie, a także jego – Najwyższego Przywódcy. Dzień później Radio Hawana nadało następujący komentarz:

Prezydent Kennedy zrzucił wreszcie maskę. Jego przemówienie to nowy, kolejny atak na Kubę ze strony Stanów Zjednoczonych<sup>18</sup>.

Prasa kubańska, a także media w niektórych krajach Ameryki Łacińskiej rozpoczęły kampanię propagandową przeciwko Stanom Zjednoczonym. Ostrzegały przed „szykującą się inwazją w wykonaniu jankeskich imperialistów”. Castro był pewny swego, a nawet wojowniczo rzucał wyzwanie oddziałom uchodźców w Gwatemali, aby postawiły stopę na wyspie.

– Zmiażdżymy was – zapowiadał.

## Próba sił w Zatoce Guantanamo

Castro znów zaczął wzywać do wyrugowania „jankeskich wyzyskiwaczy” z Guantanamo, bazy określanej mianem „sztyletu wymierzonego w serce Kuby”. Niewykluczone, że miał to być tylko swoisty sprawdzian, czy nowy prezydent USA zdobędzie się na zdecydowane działania, ale też Castro nabierał coraz większej pewności siebie, zachęcony zapewne wojowniczą deklaracją Chruszczowa, że „w razie potrzeby radzieccy artylerzyści udzielą pomocy ludowi Kuby!”<sup>1</sup>

Posłuszne Fidelowi prasa, telewizja i radio rozpętały hałaśliwą kampanię propagandową wokół amerykańskiej bazy. Chodziło o wzniecenie nienawiści do Stanów Zjednoczonych w społeczeństwie kubańskim. Preparowano więc niesłychane oskarżenia, takie choćby, że gromada „żądnych krwi marines” z bazy pobiła Bogu ducha winnego kubańskiego cywila, starca w dodatku. Donoszono też, że „banda marines” dopuściła się zbiorowego gwałtu na dwunastoletniej dziewczynce, Kubance, której rodzice zatrudnieni byli na terenie bazy.

Castro podważał kubańsko-amerykański traktat o Guantanamo z roku 1903, jako niezgodny z prawem i nieważny od samego początku, bo, jak twierdził, ówczesne władze kubańskie zawarły go pod groźbą jankeskich karabinów. Wedle postanowień traktatu, w warunkach pokoju jednostki handlowe mogły korzystać bez przeszkód ze szlaku wiodącego przez cieśninę, łączącą dwie części Zatoki Guantanamo – wewnętrzną i zewnętrzną – stanowiącą północną rubież amerykańskiej bazy, funkcjonującej od prawie sześćdziesięciu lat.

Dowództwo bazy zakazało jednak kubańskim statkom rybackim, w obawie, że mogą one prowadzić działalność wywiadowczą, wpływa-

nia na wody zatoki. Castro oczywiście tego nie respektował, a jego jednostki próbowały złamać zakaz.

Od czasu do czasu na wody zatoki wpływała szybka łódź motorowa. Amerykanie z bazy nadali jej nazwę *Candy Stripe* (Papierek od cukierka), z uwagi na charakterystyczne, czerwono-białe barwy kadłuba. Na pełnych obrotach motorówka wpływała w zakazaną strefę, a gdy w pościg ruszały jednostki żandarmerii, błyskawicznie zmieniała kurs, chroniąc się na wodach międzynarodowych. Załoga motorówki czyniła przy tym obsceniczne gesty pod adresem ścigających ją bez skutku żandarmów.

Zdaniem Castra zewnętrzna część Zatoki Guantanamo leżała w obrębie kubańskich wód terytorialnych. Uważał przeto, że zakaz, dotyczący kubańskich kutrów rybackich, nie miał podstaw prawnych i pewnego dnia postanowił dać temu dobitny wyraz. W pobliskich portach Boquerón i Caimanera zebrano około sześćdziesięciu kutrów i łodzi rybackich i cała ta flota na dany sygnał wpłynęła na wody zatoki. Na części kubańskich jednostek zamustrowali się żołnierze pod bronią.

O akcji zaraz dano znać dowódcy bazy, admirałowi Mike'owi Feno. Był to doświadczony oficer. W czasie wojny służył na Pacyfiku. Pływał na okrętach podwodnych. Trzykrotnie zdobył najwyższe bojowe odznaczenie Navy Cross<sup>2</sup>. Na prowokację zareagował zdecydowanie. Wysłał natychmiast majora marines, też weterana walk na Pacyfiku, z ostrym ostrzeżeniem adresowanym do dowódcy flotylli kubańskiej.

Ten sprawę załatwił krótko. „Mam dla was wiadomość od naszego admirała. Wyoście się z naszych wód *mucho pronto* (natychmiast), bo otworzymy ogień!”

Rzeczywiście, lufy wszystkich jednostek kotwiczących w zatoce skierowano na intruzów. Kubańczycy wycofali się jak im kazano – *mucho pronto*, błyskawicznie.

Nadzieje Castra spaliły na panewce. Ani nie przekreślił litery traktatu o Guantanamo, ani nie zyskał nic propagandowo, rzucając wyzwanie *Yanquis*. Ale był to dopiero początek wysiłków Najwyższego Przywódcy na rzecz wyrugowania Amerykanów z Guantanamo.

Tymczasem do sekretnej siedziby Howarda Hunta w Miami przybył któregoś wieczoru młody, przystojny, śniadoliczy mężczyzna. Przedstawił się jako „Eduardo”. Miał na sobie wyswiechtane spodnie i lotniczą kurtkę. Pod pseudonimem skrywał się nie kto inny, jak major Pedro Díaz Lanz, były dowódca castrowskich sił powietrznych.

Huntowi towarzyszył Frank Bender, wysoki funkcjonariusz CIA, odpowiadający w kierownictwie za polityczne aspekty operacji „Pluto”.

Wysłuchali, co „Eduardo” ma do powiedzenia. „Eduardo” zwierzył się, że ciężko chorował i ma do zapłacenia rachunki za szpital, a tymczasem jest bez grosza. Żyje w nędzy, nie stać go nawet na kupno łóżecka dla dziecka, ale pragnie tylko jednego – przyczynić się do obalenia Fidela Castro, swego starego towarzysza z gór Sierra Maestra.

Po ucieczce na Florydę na początku 1959 roku, Díaz wysupłał resztę pieniędzy i wpłacił zaliczkę na stareńki bombowiec B-25, pamiętający lata II wojny światowej. Co nieco dorzucili przyjaciele i mógłby już zasiąść za sterami, gdyby nie to, że policja w Miami nałożyła areszt na maszynę za nie spłacone długi szpitalne.

Hunt z Benderem słyszeli to i owo o dzielnym lotniku.

– Myślę, że przydałaby się nam jeszcze jedna maszyna, nie mówiący już o doświadczonym pilocie – mruknął Hunt do Bendera. Mieli zresztą gotowe zadanie dla „Eduarda”. Mógłby z pokładu swego samolotu zrzucić propagandowe ulotki „prosto na łeb Fidela”<sup>3</sup>.

Przyrzekli, że załatwią sprawę długów, obiecali otoczyć opieką rodzinę (żona i syn Díaz chorowali), a jemu samemu dać jakieś skromne wynagrodzenie. Hojność Amerykanów wzruszyła dumnego i twardego Kubańczyka do łez.

Nazajutrz rano Hunt połączył się telefonicznie z szefem propagandy w centrali CIA, agentem występującym pod pseudonimem „Knight”. Powiedział mu, że za jedyne trzy tysiące dolarów może mieć na swoje usługi najlepszego dostawcy propagandowych ulotek na Kubę. Trzy tysiące wynosił koszt spłacenia długów Díaz a i zwolnienia maszyny z aresztu. „Knight” był zachwycony. Szukał bowiem możliwości dotarcia z materiałami propagandowymi na silnie strzeżoną wyspę.

Wkrótce potem do luków wiekowej maszyny Díaz załadowano ulotki. Wszystko było gotowe do startu. W ostatniej jednak chwili „Knight” zadzwonił na lotnisko i odwołał misję. Jakiś biurokrata z Departamentu Stanu zgłosił wątpliwości.

Rzecz w tym, że Immigration and Naturalization Service\* zakwalifikowała Díaz a jako niebezpiecznego osobnika. Jego samolot był pod ścisłą obserwacją INS. Obawiano się bowiem, że może on podjąć działania przeciwko reżimowi Fidela Castro. Tak więc, dokładnie wtedy, gdy siłom przygotowującym inwazję potrzebna była

\* Agenda rządu Stanów Zjednoczonych odpowiedzialna za sprawy imigrantów [przyj. tłum.].

każda para rąk, biurokraci z Waszyngtonu skierowali Pedro Díaz a na boczny tor.

Gdy na początku lutego 1961 roku Bobby Kennedy wprowadził się do eleganckiego gabinetu prokuratora generalnego na piątym piętrze budynku Ministerstwa Sprawiedliwości, „cały” Waszyngton wstrzymał oddech, czekając na pierwsze starcie z J. Edgarem Hooverem. Zdaniem znawców waszyngtońskiej sceny politycznej – wpływowych komentatorów, polityków, konsultantów i politycznych kibiców – konflikt między młodym Kennedym a Hooverem był nieunikniony. Różniło ich wszystko: wiek, pochodzenie, poglądy. Bobby był liberałem, arystokratą z majątnej i ustosunkowanej rodziny. Legendarny skądinąd dyrektor Federalnego Biura Śledczego, zatwardziały konserwatysta, legitymował się nader skromnym pochodzeniem. Powiadano też, że w wyborach prezydenckich popierał Richarda Nixona.

W cichości swego gabinetu zgrzytał zębami na myśl o tym, że Bobby będzie jego szefem. Nie bez znaczenia był wiek. Hoover stanął na czele FBI na dwa lata przed urodzeniem Bobby'ego. Ale chodziło nie tylko o to. Dyrektor FBI zwyczajnie nie znosił młodego Kennedy'ego i to od lat. Miał go za aroganta i karierowicza, „cwanego sukinsynka” – jak wspominał później Richard Nixon<sup>4</sup>.

Przewidywania okazały się trafne. Rychło ujawniły się tarcia i napięcia, rozpoczęła się wojna podjazdowa między Kennedym i jego ekipą, młodych, prężnych, doskonale wykształconych i ambitnych ludzi, a Hooverem i jego wierną drużyną seniorów, zwłaszcza że różnice w stylu działania i poglądach zaczęły się pogłębiać.

Zajazdy i podjazdy przybierały rozmaite formy. Przewodnikom oprowadzającym wycieczki po siedzibie FBI<sup>5</sup> kazano do standardowego tekstu włączyć taki oto passus: „Mr. Hoover stanął na czele Federalnego Biura Śledczego w roku 1924, dwa lata przed przyjściem na świat [jego obecnego przełożonego] prokuratora generalnego”<sup>5</sup>.

Gdy Bobby'emu doniesiono o sprawie – a nie było wątpliwości, że FBI włożyła ów tekst w usta przewodników świadomie i celowo, aby podkreślić niestosowny wiek szefa resortu sprawiedliwości – nakazał jego wycofanie, co oczywiście wywołało furję w obozie Hoovera.

Uciekano się do jeszcze innych manipulacji. W bliskim kręgu Hoovera podniesiono sprawę... Brumusa. Był to ulubiony pies Bobby'ego. Kennedy często przyprawdzał go do biura. Zdarzyło się kiedyś,

\* Biuro i ministerstwo dzieliły ten sam budynek przy Pennsylvania Avenue w Waszyngtonie [przyj. tłum.].

że Brumus – niepomny zasad dobrego wychowania i pozycji ulubieńca samego ministra – zapaskudził cenny dywan w gabinecie swego pana. Odbyla się w tej sprawie specjalna konferencja w gronie dwunastoosobowego kolegium FBI (bez udziału Hoovera, bo nigdy nie brał udziału w posiedzeniach tego gremium), którego zadaniem było opracowywanie strategii walki z różnymi przestępstwami. Kolegium uznało, że obecność Brumusa w ministerstwie, nie mówiąc już o haniebnym wyczynie, jakiego się dopuścił, narusza ducha i literę paragrafu 201, art. 8, rozdz. 2 regulaminu, obowiązującego w budynkach użyteczności publicznej, który stanowi, że „psów nie wolno wprowadzać”.

Na tej podstawie postanowiono sformułować i przedstawić winnemu oficjalny zarzut o niszczenie własności publicznej. Koniec końców sprawę zarzucono, choć Brumus i tak dostał za swoje.

Dwa tygodnie po objęciu urzędu Bobby, zapalony sportowiec, odkrył, że w podziemiach gmachu, w części należącej do FBI, funkcjonuje sala gimnastyczna. W biurze spodziewano się, że wcześniej czy później Bobby zechce z niej skorzystać i poczyniono stosowne przygotowania. I gdy któregoś dnia Bobby stanął w drzwiach sali, bo chciał poćwiczyć, nie wpuszczono go informując, że sala dostępna jest tylko dla posiadaczy legitymacji FBI.

Jeśli chodzi o ciąg dalszy, to kursowały dwie wersje. Wedle tego, co opowiadano w FBI, Bobby poczerwieniał ze złości, ale już więcej nie próbował wkraczać na teren biura. Natomiast wedle wersji kursującej w otoczeniu prokuratora generalnego, to miał on nakazać natychmiastowe udostępnienie sali wszystkim pracownikom Ministerstwa Sprawiedliwości.

Inny przykład manewrów, składających się na wojnę podjazdową, wiąże się z osobą jednego z zastępców Hoovera i przemówieniami, jakie wygłaszał do nowo przyjętych elewów szkoły FBI w Quantico, w stanie Wirginia, niedaleko Waszyngtonu. Gratulował im sukcesu, podkreślając, że przed nimi trzydzieści sześć milionów młodych ludzi ubiegało się o przyjęcie do FBI bez powodzenia, a wśród nich były wiceprezydent, Richard Nixon i obecny prokurator generalny, Robert Kennedy. Tego pierwszego odrzucono, bo „nie był wystarczająco agresywny”, a drugiego za „zarozumiałstwo”<sup>6</sup>.

W tej swoistej wojnie podjazdowej Hoovera z Kennedym w istocie przejawiał się odwieczny konflikt między starym a nowym przewodnikiem stada. I może właśnie dlatego swobodny styl Kennedy'ego tak bardzo irytował nawykłego do dyscypliny dyrektora. Trzeba przy tym

podkreślić, że obaj adwersarze starali się utrzymać wzajemne kontakty na cywilizowanym poziomie.

Kennedy i jego zespół młodych wilków po przyjeździe do pracy rzucali marynarki, zawijali rękawy i byli na luzie. Zdarzało się, że rozsiadali się w fotelach, trzymając nogi na biurku, co z kolei wielce oburzało Hoovera. Od czasu, gdy nastał w FBI, a więc od roku 1928, nie było mowy, aby jakiś funkcjonariusz ośmielił się pokazać bez marynarki i krawata.

Nie chodziło tylko o styl. W stosunkach między młodym i starym przewodnikiem iskrzyło na wielu frontach. Któregoś dnia Hoover ze swoim zastępcą, Clydem A. Tolsonem, przybył do gabinetu Kennedy'ego na zapowiedzianą naradę. Kennedy jakby nie zauważał gości. Bez reszty pochłaniała go gra w „darts” – rzucanie strzałkami do tarczy.

Nie przerwał nawet wtedy, gdy Hoover zaczął przedstawiać sprawę. Dyrektor oczywiście dostał furii, choć starał się tego nie okazywać, ale po powrocie do siebie rzucił kwaśno: „To świętokradztwo i przykład lekceważenia własności publicznej!” Jedna ze strzałek trafiła bowiem nie w tarczę, lecz w kosztowną, orzechową boazerię, zostawiając wyraźny ślad<sup>7</sup>.

Przez cały ten czas trwały intensywne przygotowania do operacji „Pluto”, jak brzmiał oficjalny kryptonim planowanej inwazji na Kubę. 11 lutego, pod osłoną nocy, z jednej z przystani na Florida Keys, wyruszyła, kierując się na Kubę, spora łódź motorowa. Dowodził nią Enrique „Kikío” Llansó, emigrant z Kuby. Znał doskonale okoliczne wody. Od roku bowiem pływał na Kubę z bronią i amunicją dla tajnych oddziałów, szykujących się do walki z Fidelem Castro. Tym razem miał na pokładzie pięcioosobowy oddział zwiadowców z Brygady 2506. Miał ich wysadzić w umówionym miejscu, na dzikiej plaży w prowincji Matanzas. Tam już czekali przewodnicy, którzy mieli zabrać zwiadowców w głąb wyspy.

Do oddziałów zwiadowców i dywersantów w brygadzie trafiali na ogół młodzi i chętni ludzie. Rekrutowano ich głównie spośród pierwszych ochotników. Wszyscy przechodzili oczywiście stosowne przeszkolenie pod okiem CIA. Wysyłano ich na Kubę, aby w odpowiednim momencie, gdy zacznie się inwazja, wzniecali niepokoje na zapleczu i wzywali do powszechnego powstania przeciwko Fidelowi.

Rejs 11 lutego zakończył się jednak katastrofą. Morze było niespokojne i tuż przed lądowaniem na Kubie łódź wywróciła się na fali. Zwiadowcy dopłynęli do brzegu, ale bez sprzętu, broni, amunicji, bez radia,

pieniędzy i ubrań. Byli niemal nadzy, gdy wyszli na ląd w poszukiwaniu kryjówek. Operacja „Pluto” zaczęła się od minorowej nuty.

Mniej więcej miesiąc później, na początku marca 1961 roku, CIA przystąpiła do realizacji skomplikowanego planu, polegającego na uprowadzeniu kilku lub kilkunastu kubańskich kutrów torpedowych; dokładna liczba nie jest znana. Były to szybkie jednostki, zbudowane w stoczniach wschodniemieckich. Grupa oficerów marynarki kubańskiej, przeciwników Castra, miała je wyprowadzić z bazy Baracoa w prowincji Oriente, kierując się na Florydę. Był wszakże jeden warunek, od którego zależało powodzenie operacji. Otóż trzeba było po drodze uzupełnić paliwo. Castro nie ufał marynarzom, więc ściśle odmierzano paliwo w zbiornikach. Wlewano minimum, które nie wystarczało na pokonanie cieśniny oddzielającej Kubę od Florydy.

CIA wynajęła więc od prywatnego armatora statek *Western Union*, specjalistyczną jednostkę do układania kabli na dnie morza. Najpierw skierowano go do bazy Guantanamo. Tam załadowano na pokład kilka tysięcy baryłek z wysokooktanową benzyną.

Kilka dni później *Western Union* wymknął się z Gitmo, biorąc kurs na umówione miejsce spotkania z kutrami torpedowymi. Po drodze jednak został zatrzymany przez kubański okręt wojenny. Przez radio wezwano pomoc z Guantanamo. Wkrótce zjawily się myśliwce. Krążyły nad obu jednostkami, aż na miejsce dopłynął okręt amerykańskiej Marynarki Wojennej. Przez godzinę trwała wojna nerwów, po czym kubańska jednostka odplynęła, dzięki czemu nie doszło do konfrontacji, która mogła mieć poważne konsekwencje.

Ale też *Western Union* nie mógł już wykonać swojego zadania. Przeciwnik najwidoczniej znał plan, a nawet gdyby nie znał, to w tej sytuacji *Western Union* nie mógł służyć paliwem kutrom torpedowym, bo byłby to dowód, że Stany Zjednoczone, wbrew oficjalnej polityce, podejmują działania na rzecz obalenia reżimu Castra. *Western Union* wziął więc kurs na Key West, gdzie już czekali reporterzy, którzy skądś wiedzieli o planie porwania kutrów. Kilku dżentelmenów, podających się za „agentów federalnych”, postarało się, aby ani kapitan, ani nikt z załogi *Western Union*, nie udzielił żadnego wywiadu dla prasy.

W lutym, a zwłaszcza z początkiem marca, przygotowania do inwazji nabrały wyjątkowego tempa. CIA ostrzegala bowiem, że wkrótce Kuba otrzyma nowoczesne, radzieckie myśliwce typu MiG; pilotów przeszkolono w Czechosłowacji. Prezydent Gwatemali, w obawie

przed narastającą krytyką prasową, zaczął się domagać, aby oddziały złożone z uchodźców kubańskich opuściły jego kraj do 30 kwietnia.

11 marca 1961 roku, siedem tygodni po objęciu urzędu, prezydent Kennedy zwołał naradę z udziałem szefów najważniejszych ministerstw i wysokich urzędników, na temat operacji „Pluto”. Spotkanie odbyło się w ściśle strzeżonej sali, w nowym skrzydle budynku Departamentu Stanu. Sprawa była poważna, stawka ogromna. W sali konferencyjnej czuło się napięcie.

Wokół stołu zasiedli między innymi: sekretarz obrony Robert S. McNamara, sekretarz stanu Dean Rusk, sekretarz skarbu Douglas Dillon, zastępca Ruska do spraw Ameryki Łacińskiej Thomas Mann, zastępca sekretarza obrony Paul H. Nitze, szef tajnych operacji CIA Richard Bissell oraz przewodniczący Komitetu Szefów Sztabów generał Lyman Lemnitzer.

Wprowadzenie wygłosił Richard Bissell. Przedstawił wojskowe założenia operacji, podkreślił walory Brygady 2506, wyraził opinię, że jest to doskonale przygotowana jednostka bojowa. Opisał jej stan uzbrojenia. Zapewnił, że lotnictwo Castra zostanie zniszczone przez bombowce B-26 tuż przed rozpoczęciem inwazji. Stwierdził też, że w dziejach Kuby było wiele zrywów powstańczych, kiedy to stosunkowo szczupłe siły odnosiły zwycięstwo nad znacznie potężniejszymi, gdy ludność cywilna opowiadała się po stronie wyzwolicieli.

Była to dziwna i ryzykowna teza, zwłaszcza w świetle niedawnego raportu Howarda E. Hunta. Przed kilku tygodniami przeprowadził on rozpoznanie na Kubie i ostrzegł kierownictwo CIA, że większość społeczeństwa stoi zdecydowanie za Fidelem Castro, a w tej sytuacji nie należy oczekiwać, że lądowanie brygady da impuls do narodowego powstania.

Plan Bissella zakładał, że desant zostanie wysadzony na południowym wybrzeżu Kuby, w okolicach miasta Trinidad. Za takim wyborem, podkreślił Bissell, opowiada się także Komitet Szefów Sztabów. Gdyby nie doszło do wybuchu powstania, oddziały desantowe mogłyby schronić się w pobliskich górach i prowadzić działania typu partyzanckiego.

Twierdzi się, że prezydent Kennedy miał generalnie przystać na przedstawiony plan inwazji. Nie zgadzał się tylko z wyborem miejsca desantu. W tej sytuacji, trzy dni później, planiści z CIA przedstawili nową koncepcję. Brygada miała wyjść na ląd w rejonie Bahía de Cochinos (Zatoki Świń), sto sześćdziesiąt kilometrów na zachód od Trinidadu. Był to teren bagnisty, rzadko zamieszkały, w związku z czym – argumentowała CIA – będzie można ograniczyć osłonę desantu z powietrza.

Komitet Szefów Sztabów miał wątpliwości, opowiadał się raczej za Trinidadem. Pogląd ten przedstawiono sekretarzowi obrony. Robert McNamara – rówieśnik prezydenta, absolwent Uniwersytetu Kalifornijskiego i Harvard Business School, Wydziału Ekonomii Uniwersytetu Harvarda, prezes Ford Motor Company przed objęciem stanowiska w rządzie – nie poinformował Kennedy'ego o wątpliwościach wojskowych. Niewykluczone, że stało się tak tylko na skutek biurokratycznego niedopatrzenia, a zresztą Komitet Szefów Sztabów przestał się upierać. Też chciał jak najszybciej skończyć z Fidelem Castro i zatwierdził plan desantu w Zatoce Świń.

16 marca odbyła się kolejna narada. Prezydent z doradcami przeanalizowali ostateczną wersję planu inwazji. Dulles z Bissellem przemilczeli fakt, że w razie niepowodzenia uczestnicy desantu nie będą mieli możliwości szukania schronienia w górach. Najbliższe pasmo Escambray oddziela od Zatoki Świń sto trzydzieści kilometrów bagnistych bezdroży. Nie będzie więc mowy o zaszcyciu się na wyżynie, rozpoczęciu działań partyzanckich i prowadzeniu ich w nieskończoność, z zaopatrzeniem ze zrzutów.

Uczestnicy konferencji zastanawiali się głównie nad czymś innym, a mianowicie, czy Moskwa skieruje na wyspę swoje wojska, jak ostrzegali Nikita Chruszczow, co mogłoby grozić wybuchem III wojny światowej. Dulles z Bissellem nie dali jednoznacznej odpowiedzi na to pytanie. Chruszczow jest po prostu nieprzewidywalny, trudno więc powiedzieć, co zrobi.

Na zakończenie dyskusji prezydent Kennedy poprosił wszystkich po kolei o wyrażenie osobistego poglądu. Nikt nie zgłosił żadnych zastrzeżeń do planu. Ostateczne spotkanie w sprawie operacji „Pluto” wyznaczono na 4 kwietnia.

Na krótki urlop wielkanocny prezydent udał się do ojca, do Palm Beach na Florydzie. Wrócił, jak odnotował Arthur Schlesinger, „w znacznie bardziej bojowym nastroju niż wyjechał”<sup>8</sup>. W kulisach Białego Domu szeptano, że był to wynik rozmów z konserwatywnie usposobionym Kennedym seniorem. Nie można wykluczyć, że ojciec radził prezydentowi, aby nie przejmował się zdaniem jajogłowych, jak ich nazywał, liberałów z otoczenia Białego Domu.

Na końcowej konferencji Dulles z Bissellem przedstawili stan przygotowań do działań wojennych. W odpowiedzi na stawiane pytania wyrazili pogląd, że istnieją wszelkie przesłanki, aby wierzyć, że inwazja zakończy się powodzeniem i że Castro zostanie ostatecznie wyeliminowany. Podobnie jak na poprzednim spotkaniu, prezydent zwrócił się do wszystkich obecnych o wyrażenie osobistego zdania.

Wszyscy byli za. Tylko znany liberał, senator J. William Fulbright, przewodniczący senackiej Komisji Stosunków Zagranicznych, którego doproszono na ostatnie spotkanie, był przeciw. Argumentował, że operacja jest „niemoralna”.

Trzy dni później prezydent dał zielone światło do rozpoczęcia operacji „Pluto”. Stracił cierpliwość do wątpiących. Określił ich mianem tchórzy. – Wszyscy zaczynają już głupieć w związku z tą sprawą – mruknął do Theodore'a Sorensena, zaufanego, „specjalnego”, jak brzmiał jego tytuł, doradcy w Białym Domu<sup>9</sup>.

11 kwietnia w wywiadzie telewizyjnym prezydent nieuważnie wypowiedział zdanie, które zmroziło wszystkich wtajemniczonych w sprawę operacji „Pluto”. W odpowiedzi na pytanie dotyczące niedawnej podróży swego doradcy, Arthura Schlesingera, do kilku krajów Ameryki Łacińskiej prezydent powiedział:

Myślę, że nasze stosunki z Ameryką Łacińską znalazły się w punkcie zwrotnym. Jeśli nie podejmiemy działań dziś, to jutro może nam zagrozić jeszcze większe niebezpieczeństwo ze strony Fidela Castro<sup>10</sup>.

Do I-Day – dnia rozpoczęcia operacji „Pluto” – zostały już tylko cztery doby.

## „Prezydent powiedział – nie”

Świtało, gdy trzy bombowce B-26 zbliżały się do lotniska San Antonio de Los Baños pod Hawanę, głównej bazy kubańskich sił powietrznych. Za sterami pierwszej maszyny siedział dwudziesto-sześćioletni Salvador Miralles, emigrant z Kuby, z racji skromnej postury i bojowego charakteru zwany „Wstrętnym Karłem”. Lot trwał już trzy godziny i dwadzieścia siedem minut. Startowali z tajnego lądowiska (kryptonim „Happy Valley” – „Szczęśliwa Dolina”) w pobliżu Puerto Cabezas, na zachodnim wybrzeżu Nikaragui. Była sobota, 15 kwietnia 1961 roku. Do rozpoczęcia operacji „Pluto” zostały już tylko dwa dni.

Na widok kubańskich samolotów ustawionych rzędem na pasie Miralles poczuł przyływ adrenaliny. – Wygląda to jak w Pearl Harbor – krzyknął w podnieceniu do drugiego pilota. Trzy maszyny zatoczyły łuk nad lotniskiem. Bomby poszły w dół. Wiraż, drugie podejście na niskim pułapie i kilka salw z broni pokładowej<sup>1</sup>.

Dwusilnikowe maszyny B-26 krążyły nad całą wyspą. Bomby spadły też na lotniska w Santiago de Cuba, Ciudad Libertad oraz San Julián, gdzie bazowały pozostałe eskadry Fidela Castro.

Miralles był zachwycony, gdy po akcji posadził maszynę na lądowisku w „Szczęśliwej Dolinie”. Zdawał sobie wszakże sprawę, że nie zniszczono wszystkich samolotów przeciwnika. Spodziewał się więc, że zaraz nadejdzie rozkaz, żeby wystartować jeszcze raz i dokończyć sprawę. Zaczął jednak tracić nadzieję. Z centrali tymczasem dano znać przez radio, żeby „siedzieć na miejscu” co najmniej trzydzieści sześć godzin, na razie bowiem trzeba się zorientować, jakie są „światowe reakcje” na pierwszy nalot<sup>2</sup>.

„Karzeł” i pozostali piloci skłękali oficera operacyjnego, agenta CIA o pseudonimie „Bill Carpenter”. Jakie „reakcje”? Co to ma wspólnego z zadaniem i w ogóle ze sprawą wyzwolenia Kuby spod komunistycznego jarzma Fidela Castro? „Carpenter” też był wściekły. Zaszły się gdzieś, mając nadzieję, że jeśli zniknie na jakiś czas, to piloci wystartują na własną rękę, nie czekając na rozkazy.

Nie wiedział, bo nie mógł wiedzieć ani on, ani nikt w „Szczęśliwej Dolinie” i w ogóle całej Nikaragui, że decyzja o wstrzymaniu akcji z powietrza zapadła na najwyższych szczeblach w Waszyngtonie. Po sobotnim nalocie CIA wysłała nad Kubę supertajną maszynę zwiadowczą U-2, aby ocenić skutki akcji. Centrala była przerażona. Z analizy zdjęć wynikało, że zniszczono ledwie pięć maszyn. Fidelowi zostało więc do dyspozycji osiem samolotów, w tym trzy niezwykle groźne myśliwce odrzutowe T-33, bazujące w Santiago<sup>3</sup>.

W planie operacyjnym zakładano i podkreślano, że warunkiem powodzenia jest całkowite panowanie w powietrzu, przynajmniej w czasie lądowania w Zatoce Świń. W tej sytuacji oficer operacyjny w centrali podjął decyzję o „czyszczącym uderzeniu”, czyli ponownym nalocie w niedzielę o świcie, na dzień przed inwazją. Wysłał już odpowiedni sygnał do „Szczęśliwej Doliny”, gdy w sztabie zjawił się generał Charles Cabell, numer drugi w hierarchii CIA. Skończył właśnie partyjkę golfa w ekskluzywnym klubie w Chevy Chase, eleganckim przedmieściu Waszyngtonu.

– Wydaje mi się – rzucił, gdy zameldowano mu o sytuacji – że dano nam zgodę tylko na jeden nalot.

– Ależ szefie – próbował upierać się operacyjny – odebraliśmy tylko rozkaz, żeby zniszczyć całe lotnictwo kubańskie. Nie było mowy o liczbie nalotów.

Dullesa nie było w Waszyngtonie. Zgodnie z planem przebywał z odczytami w Puerto Rico. Pojechał specjalnie, aby ukryć fakt, że szykuje się „coś wielkiego”. Pod jego nieobecność w centrali szefował generał Cabell.

– Poczekajcie – powiedział – sprawdzę wyżej, co i jak.

Zadzwoił do sekretarza stanu, Deana Ruska. Ten z kolei połączył się z prezydentem. Jack Kennedy przebywał właśnie w swojej wiejskiej rezydencji Glen Ora w Wirginii. Fidel Castro pohukiwał już przez radio na cały świat, że „jankescy agresorzy” bombardują kubańskie „lotniska cywilne”. Kennedy zaniepokoił się, że prawdziwa rola Ameryki może wyjść na jaw. Uznał zapewne, że drugiego nalotu nie da się już przedstawić jako akcji, za którą stoi wyłącznie garstka zdesperowanych emigrantów kubańskich.

- Prezydent powiedział „nie” - powtórzył Cabell dyżurnym w Centrum Operacyjnym<sup>4</sup>.

Podczas gdy piloci w Nikaragui gubili się w domysłach, Fidel Castro działał zdecydowanie. Jeszcze nie przebrzmiały odgłosy wybuchów bomb na lotnisku San Antonio de Los Baños, gdy Najwyższy Przywódca przemówił na falach Radia Hawana. Oстрыm, jak to on, głosem oznajmił:

Wszystkie nasze jednostki zostały postawione w stan pogotowia. Jeśli ten nalot zapowiada inwazję, to niech nasi wrogowie wiedzą, że żelazna pięść Kuby spadnie na każdego, kto postawi nogę na naszej ziemi...<sup>5</sup>

Z kolei w przemówieniu wygłoszonym w czasie uroczystości żałobnych ku czci żołnierzy poległych w czasie nalotu, Castro grzmiał:

Jeśli prezydent Kennedy ma choćby cień poczucia przyzwoitości, to powinien pokazać w Narodach Zjednoczonych maszyny, które wzięły udział w nalocie i ich pilotów. Jeśli tego nie uczyni, świat będzie miał wszelkie prawa nazwać go kłamcą [za to, że twierdzi, iż Stany Zjednoczone nie mają nic wspólnego z nalotem].<sup>6</sup>

Dicka Bissella i innych w CIA zaczęło ogarniać przerażenie, że inwazja skazana jest na katastrofę. Błagali Kennedy'ego o zmianę decyzji w sprawie kolejnego nalotu na lotniska. Na próżno. Przerażenie zapanowało także w Pentagonie. Generał Lyman Lemnitzer, przewodniczący Kolegium Szefów Sztabów, określił później decyzję prezydenta o wstrzymaniu nalotów jako akt „z gruntu naganny, graniczący z przestępstwem”<sup>7</sup>.

W przekonaniu Castra przeciwnik szykujący się do inwazji popełnił ogromny błąd. Dał mu bowiem co najmniej czterdzieści osiem godzin na zebranie sił. Castro doskonale wiedział, gdzie nastąpi lądowanie. Siatka szpiegów w Stanach Zjednoczonych i w Ameryce Łacińskiej sprawiła się znakomicie. Najwyższy Przywódca przypasał więc kolta kal. 45 i opuścił stolicę, przenosząc się na bojowe stanowisko dowodzenia. Założył je w starej cukrowni, w prowincji Las Villas, dwadzieścia cztery kilometry od Zatoki Świń.

Z całej Kuby w rejon spodziewanego desantu ciągnęły kolumny wojsk. Zbrojne oddziały, artyleria, moździerz, czołgi zajmowały pozycje wokół Zatoki Świń, szerokiej na siedemnaście i pół kilometra i wrzynającej się w głąb lądu na dwadzieścia siedem kilometrów. Ponadtrzymetrowy pas lądu graniczący z zatoką jest płaski, grunt mocny. Dalej jednak zaczynają się mokradła. Rozciągają się na sze-

rokość ponad stu kilometrów, równoległe do brzegu, i sięgają trzydziestu kilometrów w głąb wyspy.

Plan operacji „Pluto” przewidywał, że oddziały desantujące się z morza wyjdą na ląd w trzech punktach na sześćdziesięcioczkterokilometrowym odcinku wybrzeża. Jednocześnie desant spadochronowy miał opanować trzy przejścia drogowe, wiodące od lądu przez mokradła ku morzu. Zakładano, że amfibie błyskawicznie przejdą przez podmokłe tereny, wychodząc na rubieże zajęte przez spadochroniarzy, a tym samym już w pierwszej fazie inwazji powstanie spory przyrost o głębokości trzydziestu dwóch i szerokości sześćdziesięciu czterech kilometrów.

Howard Hunt, odpowiedzialny za działania polityczne związane z inwazją, uruchomił tymczasem opracowany przez siebie plan dezinformacji, obliczony na wprowadzenie w błąd przeciwnika i osłabienie jego morale. Hunt czerpał z wzorów BBC (British Broadcasting Company) z okresu inwazji wojsk sojuszniczych na Normandię. BBC nadawało wtedy liczne komunikaty adresowane do francuskiego ruchu oporu, które jednocześnie wywoływały zamieszanie w dowództwie wojsk niemieckich. Z anteny radiostacji CIA na Swan Island (Wyspie Łabędziej) zaczęły docierać na Kubę „komunikaty” w języku hiszpańskim, przeznaczone rzekomo dla komórek działających w podziemiu. Brzmiało to tak:

Alarm, alarm! Wypatrujcie tęczy... Pierwsza pojawi się już wkrótce... Chico jest w domu... Wywiesić ogłoszenie na drzewie... Listy nadeszły... W porządku... Listy są białe... Ryba nie będzie tracić czasu<sup>8</sup>.

Chodziło o to, aby Castro uwierzył, iż z podziemia wyjdzie cała armia przeciwników reżimu. Kubański wywiad prowadził oczywiście nasłuch stacji, ale Castro nie dał się zwieść.

Przebywający w Nowym Jorku kubański minister spraw zagranicznych, Raúl Roa, obciążył w Narodach Zjednoczonych prezydenta Kennedy'ego i władze amerykańskie odpowiedzialnością za naloty bombowe na Kubę i stwierdził, że Amerykanie lada moment zamierzają rozpocząć inwazję na pełną skalę. Przedstawiciel USA, ambasador Adlai Stevenson\*, którego podczas kampanii wyborczej w roku 1956 bracia Kennedy określali mianem słabego i niezdecydowanego polityka, dał zdecydowany odpór oskarżeniom Kubańczyka. Przemawiał z pasją i szczerym przekonaniem do swoich racji.

\* Dwukrotny kandydat na prezydenta USA, rywalizujący z Dwightem Eisenhowerem [przypr. tłum.].

Nie bez powodu, bo doradca prezydenta, Arthur Schlesinger i CIA udzieliłi ambasadorowi dość pełnej informacji o operacji „Pluto”, ale też dali mu do zrozumienia, że działania wojskowe rozpoczną się dopiero po sesji Zgromadzenia Ogólnego NZ.

Gdy na dwa dni przed inwazją samoloty w tajnej bazie w Nikaragui szykowały się do nalotu na Kubę, jedną z maszyn ostrzelano, a następnie na stateczniku namalowano znaki kubańskich sił powietrznych. Tak spreparowaną maszynę skierowano do Miami. Pilot, zwerbowany oczywiście spośród emigrantów z Kuby i odpowiednio przygotowany, oświadczył zgromadzonym przedstawicielom prasy, radia i telewizji, że właśnie zerwał z reżimem Castra i dołączył do eskadr, które dokonały bombardowania i że takich, jak on, jest wielu. Cała ta inscenizacja miała na celu zakamufłowanie amerykańskiego udziału i roli USA w działaniach przeciwko Kubie.

Adlai Stevenson nie zdawał sobie sprawy, że ma do czynienia z klasycznym przykładem dezinformacji. Z trybuny ONZ odczytał treść oświadczenia pilota dla prasy i pokazał zdjęcia ostrzelanej maszyny ze znakami lotnictwa kubańskiego.

16 kwietnia, dzień przed inwazją, tysiąc czterystu ledwo przeszkolonych żołnierzy Brygady 2506 upakowano jak sardynki na pięciu niewielkich, pociągniętych czarną farbą stateczkach i odprawiono do Zatoki Świń. Miniflotylli towarzyszyły w charakterze eskorty dwa niszczyciele US Navy. Na pokładach ludzie porozkładali się, gdzie kto mógł – w hamakach, łodziach ratunkowych, na gołych deskach. Obowiązywał zakaz palenia, ale nastrój był bojowy, morale wysokie. Śpiewano, wiwatowano, upominano, żeby jeńców traktować łagodnie, bo to przecież rodacy.

Na jednym ze stateczków stał przy relingu Erneido Olivo, zastępca dowódcy brygady. Był lojalnym i oddanym służbie żołnierzem, gdy Castro sięgnął po władzę. Długo się wahał, nim postanowił zbiec z wyspy. Olivo miał czarną skórę. Jego ucieczka stanowiła dotkliwy cios dla Castra, który kreował się na obrońcę czarnych. Wystarczył wszakże rok, aby Olivo doszedł do przekonania, że Castro w istocie cynicznie eksploatuje kwestie rasowe, w celu pogłębienia podziałów na Kubie. Poza tym Olivo był głęboko wierzącym katolikiem, nie mógł więc pogodzić się z komunizmem.

O zachodzie słońca flotylla znajdowała się osiemdziesiąt kilometrów od brzegów Kuby. Na flagowym statku *Blagar* dowódca brygady, „Pepe” San Román, zarządził zbiórkę na pokładzie. Dowodził zaisiste dziwną gromadą ludzi. Najmłodsi liczyli ledwie szesnaście lat,

najstarszy dobiegał siedemdziesiątki. Była wśród nich garstka zawodowych wojskowych z doświadczeniem wyniesionym ze służby w oddziałach Batisty, była grupa najemników, ale większość stanowili cywile, którzy nigdy przedtem nie mieli broni w ręku.

Na maszt *Blagara* wciągnięto flagę Kuby. Oddział oddał honory. Wielu miało łzy w oczach. Był wśród nich dr Manuel Artime, lekarz, syn zdeklarowanego komunisty, ale głęboko wierzący katolik. Towarzyszył brygadzie jako „delegat Rady Rewolucyjnej”.

Tysiąc sześćset kilometrów na północ od Kuby, w Nowym Jorku, agenci CIA zapukali do pokoju José Miró Cardony w hotelu Lexington. Cardona miał zostać nowym prezydentem Kuby. Cichaczem przewieziono go razem z pozostałymi członkami Rady Rewolucyjnej na niewielkie lotnisko pod Filadelfią. Tam czekała już nie oznakowana maszyna, którą cała grupa odleciała do Opa-Locka, dawnej bazy lotnictwa Marynarki Wojennej na południu Florydy, gdzie umieszczono ich w silnie strzeżonym budynku. Członkowie Rady Rewolucyjnej znaleźli się de facto w areszcie. Strażnikom wydano rozkaz otworzenia ognia, gdyby któryś z aresztantów próbował się oddalić. Nie poinformowano ich, że inwazja nastąpi już lada chwila. Trzymano ich w pogotowiu. Miano przewieźć na wyspę, gdy tylko brygada „wyzwoli” pierwszy jej skrawek. Tam rada miała proklamować powołanie nowego rządu.

Wśród krążących nerwowo po budynku w Opa-Locka był Ramón Barquín, były pułkownik armii kubańskiej, pełniący w radzie funkcje eksperta od spraw wojskowych. W 1956 roku został skazany na sześć lat więzienia za udział w spisku przeciwko ówczesnemu dyktatorowi, Fulgencio Batiście. Wyszedł, gdy władzę objął Fidel Castro. Barquín zastanawiał się, dlaczego na miejsce desantu wybrano Zatokę Świń. Nękały go koszmary, że Armia Wyzwoleńcza zostanie przygwożdżona na mokradłach Zapata.

O szóstej rano w dniu inwazji młody Juan Luis Cosculluela i jego oddział płetwonurków zakończyli wytyczanie przejścia przez rafę koralową. Dwadzieścia pięć minut później czołówka brygady zmierzała już na ląd, gdy nagle barka desantowa LCVP uderzyła o rafę sto pięćdziesiąt metrów od linii brzegu. W tym momencie cały, starannie opracowany plan uległ załamaniu. Dalsze wydarzenia i w ogóle cała operacja „Pluto” rozegrała się według „prawa Murphy'ego”, które stanowi, że wszystko, co może się popsuć, niewątpliwie się psuje.

Załoga barki desantowej zsunęła się do wody sięgającej w tym miejscu po szyję. Trzymając broń i sprzęt, w tym ciężkie moździerze i amunicję, wysoko nad głową, ludzie brnęli na brzeg. W tym momencie nadleciał błękitny bombowiec B-26 ze znakami kubańskich sił powietrznych i zaczął ostrzeliwać statki oraz ludzi, usiłujących wydostać się na brzeg. Kilka minut później nadleciały jeszcze myśliwce T-33 i wiekowe *Sea Furies*, produkcji brytyjskiej. Ludzie, próbujący wyjść na brzeg, ciężko klepli. Zapewniano ich przecież, że lotnictwo Fidela Castro zostanie zniszczone przed inwazją.

Gdy samoloty Castra odleciały, aby uzupełnić paliwo i zapas amunicji, pojawiły się transportowce C-46 z oddziałami spadochroniarzy pod dowództwem Alejandra del Valle'a. Leciały na niskim pułapie i wtedy to z pokładów statków, biorących udział w desancie, otworzono ogień. Celne serie uderzyły w skrzydła transportowców, ku zdziwieniu i przerażeniu załóg i szykujących się do skoku spadochroniarzy.

– Co jest do cholery, zwariowali, czy co? – rozległy się przekleństwa.

W szeregach Piątego Batalionu na pokładzie statku *Houston* wybuchła panika. Był to wyjątkowo słabo przygotowany oddział. Część żołnierzy miało za sobą ledwie kilkudniowe przeszkolenie. Pod bombami i ostrzałem stracili głowy. Odmawiali zejścia do barek desantowych. „Rip” Robertson z CIA, szef oddziału płetwonurków, dostał furii. – To wasza wojna, sukinsyny – krzyczał – próbując skłonić ludzi do zajęcia miejsca w barkach. – Wypieprzać – wrzeszczał bez większego skutku. Tylko garstka, nie więcej niż dziesięciu, zeszło do barki<sup>9</sup>. Większość batalionu zostało na pokładzie statku.

Wtedy to kubański samolot przypuścił kolejny atak na *Houstona*. Celna rakietą trafiła w śródkręcie, wzniesając kilka niewielkich pożarów. Panika na pokładzie powiększyła się.

Woda wdzierła się do podziurawionego pociskami kadłuba. Kapitan *Houstona* skierował dogorywający statek na brzeg. Widząc, że na statku nie ma już ratunku, ludzie zaczęli wyskakiwać za burtę. Niektórzy od razu poszli na dno. Inni padli ofiarą rekinów. Niewielu dotarło na brzeg. *Houston* utknął na rafie, trzysta metrów od lądu.

Kilka minut później odrzutowiec ze znakami lotnictwa kubańskiego zaatakował frachtowiec *Rio Escondido*, w którego ładowniach znajdował się cały zapas amunicji, żywności, paliwa i lekarstw. Rakietą była celna. Nastąpił potężny wybuch, *Rio Escondido* rozgorzał piekielnym ogniem. Z dymem poszedł najważniejszy sprzęt – wóz łączności. Dowódca brygady stracił możliwość komunikowania się nie

tylko z oddziałami na lądzie, ale także ze statkiem dowodzenia na morzu i bazą w Nikaragui.

Mimo wszystko „Pepe” San Román zdołał dotrzeć na brzeg. Ale gdy tylko przejął dowództwo na lądzie, otrzymał przez radiotelefon szokującą wiadomość od odpowiedzialnych za morską część operacji, a mianowicie, że statki otrzymały rozkaz wycofania się na skutek ciężkiego ostrzału. San Román zaklął. Ze statków nie wylądowano przecież niczego. Desant zostanie więc bez amunicji, żywności, lekarstw i w ogóle całego zaopatrzenia. Flotylla statków wzięła kurs na południe. Po chwili zniknęła za horyzontem. Ostatni sygnał przez radio brzmiał, że statki wróca, aby wylądować zaopatrzenie pod osłoną nocy.

Tymczasem transportowce C-46 dotarły nad miejsce desantu, tam, gdzie zaczynały się trzy przejścia drogowe przez mokradła. Zgodnie z założeniem najpierw zrzucono ciężki sprzęt. Wszystko utonęło w bagnach. Za drugim podejściem wysadzono ludzi. Niektórzy podzielili los sprzętu. Potopili się na bagnach. Część lądowało na zapleczu skoncentrowanych wojsk Fidela Castro, gdzie też czekała ich śmierć. Strzelano do nich jak do kaczek. Jeden ze spadochroniarzy zginął od kul, zanim jeszcze udało mu się postawić stopę na ziemi. Zastrzelono go, gdy wisiał bezsilnie na drzewie, wplątany w linki spadochronu. Niewielu lądowało w przewidzianym miejscu i ci próbowali przystąpić do walki.

Castro skoncentrował około dziesięciu tysięcy ludzi w rejonie desantu, a posiłki, w tym czołgi, nadciągały bez przerwy. W całym rejonie zaczął się ciężki ostrzał.

O dziesiątej, cztery godziny po rozpoczęciu operacji, „Pepe” San Román musiał dojść do wniosku, że z planów nic nie wyszło, a sytuacja zrobiła się rozpacзлиwa. *Houston* i *Rio Escondido* z cennym zaopatrzeniem zostały stracone. Reszta flotylli umknęła. Łączność nie funkcjonowała, brygada tkwiła przygwożdżona do zatoki. A gdzie są owe setki czy tysiące chętnych Kubańczyków, którzy mieli spontanicznie garnąć się pod jego sztandary?

## „To katastrofa”

Rankiem 17 kwietnia, gdy błyszczące słońce wstawało nad Karaibami, w nowojorskim mieszkaniu Lema Jonesa rozległ się niecierpliwy dzwonek telefonu. Agencję Jonesa, działającą na rynku reklamowo-prasowym, wynajęto do obsługi Kubańskiej Rady Rewolucyjnej w ramach szerszej kampanii, mającej na celu ukrycie udziału Stanów Zjednoczonych w operacji „Pluto”. Wyrwany ze snu Jones sięgnął po słuchawkę. Dzwonił David Phillips, specjalista od spraw propagandy w Centrum Operacyjnym CIA. – Niech pan notuje – polecił wyraźnie podeksytowany. Przekazywał tekst:

### KOMUNIKAT Nr 1 REWOLUCYJNEJ RADY WOJENNEJ:

Siły powstańcze rozpoczęły inwazję na Kubę. Jak informuje José Miró Cardona, kilkusetosobowe oddziały bojowników wylądowały w prowincji Oriente.

– Niech pan natychmiast da to do prasy – polecił Phillips.

Komunikat miał na celu skierowanie Fidela Castro na fałszywy trop. Chciano go przekonać, że główne natarcie pójdzie śladem desantu morskigo w sile stu sześćdziesięciu ośmiu ludzi, wysadzonych w rejonie Baracoa, w prowincji Oriente, niedaleko Guantanamo. Liczono, że Castro przegrupuje swoje siły, przemieści je z Zatoki Świń w rejon Baracoa. Plan nie powiódł się. Zawiodła łączność i do Centrum Operacyjnego nie dotarła wiadomość, że dowódca akcji pod Baracoa, Ninó Díaz, w ostatniej chwili odwołał desant. Dywersyjna operacja, na którą powoływał się Komunikat Nr 1, nie została przeprowadzona.

Díaz walczył ongiś u boku Raúla Castro w Sierra Maestra. Oddział dywersantów, którym obecnie dowodził, przeszedł przeszkolenie w okolicach jeziora Pontchartrain, w odludnym regionie Luizjany. Następnie

załadował się nieopodal Nowego Orleanu na *Santa Ana*, starą jednostkę służącą do przewozu bananów, a wynajętą przez jedną z fałszywych firm powołanych przez CIA, i pod flagą Kostaryki ruszył na Kubę.

Na trzy doby przed dniem inwazji *Santa Ana* osiągnęła rejon przewidzianej operacji. Ludzie byli zmęczeni. Całą długą podróż z Nowego Orleanu spędzili w bananowych ładowniach. Ninó Díaz wysłał zwia-  
dowców na ląd.

Wrócili z zastanawiającym meldunkiem. Słyszeli warkot ciężarówek, a w ciemności widzieli ogniki palących się papierosów. Czy miało to znaczyć, że ktoś zdradził i nieprzyjaciel wie o zamierzonym desancie?

Díaz nie słynał z odwagi. Uznał, że lądowanie „równałoby się samobójstwu”, z czym nie zgadzał się towarzyszący oddziałowi doradca z CIA, były żołnierz marines, Curley Sanches. Zaczął ostro protestować, doszło do awantury, ale przeważyło zdanie Díaza. On bowiem dowodził. Poleciał wziąć kurs na Zatokę Świń, argumentując, że tam dostaną nowe rozkazy.

Gdy nad Kubą zapadał zmierzch feralnego 17 kwietnia, nieszczęsna Brygada 2506 trzymała się resztką sił na długim na pięćdziesiąt sześć kilometrów, ale wąziutkim, bo kilkukilometrowym ledwie pasie wybrzeża nad zatoką. Wyszkolone przez radzieckich instruktorów, wspomaganie przez artylerię i pięćdziesiąt czołgów radzieckiej produkcji, wojska Castra nacierały z trzech stron. Nawet „Pepe” San Román, niezłomny dowódca brygady, wojownik wielkiej odwagi, uświadamiał sobie ponurą rzeczywistość. – To katastrofa – rzekł do adiutantów – chyba że zdarzy się cud.

Gdy nad Zatoką Świń trwała jednostronna bitwa, w Waszyngtonie sekretarz stanu, Dean Rusk, stawał na mównicy upstrzonej rządami mikrofonów, w wielkiej auli Departamentu Stanu. Wobec licznie zgromadzonych dziennikarzy oświadczył:

Społeczeństwo amerykańskie ma prawo wiedzieć, czy Stany Zjednoczone podjęły interwencję na Kubie, bądź zamierzają to uczynić w przyszłości. Odpowiedź na te pytania brzmi – nie. O tym, co się dzieje obecnie na Kubie, decyduje wyłącznie naród kubański<sup>1</sup>.

Oświadczenie Ruska było oczywiście częścią planu, mającego na celu ukrycie udziału Ameryki w operacji.

W ONZ tymczasem, na pełnym napięcia posiedzeniu Zgromadzenia Ogólnego, kubański minister spraw zagranicznych, Raúl Roa, wystąpił z ostrym oskarżeniem wobec Stanów Zjednoczonych. Inwazja na Kubę jest dziełem, jak oświadczył,

amerykańskiego gestapo, CIA, które z błogosławieństwem prezydenta Kennedy'ego podzegało do inwazji i które całą operację koordynuje.

Epitet – „amerykańskim gestapo” – Roa powtórzył wielokrotnie<sup>2</sup>. Na oskarżenia odpowiedział ambasador Stevenson. Poinformowano go tymczasem, jak sprawy naprawdę wyglądają. Miał więc uzasadnione pretensje, że wystawiono go na strzał, ale zachował się lojalnie i przystąpił do werbalnego kontrataku, nie szczędząc słów krytyki wobec Fidela Castro<sup>3</sup>:

Stany Zjednoczone nie dopuściły się żadnej napaści na Kubę. Ani z Florydy, ani z żadnego terytorium Stanów Zjednoczonych nie podjęto żadnych działań przeciwko Kubie.

W Moskwie rzecznik Kremla określił bojowników biorących udział w desancie w Zatoce Świń mianem „amerykańskich najemników”, a prezydenta Kennedy'ego oskarżył o zorganizowanie i [materialne] wsparcie „podejrzanej operacji”<sup>4</sup>.

W dniu rozpoczęcia inwazji David Phillips, szef propagandy CIA, był pełen optymizmu. Ponownie połączył się z Lemem Jonesem i dyktował mu kolejny komunikat kubańskiej Rady Rewolucyjnej. (Jej członkowie, pozostający w areszcie domowym na Florydzie, nie mieli o tym najmniejszego pojęcia. O komunikatach dowiedzieli się z radia.) Komunikat, przeznaczony do opublikowania o dziewiętnastej piętnaście, powoływał się na rzecznika rady, który przewidywał, że „jeszcze przed świtem cała Kuba, jak jeden mąż, podniesie się do powstania i wymiecie komunizm ze swojej ziemi... Większość oddziałów milicji opuściła już Fidela Castro, przechodząc na naszą stronę”<sup>5</sup>.

Takimi stwierdzeniami żywią się marzenia.

Wtorek, pierwszy dzień po I-Day – inwazji, był chyba najgorszym dniem w życiu Johna F. Kennedy'ego. Krążył po Gabinetcie Ovalnym, jak tygrys w klatce, targany niepokojem, sfrustrowany do głębi. Nic bowiem, żadna część planu operacji „Pluto” nie przebiegła zgodnie z założeniem. Posypało się wszystko.

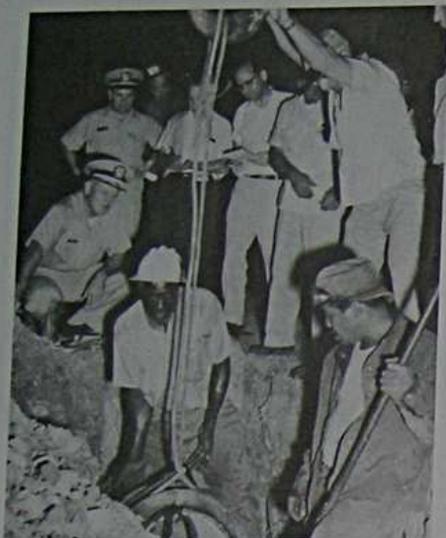
Kennedy poczuł jeszcze większy ciężar, gdy do Białego Domu dotarło posłanie od Nikity Chruszczowa, zawierające groźbę, że Związek Radziecki może zbrojnie wkroczyć na scenę:

Dla nikogo nie jest tajemnicą, że uzbrojone bandy, które dokonały inwazji na Kubę, zostały przeszkolone i wyposażone przez Stany Zjednoczone. Samoloty, które zrzuciły bomby na Kubę, należą do Stanów Zjednoczonych. Śmiercionośne



Fidel Castro (pośrodku) z dwoma towarzyszami walk partyzanckich w Sierra Maestra, Juanem Almeida (po lewej) oraz Ramiro Valdés (z prawej). Ten ostatni podobno kierował próbą zniszczenia ogrodzenia atakującego amerykańską bazę wojskową Guantanamo. Akcję przeprowadzono pod koniec 1963 roku, mogła ona spowodować wybuch III wojny światowej.

(Archiwum Narodowe)



Admiral John D. Bulkeley (w mundurze, pierwszy z lewej) obserwuje demontaż fragmentu wodociągu w bazie Guantanamo. Puste rury zdemaskowały Fidela Castro jako kłamcę w oczach całego świata.

(Ze zbiorów Alice Bulkeley)



26 lipca 1964 roku zwieziono do Santiago 250 tysięcy campesinos – robotników rolnych. Kazano im stać w pełnym słońcu, podczas gdy Fidel Castro potępiał Stany Zjednoczone i piętnował admirała Johna Bulkeleya, dowódcę bazy Guantanamo, jako „najgorszego ze wszystkich goryli”.

(Archiwum Narodowe)

ładunki zrzucone na miasta kubańskie zostały udostępnione przez władze amerykańskie... Jeśli chodzi o Związek Radziecki, to nasze stanowisko jest jasne: udzielimy narodowi Kuby i jego władzom wszelkiej niezbędnej pomocy w celu odparcia zbrojnej napaści.

Krótko przed północą prezydent rozpoczął w Gabinetcie Ovalnym naradę z udziałem najwyższych rangą funkcjonariuszy rządowych i generalicji. Richard Bissell krótko omówił sytuację w Zatoce Świń. Przedstawiała się poważnie. Bez wprowadzenia do akcji amerykańskiego lotnictwa, brzmiała konkluzja Bissella, dojdzie do nowej Dunkierki, i to pod egidą Stanów Zjednoczonych.

Wywiązała się żywa dyskusja. Szef operacji morskich\*, Arleigh Burke, przedłożył kilka propozycji. W pobliżu Kuby czekały w pogotowiu dwa lotniskowce (*Essex* i *Boxer*), flotylla niszczycieli i batalion marines. Można więc, sugerował admirał, położyć wał ogniowy na pozycje Castra z dział okrętowych, można wysadzić na ląd oddział marines, można wreszcie wysłać patrole lotnicze, które zamkną przestrzeń powietrzną za pięciokilometrowym pasem wód przybrzeżnych. Prezydent odrzucił wszystkie propozycje. – A gdyby tak, ciągnął admirał, przeprowadzić serię nalotów i bombardowań z udziałem samolotów bazujących na lotniskowcach? Zamaluje się znaki rozpoznawcze i już. I tę propozycję Kennedy odrzucił.

Dean Rusk, jeden z najbardziej aktywnych „gołębi” w otoczeniu prezydenta, w ostrych słowach przeciwstawił się jakiegokolwiek dalszej pomocy dla sił inwazyjnych. Robert Kennedy optował za wysłaniem samolotów zwiadowczych, aby sprawdzić i ocenić, czy oblegana Brygada 2506 ma jeszcze jakieś szanse<sup>6</sup>.

John Kennedy zastanawiał się głęboko, rozważał wszelkie możliwe posunięcia, nie wykluczając spisania całej brygady na straty. Decyzja, jaką przedstawił na koniec, miała charakter kompromisowy. Myśliwce z lotniskowca *Essex* zapewnią świtem godzinny „parasol” nad wyspą, a w tym czasie B-26 z Nikaragui uderzą na lotniska kubańskie. („Parasol” miał funkcjonować w ten sposób, że amerykańskie maszyny będą krążyć w powietrzu, między bombowcami lecącymi z Nikaragui a myśliwcami kubańskimi, gdyby te zostały poderwane z ziemi. Samoloty z lotniskowców nie będą mogły otwierać ognia, chyba że w obronie własnej.)<sup>7</sup>

Z Centrum Operacyjnego CIA wysłano pilną wiadomość do Billa Carpentera, funkcjonariusza CIA, pełniącego obowiązki oficera operacyjnego na lotnisku w Puerto Caezas w Nikaragui, z rozkazem

\* Czyli dowódca Marynarki Wojennej [przyp. tłum.].

przeprowadzenia świtem nalotu na Kubę. Carpenter niezwłocznie rozpoczął przygotowania. Sił miał niewiele. Z szesnastu maszyn B-26, dziewięć zostało strąconych poprzedniego dnia, pozostałe ledwie nadawały się do lotu. Z pilotami też był kłopot. Dziesięciu już zginęło. Carpenter zarządził odprawę. Trafił na opór. Część pilotów nie chciało już ryzykować życia dla wyraźnie beznadziejnej sprawy i odmówiło wykonania polecenia.

Na wieść o tym siedmiu amerykańskich instruktorów z eskadry lotniczej Gwardii Narodowej stanu Alabama zgłosiło się na ochotnika do wykonania zadania. Przed świtem sześć wiekowych maszyn wzbiło się w powietrze z zapylonego i zaciemnionego lotniska, biorąc kurs na Kubę. Startowały parami, w odstępach półgodzinnych. Była to ostatnia, rozpaczliwa próba odwrócenia losów inwazji, ale o tym żaden z pilotów lecących nad Kubę jeszcze nie wiedział.

W ostatniej parze startował Riley W. Shamburger jr, lotnik z Birmingham w stanie Alabama. Był w dobrym nastroju, ufny i radosny, bo tuż przed odlotem dowódca skrzydła (pułku) sił powietrznych Gwardii Narodowej stanu Alabama, zaprzyjaźniony z nim generał Doster, wyraźnie uradowany, przekazał mu wiadomość, że o świcie odrzutowce z *Essex* otworzą „parasol” nad Kubą<sup>8</sup>.

Rzecz jednak w tym, że znów zaistniał błąd w łączności. Doszło to fatalnego nieporozumienia między CIA a US Navy. Gdy pierwszy z bombowców B-26 dotarł w rejon działania nad Zatoką Świń 18 kwietnia o godzinie piątej trzydzieści, a więc z pierwszą szarówką, „parasol” znajdował się jeszcze na pokładzie *Essex*. CIA rozumiała określenie „świt” zawarte w decyzji przekazanej z Białego Domu, w sposób bardzo dosłowny, jako porę, gdy niebo zaczyna blednąć. Marynarka zastosowała się do własnego regulaminu, a ten stanowi, że świt w tych okolicach zaczyna się o szóstej trzydzieści. Pierwszy nad Kubę doleciał B-26 prowadzony przez kubańskiego pilota, Gonzalę Herrere. Herrera był sam w kabinie. Jego towarzysz, drugi pilot, wyskoczył z samolotu w czasie kołowania na lotnisku w Nikaragui i zbiegł do dżungli. Był też sam w powietrzu. W maszynie, która dopełniała pary, nastąpiła awaria silnika i samolot zawrócił do bazy. Nie zrażony tym Herrera znalazł cel. Zrzucił bomby, a następnie ostrzelał z broni pokładowej baterię dział kubańskich.

Wkrótce potem nad zatokę nadleciały dwa kolejne B-26, pilotowane przez lotników z alabamskiej Gwardii Narodowej. Riley Shamburger zaczął się niepokoić, nie widząc „parasola”. Wywołał przez radio Dona Gordona, pilota towarzyszącej maszyny.

– Nie widzisz naszych małych przyjaciół? – spytał. Gordon nie rozumiał. – Jakich przyjaciół? – zdziwił się. Wystartował przed Shamburgerem i nie dotarła do niego wiadomość o przyrzeczonej pomocy<sup>9</sup>.

Tymczasem Herrera dostał się pod ostrzał. Pociski uszkodziły jeden silnik, ciągnął więc z trudem na pozostałym motorze, gdy nagle w słuchawkach rozbrzmiało wołanie o pomoc: „Wściekły pies cztery. SOS, SOS”. Dwa szybkie myśliwce kubańskie T-33 siadły na ogonach pary bombowców pilotowanych przez Amerykanów. Pierwsza seria trafiła w maszynę Rileya Shamburgera. Silnik stanął w płomieniach, samolot wszedł w korkociąg i spadł do morza. Druga maszyna została zestrzelona nad lądem. Wrak spadł na teren starej cukrowni. Zginęło czterech Amerykanów: Shamburger, Pete Ray, Leo Baker oraz Wade Gray.

Salvador Miralles („Wredny Karzeł”) doleciał nad zatokę jako ostatni. Ciągnął na resztkach paliwa. Wziął kurs na Florydę. Był zgorzkniały i zrozpaczony, gdy zobaczył pod sobą *Essex* z samolotami na pokładzie. „Rusście się, przekłęci jankesi – krzyknął – tam na plaży dorzynają naszych chłopców. Niech was szlag trafi! – zaszlochał<sup>10</sup>.”

Wczesnym popołudniem Lem Jones wysłał do prasy kolejny optymistyczny komunikat wojenny kubańskiej Rady Rewolucyjnej:

Chłopi, robotnicy i milicja dołączają do frontu wyzwolenia. Powiększa się więc obszar wyzwolony przez Rewolucyjne Dowództwo.

Wkrótce potem na Florydzie odebrano słaby sygnał radiowy z przyczołka nad Zatoką Świń:

Ciężki ostrzał artylerii, czołgów i myśliwców. Nie widać obiecanej osłony z powietrza. Samoloty potrzebne natychmiast, powtarzam – natychmiast.

Zaraz potem w eterze zapadła cisza. Mijała siedemdziesiąta druga godzina od chwili, gdy pełna wielkich nadziei Brygada 2506 wyszła na ląd.

Armia Wyzwoleńcza została zmieciona. Poległo stu czterestu ludzi. Tysiąc dwustu dostało się do niewoli. Prócz nich Castro wziął spory zapas amerykańskiej amunicji i amerykańskiego sprzętu.

## Szukanie kozła ofiarnego

Był 20 kwietnia 1961 roku. Złocona kopuła, wieńcząca wspaniałe gmach Kongresu na Kapitolu, kąpała się w promieniach wiosennego słońca, a Wuj Sam siedział po szyję w łajnie, bo dla nikogo nie było już tajemnicą, że operacja w Zatoce Świń – wymyślona od początku do końca przez CIA i przez nią reżyserowana, przy błogosławieństwie prezydenta Kennedy'ego – zakończyła się klęską jakich mało.

Wszyscy też wiedzieli, że najwyżsi przywódcy Stanów Zjednoczonych, ścisła czołówka, brali udział w kampanii kłamstw i dezinformacji, obliczonej na ukrycie prawdziwych autorów inwazji. Najwięcej ucierpiał prezydent Kennedy. Bito go ze wszystkich stron, i w Stanach Zjednoczonych, i za granicą.

Kennedy był co najmniej przygnębiony obrotem spraw. Arthur Schlesinger wspominał później:

Obraz (kubańskich uchodźców) mordowanych na plaży i tych wleczonych do łochów Fidela Castro nawiedzał go przez wiele tygodni, jeśli nie miesięcy<sup>1</sup>.

Była to także osobista klęska Jacka Kennedy'ego. Na wizerunku mądrego, zdecydowanego, pełnego cnót polityka pojawiły się cienie. New Frontier, liczący ledwie trzy miesiące sztabowy program polityczny prezydenta, jał się jawić – też według późniejszej opinii Schlesingera – jako wątpliwej jakości oferta „imperialistów, a mało tego, że imperialistów, to jeszcze imperialistów nieskutecznych albo jeszcze gorzej, bo nie tylko nieskutecznych, ale i głupich”<sup>2</sup>.

Jak zawsze, gdy pojawiały się problemy, Jack zwrócił się po radę i wsparcie moralne do ojca. Gdy już wiadomo było, że operacji „Pluto” grozi nieuchronna klęska, prezydent kilkakrotnie dzwonił do Kennedy'ego seniora w Palm Beach.

Po którymś z kolei telefonie Kennedy ojciec zwierzył się małżonce, Rose, że żadne słowa nie są w stanie zmienić ponurego nastroju syna. Podczas kolejnej rozmowy przez telefon, zdesperowany i zniecierpliwiony ojciec nie wytrzymał i rzekł: – Do diabła, Jack, skoro tak uważasz, to oddaj fotel Lyndonowi [Johnsonowi]!<sup>3</sup>

A tymczasem prezydent odpowiedział na pogróżki Chruszczowa. Też uderzył w twardego ton. – Stany Zjednoczone nie zamierzają w sposób bezpośredni ingerować w sprawy Kuby – oświadczył, dodając, że jeśli Związek Radziecki uczyni coś w tym kierunku, to Ameryka „wywiąże się ze zobowiązań dotyczących obrony półkuli zachodniej przed agresją z zewnątrz”<sup>4</sup>.

Nie było już wątpliwości. Kennedy i Chruszczow znaleźli się na drodze ku konfrontacji.

Choć cały świat znał prawdę, Kennedy nadal upierał się przy oficjalnej wersji dotyczącej operacji „Pluto”. Zaprzeczał udziałowi Ameryki w inwazji. Uczynił tak między innymi 20 kwietnia, występując na forum amerykańskiego Stowarzyszenia Redaktorów Prasowych. Skorzystał wszakże z okazji, aby ostrzec Fidela Castro, że amerykańska „cierpliwość może się wyczerpać” i że Ameryka nie ma zamiaru zostawić Kuby na żer komunizmu<sup>5</sup>.

Dwa dni wcześniej, gdy na mokradłach Zapata ważyły się jeszcze ostateczne losy inwazji, Kennedy zaczął przemyśliwać o usunięciu Alena Dullesa – weterana wywiadu – z funkcji szefa Centralnej Agencji Wywiadowczej. Na lunchu z prezydentem Arthur Schlesinger i James „Scotty” Reston, redaktor „The New York Timesa” i wielki zwolennik Kennedy'ego, usłyszeli odeń, że w Agencji szykują się zmiany... – Dulles jest wręcz legendarną postacią – dodał prezydent – ale muszę mieć tam kogoś, kto będzie nadawał na takiej samej fali jak ja<sup>6</sup>.

Owym kimś, który będzie „nadawał na takiej samej fali”, miał być brat Bobby. – Zrobiłem błąd, kierując Bobby'ego do Departamentu Sprawiedliwości – zwierzał się prezydent Restonowi i Schlesingerowi. – On się tam marnuje<sup>7</sup>.

Bobby jednak odmówił. Po raz pierwszy nie zgodził się spełnić życzenia brata. Nie przyjął oferowanego urzędu dyrektora Centralnej Agencji Wywiadowczej, logicznie argumentując, że nie ma po temu stosownych kwalifikacji.

Allen Dulles, blady ze zdenerwowania i przygnębiony rozwojem wydarzeń, krążył niespokojnie po swoim gabinecie w siedzibie CIA.

Znał reguły gry i doskonale wiedział, że po klęsce zawsze szuka się kozła ofiarnego. Czuł też, że to na jego barki spadnie wina za to, co się stało. Nie miał jednak zamiaru wychodzić przed szereg, a tym bardziej posypywać głowy popiołem.

Tymczasem w gronie współpracowników, z udziałem Dicka Bissella i innych członków kierownictwa odpowiedzialnych za operację „Pluto”, przeanalizował jej przebieg. Konkluzja była jednomyślna. Porażka nastąpiła „na własne życzenie”, samobójczą bramkę zaś strzelił nie kto inny, jak prezydent Kennedy, odmawiając zgody na ponowienie nalotów bombowych. – Nie da się wygrać, gdy amatorzy, którzy nie znają się na sprawie, zmieniają decyzje zawodowców – skomentował sprawę krótko J.D. Esterline – szef wydziału planowania w sztabie operacji „Pluto”<sup>8</sup>.

Na placu z widokiem na zatokę w Bayfront Park w Miami raniem 20 kwietnia zebrał się piętnastotysięczny tłum uchodźców z Kuby. Przyjaciele, żony, dzieci, narzeczone, rodzice i krewni bojowników Brygady 2506 wiecowali pod hasłem: „Dziękujemy panu, panie prezydencie”. Po trzech dniach czytania i analizowania komunikatów Rady Rewolucyjnej (czyli tekstów podawanych do prasy przez Lema Jonesa w Nowym Jorku) podniecona i uradowana gromada ludzi była święcie przekonana, że zwycięstwo jest już blisko. Ale tuż przed rozpoczęciem wiecu rozeszła się szokująca wiadomość: Armia Wyzwoleńcza została starta na proch. Najpierw zaległa cisza, po chwili zaś nad parkiem uniósł się jęk rozpacz i szloch.

Radio Hawana triumfowało. Wieściło Kubie i całemu światu, że „pod ręką Fidela Castro leży w gruzach mit o niezwyciężonych jankesach”. Nie ma wątpliwości, że Najwyższy Przywódca całkowicie zgadzał się z tą oceną. Dał temu wyraz tego samego dnia po południu, gdy jeszcze pyszniejszy niż zwykle, triumfujący, jał szydzić z prezydenta Kennedy’ego i „tych wszystkich mądrali z Pentagonu i rządu Stanów Zjednoczonych”. Zaraz potem zaczął znęcać się nad nieszczęśliwymi Kubańczykami z Brygady 2506, nazywając ich „najemnikami, złodziejami, przemytnikami, ludźmi bez wstydu i zasad moralnych”<sup>9</sup>.

Gdy Castro szalał na falach eteru, długa kolumna zmordowanych, brudnych, zarośniętych, spętanych mężczyzn wlokła się pod bagniami strażników ku miastu Girón nad zatoką. W złachmanionych ubraniach, w milczeniu, niedobitki Armii Wyzwoleńczej pędzono do

miasta pośród przekleństw i złorzeczeń tłum. Śmiertelnie steranym ludziom „Pepe” San Romána pluto w twarz i wyklinano ich najgorszymi słowami.

W dzień po katastrofie w Zatoce Świń w waszyngtońskiej rezydencji Richarda Nixona zadzwonił telefon. Na linii był prezydent Kennedy.

– Dick, czy mógłbyś wpaść do mnie?

– Jack, zaraz będę.

– A nie mówiłam – skomentowała z satysfakcją Tricia, młodsza córka Nixona, która odebrała telefon – że nie dadzą sobie rady i że zwrócą się do ciebie po pomoc! Nixon uśmiechnął się tylko, ale w głębi duszy też tak myślał.

Prezydent czekał w Gabinetcie Owalnym. Zaraz też przeszli do rzeczy, starali się nie pamiętać o niedawnych, wzajemnych napaściach i wycieczkach osobistych, a nie brakowało ich w czasie kampanii wyborczej. Gospodarz jak zwykle zajął miejsce w bujanym fotelu. Wszyscy wiedzieli, że to jego ulubiony mebel. Prezydent zrelacjonował Nixonowi przebieg wczorajszej rozmowy z José Miró Cardoną i członkami Rady Rewolucyjnej. – Byli wściekli jak diabli – prezydent wypuścił kłęb dymu z cygara – dziś już trochę im przeszło, ale możesz mi wierzyć, gotowi są znów stanąć do walki, jeśli tylko wyrazimy zgodę i udzielimy im poparcia<sup>10</sup>.

Im dłużej mówił, tym bardziej się denerwował i złościł. Wstał z fotela i zaczął krążyć po gabinecie. Nie przebierał w słowach. Szacowne ściany Białego Domu nigdy zapewne nie słyszały takiego steku przekleństw. Prezydent dawał upust złości, jak kiedyś na pokładzie kutra torpedowego, którym dowodził w czasie wojny i na którym zgłębił wszystkie tajniki barwnego języka marynarzy. Wieszał psy zwłaszcza na CIA, na Komitecie Szefów Sztabów, na doradcach, słowem na wszystkich, bo „każdy z tych sukinsynów, których pytałem, zapewniał, że plan jest świetny i wszystko pójdzie jak z płatka” – skarżył się<sup>11</sup>.

– Co byś zrobił z Kubą na moim miejscu? – zapytał, gdy już się uspokoił.

W głębi duszy Nixon wcale mu nie współczuł. Przeciwnie, radowała go ta sytuacja. Oto człowiek, który jeszcze kilka tygodni temu, w czasie kampanii wyborczej, obwinił go, że „dopuścił” do tego, iż

<sup>8</sup> Nieliczni wiedzieli dlaczego. Prezydent cierpiał z powodu urazu kręgosłupa. Był to skutek kontuzji odniesionej w czasie wojny. W fotelu plecy mniej dokuczaly [przyp. tłum.].

komuniści urządzili sobie gniazdko tuż na progu Stanów Zjednoczonych, prosi o radę, co ma zrobić.

Nixon od początku tkwił w tzw. projekcie kubańskim (programie działań na rzecz obalenia reżimu komunistycznego) jako osobisty przedstawiciel prezydenta Eisenhowera. Na pytanie Kennedy'ego miał gotową odpowiedź: – Znalazłbym jakiś prawny pretekst i wkroczyłbym na wyspę. A pretekstów jest sporo: choćby ochrona naszych obywateli na Kubie albo obrona bazy na Guantanamo<sup>12</sup>.

Tymczasem liberałowie, głównie związani z uniwersytetami, nie posiadali się z oburzenia. Na ręce Arthura Schlesingera, „ich człowieka w Białym Domu”, nadeszła depesza z Harvardu, jego własnej uczelni, bo nadal należał do grona wykładowców, z krótkim stwierdzeniem: „Nixon czy Kennedy. Co za różnica?”. Podpis na telegramie brzmiał „Magistranci”.

H. Stuart Hughes, wybitny profesor Harvardu, zainicjował „list otwarty do prezydenta”, pod którym podpisało się siedemdziesięciu uczonych-liberałów, z żądaniem przywrócenia stosunków dyplomatycznych i gospodarczych z Kubą. Autorzy listu domagali się też, aby Kennedy „zmienić obecny kurs, który wiedzie Stany Zjednoczone ku militarnej interwencji na Kubie”.

W ponad piętnastu uczelniach odbyły się wiece i manifestacje na cześć Fidela Castro, a przeciwko polityce amerykańskiej. W Nowym Jorku trzy tysiące ludzi wzięło udział w demonstracji zwołanej przez ugrupowanie o nazwie „Fair Play for Cuba Committee” (Komitet na rzecz Uczciwych Stosunków z Kubą). Pod egidą tego samego ugrupowania odbył się też wiec w San Francisco. Do jego uczestników skierował specjalny telegram C. Wright Mills\*, powszechnie szanowany filozof i apologeta Fidela Castro.

Telegram odczytano przy owacji zebranych. Mills pisał:

Kennedy i spółka uczynili nas barbarzyńcami. Schlesinger i jego spółka obrażają nas intelektualnie i moralnie. Gdybym tylko był fizycznie sprawny, walczyłbym teraz u boku Fidela Castro<sup>13</sup>.

Jednak większość społeczeństwa tradycyjnie skupiła się wokół prezydenta w obliczu kryzysu i niepewności, bo nie można było wykluczyć,

\* Intelektualista, który wywarł ogromny wpływ na amerykańskie umysły na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, autor między innymi głośnej książki *Listen Yankee* (Słuchajcie, Jankesi), w której domagał się rewizji polityki wobec Ameryki Łacińskiej. Mills zmarł w 1962 roku [przyp. tłum.].

czyć, że z powodu Kuby dojdzie do poważnego starcia, a nawet wojny między Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Radzieckim. Wskaźnik popularności prezydenta był wysoki. Wedle sondaży, siedemdziesiąt cztery procent społeczeństwa stało murem za Kennedym.

Przeciwnicy z Partii Republikańskiej powstrzymywali się od atakowania prezydenta. Na wszelki jednak wypadek, aby zabezpieczyć sobie polityczne tyły, prezydent odbył konferencje z Barrym Goldwaterem i Nelsonem Rockefellerem, przywódcami republikanów. Specjaliści z Białego Domu, odpowiedzialni za publiczny wizerunek prezydenta, dołożyli starań, aby spotkania z przeciwnikami partyjnymi znalazły stosowne odbicie w prasie i telewizji, jako dowód absolutnej zgody obu wielkich partii w kwestii polityki wobec Kuby.

Dwight Eisenhower przyjął zaproszenie do Camp David, gdzie Kennedy osobiście poinformował go o przebiegu operacji „Pluto”, nie ukrywając nawet faktu, iż nie wydał zgody na drugi nalot. Tłumaczył, że zależało mu na ukryciu amerykańskiego udziału w operacji. Stary generał nie ukrywał ani zdziwienia, ani własnego zdania. Pytał, czy Kennedy rzeczywiście uważa, że uda mu się otumanić opinię światową, jeśli chodzi o udział Ameryki w przedsięwzięciu przeciw Kubie.

– Jak się zaczyna coś takiego – rzekł były dowódca wojsk sojuszników podczas II wojny światowej – to wyłącznie po to, aby wygrać.

Dla ratowania naruszonej reputacji Kennedy'ego i jego ekipy zaczęto dawać do zrozumienia, że spora część odpowiedzialności za klęskę w Zatoce Świń obciąża poprzednią administrację, plan operacji bowiem został ostatecznie zatwierdzony jeszcze przez prezydenta Eisenhowera na początku stycznia, a więc przed objęciem urzędu przez Kennedy'ego.

Eisenhower poczuł się dotknięty. – Coś takiego jak Zatoła Świń – mówił – nie mogłoby się wydarzyć za moich rządów. Jego obóz ruszył do kontrofensywy, przekonując kogo tylko się dało, że gdyby Eisenhower był u władzy podczas inwazji w zatoce, to operacja nie zakończyłaby się tak fatalnie, a generał nie wahałby się przed zaangażowaniem amerykańskiego lotnictwa, by zapewnić osłonę z powietrza.

Gdy jeden z generałów przysłanych przez Pentagon przedstawił Eisenhowerowi szczegóły operacji „Pluto”, stary prezydent pozwolił sobie na złośliwy komentarz, że rzecz kwalifikuje się na książkę pod tytułem *Profile in Timidity and Indecision* (Bohater nieśmiały i niezdecydowany)<sup>14</sup>. Eisenhower nawiązywał do opublikowanej kilka lat wcześniej książki Kennedy'ego *Profiles in Courage* (Sylwetki odwagi).

Tymczasem Moskwa i Hawana, ustami Chruszczowa i Castra, nadal wysuwały groźby pod adresem nieszczęsnego Kennedy'ego, poli-

tyka, o którym cytowany już Eisenhower powiedział, że „nie tylko traktuje prezydenturę w kategoriach osobistych, ale na dodatek uważa, że może wszystko zrobić sam, bez niczyjej pomocy”.

Chruszczow, który nigdy nie grzeszył powściągliwością, grzmiał, że Stany Zjednoczone „dopuszczyły się zbrodni napawającej obrzydzeniem cały świat”. – Oddając broń w ręce „kryminalistów” – głosił przywódca Kremla – Kennedy wszedł na śliską i niebezpieczną drogę, która prowadzi do nowej wojny światowej<sup>15</sup>.

Fidel Castro wołał na falach Radia Hawana, że tylko jedna sprawa powstrzymała Kennedy'ego od rozpoczęcia otwartej napaści na Kubę przy użyciu wojsk, a mianowicie militarna potęga Związku Radzieckiego<sup>16</sup>.

Niewykluczone, że Bobby, brat prezydenta, cierpiał jeszcze bardziej niż on sam, pod nawałą krytyki, zwłaszcza zaś ze strony krajowych mass mediów, jaka zwała się na Biały Dom. – Gdybyśmy nie dopuścili do (inwazji) – skarżył się Bobby później – to wszyscy krakaliby, że Jackowi brak odwagi<sup>17</sup>.

Jedno jest pewne, tak przynajmniej uważano w otoczeniu prezydenta, bracia nie posypali głów popiołem po klęsce w zatoce. Przeciwnie, z jeszcze większym zaparciem i uporem podejmowali wszelkie działania, otwarte i tajne, na rzecz wyeliminowania zniechwalonego przeciwnika, Fidela Castro. Nie cofali się przed niczym, szli po trupach, sięgali po wszystkie dostępne im instrumenty, zwłaszcza zaś rozwinęli i rozszerzyli tajne operacje.

Jeszcze nie opadły dymy po pożodze w zatoce, gdy Kennedy wezwał na tajną naradę swego wiceprezydenta, Lyndona Johnsona. Różniło ich wszystko i nie darzyli się sympatią, ale obaj mieli świadomość, że jadą na tym samym wózku, a więc muszą działać wspólnie. Tematem narady była CIA. – Nie mogę pojąć – wykrzyknął Kennedy – jak doświadczeni i inteligentni faceci, jak Dulles z Bissellem, mogli tak się mylić!<sup>18</sup>

Lyndon Johnson, który marzył, że pewnego dnia sam zasiądzie w fotelu prezydenta, też uważał, że z CIA „coś trzeba zrobić”. Dullesa, skądinąd republikanina, trzeba się pozbyć, ale nie od razu. Jego obecność na szczytach władzy stanowi osłonę przed atakami ze strony republikanów.

Bobby nie szczędził również słów krytyki pod adresem CIA. Być może chciał w ten sposób ratować brata. Zwalając winę na CIA, rozgrzeszał Jacka, niejako zdejmował zeń winę za katastrofę. – Myślę

– powiedział – że przyczyną [klęski] był brak komunikacji i zbyt niska nerwowość [w kierownictwie CIA]. Znacznie później Bobby Kennedy przedstawi taką oto refleksję:

Dick Bissell zawsze nerwowo masuje dłonie. Po zatoce robił to jeszcze bardziej nerwowo. Allen Dulles przez tydzień albo i dłużej wyglądał, jakby go z krzyża zdjęto<sup>19</sup>.

Bracia Kennedy nie ufali CIA, nie mieli dla niej szacunku. Stało się tak – jak można przypuszczać – pod wpływem ojca. Przed pięcioma laty Kennedy senior z nominacji Eisenhowera zasiadał w powołanej ówczesnie Prezydenckiej Radzie Konsultantów do spraw Działalności Wywiadu Zagranicznego. Był to organ, do którego zapraszano osobistości mające pewną wiedzę i doświadczenie, jeśli chodzi o operacje wywiadowcze. Po Zatoce Świń Kennedy senior rzucił pod adresem CIA uwagę: „Znam tych facetów, u mnie nie zarobiliby nawet stu dolarów na tydzień!”<sup>20</sup>

Jedenaście dni po klęsce w zatoce, dwudziestotrzyletni Ramón Quintana razem z kolegą z Brygady 2506 zostali schwytani w pobliżu Girón. Obaj ukrywali się na mokradłach od czasu, gdy oddział został rozbity. Z braku wody pili własny mocz. Głodowali. Oprawcy przywiązali ich do drzewa pomarańczowego, używając w tym celu ostów, pluli na nich, przeklinali. Jeńców traktowano wyjątkowo okrutnie, bo obaj mieli czarną skórę. Castro był wręcz wściekły, że Murzyni wzięli udział w inwazji.

Przez trzy długie godziny, pod palącym tropikalnym słońcem, jeńców trzymano w pętach, nie szczędząc żadnych przekleństw. – Wy Negrzy, zaraz zrobimy z wami koniec – pokrzykiwali żołdacy Fidela Castro – przerobimy was na mydło!<sup>21</sup>

Na Kubie rozpoczęła się czystka. Do więzień trafiło ponad sto tysięcy ludzi. W samej Hawanie aresztowano ponad dwadzieścia tysięcy osób. Tajna milicja szalała. Podejrzanych o zdradę, o sprzyjanie kontrrewolucji, tzw. *gusanos* (robaków), wleczono do więzień La Cabába i El Principé, do lochów Cytadeli, a gdy tam zabrakło miejsca, zamykano nieszczęśliwych ludzi, gdzie tylko się dało. Zaimprovizowane więzienia powstały w szkołach, kinach i ośrodkach sportowych.

Ludzi upychano jak sardynki. Często nie mieli nawet gdzie usiąść. Stali we własnych odchodach, bez jedzenia i picia po kilka dni. W Matanzas osiem tysięcy osób zamknięto w pomieszczeniach spółdzielni drobiarskiej. Do każdego z kurników wsadzono setkę ludzi.

Nie oszczędzano nikogo i niczego. Siły bezpieczeństwa dobrały się też do kościołów i klasztorów, aresztując księży i zakonnice. Sufragana diecezji w Hawanie, księdza Bożę Masvidala, którego reżim okrzyknął „wrogiem publicznym nr 1”, wsadzono razem ze stu trzydziestoma pięcioma kapłanami na stary frachtowiec i wysłano do Hiszpanii. Kościół na Kubie przestał praktycznie istnieć.

Prezydent Kennedy sprawiał wrażenie, jakby nic się nie stało. Ale był to tylko pozór. Na zewnątrz ufny, pewny siebie, wręcz zadowolony, cierpiał bardzo. Klęska odmieniła go, prezydentura przestała cieszyć. Wobec Paula „Reda” Faya, zastępcy sekretarza Marynarki Wojennej i zaufanego przyjaciela jeszcze z czasów wspólnej służby na kutrach torpedowych na Pacyfiku, wypowiedział kiedyś znamienne uwagę. Wyruszyli właśnie prezydencką limuzyną, udając się na weekend do wiejskiej rezydencji Kennedy'ego w Wirginii, gdy prezydent zwrócił uwagę na kolejkę chętnych do zwiedzania Białego Domu. Uśmiechnął się, pokiwał ręką, ale po chwili z całą powagą powiedział zwracając się do przyjaciela:

Na Boga, jeśli tym ludziom wydaje się, że zmuszą mnie do ubiegania się o kolejną kadencję, to chyba oszaleli. Skończę tylko swoje cztery lata i niech sobie robią, co chcą z tą posadą!<sup>22</sup>

## 22

### „Prezydent-bis” pojawia się na scenie

W Waszyngtonie trwało szukanie kozła ofiarnego, którego można by obarczyć winą za klęskę w zatoce i aż huczało od wzajemnych oskarżeń. W CIA i w Pentagonie żywiono przekonanie, iż Castro został uprzedzony o miejscu i dacie zamierzonej inwazji przez kogoś z kręgu administracji Kennedy'ego, kto znał szczegóły i sympatyzował z Fidelem. Wedle funkcjonariuszy kontrwywiadu, owym kimś miał być jeden z bardziej zaufanych ludzi prezydenta. Tak przynajmniej spekulowano na podstawie pewnych poszlak<sup>1</sup>.

Pojawiły się też podejrzenia, że przeciek nastąpił w Departamencie Stanu, że ktoś stamtąd mógł uprzedzić Hawanę. Wedle przyjętej w departamencie procedury, tajna poczta trafiała najpierw do resortowego centrum łączności, gdzie depesze rozszyfrowywano i powielano w stosownej liczbie egzemplarzy, które kurierzy dostarczali adresatom, a więc sekretarzowi stanu, jego zastępcom i innym funkcjonariuszom uprawnionym do otrzymywania tajnych informacji.

Tych zaś było takie mnóstwo, że najtajniejsze depesze sypały się jak confetti po całym departamencie. Kurierzy, sekretarki (a nawet ochroniarze) mogli sobie czytać, co chcieli w czasie dostarczania poczty.

Generałowie z Pentagonu byli święcie przekonani, że Castro został uprzedzony. W przeciwnym bowiem przypadku nie sprowadziłby w rejon Zatoki Świń tyle wojska, czołgów i artylerii z całej wyspy. Bez wyprzedzającej informacji nie zdołałby przeprowadzić mobilizacji na taką skalę, nawet gdyby miał za sobą studia wojskowe i znał się na rzeczy, a przecież – o czym w Pentagonie też wiedziano – nie był zawodowym oficerem.

A za zamkniętymi drzwiami Białego Domu bracia Kennedy już zaczęli snuć plany, żeby wyrównać rachunki z Fidelem. Jack tak cierpiał i tak był rozszoszczony po klęsce w zatoce, że w gronie najbliższych doradców odgrażał się, że „rozniesie CIA na kawałki, a resztki rozsypie na wietrze”. Gdy jednak otrząsnął się z wściekłości, zaczął działać zupełnie inaczej. Na CIA nałożył nie mniej, ale więcej tajnych zadań. Jednocześnie zaś, aby zagwarantować sobie, że CIA będzie „nadawać na tej samej fali”, kierownikiem wszelkich działań, składających się na tajną wojnę z Fidelem, uczynił Bobby'ego. W duchu wiekowej tradycji bojowników irlandzkich bracia zdecydowani byli wygrać starcie z „brodatym sukinsynem”, jak Bobby nazywał Fidela.

Choć oczywiście całą odpowiedzialność za tajną wojnę ponosił prezydent, to jednak Bobby odcisnął na niej wyraźne piętno. Jak stwierdził później obrazowo jeden z jego bliskich współpracowników, Bobby nurzał się w sekretnych machinacjach z „jastrzębią” wręcz pasją. Według jednego z funkcjonariuszy CIA młodszy Kennedy uważał, że na „zniewagę”, jakiej Jack doznał od Fidela Castro, należy odpowiedzieć, i to szybko.

Z funkcją nadzorcy, czy jak kto woli, poganiacza stada CIA w owej drugiej rundzie, nie łączył się żaden oficjalny tytuł. Rychło jednak znawcy waszyngtońskich kulis zaczęli nazywać Bobby'ego „prezydentem-bis”. Wielu z tych, którzy maczali palce w projekcie kubańskim, miało wrażenie, że Bobby pojmował swoje nowe zadanie w kategoriach świętej krucjaty.

– A zadanie podobało mu się – wspominał później ówczesny podsekretarz stanu, George Ball – zawsze bowiem fascynował go świat tajnych operacji, kontrrewolucji i cały ten szmelc<sup>2</sup>.

Roy Cline, zastępca dyrektora CIA w tym okresie, wspomina:

Obaj, Jack i Bobby, ogromnie wstydzieli się za Zatokę Świń, a jednocześnie mieli obsesję na punkcie Kuby. W głębi duszy przyznawali, że sfuzerowali operację i na tym tle narosła ich nienawiść do Castra. Jako wojujący Irlandczycy dawali tej nienawiści wyraz na wszelkie możliwe sposoby<sup>3</sup>.

Były jeszcze inne, dość zresztą oczywiste, powody niechęci Bobby'ego do Fidela. Wychował się przecież w atmosferze nienawiści do komunizmu. Odziedziczył to po ojcu. Nawet w czasie II wojny światowej, kiedy Związek Radziecki był sojusznikiem Stanów Zjednoczonych, Kennedy senior odnosił się do Moskwy podejrzliwie i z niechęcią, dlatego zaoferował swoje usługi człowiekowi, którego zawsze głęboko podziwiał – dyrektorowi FBI, J. Edgarowi Hooverowi, a ten je przyjął. Kennedy senior miał baczyć w Hollywood, gdzie prowadził wtedy

pewne interesy, na wszelkie próby przenikania komunistów do przemysłu filmowego i meldować o wszystkim osobiście Hooverowi.

Co do Bobby'ego, to jego pierwsze działania w tej dziedzinie miały miejsce za czasów uniwersyteckich. Studiował prawo na University of Virginia w Charlottesville. Wykorzystując siłę nazwiska, został w roku 1951 prezesem Student Legal Forum (SLF) – organizacji studenckiej, która urządziła spotkania z wybitnymi osobistościami.

Gdy powierzono mu prezesowski mandat, Bobby rzeczywiście skorzystał z rodzinnych układów, aby ściągać na uczelnię osobistości z pierwszych stron gazet. Jedną z nich był zaprzyjaźniony z ojcem senator McCarthy z Wisconsin. W oczach Kennedy'ego seniora ów niezłomny konserwatysta irlandzkiego pochodzenia, katolik i zaciekle antykomunista, stanowił wzór polityka<sup>4</sup>.

Bobby skończył studia ze średnim wynikiem. W gronie stu dwudziestu czterech absolwentów sklasyfikowano go na pięćdziesiątym szóstym miejscu, ze średnią ocen 2,54 i miał niejakie trudności ze znalezieniem stosownego zajęcia. Zwrócił się więc o pomoc do ojca. Ten zaś zadzwonił do senatora McCarthy'ego, który nadal jeszcze był na fali. Stale pisano o nim na czołówkach gazet w związku z głośnymi przesłuchaniami w senackiej podkomisji do badania działalności antyamerykańskiej, jakie wielu określało mianem polowań na komunistyczne czarownice. Był to grudzień 1952 roku. Miesiąc wcześniej, w listopadzie, Jack uzyskał mandat senatora, a McCarthy został wybrany na kolejną kadencję. Kennedy senior nie żałował datków na kampanię wyborczą polityka z Wisconsin.

Korzystając z popularności Eisenhowera, który sięgał wtedy po prezydenturę, republikanie zyskali większość w Senacie. McCarthy został przewodniczącym wielce wpływowej stałej podkomisji senackiej, kontrolującej działanie aparatu państwowego. W rozmowie telefonicznej Kennedy senior podkreślił, że Bobby i synowa, Ethel, należą do jego gorących wielbicieli i że senator może tylko zyskać, jeśli młody, inteligentny człowiek o nazwisku Kennedy zostanie jego asystentem.

W typowy dla siebie sposób Kennedy senior życzył sobie, aby dwudziestosiedmioletni, świeżo upieczony prawnik wskoczył od razu na wysoki szczebel i został szefem radców prawnych senatora. Ten jednak uważał, że Bobby nie ma wystarczającego doświadczenia i odmówił, ale zaproponował mu miejsce w zespole Francisa D. Flanagan, radcy prawnego podkomisji, dodając, że oczywiście droga do awansu stoi otworem.

Senior był rozczarowany obrotem sprawy. Z drugiej jednak strony uznał, że i pełniąc tę funkcję, Bobby może zwrócić na siebie uwagę

mediów, prasa bowiem pilnie śledziła przesłuchania pod przewodnictwem McCarthy'ego. Bobby też nie był zachwycony, ale podjął pracę. Zrezygnował jednak po siedmiu miesiącach, oświadczając, że przechodzi do prywatnej kancelarii adwokackiej.

Ethel, małżonka Bobby'ego, nigdy nie kryła głębokiej niechęci do Fidela Castro. Dawła temu wyraz w rozmowach z mężem, zwłaszcza wtedy, gdy John wprowadził się do Białego Domu, a Bobby zajął miejsce w Departamencie Sprawiedliwości.

Antypatię do kubańskiego przywódcy wyniosła z domu, odziedziczyła ją po ojcu. George Skakel senior był konserwatystą i bogatym człowiekiem interesów. Mając ledwie dwadzieścia lat założył z dwoma współnikami firmę Great Lakes Carbon Corporation. Rychło stała się jedną z największych prywatnych korporacji w Ameryce. Na Wall Street w Nowym Jorku i w kręgach politycznych w Waszyngtonie spierano się, kto jest bogatszy: Joe Kennedy, czy George Skakel.

Za czasów Fulgencio Batisty firma Skakela robiła interesy na Kubie. Kontynuowała je nawet po śmierci właściciela. Skakel bowiem zginął razem z małżonką w katastrofie lotniczej w październiku 1955 roku. Ich prywatny samolot, bombowiec przerobiony na luksusową maszynę pasażerską, eksplodował nad Oklahomą w czasie lotu do Los Angeles. Ethel była wtedy od pięciu lat żoną Bobby'ego.

Po przejściu władzy przez Fidela Castro bracia Ethel: George jr i James C. III Skakelowie, nadal jeździli na Kubę, nie bacząc na niebezpieczeństwo związane z antyamerykańskim nastawieniem nowego reżimu. George uwielbiał polowania na wyspie. Wyprawiał się na dziki, często w towarzystwie przyjaciela, Louisa Wenera II, przedstawiciela poczty amerykańskiej na Kubie.

W istocie poczta była tylko przykrywką dla prawdziwej funkcji Wenera – był rezydentem CIA na wyspie. George zaś, korzystając z szerokich znajomości i kontaktów, dostarczał mu wielu sekretnych wiadomości na temat planów i zamierzeń Najwyższego Przywódcy<sup>5</sup>.

Ethel tymczasem bolała nad losem licznych przyjaciół kubańskich. Nawiązała bowiem sporo przyjaźni, gdy w czasach Batisty bywała na Kubie z ojcem lub braćmi. Modliła się o jak najszybszy upadek Fidela i czyniła wszystko, aby Bobby wiedział, co myśli o Najwyższym Przywódcy.

W maju 1961 roku Bobby przystąpił do realizacji zadania, polegającego na nasileniu tajnej wojny przeciwko Fidelowi. Miał do pomocy tzw. Cuban Study Group (Grupę Studiów Kubańskich) – czteroosobowy zespół pod przewodnictwem generała Maxwella D. Taylora, byłego dowódcy elitarniej 101 Dywizji Powietrzno-Desantowej, wstawionej udziałem

w inwazji na Normandię w 1944 roku i innymi operacjami w czasie II wojny światowej. Powołany przez prezydenta zespół miał jedno jedyne, ale za to istotne zadanie, a mianowicie stworzyć gwarancje, że kolejna operacja przeciwko Kubie nie zakończy się jak w Zatoce Świń.

Przez cały maj zespół z udziałem Bobby'ego zbierał się dwa razy dziennie w pilnie strzeżonej sali w Pentagonie, przesłuchując dziesiątki osób związanych z operacją w zatoce: generałów, admirałów, funkcjonariuszy i agentów CIA, doradców amerykańskich, szpiegów, dowódców i oficerów Brygady 2506, którzy uszli z życiem i nie dostali się do niewoli, a także uczestników kubańskiej Rady Rewolucyjnej. Bobby, bez marynarki i krawata, pilnie notował treść zeznań. Wieczorami wskakiwał w samochód i jechał do Białego Domu z meldunkiem dla brata o postępach w pracach zespołu.

– Pamiętam jak dziś – wspomina Ray Cline – siedzieliśmy w tej sprawie po uszy, a już Bobby był ogromnie zaangażowany. Zachowywał się jakby był prezydentem i w pewnym sensie był nim. Stale naciskał CIA w sprawie Kuby<sup>6</sup>.

W połowie czerwca generał Taylor przedstawił napisane przez siebie osobiście sprawozdanie Grupy Studyjnej. Wnioski były zgodne z oczekiwaniami braci Kennedych:

Zaleca się rewizję oceny sytuacji na Kubie. W świetle nowych okoliczności i czynników należałoby opracować aktualne dyrektywy dotyczące politycznych, militarnych, gospodarczych i propagandowych kampanii przeciwko Fidelowi Castro<sup>7</sup>.

Senator Mike Mansfield, wielki zwolennik „gołębi”, jeśli chodzi o politykę wobec Kuby, był wręcz oburzony treścią zaleceń Taylora. W liście do prezydenta stwierdził:

Jeśli damy się ponieść emocjom w związku z fiaskiem [operacji „Pluto”], to tylko wzmocnimy pozycję Castra.

Mansfield ze swej strony zalecał

stopniowe likwidowanie kontaktów władz USA z antycastrowskimi ugrupowaniami rewolucyjnymi... zaprzestanie werbalnych ataków na Castra ze strony oficjalnych czynników rządowych<sup>8</sup>.

Ale Jack i Bobby nie usłuchali zdania polityka ich własnej partii. Nie zastosowali się do rady Mansfielda, aby ograniczyć działania na Karaibach. Przeciwnie, CIA dostało polecenie, aby iść na całość.

## Eleanor Roosevelt – „stara, głupia baba”

Na początku czerwca 1961 roku w Gabinetcie Ovalnym odbyła się pamiętna rozmowa prezydenta z Bobbym oraz Kennym O'Donnellem, bliskim przyjacielem Johna jeszcze z czasów studenckich. Kenny, rosły i potężny, grywał w football w reprezentacji Harvardu. Odpowiadał za kalendarz prezydenta, co dawało mu ogromną władzę. Od niego bowiem zależało, kogo prezydent przyjmie. Korzystał ze swego stanowiska, aby nagradzać lojalnych i karcić nieposłusznych.

O'Donnell miał się za drugą osobę w państwie. W rozmowach prywatnych chwalił się: „na pierwszym miejscu jest prezydent, zaraz potem ja, a dalej Bobby”.

Przy filiżance kawy prezydent zwierzył się bratu i przyjacielowi, że poprzedniej nocy nie mógł zasnąć.

– Trapiła mnie myśl o nieszczęsnych chłopcach więzionych na Kubie, wyjaśnił, dodając, że „gotów jest wejść w porozumienie z Castrem, żeby ich uwolnić”<sup>1</sup>.

– Tak – zgodził się Bobby bez wahania – trzeba zrobić wszystko, co tylko można, żeby ich wydobyć z więzień<sup>2</sup>.

Nieoficjalnymi kanałami dano więc znać Fidelowi Castro, że prezydent Stanów Zjednoczonych chciałby umówić się w sprawie zwolnienia jeńców wziętych po inwazji w Zatoce Świń. Kubański przywódca nie był przeciwny zrobieniu interesu, który miałyby polegać na tym, że Ameryka wypłaci Kubie „odszkodowanie” w postaci pięciuset nowych buldożerów lub dwudziestu ośmiu milionów dolarów. Kennedy zgodził się na takie rozwiązanie.

Kenny O'Donnell, o którym jeden z reporterów waszyngtońskich napisał, że „gdyby trzeba było, to byłby gotów wskoczyć w ogień za pre-

zydenta”, stwierdzał wiele lat później, że „przyjęcie propozycji Castra było jednym z najmniej udanych posunięć w karierze Kennedy'ego”<sup>3</sup>.

Z miejsca bowiem i zgodnym chórem konserwatywni przywódca Partii Republikańskiej zaczęli krytykować decyzję prezydenta. Barry Goldwater oskarżał Kennedy'ego, że „ulega szantażowi”. Richard Nixon grzmiał, że „ludzkie życie to nie towar i nie wolno nim handlować”.

Fidel Castro promieniał. Chwalił się w telewizji hawańskiej, że rzucił „głupiego gołowąsa” (Jacka Kennedy'ego) na kolana i zachwycał się „odszkodowaniem” w postaci pięciuset spychaczy, jakie wycisnął od amerykańskich imperialistów.

Braci Kennedych złościło, iż Castro mówi o „odszkodowaniu”. Woleliby termin „wymiana”.

Faktem jest, że dumny i wyniosły Wuj Sam otrzymał bolesną lekcję pokory od dyktatora maleńkiej wysepki, ale też Castro miał wszystkie atuty w rękę i to on stawiał warunki. Pod egidą prezydenta, w celu zebrania stosownych funduszy powołano komitet, do którego weszli między innymi Eleanor Roosevelt, wdowa po prezydencie Rooseveltcie oraz Milton Eisenhower, brat poprzednika prezydenta Kennedy'ego, rektor szacownego Uniwersytetu im. Johna Hopkinsa w Baltimore.

Wkrótce doszło do sporu w kwestii modelu spychaczy. Castro żądał maszyn typu D-8 koncernu Caterpillar. Wywiad wojskowy ostrzegał, że ten typ spychacza bardziej nadaje się do prac przy budowie lotnisk i wyrzutni raketowych niż do robót w polu. Kubański przywódca twierdził oczywiście, że zostaną one przeznaczone dla rolnictwa. Komitet zaproponował dostawę pięciuset traktorów zamiast spychaczy.

Castro traktorów nie chciał, ale w dobroci serca, jak oświadczył, może ewentualnie przyjąć ekwiwalent w gotówce dwudziestu ośmiu milionów dolarów, na tyle bowiem wyceniał wartość pięciuset buldożerów. W rokowaniach znów nastąpił impas.

Pod koniec czerwca minął umówiony termin. Castro ponownie wytaczał propagandowe działa przeciwko „jankesom”, wyraźnie zachwycony, że daje im popalić.

Urządził nawet przyjęcie dla wybranej grupy jeńców, drażniąc ich przy drinkach stwierdzeniem: „No i co chłopcy, Kennedy nie chce dać za was tych traktorów”. Potem wdał się w dłuższy monolog. Eleanor Roosevelt, najbardziej aktywną członkinię komitetu na rzecz uwolnienia jeńców, obdarzył niewybrednym epitetem *vieja chocha* (stara, głupia baba)<sup>4</sup>.

Gdy sprawa wymiany jeńców na traktory utknęła w miejscu, obie strony konfliktu skupiły się na czymś innym, a mianowicie na pozy-skaniu serc i umysłów dziesiątków milionów mieszkańców Ameryki Łacińskiej. Do bezpośredniej konfrontacji między zwolennikami komunizmu a szermierzami demokracji doszło na konferencji Międz-amerykańskiej Rady Ekonomiczno-Społecznej, która odbyła się w Punta del Este, w Urugwaju, w sierpniu 1961 roku.

Prezydent Kennedy, w specjalnym posłaniu do uczestników kon-ferencji, deklarował:

Jesteśmy mieszkańcami półkuli, której rewolucja wyzwoliła najpotężniejsze siły we współczesnym świecie, siły wolności. Spotykamy się, aby na fundamencie tej rewolucji budować przyszłość, a to oznacza uznanie prawa wszystkich ludów i ludzi do czerpania z postępu<sup>5</sup>.

W podobnym duchu przemawiał przewodniczący delegacji amery-kańskiej, Douglas Dillon, sekretarz skarbu USA:

Jest to zadanie na miarę rewolucji, chodzi bowiem o to, aby z owoców rewolucji amerykańskiej skorzystała cała społeczność [Ameryki Łacińskiej]<sup>6</sup>.

Polemizował z nim reprezentant Kuby, a był nim „Ché” Guevara, towarzysz Fidela jeszcze z czasów Sierra Maestra.

– Za tę obietnicę pomocy Stanów Zjednoczonych powinniście po-dziękować Fidelowi Castro! – wołał, próbując jednocześnie pokazać ideę Alliance for Progress (Sojuszu dla Postępu), jako „instrument imperializmu”, który i tak nie spełni swego zadania.

Sojusz dla Postępu, wielce hołubiony program administracji Ken-nedy'ego, obliczony był na konsolidację państw Ameryki Łacińskiej we wspólnym froncie przeciwko komunistycznej ekspansji. Za progra-mem głosowali wszyscy uczestnicy konferencji. Dwadzieścia państw opowiedziało się za wspólnymi działaniami na rzecz wzmocnienia in-strytucji demokratycznych na bazie prawa do samostanowienia naro-dów<sup>7</sup>. Tylko „Ché” Guevara demonstracyjnie wstrzymał się od głosu.

W opinii CIA był typem walczącego komunisty. Nieprzypadkowo awansował na najwyższe szczeble w ruchu Fidela Castro. W 1956 ro-ku Guevara – Argentyńczyk z pochodzenia i lekarz z wykształcenia – zawitał do Meksyku, ówczesnej kolebki komunizmu w Ameryce Ła-cińskiej i właśnie tam stworzył organizację wywiadowczą pod szyl-dem firmy Asistencia Tecnica (Pomoc Techniczna). Jeśli kiedykol-wiek i komukolwiek Asistencia Tecnica udzielała pomocy, to tylko wywiadowi moskiewskiemu.

Moskwa zresztą finansowała całe to przedsięwzięcie, działając za pośrednictwem niejakiego pułkownika Jaime Rosenberga, byłego sze-fa służby bezpieczeństwa w Gwatemali. Zjawił się on w Meksyku w połowie lat pięćdziesiątych. Uciekł z Gwatemali, unikając areszto-wania za nadużycia. W Meksyku wszedł w porozumienie z Guevarą. Głosił, że jego celem jest wyzwolenie Gwatemali spod jarzma (ów-czesnego) prezydenta, Carlosa Castilo Armasa, lokaja Stanów Zjed-noczonych, jak twierdził (Armas padł wkrótce ofiarą zamachu).

Gdy później Castro z towarzyszymi okopał się w górach Sierra Maestra, Guevara rozwinął działalność Asistencia Tecnica na Kubie. Na wyspie zaczęła funkcjonować cała siatka agentów, zdrajców, ku-rierów, zbierając informacje o planach i zamierzeniach Batisty, dzięki czemu Fidel był w stanie podejmować stosowne przeciwdziałania.

4 listopada 1961 roku, w niespełna cztery miesiące po utworzeniu Sojuszu dla Postępu, w Białym Domu odbyła się konferencja z udzia-łem wysokich funkcjonariuszy rządu, CIA i Pentagonu. Tematem na-rady u prezydenta była sprawa Fidela Castro, który niemal codzien-nie atakował Kennedy'ego i „jankeskich imperialistów”.

Nie można powiedzieć, aby sławne napaści ze strony Fidela nie dotykały prezydenta i jego brata, Jack i Bobby bardziej jednak nie-pokoili się planami przeniesienia kubańskiej rewolucji na cały kon-tynent południowoamerykański. Za trzydzieści pięć milionów dola-rów Kuba kupiła w Szwajcarii i Czechosłowacji najnowocześniejszy sprzęt radiowy, sprawiając sobie najpotężniejszą radiostację na całej półkuli. Nadawała sto godzin programu tygodniowo w czterech języ-kach: hiszpańskim, portugalskim, francuskim i angielskim, bombar-dując dziesiątki milionów słuchaczy komunistyczną propagandą.

W naradzie w Gabinetie Owalnym brali między innymi udział: se-kretarz obrony, Robert McNamara, Richard Bissell z CIA, główny architekt przedsięwzięcia w Zatoce Świń, który zresztą wkrótce da głowę za klęskę, Bobby Kennedy oraz Edward G. Lansdale, legendar-ny agent CIA, a obecnie generał brygady w służbie amerykańskich Sił Powietrznych.

Chociaż Bobby Kennedy nie miał żadnego doświadczenia, jeśli cho-dzi o prowadzenie tajnych operacji i gier wywiadu, to właśnie on był najbardziej aktywnym uczestnikiem konferencji. Głosił konieczność „zamieszania spraw” na Kubie przez działania typu szpiegowskiego, sabotażowego i przez wywoływanie powszechnego zamętu. Miano to uczynić siłami samych Kubańczyków, nie związanych z Batistą, ani tym bardziej z komunistami<sup>8</sup>.

Bobby wystąpił też do McNamary o „wypożyczenie” Lansdale'a, aby ten zbadał sytuację na Kubie i zaproponował stosowne kierunki działań. McNamara naturalnie wyraził zgodę.

Lansdale był człowiekiem z ogromnym doświadczeniem w tych sprawach. Tuż po II wojnie światowej działał jako oficer operacyjny CIA na Filipinach. Współpracował ściśle z prezydentem Ramónem Magsaysayem, przywódcą ruchu oporu w czasie okupacji japońskiej, montując udaną kampanię przeciwko zbrojnej organizacji komunistów filipińskich, Hukbalahap, która próbowała obalić legalne rządy na archipelagu.

Później, na początku lat pięćdziesiątych, Lansdale rozpoczął działania w Wietnamie. Pracował z mało jeszcze wtedy znanym nacjonalistą Ngo Dinh Diemem, odwracając niebezpieczeństwo przejęcia władzy przez komunistyczne podziemie (późniejszy Vietcong) w Wietnamie Południowym.

Gdy generał Lansdale trudził się nad problemem, jak pozbyć się Fidela Castro i położyć kres jego reżimowi, w Białym Domu zjawiał się Tad Szulc\*, dziennikarz „The New York Timesa”, specjalista w zakresie spraw Ameryki Łacińskiej. Szulc był na Kubie, gdy Castro sięgał po władzę, doskonale znał kubańskie realia i między innymi dlatego Kennedy myślał o zaproponowaniu mu funkcji w administracji. Tymczasem prezydent prosił o radę, co można w ogóle zrobić z Kubą, a w pewnym momencie zapytał wręcz, co Szulc myśli o ewentualnym zabójstwie Fidela Castro.

Szulc odparł, że niekoniecznie zmieniliby to sytuację. Kennedy pospieszył z zapewnieniem, że tylko żartował, że w istocie podziela zdanie swego rozmówcy. Dodał, że wywierane są nań silne naciski, aby „dał OK na likwidację Castra”<sup>9</sup>.

Kilka dni później zaufany doradca Kennedy'ego, Richard Goodwin, nawiązał w rozmowie z prezydentem do spotkania z Tadem Szulcem i znów wróciła sprawa ewentualnego zabójstwa Fidela. Goodwin uznał, że pomysł jest wręcz szaleńczy. – Jeśli zaczniemy stosować takie środki – potwierdził prezydent – to sami możemy znaleźć się na muszce!<sup>10</sup>

\* Polak z pochodzenia, późniejszy autor znakomitej biografii Fidela Castro, a także papieża, Jana Pawła II [przyp. tłum.].

## 24

### Ściśle tajne: agenci CG-5824S oraz NY-694S

Gdy po klęsce w Zatoce Świń na najwyższym szczyblu zapadła decyzja o nasileniu działań przeciwko Fidelowi Castro, w Miami zjawiał się trzydziestoczterolateni Ted Shackley. Przyjechał z Berlina, przeniesiono go z tamtejszej delegatury CIA, stawiając na czele JM WAVE – placówki Agencji na Florydzie, której zadaniem było planowanie i realizacja operacji przeciwko Kubie. Shackley został więc kimś w rodzaju marszałka polnego, dowodzącego frontem w tajnej wojnie z reżimem Castra, wszczętej przez braci Kennedych i prowadzonej przez CIA.

W Waszyngtonie uważano Shackleya za wschodzącą gwiazdę CIA. Służył w Agencji od blisko trzynastu lat. W 1950 roku ukończył studia na University of Maryland. Miał zamiar kształcić się dalej na wydziale prawa, jednak wybuch wojny w Korei pokrzyżował jego plany. Został powołany do służby wojskowej w stopniu porucznika. Wkrótce trafił do CIA i już tam pozostał<sup>1</sup>.

Miami było jednym z nielicznych miast amerykańskich, w których tajne imperium JM WAVE mogło funkcjonować nie zwracając na siebie specjalnej uwagi. Działo tu, podobnie jak w Istambule, Madrycie, Lizbonie czy Sztokholmie w latach II wojny światowej, wiele siatek wywiadowczych, załatwiano rozmaite interesy. W mieście pełno było agentów najprzeróżniejszych służb. Ściągali tu najemnicy, zjeżdżali obaleni dyktatorzy, przybywali uchodźcy, kryli się przed prawem kryminaliści, spiskowali szefowie mafii. Było to więc odpowiednie dla funkcjonariuszy szarej strefy otoczenie. Agenci CIA nie odstawali od tła.

Wśród weteranów Agencji, którzy wylegli na powitanie Shackleya, był William „Rip” Robertson, legendarny wręcz kombatanat tajnych frontów. On to, mimo wyraźnego zakazu prezydenta Kennedy'ego, nie wahał się wyjść na ląd z Brygadą 2506 w Zatoce Świń. Tłumaczył później z całą powagą, że nic nie słyszał i nie wiedział, że żadnemu obywatelowi USA nie wolno wziąć czynnego udziału w inwazji.

Robertson nie był już młodzieńcem, miał czterdzieści osiem lat, ale też niespożytą energię i stał się jednym z bohaterów walk nad zatoką. Gdy przeważające siły Fidela Castro zaczęły spychać oddziały inwazyjne z powrotem ku plaży, Robertson, bez niczyjego rozkazu, z własnej inicjatywy przeprowadzał się pod ogniem na brzeg, aby ratować rannych.

Gdy zaczęły się przesłuchania, mające wyjaśnić przyczyny klęski nad zatoką, Robertsona poproszono do Waszyngtonu. Odbył przy tej okazji dłuższą, prywatną rozmowę z Bobbym Kennedym. Prokurator generalny nawet jednym słowem nie napomknął, że Robertson dopuścił się złamania ścisłych rozkazów, wykluczających osobisty udział Amerykanów w inwazji.

Po powrocie do Miami Robertson stwierdził w rozmowie z kolegami, że Kennedy „jest w porządku”. Słusznie odczytali to jako komplement pod adresem prokuratora generalnego, bo wszyscy wiedzieli, że Robertson nie znosi polityków. Mówił o tym nieraz.

Niewykluczone, że ów zachwyt nad młodym Kennedym wziął się z tego, iż Bobby dał Robertsonowi nader wyraźnie do zrozumienia, że przegrana bitwa nie oznacza jeszcze końca walk z Fidelem Castro, a przeciwnie, prawdziwa wojna z dyktatorem dopiero się zaczyna<sup>2</sup>.

Tymczasem dwa tysiące kilometrów na północ od Miami, na lotnisku Idlewild w Nowym Jorku, lądował samolot, którym wracał do Ameryki, po podróży do Moskwy i Hawany, Morris Childs, numer dwa w hierarchii Komunistycznej Partii USA. Czekano już na niego dwóch funkcjonariuszy FBI i gdy tylko opuścił samolot, zabrano go do pobliskiego budynku, a tam Childs zdał szczegółowe sprawozdanie z rozmów z Fidelem Castro na Kubie oraz Nikitą Chruszczowem na Kremlu.

Rzecz bowiem w tym, że ów siwy, zylasty działacz partyjny był – podobnie jak i jego młodszy brat Jack – podwójnym agentem. Obaj stwarzali wszelkie pozory ideowych komunistów, którzy oddają wszystkie siły sprawie zwycięstwa komunizmu w Ameryce, czyli obaleniu legalnych władz. W rzeczywistości byli tajnymi współpracownikami FBI, stanowiąc cenne źródło i bezpośredni kanał dotarcia do Castra i Chruszczowa. Dzięki nim prezydent Kennedy doskonale orientował się nie tylko w zamierzeniach przywódców komunistycz-

nych, ale znał także trapiące Hawanę i Moskwę problemy, co mógł wykorzystywać w grze politycznej.

Gra wywiadowcza z udziałem braci Childs – określana kryptonimem „Solo” – była dzieckiem samego J. Edgara Hoovera, dyrektora FBI. On ją zainicjował i osobiście nadzorował. Kierownictwo taktyczne operacji sprawował zastępca Hoovera, William Sullivan. W jego bowiem kompetencjach leżał nadzór nad COINTELPRO, czyli walką z działalnością wyrotową i terroryzmem na terytorium Stanów Zjednoczonych. Robocze kontakty z braćmi Childs należały do wyznaczonych oficerów, prowadzących operację „Solo”.

Bracia urodzili się w Polsce, a ściślej na kresach ówczesnego Królestwa Polskiego, w rodzinie żydowskiej. Morris – w roku 1902. Ojciec nosił nazwisko Chilofsky (Czyłowski), zmienił je, gdy w latach dwudziestych rodzina wyemigrowała do Ameryki, osiadając najpierw w Chicago, gdzie młody Morris zarabiał na życie rozwożąc mleko. Zyskał przydomek „Czerwonego Mleczarza”, a to za sprawą poglądów, których nie ukrywał, wręcz przeciwnie – głosił wszem i wobec.

W Komunistycznej Partii USA uznano go za człowieka z perspektywą. W 1930 roku trafił więc do Szkoły Leninowskiej w Moskwie. Tam zaś, w grupie podobnych sobie wybranków z całego świata, przeszedł stosowne przeszkolenie partyjne, co oznaczało oczywiście głęboką indoktrynację komunistyczną.

Po powrocie do Stanów z całą energią poświęcił się pracy partyjnej. Starał się zwiększać partyjne szeregi, przyciągać nowych ludzi i budować organizację, najpierw na poziomie miasta w Milwaukee w stanie Wisconsin, później – już jako sekretarz – na szczeblu stanowym w Illinois, a jeszcze później jako odpowiedzialny za cały region Chicago. W maju 1938 roku, w wieku trzydziestu pięciu lat, został wybrany do komitetu krajowego (centralnego) KP USA. Rok później został redaktorem organu partii, dziennika „Daily Worker”, wydawanego w Nowym Jorku<sup>3</sup>.

Stał się osobistością publiczną. Pisywano o nim w gazetach, mówiono w radiu. Sam zaś zapełniał stronicie „Daily Worker”, figurując też na zdjęciach zamieszczanych w gazecie. O jego randze, bez względu na to, jak ją pojmować, świadczyć może fakt, iż poświęcono mu całe dwadzieścia stron w raporcie Kongresu federalnego, dotyczącym działalności komunistycznej w Stanach Zjednoczonych.

Także młodszy Childs, Jack, był aktywnym działaczem KP USA. Werbował nowych członków, urządzał wiece, organizował fundusze, ale w przeciwieństwie do brata nie zabiegał o rozgłos i nie starał się o miejsce w pierwszym szeregu. Nie wspomniano więc o nim w me-

diach, publiczność niewiele o nim słyszała, był natomiast dość znany w kołach partyjnych<sup>4</sup>.

Po roku piastowania stanowiska redaktora „Daily Worker” Morris znalazł się – niezamierzenie zresztą – w ogniu walki, jaka rozgorzała między dwiema frakcjami KP USA. Wziął w niej stronę większości skupionej wokół Eugene Dennisa, którego znał jeszcze ze Szkoły Leninowskiej i z którym chyba się przyjaźnił. Frakcji mniejszościowej przewodził William Z. Foster.

Dennis tymczasem uznał, że poświęcając jednego ze swoich popleczników da świadectwo, że pragnie zgody i odbudowy jedności w partii. Wybór zaś padł na Morrisa. 27 czerwca 1947 roku wezwano go na posiedzenie komitetu krajowego, zwołanego do Nowego Jorku.

Tam złożono go na ołtarzu partyjnej jedności. Zaraz po rozpoczęciu obrad głos zabrał Dennis, stawiając wniosek o „urlopowanie” Morrisa ze stanowiska redaktora „Daily Worker”. Ten aż zbladł z wrażenia, niczego takiego bowiem nie przewidywał. Dennis miał w zanadrzu jeszcze jedną niespodziankę. Zaproponował mianowicie, aby na redaktora organu partii powołać Johna Gatesa, kombatanta Brygad Międzynarodowych w wojnie domowej w Hiszpanii i oczywiście oddanego członka partii.

Childs zbladł jeszcze bardziej, gdy usłyszał, że William Foster popiera wniosek Dennisa. Reszta była już formalnością. Wniosek przyjęto jednogłośnie, z jednym tylko głosem wstrzymującym się – samego zainteresowanego.

John Gates, nowy naczelny „Daily Worker”, przyzna później, że Childsa „potraktowano nieludzko, ale też w partii zwykle tak się działo”<sup>5</sup>.

Tymczasem ofiary jedności, Morris a także Jack, jego brat, nie potrafiły pozbierać się po ciosie, który spadł na nich po ćwierćwieczu wyczerpanej pracy i poświęceń w służbie partii komunistycznej. Zaczęły przeglądać na oczy i zmieniać poglądy. Coraz bardziej oddalali się od swego ugrupowania.

Wtedy to, na początku lat pięćdziesiątych, doszło do kontaktu z FBI. Biuro rutynowo zwracało się ku byłym bądź biernym członkom partii. Spotkania z braćmi odbyły się osobno, ale miały chyba podobny przebieg. Przesłuchujący ich agenci sugerowali, aby Morris z Jackiem odnowili kontakty, uaktywnili się w organizacji jako tajni informatorzy biura. Po dłuższym namyśle obaj wyrazili zgodę.

Morris otrzymał kryptonim CG-5824S, Jack – NY-694S. Wśród pracowników operacyjnych Morrisa nazywano w skrócie „58”, a Jacka – „69”. Nazwisk naturalnie nigdy nie wymieniano.

W zaskakująco krótkim czasie bracia Childs znów wspięli się na szczyty hierarchii Komunistycznej Partii USA. Eugene Dennis – ten sam, który przed kilku laty wbił przyjacielowi nóż w plecy – mianował Morrisa swoim zastępcą do spraw kontaktów z przywódcami Kuby, Związku Radzieckiego, Chin i w ogóle powierzył mu całość spraw zagranicznych partii. Jacka wyznaczono do pomocy bratu.

W roku 1960 Dennis ciężko zachorował. Choroba okazała się nieuleczalna. Szefem partii został wtedy Gus Hall, podobnie jak Morris absolwent Szkoły Leninowskiej. Hall dał się poznać jako energiczny organizator partyjny na obszarze amerykańskiego Środkowego Zachodu, nie stroniący od radykalnych metod walki politycznej. W latach trzydziestych stanął przed sądem i został skazany za udział w zamachu bombowym w czasie strajku związkowego.

Morris, po objęciu kierownictwa przez Halla, pozostał przy swojej funkcji, nie zmieniło się też usytuowanie brata. Morris nadal jeździł z partyjnymi wizytami do Hawany, Moskwy, Pekinu, Berlina Wschodniego i Pragi. Jako działacz wysokiego szczebla, wszędzie przyjmowany był z należnymi honorami.

Cały czas oczywiście istniała groźba, że zostanie zdemaskowany, co mogłoby się skończyć torturami i egzekucją gdzieś za żelazną kurtyną. Kiedy zdrowie nie pozwalało Morrisowi na podróż – od lat bowiem chorował na serce – wtedy reprezentował go Jack. W czasie jednego z pobytów w Moskwie Jacka uhonorowano na bankiecie miejscem obok Fidela Castro. Zebrał wtedy sporo i to niezwykle cennych wiadomości, które po powrocie przekazał FBI.

Castro, Chruszczow, a potem jego następca, Breżniew, także Mao Tse-tung i Czou En-lai obdarzali Morrisa bezwzględny zaufaniem, był przecież numerem drugim w KP USA. Bez oporów i szczerze dzielili się z nim najsekretniejszymi myślami, ambicjami, zamierzeniami, a także obawami. Ujawняли wobec niego swe przemyślenia na temat wydarzeń międzynarodowych i mówili o strategii.

Wszyscy z nich oczywiście potępiali Stany Zjednoczone, głównie zresztą jako przeciwnika ideowego. W poglądach Castra jednak występowała pewna wyraźna nuta osobistych animozji. Najcięższe działał wytyczając przeciwko prezydentowi Kennedy'emu.

W czasie pobytów w Moskwie Morris często otrzymywał pokaźne sumy przeznaczone na działalność partii w Stanach Zjednoczonych. Bywało, że przywoził pięćdziesiąt, a zdarzało się, że i trzysta pięćdziesiąt tysięcy dolarów w gotówce. Unikał kłopotów na granicy tylko dlatego, że za sprawą FBI celnicy na lotnisku przymykali oko na gotówkowy przemyt.

Moskwa zresztą dostarczała funduszy amerykańskim komunistom także innymi kanałami. Pieniądze wwożono w bagażu dyplomatycznym, a ten, jak wiadomo, nie podlega kontroli. Co najmniej sześć razy agenci KGB, działający głównie pod przykrywką pracowników radzieckiego przedstawicielstwa dyplomatycznego przy Organizacji Narodów Zjednoczonych w Nowym Jorku, spotykali się w rozmaitych sekretnych miejscach z Morrisem, przekazując mu łącznie pół miliona dolarów i zapowiadając dalsze „dotacje”.

Nim jednak pieniądze lądowały w skarbcu Gusa Halla, agenci FBI prowadzący operację „Solo” skrupulatnie odnotowywali numery banknotów. I tak, jak się tego spodziewano, wiele z owych „biletów bankowych pod specjalnym nadzorem” trafiło na konta agentów Fidela Castro w Stanach Zjednoczonych.

W 1961 roku do FBI zgłosił się niejaki Wiktor Lessiowski, obywatel Związku Radzieckiego, zatrudniony w ONZ w charakterze doradcy ówczesnego sekretarza generalnego Narodów Zjednoczonych, Birmańczyka, U Thanta. Lessiowski był zawiedziony i wielce niezadowolony, że musiał oddawać ONZ-owską pensję ambasadzie ZSRR, otrzymując w zamian, skromne zresztą, pobory z KGB\*. Lessiowski zaoferował swoje usługi FBI.

Biuro skorzystało z propozycji, ale też nie do końca ufało „ochotnikowi”. Nie można było bowiem wykluczyć, że Lessiowski działa na rozkaz swoich przełożonych z KGB i że celem gry jest dezinformacja<sup>6</sup>.

Lessiowski otrzymał kryptonim „Fedora”. Któregoś dnia zawiadomił oficerów prowadzących z FBI, że szykuje się spotkanie agenta KGB z Jackiem Childsem. Podał szczegóły dotyczące miejsca i czasu, a także temat spotkania. Chodziło o pieniądze. Z polecenia Gusa Halla Jack zajmował się finansami partii.

Kierownictwo operacji „Solo” nabrało jednak pewnych podejrzeń. Zastanawiano się, czy „Fedora” oraz jego przełożeni z KGB nie zaczęli podejrzewać, że Jack Childs pracuje dla FBI i czy informacja o zamierzonym spotkaniu nie ma na celu wyłącznie sprawdzenia reakcji FBI. Jeśli bowiem Jack nie stawia się na spotkanie, to KGB może wysnuć słuszny wniosek, że obaj bracia współdziałają z FBI. Wtedy operacja „Solo” straci wszelki sens, a FBI utraci cenne źródło informacji.

\* Była to uświęcona tradycją i wewnętrznymi przepisami reguła, obowiązująca radzieckich dyplomatów delegowanych do ONZ; pensje pracowników Sekretariatu Narodów Zjednoczonych wielokrotnie przekraczały wysokość uposażenia personelu Misji ZSRR przy ONZ, stosowano więc zasadę „urawniłowki” [przyp. tłum.].

Po dłuższych naradach zdecydowano, że Jack powinien jednak udać się na spotkanie, choć było to wysoce niebezpieczne. KBG mogło go bowiem zlikwidować na miejscu, jeśli jego prawdziwa rola przestała być tajemnicą. Wszystko jednak poszło dobrze. Okazało się, że KGB poszukuje tylko możliwości przekazywania jeszcze większych funduszy na rzecz KP USA.

Po każdej podróży braci Childs do stolic komunistycznych, prezydent Kennedy otrzymywał z FBI stosowny raport. Materiały przekazywano kurierem na ręce wyznaczonego i zaufanego człowieka z najbliższego otoczenia prezydenta. Ani Kennedy, ani jego następcy, ani oczywiście ich doradcy, nie poznali prawdziwych źródeł informacji. Zapewniano ich tylko, że są to źródła nadzwyczaj pewne. Nazwisko braci Childs, agentów „58” i „69”, nigdy nie padło.

Jesienią 1961 roku tajna wojna między braćmi Kennedy a Fidalem Castro ogarnęła Dominikanę, państwo sąsiadujące z Haiti na karaibskiej wyspie, położonej ponad 900 kilometrów na południowy wschód od Miami. Gdy w 1939 roku do władzy doszedł generał Rafael Trujillo, zostały mocno okrojone prawa obywatelskie liczącej dwa miliony dwieście tysięcy społeczności tego kraju. Z drugiej jednak strony pod jego rządami wcielono w życie wcale szeroki program socjalny, dzięki któremu wybudowano liczne nowe szpitale, uruchomiono bezpłatne punkty położnicze, rozpoczęto budowę tanich mieszkań i stworzono system emerytalny.

Większość społeczeństwa Dominikany była więc zadowolona z władzy Trujillo. Jednocześnie jednak do Waszyngtonu docierały wieści, że coś się szykuje przeciwko prawicowemu dyktatorowi. Za spiskiem mogło stać wiele różnych sił, choćby armia, a ściślej, generałowie żądni większych profitów, albo CIA, albo – czego też nie można było wykluczyć – Castro, który chętnie przecież pozbyłby się konkurencji na Karaibach. Nie było tajemnicą, że Najwyższy Przywódca nie znośli Trujillo, nienawdził go za to, że dał schronienie Fulgencio Batiście i utrzymywał przyjazne stosunki ze Stanami Zjednoczonymi<sup>1</sup>.

Pogłoski o przygotowywanym zabójstwie rychło dotarły do Bobby'ego Kennedy'ego, a ten błyskawicznie poinformował o wszystkim brata. W konsekwencji jeden z doradców prezydenta, Richard Goodwin, otrzymał polecenie sprawdzenia, czy istotnie szykuje się spisek przeciwko Trujillo.

Goodwin udał się do Dullesa. W centrali CIA zapoznano go ze szczegółami tajnych operacji prowadzonych przez Agencję w Domini-

kaniu. Okazało się, że 12 stycznia 1961 roku, a więc na osiem dni przed objęciem urzędu prezydenta przez Johna Kennedy'ego, Grupa Specjalna wyraziła zgodę na przekazanie pewnej, dość zresztą skromnej, liczby pistoletów i karabinów dominikańskim spiskowcom snującym plany obalenia Trujillo.

Sprawa w ogóle była dość dziwna. Do spisku należeli bowiem dominikańscy generałowie. Z racji funkcji mieli dostęp do arsenałów sił zbrojnych, przeto broń nie powinna stanowić problemu. W tej sytuacji można było zakładać, że wspomniana niewielka dostawa broni miała raczej wartość symboliczną, była sygnałem, że Waszyngton udziela spiskowcom poparcia.

Gdy Goodwin zapoznał prezydenta z materiałami CIA, dotyczącymi Dominikany, ten machnął tylko ręką.

– No cóż – powiedział – jeśli Trujillo padnie, to padnie!<sup>2</sup>

W Ciudad Trujillo (jak przemianowano stolicę Dominikany – Santo Domingo) doskonale wiedziano, że główną troską Waszyngtonu jest Kuba, ale też Rafael Trujillo zdawał sobie sprawę, że salwy wymierzane w Castra mogą rykoszetem dotknąć i jego.

– Te sukinsyny – zwierzał się swoim poplecznikom, mając na myśli administrację Kennedy'ego – chcą ze mnie uczynić narzędzie, za pomocą którego dobiorą się do Castra. Ani on mój brat, ani swat, więc niech i tak będzie. Ale wiem też, że zaraz po nim zechcą dobrać się do mnie<sup>3</sup>.

Nie można wykluczyć, że Jack Kennedy zainteresował się sytuacją w Dominikanie za sprawą ojca, który kilka miesięcy wcześniej brał udział w pewnej tajnej misji związanej z generałem Trujillo. Do Kennedy'ego seniora zwrócił się wtedy Igor Cassini – szerzej znany jako Cholly Knickerbocker. Pod tym pseudonimem pisywał plotkarskie felietony do gazet koncernu Hearsta, adresowane do amerykańskiej śmietanki towarzyskiej.

Cassini poinformował patriarchę klanu Kennedych, że w Dominikanie szykuje się rewolucja przeciwko generałowi Trujillo. Jednocześnie podkreślał – nie myląc się zresztą – że generał jest przyjaźnie nastawiony do Stanów Zjednoczonych, ci zaś, którzy ewentualnie mieliby objąć po nim władzę, mogą opowiedzieć się po stronie Fidela Castro.

Wysoko postawiona osobistość w Dominikanie (bez wątpienia sam Trujillo) miała zasugerować Cassiniemu, że dla wzmocnienia obecnych rządów i odwrócenia groźby rewolucji wskazane byłoby spotkanie generała z wybitnym przedstawicielem Stanów Zjednoczonych

i że takie spotkanie mogłoby się odbyć choćby na morzu, na pokładzie statku, gdzieś między Florydą a Dominikaną. Stanowiłoby ono wyraźny sygnał, że Stany Zjednoczone popierają Trujillo. Cassini spytał wprost, czy Kennedy senior zechciałby wystąpić w roli prominentnego przedstawiciela Stanów Zjednoczonych.

Stary lis był jednak ostrożny. Najpierw zaczął więc wypytywać Cassiniego o jego w tym rolę. Jak to się stało, że felietonista bierze udział w tych wszystkich machinacjach. Cassini jął spieszenie zapewniać, że chodzi mu tylko o to, aby nie dopuścić do obalenia przyjaznego wobec Ameryki rządu i zastąpienia go przez reżim komunistyczny.

Cassini ukrył jednak przed Kennedym fakt, że jest wysokopłatnym agentem Dominikany w Stanach Zjednoczonych. (Dwa lata później zostanie postawiony w stan oskarżenia przez Departament Sprawiedliwości za to, że działał jako reprezentant obcego państwa bez należytej, wymaganej przez prawo, rejestracji.)

Tymczasem Kennedy senior podjął się udziału w tajnej misji. Co więcej, miał to uczynić wręcz z entuzjazmem. Umówiono się, że określonego dnia amerykański okręt wojenny podpłynie w wyznaczone miejsce u wybrzeży Dominikany. Kennedy senior będzie na pokładzie, a Trujillo przyplynie swoim jachtem. (Udział amerykańskiej jednostki wojennej miał załatwić Kennedy dzięki swoim kontaktom w Pentagonie.)

Tymczasem wieść o zamierzonym spotkaniu Trujillo – Kennedy dotarła do Porfirio Rubirosy, ambasadora Dominikany na Kubie. Zastąpiła go zresztą nie w Hawanie, ale w Palm Beach na Florydzie, gdzie ambasador przebywał na wakacjach. Przystojny, muskularny dyplomata, „Ruby”, jak nazywali go przyjaciele, znacznie częściej przebywał w Stanach Zjednoczonych niż na placówce w Hawanie. Był bowiem towarzysko związany z dwiema hollywoodzkimi gwiazdami – Zsa Zsa Gabor i Kim Novak, i prowadził też jakieś interesy w filmowej stolicy USA. Jest faktem, że otrzymał kiedyś honorarium w wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów (pół miliona wedle wartości z roku 1997) za bliżej nieokreślone usługi z zakresu public relations<sup>4</sup>.

Wiele wskazuje na to, że Rubirosa zaczął żywić niejakie obawy w związku z zamierzonym spotkaniem starego Kennedy'ego z Trujillo, bo zawiadomił o wszystkim Arthura Gardniera, mieszkającego w Palm Beach, byłego ambasadora Stanów Zjednoczonych na Kubie, który swego czasu alarmował, że Fidel Castro to komunista i za to został usunięty z placówki przez poprzednie kierownictwo Departamentu Stanu. Gardner zwołał u siebie naradę z udziałem grupy wpły-

wowych osobistości, w celu omówienia sugerowanego przez Cassiniego spotkania z Trujillo.

Po dłuższej debacie uznano, że osobisty udział Kennedy'ego seniora w tajnej misji stanowi zbyt duże ryzyko. Gdyby bowiem rzecz została upubliczniona, to uczestnictwo ojca prezydenta w przedsięwzięciu politycznym mogłoby ugodzić w interesy Stanów Zjednoczonych. Postanowiono, że w miejsce Kennedy'ego uda się niejaki Robert D. Murphy – doświadczony agent wywiadu amerykańskiego, który zasłynął ongiś w tych kręgach, działając na tajnym froncie przeciwko hitlerowskiemu Niemcom.

Zrezygnowano przy tym z koncepcji spotkania na morzu. Dlaczego – nie wiadomo. Wiadomo natomiast, że Murphy udał się do Ciudad Trujillo. Towarzyszył mu Igor Cassini, który nadal ukrywał prawdziwy charakter swoich związków z Dominikaną. Misja Murphy'ego polegała na tym, iż miał on skłonić generała Trujillo do podjęcia kroków na rzecz liberalizacji rządów, przez co zyskałby większą akceptację w Waszyngtonie. Misja jednak spełzała na niczym. Dyktatorzy, zwłaszcza tacy jak Trujillo, sprawujący władzę absolutną od trzydziestu lat, nie są skłonni do odkręcania śruby.

Wkrótce po powrocie Murphy'ego i Cassiniego do Stanów Zjednoczonych dwa ugrupowania dominikańskie, które od kilku miesięcy snuły plany likwidacji Trujillo, przystąpiły do wcielenia owych planów w życie. Czyniły to każde z osobna, nie darzyły się bowiem zaufaniem. Plan zakładał, że grupa operacyjna zamorduje generała i pokaże zwłoki grupie politycznej jako dowód, iż wywiązała się z zadania. Grupa polityczna obejmie wtedy władzę, przejmie rząd i siły zbrojne. W obu grupach uczestniczyli liczni generałowie i wysocy funkcjonariusze państwowi.

Do zamachu doszło w nocy 30 maja 1961 roku. Sygnał dał porucznik García Guerrero, zaufany oficer gwardii strzegącej siedziby Trujillo – Pałacu Narodowego. On to zawiadomił spiskowców, że dyktator udaje się właśnie samochodem do Estancia Fundación, swojej prywatnej posiadłości ziemskiej w pobliżu stolicy.

Była dwudziesta druga, gdy limuzyna generała wyjechała na szosę. Trujillo i kierowca byli oczywiście uzbrojeni. Każdy z nich miał broń osobistą, a ponadto w samochodzie znajdowały się trzy pistolety maszynowe. W pewnej chwili do limuzyny generała zbliżył się inny samochód. Rozległy się serie strzałów.

– Zatrzymaj, proszę, jestem ranny – jęknął Trujillo z tylnego siedzenia. Gdy kierowca zjechał na pobocze, dyktator kazał mu wziąć pistolet maszynowy. – Będziemy walczyć – rozkazał<sup>5</sup>.

Choć mocno krwawił z rany na plecach, siedemdziesięcioletni dyktator wyczołgał się z samochodu i zaczął się ostrzeliwać z pistoletu kaliber 38. Auto, w którym znajdowali się spiskowcy, zawróciło tymczasem. Spiskowców było czterech. Rozpoczęła się walka. Dyktator trafiony kilkoma celnymi strzałami padł bez życia twarzą do ziemi.

Gdy generał Trujillo wydawał ostatnie tchnienie, prezydent Kennedy z towarzyszącą mu okazałą świtą przebywał właśnie z wizytą państwową w Paryżu. Pierre Salinger, trzydziestosześcioletni sekretarz prasowy Białego Domu, poinformował dziennikarzy, że przywódca Dominikany został zamordowany.

Ta pozornie rutynowa wiadomość – tak przynajmniej podał ją Salinger – wzbudziła później wiele spekulacji w Waszyngtonie. W korpusie prasowym Białego Domu zadawano sobie pytanie, skąd właściwie Salinger wiedział, co się stało w Dominikanie. Agencje niczego jeszcze nie podały. Pojawiły się teorie, że w kręgu prezydenta wiadano o zamierzonym zamachu i o tym, kiedy ma on nastąpić.

Czy tak rzeczywiście było, czy nie – pozostaje tajemnicą. Tymczasem zaś z niejakim zaskoczeniem prezydent Kennedy dowiedział się, że szefem dominikańskiego rządu ogłosił się dotychczasowy marionetkowy prezydent z nadania generała, Joaquin Balageur, a dowództwo sił zbrojnych objął syn zamordowanego dyktatora – skądinąd wielce zabawowy młodzieniec – Rafael Leonidas „Ramfis” Trujillo. W Białym Domu i w CIA stawiano sobie pytanie, jaki będzie stosunek nowych przywódców Dominikany do Fidela Castro i Kuby.

Balageur był człowiekiem głębokiej wiary i żelaznych zasad moralnych. Miał też wcale imponujący życiorys. Kształcił się w kraju i w Paryżu.

Magisterium z prawa zrobił na uniwersytecie w Santo Domingo. Niski, kędzierzawy, uprzejmy, zdaniem CIA reprezentował raczej umiarkowane poglądy polityczne, co oznaczało, że zapewne będzie szukał możliwości utrzymywania stosunków i ze Stanami Zjednoczonymi, i z komunistyczną Kubą.

Nie rozwiewało to jednak niepokojów braci Kennedych. Zastanawiali się zwłaszcza nad poglądami „Ramfisa” Trujillo, w prywatnych rozmowach nie wykluczali, że może on skłaniać się ku poparciu rewolucji kubańskiej. Jako szef sił zbrojnych mógł w każdej chwili usunąć Balageura z urzędu i postawić na jego miejscu komunistę czy lewicowca.

„Ramfis” Trujillo miał dość barwną biografię, a jego przygotowanie wojskowe pozostawiało wiele do życzenia. Na zaproszenie władz amerykańskich, w 1957 roku rozpoczął studia w Command and General Staff College (Kolegium Dowodzenia i Sztabu Generalnego)

w Fort Leavenworth w stanie Kansas, dokąd trafiają jedynie najzdolniejsi i najbardziej obiecujący młodzi oficerowie armii amerykańskiej. Troskliwy ojciec wiedział, gdzie i jakie sprężyny nacisnąć, i bez większego trudu znalazł w Waszyngtonie stosownych sponsorów. Od dawna miał zwyczaj wspierania obu amerykańskich partii – demokratów i republikanów – hojnymi datkami w czasie wyborów prezydenckich, dając po sto czy nawet dwieście tysięcy dolarów. Mógł więc liczyć na wdzięczność bez względu na wynik wyborów.

Hojną ręką wspierał też kampanie wyborcze poszczególnych senatorów i kongresmanów. Nie żałował grosza na potrzeby wysokich funkcjonariuszy władzy wykonawczej. W rozmowach z zaufanym doradcą, Manuelem de Moya, kiedy to ustalał komu i ile dać, posługiwał się stosownym szyfrem.

Ponadto w Waszyngtonie interesów generała pilnowało około dwudziestu lobbystów, zarejestrowanych zresztą jako reprezentanci Dominikany i pobierających stosowne wynagrodzenie. Jednym z nich był emerytowany generał major armii Stanów Zjednoczonych. Za „promocję turystyki wyjazdowej” do Dominikany, w jednym tylko roku, dostał dwieście siedemdziesiąt tysięcy dolarów od swego dominikańskiego zleceniodawcy.

Student „Ramfis” Trujillo zadziwił kolegów i cały stan Kansas swoim stylem życia w czasie studiów. Po pierwsze wynajął w mieście dom, płacąc czterysta pięćdziesiąt dolarów (cztery i pół tysiąca w cenach z 1997 roku). Rezydencji pilnowało sześciu detektywów, nie licząc specoddziału żołnierzy dominikańskich. Z domu w Leavenworth korzystał na co dzień. W weekendy przenosił się do Kansas City, gdzie wynajął całe ostatnie piętro w hotelu Ambassador. Ochrona z Leavenworth była w stałym kontakcie z szefem w Kansas City, korzystając z pomocy krótkofalówek. W hotelu oczywiście też pozostawał pod ochroną uzbrojonych po zęby goryli, nie licząc wymyślnych urządzeń elektronicznych.

Studia w Leavenworth raczej go nudziły, jak i zresztą życie na rolniczym Środkowym Zachodzie Stanów Zjednoczonych. Wymógł więc na innym zabawowiczu – wspomnianym już Porfirio Rubirosie – ambasadorze Dominikany na Kubie, który miał stosowne kontakty w Hollywood, aby ten napisał do Zsa Zsa Gabor, iż „Ramfis” wkrótce zawita do Kalifornii i liczy na jej towarzystwo. Gwiazda nie odmówiła, przeciwnie – wielce się ucieszyła. Znana była z namiętności do bogatych znakomitości z międzynarodowego towarzystwa<sup>6</sup>.

Zsa Zsa błyskawicznie znalazła wspólny język z „Ramfitem”, od którego dostała czerwonego mercedesa, którego sprowadzono samo-

lotem z Kansas City. Kilka tygodni później równie luksusowe auto otrzymała w podarunku Kim Novak, druga z panujących ówczesnie w Hollywood boginek seksu<sup>7</sup>.

Sprawa zrobiła się głośna, gdy prasa wyniuchwała, że młody Trujillo obdarował pannę Gabor futrem z szynszylki za siedemnaście tysięcy dolarów (sto siedemdziesiąt tysięcy w cenach z 1997 roku). W Kongresie podniosły się głosy oburzenia. Żądano śledztwa w sprawie rozdysponowania kwot, jakie Dominikana otrzymywała w ramach amerykańskiego programu pomocy dla zagranicy, a otrzymywała niemało – dziesiątki milionów. Skończyło się jednak na niczym. Do żadnego śledztwa nie doszło<sup>8</sup>.

Wycieczki do Hollywood i zajęcia na ostatnim piętrze hotelu Ambasador nie przystawały do programu studiów w akademii wojskowej. Gdy więc koledzy z jego rocznika odbierali w czerwcu 1957 roku dyplomy, „Ramfis” otrzymał tylko świadectwo, że uczęszczał do akademii.

Stary Trujillo dostał furii, ale nie syn padł ofiarą ojcowskiego gniewu. Adresatem pretensji dyktatora były władze Stanów Zjednoczonych. Trujillo nie pojmował, jak to się mogło stać, że syna zlekceważono w akademii. W ciągu ostatnich pięciu lat przekazał przeciętnie około dziesięć milionów dolarów licznym wpływowym osobistościom w Waszyngtonie. Aby złagodzić nieco cierpienia synalka i podbudować jego obolałe ego, awansował trzydziestoczteroletnią pociechę do stopnia pełnego generała armii i mianował go szefem dominikańskiego Komitetu Szefów Sztabów.

Od tamtych wydarzeń minęło pięć lat, gdy z końcem roku 1961 „Ramfis” Trujillo uległ wreszcie silnym naciskom Waszyngtonu, zgodził się ustąpić z zajmowanego stanowiska i udać na emigrację, zostawiając kraj pod wyłączną władzą Joaquina Balageura. Na tym jednak sprawa się nie skończyła. Dzień po tym, jak „Ramfis” zgodził się odejść, CIA poinformowała prezydenta Kennedy'ego, że dwaj wujowie młodego Trujillo, którzy zbiegli z kraju po zabójstwie dyktatora, niespodziewanie zjawili się w Dominikanie. W tej sytuacji „Ramfis” zmienił zamiar. Postanowił zostać na miejscu.

Wydarzenia te krzyżowały plany Waszyngtonu. Przywódcy Stanów Zjednoczonych wyobrażali sobie, że pod umiarkowanymi rządami Balageura Dominikana stanie się szańcem, który powstrzyma marsz komunistów Fidela Castro w regionie. Uznano też, że „Ramfis” Trujillo z wujami szykuje zamach na rządy i osobę Balageura. W tej sytuacji Kennedy postanowił uciec się do „dyplomacji kanonierek”.

W pobliże Dominikany skierowano osiem okrętów US Navy z kontyngentem tysiąca ośmiuset marines. Flota ta krążyła tam i z powrotem tuż na granicy trzymilowego pasa wód terytorialnych, na wysokości Santo Domingo (po udanym zamachu na Trujillo przywrócono dawną nazwę stolicy) i z miasta widać ją było gołym okiem.

Trójka panów Trujillo zrozumiała ostrzeżenie. Zdali sobie sprawę, że marines dokonają desantu na każde żądanie prezydenta Balageura. To, jak również zakulisowe starania agentów CIA w republice sprawiły, że przeciwko „Ramfisowi” wystąpił wreszcie generał Pedro Rodriguez Echavarria, dowódca dominikańskich sił powietrznych. „Ramfis” nie czekał już na nic więcej. Opuścił kraj razem z wujami.

Fidel Castro pojawił się w telewizji hawańskiej, aby dać wyraz własnym poglądom na sprawę. Uznał, że trafia mu się wspaniała okazja, aby zbić kapitał propagandowy w całej Ameryce Łacińskiej. Potępił więc prezydenta Kennedy'ego i jego „bandę gangsterów” – jak się wyraził – za „brutalny akt agresji wobec miłującego pokój narodu Dominikany”<sup>9</sup>.

W połowie listopada, siedem miesięcy po klęsce w Zatoce Świń, poleciała wreszcie głowa dyrektora CIA, Allena Dullesa. Allen Dulles kierował Agencją od ośmiu lat, ale też od dłuższego czasu wiedział, że żyje na kredyt, że jego dni na stołku dyrektora są policzone, a gilotyna czeka. Nie przyjmowano go w Białym Domu, nie zapraszano na narady do Gabinetu Ovalnego.

Bracia postarali się, aby odejście Dullesa odbyło się możliwie bezboleśnie. Pozwolono mu zatrzymać opancerzony samochód służbowy wraz z kierowcą, a ostatniego dnia prezydent odznaczył go Medalem Bezpieczeństwa Narodowego i publicznie obsypał pochwałami.

Kilka dni później, 28 listopada, prezydent dokonał uroczystego otwarcia nowej siedziby Agencji w Langley w Wirginii, w obrębie wielkiego Waszyngtonu. Weterani Agencji z miejsca nadali przepastnemu budynkowi wymowne przezwisko – „Pickle Factory” (Kwaszarnia Ogórków). Tego też dnia kierownictwo CIA objął John McCone, bogaty właściciel stoczni, republikanin, od trzech lat przewodniczący Atomic Energy Commission (Komisji Energii Atomowej). Zdaniem wielu osób była to dość dziwna kandydatura na naczelnego szpiega. McCone nie miał żadnego doświadczenia, jeśli chodzi o tajne operacje<sup>10</sup>.

Miał wszakże inne zalety, a przede wszystkim wiedział, jak się poruszać po Waszyngtonie, aby nie nastąpić na polityczną minę. Jego kandydatura pojawiła się zresztą stosunkowo późno. Prezydent bowiem najpierw zaproponował stanowisko w Agencji bratu, ale Bobby

odmówił, wolał nadal działać jako „prezydent-bis”. Później rozważano kandydaturę generała Maxwella Taylora. Na koniec jednak Kennedy zdecydował się na McCone'a, uznając, że „będzie nadawał na właściwej częstotliwości”.

Dulles nie był jedyną ofiarą czystki po Zatoce Świń. Razem z nim z Agencji odszedł generał Charles Cabell. Jego miejsce zajął generał major Marshall „Pat” Carter. Szefa Połączonych Szefów Sztabów, generała Lymana Lemnitzer, który zatwierdzał plan operacji w Zatoce Świń, wysłano do Paryża na dowódcę NATO. Jego fotel w Pentagonie objął generał Maxwell Taylor. Richard Bissell, człowiek, który wymyślił całe przedsięwzięcie w zatoce, został skierowany na boczny tor, do Institute of Defense Analysis (Instytutu Analiz Obronnych). Jego z kolei miejsce jako szefa tajnych operacji CIA, zajął zastępca, czterdziestoosmioletni Richard Helms, który jako jeden z nielicznych wyszedł z klęski w zatoce bez szwanku.

Helms skończył w 1935 roku prestiżowy Williams College, zyskując szacunek wykładowców i kolegów. Ci ostatni uznali go za tego spośród swego rocznika, który zrobi największą karierę. Po dyplomie spędził dwa lata w Europie jako korespondent agencji United Press. Po powrocie z placówki zatrudnił się w dzienniku „Indianapolis Times”, w którym szybko awansował na szefa działu reklamy.

Po wybuchu II wojny światowej zgłosił się na ochotnika do Marynarki Wojennej. Otrzymał stopień oficerski, ale miejsca w marynarce długo nie zagrzał. Został zwerbowny do OSS, i to osobiście przez twórcę amerykańskiego wywiadu, legendarnego Williama J. Donovana, znanego jako „Dziki Bill”. W Biurze Służb Strategicznych zyskał opinię człowieka, który potrafi „załatwić sprawę”. Opracował i rozwinął nowoczesne techniki wywiadowcze w działaniach przeciwko III Rzeszy.

I oto, po szesnastu latach w tajnych służbach, Helmsowi przypadła kluczowa rola w tajnej wojnie przeciwko Fidelowi Castro.

## 26

### Zielone światło dla „Mangusty”

Generał Edward Lansdale, inteligentny i wielce doświadczony agent CIA, „wypożyczony” z Pentagonu przez młodszego Kennedy'ego w celu ożywienia tajnej wojny przeciwko Fidelowi Castro, w krótkim czasie sporządził szczegółowy scenariusz działań, zmierzających do obalenia Najwyższego Przywódcy. Plan Lansdale'a zakładał, że spośród kubańskich uchodźców na Florydzie zwerbują się odpowiednich ludzi, a następnie przetruci ich na wyspę z zadaniem nawiązania kontaktów w kręgach opozycji antybatistowskiej i antycastrowskiej oraz zorganizowania podziemia politycznego.

Generalnie zaś chodziło o to, aby doprowadzić do upadku komunistycznej dyktatury „od wewnątrz”. Kulminacja działań miała nastąpić 31 października 1961 roku, kiedy to powinien rozpocząć się zmasowany marsz na Hawanę. Istota pomysłu polegała na tym, aby powstało wrażenie, iż Castro został obalony przez swoich, a nie na skutek machinacji Stanów Zjednoczonych.

Pod koniec listopada 1961 roku prezydent Kennedy nie tylko dał zielone światło do rozpoczęcia realizacji planu Lansdale'a, oznaczonego kryptonimem operacja „Mangusta”, ale skierował także ściśle tajną notatkę adresowaną do czołowych funkcjonariuszy rządowych, zalecającą „wykorzystanie wszystkich dostępnych sił i środków w celu udzielenia pomocy Kubańczykom w dziele obalenia (Fidela Castro)”<sup>1</sup>.

W kręgach CIA, zajmujących się bezpośrednio problemem Kuby, także w gronie kierownictwa Pentagonu oraz na szczytach administracji Kennedy'ego słusznie oceniono, że działania w ramach operacji „Mangusta” powinny mieć raczej skromny charakter, „na mały gwizdek” – jak określa się to w żargonie wywiadowczym – a zamysł po-

legalby na tym, by Wuj Sam nie wychylał się zza kulis, a w żadnym wypadku nie pojawiał się na scenie.

Był jednak wyjątek. Bobby Kennedy, nadal odczuwający piekący ból po policzku, jaki Castro wymierzył jego bratu w Zatoce Świń, miał inne zdanie i nie zgadzał się z takim podejściem do operacji „Mangusta”. Na naradzie w Departamencie Sprawiedliwości oświadczył, że „trzeba dołożyć wszelkich wysiłków, zmobilizować wszystkie siły i środki (na rzecz realizacji planu)” i podkreślił, że operację należy traktować jako „zadanie priorytetowe”<sup>2</sup>.

Ed Lansdale ze swej strony nie miał żadnych wątpliwości, iż przypadło mu zadanie pierwszorzędnej rangi. W wywiadzie dla prasy powie, iż działał na polecenie prezydenta Kennedy'ego, przekazane mu przez pośredników. Zadanie zaś polegało na tym, aby nakreślić i zrealizować plan usunięcia Fidela Castro wszelkimi dostępnymi środkami, z zabójstwem włącznie<sup>3</sup>.

Pomysłów mu nie brakowało. Zaproponował wiele działań obliczonych na wywołanie niepokojów społecznych, a w konsekwencji rewolucji na Kubie. Jeden z pomysłów Lansdale'a polegał na wykorzystaniu uczuć i głębokich wierzeń religijnych wiejskiej ludności Kuby: miano zacząć rozsiewać pogłoski o rychłym „objawieniu się Chrystusa”. Chrystus wybrał Kubę, aby rozprawić się z szatanem, czyli Fidalem Castro. Planowano, że w noc poprzedzającą zapowiadane przybycie Mesjasza, ku wybrzeżom Kuby pospieszy amerykański okręt podwodny, wypłynie na powierzchnię i zacznie wystrzeliwać flary i sztuczne ognie, aby uprawdopodobnić i umocnić przekonanie o boskim nadejściu.

Były też inne pomysły: elementy przestępcze zachęcać do podejmowania ataków na kubańską milicję; za pomocą stosownych środków chemicznych osłabiać robotników rolnych pracujących przy zbiorach trzciny cukrowej, aby doprowadzić do upadku chwiejącą się gospodarkę kubańską; wysokich funkcjonariuszy komunistycznych skłaniać do ucieczki z wyspy.

Lansdale był od myślenia. Jego zadanie polegało na kreśleniu planów i precyzowaniu kierunków działań. Ich realizacja należała do CIA, a ściślej do nowo powołanej Grupy Specjalnej. Na jej czele miał stanąć W. Howard Hunt, ten sam, który pełnił funkcję oficera politycznego podczas operacji w Zatoce Świń. Odmówił jednak, ciągle bowiem żywił głęboki żal do prezydenta, że nie zgodził się na drugi nalot w czasie desantu w zatoce.

Drugim kandydatem na szefa Grupy Specjalnej był William Harvey. On propozycję przyjął, choć nie do końca zgadzał się z koncepcją

Lansdale'a, polegającą na zainspirowaniu przewrotu na Kubie wyłącznie za pomocą działań wewnątrz kraju. Harvey rozpoczął karierę wywiadowcy w FBI w czasie II wojny światowej. Służył w kontrwywiadzie. Wedle tego, co mówiono we wtajemniczonych kręgach w Waszyngtonie, w 1947 roku popadł w niełaszkę u Hoovera i musiał opuścić biuro. Wtedy to wstąpił do nowo powołanej Centralnej Agencji Wywiadowczej, zyskując opinię jednego z najzdolniejszych i najsukcesywniejszych oficerów operacyjnych.

Jego największym osiągnięciem był tunel berliński – podkop, dzięki któremu w latach 1955–1956 CIA mogła podsłuchiwać rozmowy telefoniczne między Moskwą a pozostającym pod radziecką okupacją Berlinem Wschodnim.

Słusznej postury, o niskim, chrapliwym głosie, Harvey był jednym z nielicznych, jeśli nie jedynym oficerem operacyjnym CIA, który stale nosił broń.

– Gdybyś znał tyle sekretów, co ja – wyjaśniał tajemniczo – też trzymałbyś pistolet pod ręką<sup>4</sup>.

W Agencji miał opinię buldoga, bo jeśli już coś chwycił, czymś się zajął, to nie popuszczał. Bez zaskoczenia i zdziwienia przyjęto w Agencji fakt, że gdy zaczął kierować operacjami przeciwko Fidelowi Castro, stworzył tajną sieć współpracowników na Kubie o kryptonimie „Amblood”. Chciał bowiem trzymać rękę na pulsie, dostarczać Agencji i braciom Kennedym pełną informację o poczynaniach Fidela Castro.

Grupa „Amblood” bazowała w pobliżu Santiago w prowincji Oriente. Na jej czele stał Luis Toroella. Kilka miesięcy wcześniej wywieziono go po cichu z wyspy, przeszkolono w jednej z tajnych baz na Florydzie i odesłano z powrotem. CIA zaopatrzyła „Amblood” w znaczne fundusze, broń, dostarczyła nawet jacht.

Kanał łączności centrali z grupą wiódł przez Quito, stolicę Ekwadoru. Pewien oficer armii ekwadorskiej, będący „na kontrakcie” miejscowej rezydentury CIA, załatwił w Santiago skrytki pocztowe na nazwiska członków „Ambloodu”. Wiadomości do Quito przekazywano oczywiście tajnopisem, stamtąd amerykańską pocztą dyplomatyczną do placówki CIA w Miami kierującej operacją „Mangusta”<sup>5</sup>.

Harvey wiązał wielkie nadzieje z „Ambloodem”. Myślał, że wokół grupy z Santiago rozwinię się podziemie polityczne obejmujące cały kraj i że w stosownym momencie właśnie z Santiago wyruszy Wielki Marsz niezadowolonych obywateli na Hawanę, na wzór i podobieństwo szturm paryżan na znieawidzoną Bastylę, symbol ucisku ludu Francji, 14 lipca 1789 roku. W pewnym jednak momencie Harvey

zaczął się niepokoić, gdyż do skrytek w Quito przestały napływać meldunki z Santiago.

Rozpaczliwe wysiłki nawiązania łączności przez radio z Luisem Toroello też skończyły się niczym. Harvey obawiał się najgorszego. Nie musiał czekać długo na potwierdzenie, bo oto Radio Hawana nadało triumfalną wiadomość, że castrowskie siły bezpieczeństwa rozbiły podziemną grupę spiskowców, „będących narzędziem w rękach imperialistów”.

Dwunastu członkom „Ambloodu” postawiono zarzut o przygotowanie zamachu na Fidela Castro. Najwyższy Przywódca miał zgiąć od pocisków z granatnika typu bazooka. Zamierzano je wystrzelić z budynku położonego naprzeciw hawańskiego Pałacu Sportu, gdy pojawi się tam Fidel, by wziąć udział w zapowiadanym wiecu. Większość sądzonych członków grupy, w tym przywódca „Ambloodu”, Luis Toroella, otrzymało wyroki śmierci. Wykonano je niezwłocznie<sup>6</sup>.

Nie zrażony tą katastrofą William Harvey zaczął przygotowywać kolejną, niezwykle śmiałą tajną operację. Planował mianowicie wysadzenie największej kubańskiej kopalni miedzi, Matahambre, w prowincji Pinar del Rio. Gdyby plan się powiódł, kopalnia zostałaby wyłączona na co najmniej rok z eksploatacji, co byłoby dotkliwym ciosem dla i tak kulejącej gospodarki kubańskiej. Realizację akcji powierzone Roberto San Románowi, bratu dowódcy Brygady 2506. „Pepe” San Román tymczasem nadal przebywał w kubańskim więzieniu.

Przygotowania i nader staranne szkolenie grupy dywersantów prowadzone na bagnistym odludziu na Florydzie, w rejonie rezerwatu przyrody Everglades. Program szkolenia oparto na wzorcach brytyjskich z czasów II wojny światowej. Dywersantów przygotowywano równie solidnie, jak brytyjskich komandosów przerzucanych przez kanał La Manche na okupowane przez hitlerowców terytoria. Sporządzono dokładne modele kopalnianych szybów, prowadzono próby z różnymi rodzajami materiałów wybuchowych, ćwiczone desant przy użyciu gumowych łodzi i powrót na statek-bazę po wykonaniu zadania. Morale było nadzwyczaj wysokie. Wybrana grupa dywersantów nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie wymierzy bolesny cios w szczękę brodacza z Hawany.

Wieczorem, dzień przed wyznaczoną akcją na kopalnię Matahambre, sześciu dywersantów pod dowództwem Roberto San Romána zamustrowało się na statek – starą łajbę – i ruszyło w kierunku Pinar del Rio. Nie odplynęły daleko. Statek nie nadawał się do żeglugi. San Román był wściekły. Dlaczego po tak starannych i pełnych trudu przygotowaniach wsadzono ich na łupinę niezdatną do niczego? Naj-

pierw wysiadła instalacja elektryczna. Po chwili posłuszeństwa odmówił jeden z silników, w chwilę potem zamilkło radio, a co gorsza, statek zaczął przeciekać.

Przez trzy dni łódź z sześcioma Kubańczykami i dwoma towarzyszami im „doradcami” amerykańskimi (jednym z nich był Grayston Lynch, pseudonim „Gray”, były uczestnik operacji w Zatoce Świń) dryfowała po morzu. Zaczęło brakować wody i żywności. Grayston z drugim Amerykaninem (znanym pod imieniem „Bob”) przesiedli się na niewielki katamaran, którego miano użyć podczas desantowania się na Kubie.

Mieli zamiar dotrzeć do Key West. Po drodze wszakże napotkali jakiś statek handlowy i wylądowali w jednym z portów w Teksasie. Udało im się jednak zawiadomić straż wybrzeża, a ta uratowała Kubańczyków dryfujących na przeciekającej łodzi, gdzieś między Florydą a Kubą.

Roberto San Román – jak sam przyznaje – był „wściekły jak diabli”. Zaraz po wylądowaniu na Florydzie wsiadł w samolot i udał się do Waszyngtonu. Wdarł się do budynku CIA. Skierowano go do pewnego wysokiego funkcjonariusza z kierownictwa operacji „Mangusta”. Ten, próbując uspokoić rozgniewanego Kubańczyka, jął zapewniać, że sprawy przybiorą lepszy obrót<sup>7</sup>.

Nie tylko San Román dostał furii na skutek zmarnowanych wysiłków. Wściekły był Bobby Kennedy, osobiście bowiem interesował się operacją. Na posiedzeniu Grupy Specjalnej w Pentagonie przyznał szczerze, że zaczyna go niecierpliwie brak konkretnych efektów operacji „Mangusta”. Marzyło mu się coś wielkiego i spektakularnego.

Z widoczną złością, bo zaciskał szczęki i spozierał zimnym jak stal wzrokiem – wszyscy wiedzieli, że to oznaka najwyższego zdenerwowania – oznajmił zebrany:

rozwiązanie problemu kubańskiego to zadanie, któremu rząd Stanów Zjednoczonych nadaje najwyższy priorytet... Nie dalej jak wczoraj prezydent powiedział mi, że ostatni rozdział jeszcze nie został napisany<sup>8</sup>.

Rodzinę Kennedych dotknął tymczasem osobisty dramat. 18 grudnia 1961 roku, podczas kąpieli słonecznej w Palm Beach na Florydzie, Joseph Kennedy senior doznał ciężkiego wylewu. Stracił mowę i nie odzyskał jej już przez pozostałych osiem lat życia. Johnowi Kennedy'emu – prezydentowi Ameryki – jako najstarszemu z synów, przypadła teraz rola głowy klanu.

A w Hawanie Fidel Castro uznał, że najwyższy już czas pozbyć się maski „nacjonalisty” i „reformatora stosunków rolnych”, którą dotąd udanie nosił i co do której skutecznie przekonał sporą część amerykańskich mediów, środowiska akademickie, administrację i Kongres. Podczas pięciogodzinnego wystąpienia telewizyjnego Najwyższy Przywódca oznajmił bez owijania w bawełnę:

Jestem marksistą-leninistą i takim pozostanę do końca swoich dni! [...] Czy pokładam wiarę w filozofię marksistowską? Tak, pokładam całkowicie. Czy wyznawałem tę filozofię 1 stycznia [1959 roku]? Tak. Czy byłem marksistą 26 lipca [1953 roku]? Tak, byłem! Czy żywię wątpliwości wobec filozofii marksistowskiej? Absolutnie żadnych!<sup>9</sup>

Przedziwny natomiast był ciąg dalszy owego „wyznania”. Mimo bowiem faktu, że „spowiedź” poszła na żywo w telewizji, w relacji na łamach „Revolución”, a więc w oficjalnym organie, pominięto fragment dotyczący komunistycznej przeszłości wodza. Moskiewska „Prawda” w ogóle niczego nie napisała, co oznacza, że na szczytach kremłowskiej władzy wyznanie Castra uznano za co najmniej nieostrożne.

Trzy tygodnie później, 7 stycznia 1962 roku, w przemówieniu na uroczystości wręczenia dyplomów milicjantom, absolwentom szkoły walki rewolucyjnej, Castro ujawnił powody, dlaczego świadomie wprowadzał swoich rodaków w błąd jeśli chodzi o sztandar, pod którym podjął walkę. Stwierdził, iż ukrywając istotę celów rewolucji, „działał wedle tradycji marksizmu-leninizmu. Gdyby bowiem naród poznał prawdę, to zapewne nigdy nie udałoby się rewolucjonistom zejść z gór (Sierra Maestra) na niziny”<sup>10</sup>.

A w Waszyngtonie i Las Vegas w tym czasie, a więc wiosną 1962 roku, znów zaczęto odgrzewać stary pomysł, polegający na tym, aby skorzystać z usług mafii w celu pozbycia się Castra. Od kilku już tygodni szef doradców prawnych CIA, Lawrence Houston, naciskał na Departament Sprawiedliwości, by umorzyć sprawę Sama „Moo Moo” Giancany. „Capo di tutti capi” miał stanąć przed sądem pod zarzutem „sprawczego kierownictwa” przestępstwa polegającego na włamaniu się do apartamentu Dana Rowana, gwiazdora telewizji w Las Vegas, w celu założenia podsłuchu. Houston udał się do Bobby'ego Kennedy'ego z wyjaśnieniem, że umorzenie sprawy ma wielkie znaczenie dla bezpieczeństwa narodowego.

Zapewniał jednocześnie, że plan likwidacji Najwyższego Przywódcy rękami mafii został „ostatecznie pogrzebany”. Houston nie wiedział bądź udawał, że nie wie, iż operacja nadal była aktualna. Od-

kurzył ją i starał się na nowo uruchomić William Harvey. Osobiście przekazał nową fiolkę trucizny Johnowi Rosellemu, przedstawicielowi Giancany w Las Vegas i Los Angeles<sup>11</sup>.

Sprawa jednak przybrała nader niezwykły obrót. Otóż dyrektor FBI, J. Edgar Hoover, zorientował się z zapisów pochodzących z podsłuchu, że prezydentowi Kennedy'emu grozi skandal, niczego bowiem nie wiedząc, wplątał się w sytuację, która połączyłaby jego osobę z mafią, a pośrednio z planem likwidacji Fidela Castro. Rzecz rozgrywała się wokół pięknej, dwudziestopięcioletniej rozwódki, Judith Campbell. Hoover ustalił, że Jackowi Kennedy'emu przedstawił ją nie kto inny jak Frank Sinatra, i że do pierwszego spotkania pięknej Judith z Kennedym doszło w hotelu Sands w Las Vegas, w czasie kampanii wyborczej.

Hoover zebrał dowody, że Judith była jednocześnie „związana uczuciowo” z dwoma mafiosami, którzy maczali palce w planie likwidacji Fidela Castro – z Samem Giancaną i Johnem Rosellim. Ustalił też, że w ciągu dwóch lat prezydentury Johna Kennedy'ego Judith kilkakrotnie zapraszana była do Białego Domu, a rozmawiała z nim telefonicznie co najmniej siedemdziesiąt razy, co łatwo było udokumentować.

22 marca 1962 roku Hoover złożył wizytę prezydentowi w Białym Domu i wtedy to, jak można się domyślać, wyłożył mu wszystkie zawiłości dotyczące CIA, Giancany, Rosellego, Judith Campbell, Sinatry i Fidela Castro. Jakie naprawdę słowa padły wtedy w Gabinetcie Ovalnym, tego nikt się już nie dowie. Wiadomo jednak, że po spotkaniu z Hooverem kruczowłosa, piękna Judith nie telefonowała więcej do Kennedy'ego. Ktoś musiał jej poradzić, że zabawa w kotka i myszkę z udziałem prezydenta Stanów Zjednoczonych dobiegła kresu.

Nie był to jedyny zerwany kontakt. Tak się składało, że nazajutrz po tajemniczej rozmowie z Hooverem prezydent miał się udać na weekend do Kalifornii, gdzie miał być gościem swego starego przyjaciela, Franka Sinatry. Sinatra solidnie i od dawna szykował się do tej wizyty. Między innymi kazał w swojej posiadłości wybudować ładowisko dla śmigłowców, postarał się też o przygotowanie stosownych linii telefonicznych na użytek prezydenta i jego orszaku oraz powiększył swoją rezydencję o dwa spore pokoje gościnne<sup>12</sup>.

Tymczasem tuż przed odlotem z Waszyngtonu, w ostatniej dosłownie chwili, prezydent zadzwonił do swego szwagra, Petera Lawforda, z wiadomością, że „nie może odwiedzić Sinatry”. Lawford też należał do hollywoodzkich znakomitości i przyjaźnił się z Sinatrą. – Wiesz, że lubię Franka – usłyszał od prezydenta – ale nie mogę się

zatrzymać u niego teraz, gdy Bobby prowadzi śledztwo (w sprawie Giancany)<sup>13</sup>.

Sinatra czuł się wielce dotknięty. Skarżył się później Angie Dickinson – też wybitnej postaci Hollywood (i ponoć zaprzyjaźnionej dość blisko, choć krótko i dyskretnie z prezydentem) – że prezydent „mógł przecież zatelefonować i powiedzieć, że chodzi o sprawy polityczne, i że z tego względu nie może się ze mną pokazać. Przecież zrozumiałbym”<sup>14</sup>.

Być może, ale Sinatra nie pojmował, iż jego telefon mógł być na podsłuchu w związku z kampanią FBI przeciwko zorganizowanej przestępczości. Znacznie bardziej doświadczony i nawykły do poruszania się po waszyngtońskim polu minowym Kennedy słusznie wybrał pośrednika w osobie Petera Lawforda.

Rozczarowanie i żale Sinatry to jeszcze nic w porównaniu z oburzeniem Giancany. Do żywego dotknęła go otwarta i bezpardonowa inwigilacja ze strony FBI. Agenci dosłownie deptali mu po piętach. Gdy grał w golfa, czwórka agentów FBI też wychodziła na to samo pole z kijami. Zdruzgotany Giancana udał się wreszcie po pomoc do sądu i uzyskał ją, choć tylko w niewielkim zakresie. Sędzia postanowił jedynie, że agenci FBI muszą dawać Giancanie cztery golfowe dołki forów.

A na Kubie, 29 marca 1962 roku, tysiąc dwustu uczestników nie-szczęsnej Brygady 2506 wypędzono z zatęchłych cel na dziedzińcu wiekowej Cytadeli, aby odbyć nad nimi formalny sąd. Usadzono ich ciasnymi rzędami na drewnianych ławkach, w pełnym słońcu, bez jedzenia i picia. Za murami pięćset kobiet na klęczkach modliło się za swoich bliskich.

Castro urządził pokazówkę. Wokół dziedzińca i na więziennych murach ustawiono kamery telewizyjne. Miały rejestrować deklaracje więźniów, potępiające Amerykę i Kennedy'ego. Jednak tylko dwóch spośród tysiąca dwustu odegrało przypisaną im rolę.

W przemówieniach wstępnych prokurator i „obrońca” prześcigali się w kreśleniu zarzutów wobec oskarżonych i Kennedy'ego. Prokurator nie szczędził takich epitetów, jak „zdrajcy narodu”, „bezpośredni wykonawcy” agresji w Zatoce Świń, „mściciele”, „podżegacze”, „agresorzy”.

– Co się tyczy innych podżegaczy amerykańskiego imperializmu i amerykańskiego prezydenta Kennedy'ego, który zresztą przyznał się do tej niesłychanej zbrodni, to nie staną oni tu, przed tym sądem – oświadczył prokurator – ale sądu nie unikną. Kennedy stanie bo-

wiem przed sądem narodów świata, który wymierzy mu karę, na jaką zasługuje.

Antonio Cejas, niby-obrońca, przemawiał przez blisko półtorej godziny. Swoich „klientów” określił mianem zdrajców i tchórzy. Obszernie cytował fragmenty z przemówień Fidela Castro, kończąc zdaniem, że „wina oskarżonych została szeroko i przekonująco udowodniona”.

Widowisko trwało cztery dni, po czym sąd udał się na naradę, aby zatwierdzić przygotowany od dawna wyrok.

Cztery dni później Fidel Castro zjawił się w celi, w której trzymał dowódcę Brygady 2506, „Pepe” San Romána. Przybył, aby osobiście ogłosić mu wyrok trybunału.

– Na dowód, że naprawdę jesteśmy szlachetni, nie pošlemy was na śmierć – rzekł, głaszcząc się po brodzie, jak zawsze, gdy oznajmiał coś historycznego – dostaniecie po trzydzieści lat więzienia.

Dodał też, że będzie żądał sześćdziesięciu dwóch milionów dolarów okupu za ewentualne uwolnienie członków brygady.

Gdy wiadomość o wyroku dotarła do Miami, Roberto San Román pospieszył do Waszyngtonu na rozmowę z Bobbym Kennedym. Prokurator generalny Stanów Zjednoczonych wyraził stosowne do okoliczności współczucie, ale podkreślił, że obowiązujące prawo zabrania rządowi Stanów Zjednoczonych złożenia okupu obcej jednostce prawnej. Poradził powołanie społecznego komitetu, który rozpocząłby zbieranie potrzebnej kwoty.

– Łatwe to nie będzie – ostrzegł, bijąc wszelkie rekordy niedopowiedzenia.

## Napięcie w Waszyngtonie

Wczesnym rankiem, 14 kwietnia 1962 roku, tłumy kubańskich uchodźców zaczęły gromadzić się w międzynarodowym porcie lotniczym w Miami. Mijał dokładnie rok od momentu, kiedy Brygada 2506 wyruszyła z Nikaragui ku Zatoce Świń. Po południu na lotnisku było już dwadzieścia tysięcy ludzi. Stali w palącym słońcu, spoglądając w niebo.

Nie bez powodu, Fidel Castro bowiem, wykonując kolejny ruch na strategicznej szachownicy, zgodził się uwolnić pięćdziesięciu poważnie rannych spośród jeńców wziętych w Zatoce Świń. Dawał w ten sposób dowód, że gotów jest wydać wszystkich członków nieszczęsnej brygady, jeśli tylko otrzyma żądane sześćdziesiąt dwa miliony dolarów okupu. Wskazał już nawet bank w Kanadzie, w którym pieniądze mają być złożone.

Gdy na niebie pojawiła się wielka maszyna pasażerska, na lotnisku zaszumiało. Samolot zatoczył krąg i podszedł do lądowania. Ze schodów kolejno zaczęli schodzić jeńcy. Większość w bandażach. Wielu okaleczonych – bez nogi, bez ręki, z uszkodzonym wzrokiem. Kilku trzeba było wynieść na noszach, ale i tak nad lotniskiem zabrzmiały okrzyki radości, a echo poniosło gwar daleko po horyzont.

Za radą Bobby'ego, w środowiskach emigracyjnych na Florydzie i w Nowym Jorku powołano Komitet Rodzin Kubańskich. Z pozoru był to oddolny ruch społeczny, a konieczny fundusz miał powstać z darów osób prywatnych i rozmaitych instytucji. W rzeczywistości jednak przedsięwzięcie miało całkiem inny charakter, stały za nim władze, a drogę torował niezłomny prokurator generalny.

Za jego to sugestią komitet zwrócił się do znanego adwokata, Jamesa G. Donovana, z kancelarii prawnej „Watters & Donovan”, mającej oddziały w Nowym Jorku i Waszyngtonie, o rozpoczęcie rokowań z Fidellem Castro w sprawie uwolnienia jeńców wziętych w zatoce<sup>1</sup>.

Lepszego wyboru nie można było uczynić. Jim Donovan nadawał się do prowadzenia sprawy wręcz idealnie. Miał doświadczenie. Od czasu studiów, a skończył prawo na Uniwersytecie Harvarda, brał udział w rozmaitych sekretnych przedsięwzięciach w służbie państwowej. W czasie II wojny światowej związany był najpierw z tajną agendą rządową powołaną do wyprodukowania bomby atomowej, a później został funkcjonariuszem Biura Służb Strategicznych – OSS. W 1960 roku prowadził negocjacje z Moskwą w sprawie zwolnienia Gary Powersa, pilota zestrzelonego nad Swierdłowskiem samolotu szpiegowskiego U-2.

Tymczasem przy okazji zakulisowych rozmów Donovana z Havaną CIA postanowiła upiec własną pieczeń. Ktoś w Agencji wymyślił, żeby Donovan dał Fidelowi Castro prezent w postaci aparatu i kostiumu płetwonurka. Kombinezon zamierzano zarazić bakteriami gruźlicy, a ponadto nasycić wewnątrz środkiem wywołującym poważną grzybicę skóry. Plan jednak spełził na niczym. Donovan nic bowiem nie wiedział o zamiarach Agencji związanych z osobą Najwyższego Przywódcy i, owszem, podarował mu ekwipunek płetwonurka, ale całkiem zwyczajny.

Choć za sprawą CIA wielu kubańskich uchodźców zapłaciło życiem za operację w Zatoce Świń, a jeszcze więcej trafiło do więzień na wyspie, ochotników do podejmowania kolejnych misji dywersyjnych i szpiegowskich w służbie CIA nie brakowało. W środowiskach emigranckich żywiono bowiem głębokie przekonanie, że Fidela Castro można unieszkodliwić wyłącznie przy dyskretnej pomocy ze strony Stanów Zjednoczonych, a niejeden z uchodźców gotów był podjąć każde ryzyko, aby tylko wymierzyć dotkliwy cios komunistom w nieszczęsnej ojczyźnie.

W efekcie JM WAVE – delegatura CIA w Miami – znów się rozrosła, stając się największą placówką Agencji na świecie. Światowych rozmiarów nabrały też działania Agencji przeciwko Fidelowi Castro. Do Europy słano agentów z zadaniem sabotowania transportów morskich na Kubę. Armatorów namawiano, aby nie przewozili kubańskich towarów, ładunki zaś przeznaczone dla Kuby, wysyłane z Europy czy Dalekiego Wschodu, starano się uszkadzać. Do paliw i sma-

rów wlewano specjalne, trudno wykrywalne środki chemiczne. Sprawiały one, że sprzęt na Kubie ulegał licznym awariom.

Jeden z wysokich funkcjonariuszy JM WAVE przyznał później:

Była to zaplanowana kampania, wymierzona w gospodarkę kubańską. Bywało, że kontaktowaliśmy się z producentem konkretnego urządzenia czy towaru przeznaczonego dla odbiorców na Kubie, próbując nakłonić go, by sam coś zrobił. Gdy odmawiał, wtedy do roboty przystępowali nasi ludzie i za pomocą najnowszych środków dokonywali aktów sabotażu, choćby w czasie transportu ładunków na Kubę<sup>2</sup>.

Jeden ze spektakularnych sukcesów JM WAVE wiązał się z... łożyskami kulkowymi zamówionymi przez Kubę w Republice Federalnej Niemiec. CIA wywarła nacisk na producenta we Frankfurcie nad Menem i cała zamówiona partia, a było tego sporo, została wykonana wadliwie – łożyska nieznacznie zdecentrowano, na tyle wszakże skutecznie, że nie nadawały się do niczego. Podobnie udało się „załatwić”, tym razem u francuskiego producenta z Lyonu, sporą partię kół zębatach do skrzyń przekładniowych. Wyprodukowano koła nie wyważone.

Kosztowało to sporo. Wytwórnia musiała przygotować specjalne formy na wadliwe odlewy, ale pieniądze nie stanowiły żadnego problemu dla JM WAVE, zwłaszcza że Jack i Bobby Kennedy z entuzjazmem odnosili się do wszelkich pomysłów, idei i przedsięwzięć, mających na celu detronizację Fidela.

Agentom JM WAVE udało się także wprowadzić „ulepszenia” do partii autobusów wyprodukowanych w Wielkiej Brytanii na zamówienie Kuby. Wozy prezentowały się wspaniale, ale ciągle ulegały dziwnym awariom, co fatalnie wpłynęło na wizerunek Najwyższego Przywódcy w oczach wielu Kubańczyków. Skoro nie potrafi kupić porządnych autobusów, to nie nadaje się do niczego.

Tuż po zmierzchu, 24 sierpnia 1962 roku, od jednej z wysepek tworzących Florida Keys, odbiła dziesięciometrowa łódź motorowa *Juanin*. Wzięła kurs na Hawanę. Załogę stanowiło sześciu uchodźców kubańskich pod komendą Carlosa „Batea” Hernandeza, który ledwie tydzień wcześniej wrócił z Helsinek, gdzie wykonywał pewną tajną misję. Z rozkazu CIA próbował zerwać międzynarodowy zlot młodzieży – komunistyczną imprezę, sponsorowaną przez Moskwę.

Na pokładzie *Juanina* znajdował się spory arsenał – dwa ciężkie karabiny maszynowe, działko bezodrzutowe i haubica. Wszystko to nabyto w Miami od handlarzy związanych z mafią. Załoga łodzi podjęła się niebezpiecznej misji – miała wpłynąć do portu w Hawanie

i ostrzelać hotel *Blanquita*, położony tuż nad morzem w eleganckiej dzielnicy *Miramar*. Był piątek, a właśnie w piątki, co tydzień, w tymże hotelu odbywały się huczne przyjęcia z udziałem licznych oficerów radzieckich przebywających na Kubie. Przychodzili z żonami, a co poniektórzy z kubańskimi przyjaciółkami.

Pod rozgwieżdżonym niebem, tuż przed północą, *Juanin* wpłynął na wody *Hawana Harbor* [portu hawańskiego] i skierował się w stronę *Miramar*, którego luksusowe rezydencje i hotele połyskiwały z daleka feerią światła. Po prawej widać było szare kamienne mury zamku *Morro*, zbudowanego przez Hiszpanów jeszcze w XVI wieku, by strzegł wejścia do portu.

Przebywający na pokładzie mieli nerwy napięte do ostateczności. Wszyscy wypatrywali w mroku kubańskich kutrów patrolowych. Stale przemierzały one wody zatoki i port, bo przecież Najwyższy Przywódca ostrzegał, że „podżegacz wojenny z Waszyngtonu” szykuje siły do zbrojnej inwazji na wyspę. Spotkanie z kubańskim okrętem patrolowym oznaczało dla załogi *Juanina* tortury i śmierć.

I stało się. Z ciemności dobiegł głuchy warkot motorów potężnego ścigacza. Hernandez dał znak, na *Juaninie* wyłączono silniki. Łódź dryfowała bezwolnie, a złowieszczy warkot był coraz bliżej. Już widać było groźną sylwetę na tle granatowego nieba. Na *Juaninie* wszyscy wstrzymali oddech. Okręt podszedł bliżej. Widać było światła na pokładzie. Szedł prosto na łódź Hernandeza. Gdy wydawało się, że to już koniec, kubańska jednostka nagle, nie wiedzieć dlaczego, zawróciła i po chwili zniknęła w mroku nocy.

Szóstka na pokładzie *Juanina* odetchnęła z ulgą. Włączono silniki i po chwili łódź dotarła do celu. Z dwustu metrów, przez lornetkę, jak na dłoni widać było radzieckich wojskowych balujących na tarasie *Blanquita*.

Hernandez dał znak i w nocną ciszę wdarł się ogluszający huk. Serie pocisków pomknęły w stronę hotelu. Posypał się tynk, strzaskane szyby z łoskotem spadały na ziemię. Hernandez nie odejmował szkieł od oczu. Widział, jak towarzystwo rozbiega się w panice, szukając ratunku. Kanonada trwała pięć minut, po czym na pełnych obrotach *Juanin* popędził ku wyjściu z zatoki i dalej, ku Florydzie.

Strzały wyrwały ze snu większość z miliona trzystu tysięcy mieszkańców Hawany. Wielu uznało, że zaczyna się jankeska inwazja. W mieście wybuchł chaos. Członkowie milicji wyskakiwali z łóżek, wciągali w panice mundury, chwyтали za broń i biegli na wyznaczone postęunki. Jak za dotknięciem różdżki opustoszały bary i lokale. Zawyły syreny. Reflektory przeciwlotnicze przeczesywały niebo w poszukiwa-

niu nie istniejących amerykańskich samolotów. Na całej wyspie wojsko postawiono w stan alarmu. W samolotach bojowych zapuszczano silniki.

Choć nie było ofiar – nikt bowiem nie zginął, ani nawet nie został ranny w wyniku akcji na hotel Blanquita – Castro doznał prestiżowej porażki. Szalał ze złości. „Revolución” poświęciła całą pierwszą stronę na protesty i artykuły potępiające incydent. Castro określił akcję na hotel mianem „zdradzieckiego i tchórzliwego czynu”, oświadczając zarazem, że „odpowiedzialność za akt terroryzmu spada na rząd Stanów Zjednoczonych i gangstera (prezydenta) Kennedy’ego”<sup>3</sup>.

Castro podniósł taki wrzask i na taką skalę, że marginalny w istocie incydent awansował do wiadomości z pierwszych stron gazet, którą zamieszczono na czołówkach. Londyński, komunistyczny „Daily Worker” dał wielki tytuł *US Warships bombard Havana – Amerykańskie okręty wojenne bombardują Hawanę* i podkreślał na wstępie: „Liczne ofiary wśród ludności cywilnej”.

A w Moskwie tymczasem Nikita Chruszczow milczał jak zaklęty. I trudno się dziwić. Od dawna zaprzeczał, jakoby radzieccy oficerowie i wojska przebywały na Kubie.

Natomiast w Waszyngtonie, rzecznik Białego Domu dał wyraz stosownemu oburzeniu w związku z ostrzelaniem hotelu, wyrażając zarazem przypuszczenie, iż sprawcami incydentu byli uchodźcy z Kuby, działający na własną rękę<sup>4</sup>.

Wielki Bill Harvey zaczął się poważnie niepokoić. Miał czym. Agenci, których udało mu się przerzucić na Kubę, nadsyłałi naprawdę alarmujące wiadomości. Zaczęło się w lipcu, ale także przez sporą część sierpnia nadchodziły meldunki, że Rosjanie wybudowali, bądź kończą budować, piętnaście baz raketowych na wyspie. Meldowano także, że na Kubie przebywa około pięciu tysięcy radzieckich techników wojskowych. Tymczasem w Waszyngtonie nie chciano dawać tym meldunkom wiary. Uważano, że źródła są niepewne, że agenci Harveya nie mają wystarczającego przygotowania, aby ocenić sytuację. Twierdzono, że to, co ewentualnie mogli oni zobaczyć, to rakiety przeciwlotnicze SAM (ziemia – powietrze) i że chodzi o system obronny, jaki Castro zbudował już jakiś czas temu.

Ale nie wszyscy tak uważali. Dyrektor CIA, John McCone, po zapoznaniu się z meldunkami szpiegów Harveya, uznał, że są powody do niepokoju. 22 sierpnia udał się więc do Białego Domu z informacją, że na Kubie dzieje się „coś nowego i coś zgoła innego niż dotychczas”. Przyznawał jednocześnie, że nie ma materialnych dowodów na po-

parcie tej tezy. Dodał jednak – co nie było zbyt zręczne – że „niewykluczone, że senator Keating ma rację”.

Na dźwięk nazwiska senatora z Nowego Jorku prezydent Kennedy wyraźnie się zirytował. Keating był republikaninem, konserwatystą, wielce krytycznym wobec liberalnodemokratycznego prezydenta, a od pewnego czasu alarmował, że na Kubie znajdują się radzieckie rakiety. Kennedy nie szczędził wysiłków, aby wykazać, że polityk z konkurencyjnej partii nie ma racji. Odwoływał się do wyników lotów wywiadowczych maszyn U-2. Na zdjęciach lotniczych nie stwierdzano niczego.

Niemniej jednak nasilono działania wywiadu wojskowego i cywilnego przeciwko Kubie i wreszcie, 10 października, na zdjęciach lotniczych, wykonanych przez majora Rudolfa Andersona, z pokładu maszyny U-2 lecącej na pułapie dwudziestu jeden kilometrów, odkryto wielce niepokojące szczegóły: nowe drogi wycięte w lasach na odludziu oraz całe miasteczka namiotów w radzieckim stylu, w odległych zakątkach wyspy.

Cztery następnne dni ciągnęły się bez końca. Nad Karaibami szalał huragan Ella, samoloty nie startowały, a Waszyngton czekał w najwyższym napięciu, czy podejrzenia się sprawdzą. Gdy 14 października pogoda nad wyspą wreszcie się ustabilizowała, wysłano myśliwce wojskowe. Z niskiego pułapu wykonały tysiące nowych zdjęć. To, co na nich odkryto, rozwiało ostatnie wątpliwości. Tuż pod bokiem Stanów Zjednoczonych, z dnia na dzień, powstał wielki kompleks raketowy.

Oczom specjalistów ukazał się obraz około czterdziestu wyrzutni rakiet średniego zasięgu. Na wielu z nich widać było rakiety gotowe do odpalenia, wymierzone w stronę Stanów Zjednoczonych. Oceniono, że rakiety mają zasięg dwóch tysięcy kilometrów i mogą przenosić głowice o mocy jednej megaton, a więc pięćdziesiąt razy potężniejsze, niż bomba zrzucona na Hiroszimę. Groźba zniszczenia zawisała nad Nowym Orleanem, Houston, St. Louis, Waszyngtonem i wielu innymi miastami.

Naliczono w sumie dziesięć baz, rozlokowanych wzdłuż północnego wybrzeża Kuby i na jej zachodnim cyplu. Ale to nie wszystko. Odkryto bowiem sześć innych baz w końcowym stadium budowy, przeznaczonych dla rakiet o zasięgu czterech tysięcy kilometrów i mocy pięciu megaton. Te mogłyby obrócić w perzynę dosłownie wszystkie miasta na całym terytorium Ameryki, od Atlantyku po Pacyfik. Ze zdjęć wynikało też, że Rosjanom udało się niepostrzeżenie wwieźć na Kubę co najmniej dwadzieścia pięć dwusilnikowych bombowców typu B-28, zdolnych do przenoszenia bomb jądrowych.

Z tymi wiadomościami 16 października o czwartej nad ranem zadzwoniono do dyrektora CIA, Johna McCone’a, do Seattle. Przebywał tam w związku z pogrzebem swego pasierba. Alarmujące infor-

macje wyrwały go ze snu. Kazał natychmiast przedstawić zdjęcia do wglądu prezydentowi.

Szykując specjalną teczkę dla prezydenta, zawiadomiono jeszcze o sprawie jego doradcę do spraw bezpieczeństwa narodowego, George'a McBundy'ego. Ten natychmiast pospieszył do prywatnych pokoi Kennedy'ego na drugim piętrze Białego Domu. Prezydent właśnie kończył śniadanie. Bundy w skrócie przedstawił alarmujące wieści.

Potwierdzające zdjęcia lotnicze John Kennedy obejrzał wespół do jedenastej. Natychmiast też powołał specjalny zespół kryzysowy, który wkrótce otrzymał nazwę Executive Committee of the National Security Council, w skrócie – ExCom (Komitet Wykonawczy Rady Bezpieczeństwa Narodowego). W jego skład weszli Bobby i dziesięciu najbliższych i najbardziej zaufanych współpracowników prezydenta.

Jeszcze przed ukonstytuowaniem ExComu prezydent przez Bobby'ego dał do zrozumienia kierownikom operacji „Mangusta”, że nie jest usatysfakcjonowany dotychczasowymi wynikami, a w istocie brakiem jakichkolwiek wyników działań. Bobby podkreślił, iż żąda natychmiastowego nasilenia kampanii przeciwko Fidelowi i zapowiedział, że odtąd codziennie będzie się spotykał z kierownictwem operacji<sup>5</sup>.

Pierwsze posiedzenie ExComu odbyło się jeszcze tego samego dnia, po południu. Przewodniczył prezydent. Wysłuchano szczegółowej informacji o wydarzeniach na Kubie. Jack był przekonany, że Chruszczow postanowił poddać go próbie, sprawdzić, czy podejmie zdecydowane działania. Uznał też, że na prowokację trzeba odpowiedzieć siłą. Prezydent był „ogromnie spięty i bardzo konkretny” – wspomina jeden z uczestników posiedzenia ExComu<sup>6</sup>.

Najważniejszy był czas, a ten biegł szybko. Oceniano bowiem, że w ciągu dwóch najbliższych tygodni sowieckie instalacje rakietowe osiągną stadium operacyjne. Prezydent zarządził przeprowadzenie kolejnych lotów wywiadowczych maszyn U-2 nad Kubą. Po zamknięciu posiedzenia, w rozmowie z Bobbym zapowiedział, że wstrzymuje na razie swój osobisty udział w naradach ExComu, aby uczestnicy komitetu nie czuli się skrępowani jego obecnością, wypowiadając swoje opinie. Powiedział też, że tak, jak planowano, będzie się udzielał w kampanii wyborczej do Kongresu na rzecz faworyzowanych przez siebie kandydatów. Chodziło o to, aby na zewnątrz stworzyć wrażenie, że sprawy biegną zwykłym trybem i nie ma powodów do niepokoju.

Do końca tygodnia ExCom spotykał się codziennie. Śledzono sytuację, rozważano możliwe posunięcia. Dyskutowano, rozmawiano, wymieniano poglądy. Pod nieobecność prezydenta, który podróżował po wyborczych szlakach, narady prowadził Bobby. Skłaniał się raczej

ku „jastrzębiom”. Uważał na przykład, że należałoby wyszukać bądź stworzyć stosowny pretekst do bezpośredniej amerykańskiej interwencji na Kubie. Takim pretekstem mógłby być – powiedzmy – sztucznie wywołany kryzys wokół bazy na Guantanamo, bądź „atak” na amerykański statek lub okręt.

Trzydziestosiemioletni Bobby – znacznie młodszy i znacznie mniej doświadczony od większości pozostałych uczestników ExComu – był bez wątplenia lokomotywą całego zespołu. Tryskał energią. Zadawał ostre, niemal bezczelne – zdaniem niektórych uczestników – pytania, zmuszał adwersarzy do przedstawiania argumentów i obrony swoich tez. „Zachowywał się jak słoń w składzie porcelany” – komentował później ambasador Adlai Stevenson, który ciągle jeszcze żywił pretensje do Kennedych, że nie ujawnili przed nim planów operacji w Zatoce Świń<sup>7</sup>.

„Zdawaliśmy sobie sprawę, że junior (Bobby) pilnie słucha i zapamiętuje, co każdy z nas mówi i jakie zajmuje stanowisko” – wspomina inny z uczestników narad ExComu<sup>8</sup>.

Na jednym z posiedzeń doszło do ostrego kryzysu, gdy pojawiła się propozycja, aby zlikwidować zagrożenie, bombardując bazy rakietowe z powietrza. Ze zdecydowanym sprzeciwem wystąpił podsekretarz stanu, George Ball. Argumentował, że taki krok, nie zapowiadany atak, stanowić będzie naruszenie tradycji i uświęconych amerykańskich zasad postępowania.

Bobby zareagował ostro. Nawiązując do japońskiego ataku na Pearl Harbor, uciął nie bez irytacji: – Mój brat nie zamierza zostać amerykańskim Tojo lat sześćdziesiątych!<sup>\*</sup>

Z polemiką wystąpił Dean Acheson, sekretarz stanu za prezydentury Harry Trumana, architekt trumanowskiej polityki zimnej wojny. Wysoki, przystojny, sześćdziesięciodziewięcioletni wówczas polityk z charakterystycznym wąsem, umiał przemawiać równie ostro jak Bobby. Przypomniawszy, że doktryna Monroe'a stawia sprawę jasno: Stany Zjednoczone nie pozwalają na żadną ingerencję w sprawy zachodniej półkuli ze strony jakiegokolwiek mocarstwa europejskiego<sup>9</sup>.

Między adwersarzami – a obaj byli ludźmi silnego charakteru – doszło do słownego pojedynku. Nie został on jednak tego dnia rozstrzygnięty, a zresztą ostateczna decyzja i tak należała do prezydenta, a ten skłoniłby się raczej ku opinii brata.

<sup>\*</sup> Generał Hideki Tojo, premier Japonii w latach 1941–1944, ponosił odpowiedzialność za atak na Pearl Harbor. Za zbrodnie wojenne został skazany na karę śmierci w 1948 roku przez Międzynarodowy Trybunał Wojskowy dla Dalekiego Wschodu (w Tokio) i stracony [przyp. tłum.].

W sobotę, 20 października, prezydent wrócił z podróży wyborczej do Waszyngtonu i zjawił się na posiedzeniu ExComu. Narada trwała długo, nie była łatwa. Prezydentowi przedstawiono alternatywę: morską blokadę Kuby, albo atak z powietrza, po którym niemal na pewno musi dojść do inwazji sił lądowych na wyspę. Atmosfera była gorąca, emocje ogromne. Adlai Stevenson odrzucał obie koncepcje. Doradzał, aby szukać możliwości rozwiązania kryzysu na drodze dyplomatycznej. Sugerował usilnie, aby prezydent rozważył możliwość zlikwidowania bazy na Guantanamo, tak jak tego żądał Fidel Castro, w ramach szerszego planu obejmującego demilitaryzację Kuby. Jednocześnie Kuba miałaby ogłosić neutralność i otrzymać wszelkie gwarancje integralności terytorialnej. Stevenson argumentował, że baza na Guantanamo ma niewielką wartość strategiczną. Przeciwno tej tezie ostro wystąpili przedstawiciele sił zbrojnych.

Jack Kennedy odrzucił plan Stevensona. Stewart Alsop, wpływowy ówczesny publicysta, wielki zwolennik Kennedy'ego, napisze później o propozycji ambasadora (nawiązując do niesławnego Układu Monachijskiego w sprawie Czechosłowacji w roku 1938), że jej podjęcie oznaczałoby „Monachijski ukłon w stronę Chruszczowa”<sup>10</sup>.

Bobby'ego wyraźnie złościła konsyliacyjna propozycja Stevensona dogadania się z Chruszczowem. – (Adlai) jest stanowczo za miękki – rzekł do brata po posiedzeniu – aby nas reprezentować w ONZ w takiej chwili. Dlaczego go nie zdjąć i nie postawić na jego miejscu kogoś takiego jak John McCloy?<sup>11</sup>

McCloy był republikaninem twardych przekonań i takiegoż charakteru. Należał do wpływowych postaci w ówczesnym Waszyngtonie i miał doświadczenie w sprawach międzynarodowych. Stosując się do rady brata, Jack odwołał go z placówki w Europie i posłał do ONZ, aby – jak powiedział – „usztynić Stevensona”.

Przez cały tydzień Kubę trzymano pod lotniczą lupą. Myśliwce Marynarki Wojennej patrolowały wybrzeża z niskiego pułapu, a z wysoka wydarzeniom na wyspie przyglądały się kamery samolotów U-2 i RB-47. Liczył się każdy dzień, bo każdego dnia przybywało wyrzutni.

W „Kwaszarni” w Langley i w centrach wywiadowczych w Pentagonie z trwożnym podziwem śledzono skalę i tempo rozbudowy baz. Oceniano, że Moskwa musiała się przygotowywać do tego posunięcia od lat i że wydała na to co najmniej miliard dolarów.

## 28

### „Krew zmroziło nam w żyłach”

Dlaczego – zastanawiał się prezydent w tych pełnych napięcia dniach – Rosjanie zdecydowali się poświęcić tak wiele czasu i środków na budowę arsenału raketowego na Kubie. Mieli przecież – o czym prezydent doskonale wiedział – potężne rakiety międzykontynentalne u siebie, na terytorium Związku Radzieckiego, wszystkie wycelowane w Amerykę. Po co więc rakiety na Kubie? Odpowiedź podsunął Charles „Chip” Bohlen, były ambasador Stanów Zjednoczonych w Moskwie. A zawierała się ona w porzekadle Lenina, które Chruszczow chętnie przytaczał przy rozmaitych okazjach: „Gdy bagnet nie trafia na opór, dźga się dalej, gdy jednak trafi na stal, to się cofa”.

Właśnie – myślał Kennedy – Chruszczow szermuje raketami jak bagnetem z przypowieści Lenina. Stawia Amerykę przed faktem dokonanym i baczy, co też Waszyngton zrobi – okaże się miękki czy twardy jak stal, przed którą trzeba się cofnąć. Słaba, czy wręcz bojaźliwa reakcja – uznał prezydent – może tylko ośmielić Chruszczowa. Zechce pójść dalej, zacznie zatykać komunistyczne sztandary w kluczowych miejscach w Europie i gdzie indziej.

Dokładnie tego samego dnia, kiedy Kennedy po raz pierwszy zobaczył zdjęcia lotnicze przedstawiające rakiety na Kubie, Chruszczow odbył długą, trzygodzinną rozmowę z amerykańskim ambasadorem w Moskwie, Foyem D. Kohlerem. Broń przekazana Fidelowi – przekonywał korpulentny szef Kremla – to oczywiście uzbrojenie obronne. Podobne zapewnienie złożył radziecki minister spraw zagranicznych, Andriej Gromyko, gdy dwa dni później przybył z wizytą do Białego Domu.

Ponura komedia, odegrana przez moskiewskich weteranów zimnej wojny, ostatecznie przekonała prezydenta, iż przywódcy radzieccy se-

rio potraktowali porzekadło Lenina i jeśli nie trafią na opór, nadal będą „kłuć bagnetem”. Kennedy uznał, że do tego nie wolno dopuścić. Bagnet musi trafić na stal.

Trzeba więc działać zdecydowanie, ale ostrożnie – myślał prezydent, rozważając wnioski ExComu. Chruszczow bywa nieobliczalny, trzeba więc działać rozważnie, aby rozgorączkowany przeciwnik nie pchnął świata ku katastrofie nuklearnej. Dlatego też trzeba, przynajmniej na razie, odrzucić propozycje zbombardowania baz rakietowych i koncepcje inwazji na Kubę. Prezydent przystał natomiast na ogłoszenie „kwarantanny”. Kuba zostanie otoczona kordonem amerykańskich okrętów wojennych, których zadaniem będzie przechwycenie i zatrzymanie radzieckich statków wiozących broń na Kubę. Taki krok powinien dać Chruszczowowi do myślenia, a nawet skłonić go do cofnięcia bagnetu. Gdyby jednak kwarantanna zawiodła, inwazja wydaje się nieunikniona.)

Ciężar realizacji planu kwarantanny spadł na barki pięćdziesięcioletniego admirała George'a W. Andersona jr., szefa operacji morskich, czyli naczelnego dowódcy Marynarki Wojennej, który niedawno zastąpił na tym stanowisku Arleigha Burke'a. W czasie II wojny światowej Anderson brał udział w ciężkich walkach na Pacyfiku. Służył w lotnictwie morskim. Był pilotem na lotniskowcu *Lexington* i oficerem kontroli lotów na *Yorktown*. Na biurku w Pentagonie miał plaketkę z napisem „Charger” – na wspomnienie kryptonimu radiowego, jakiego używał w czasach, gdy dowodził VI Flotą na Morzu Śródziemnym. Jego podwładni, i dawni i obecni, przysięgają, że kryptonim był wyjątkowo trafny. „Charge” to iść śmiało do ataku, szarżować, a „charger” to ten, który prze do przodu bez względu na wszystko. I oto teraz admirał Anderson stał na czele niezwykle trudnej szarży, bo nieudana może rozpętać wojnę nuklearną.

Ryzyko było ogromne. Margines czasu – żaden. Wywiad, głównie CIA, donosił, że około dwudziestu pięciu statków radzieckich oraz pod banderą innych państw bloku komunistycznego zdąża przez Atlantyk na Kubę z ładunkiem rakiet i bombowców. Stacje nasłuchowe i lotnictwo morskie śledziły je mila za milą. Admirał Anderson wydał rozkaz swoim okrętom, by zbliżyły się do radzieckich jednostek.

Wszystkie te dramatyczne wydarzenia rozgrywały się w najgłębszej tajemnicy. Dokładano starań, aby na zewnątrz wszystko wyglądało zwyczajnie. Właśnie po to, aby utrzymać pozory, że nie dzieje się nic nadzwyczajnego, prezydent Kennedy, uśmiechnięty jak gdyby

nigdy nic, opuścił Waszyngton, udając się w kolejną podróż po kraju, aby poprzeć kandydatów swojej partii w listopadowych wyborach. 20 października miał wystąpić w St. Louis, ale po lekturze meldunków wywiadowczych uznał, że trzeba wracać do stolicy.

Wizyta w St. Louis została więc odwołana. Sekretarz prasowy prezydenta, Pierre Salinger, bez zmużenia oka zaserwował prasie kłamstwo, że „prezydent jest mocno przeziębiony”. Dla uprawdopodobnienia Kennedy przed wejściem do samolotu pokazał się w grubym płaszczu i kapeluszu na głowie (a nie znosił żadnych nakryć głowy). Lot do Waszyngtonu był pracowity. Prezydent szykował się do objawienia rodakom dramatycznej prawdy.

W codziennych posiedzeniach ExComu, przez cały czas kryzysu, brali udział przedstawiciele CIA. Dzięki niezwykle udanym operacjom sprzed dwóch lat, Agencja była w stanie dostarczyć szczegółowych odpowiedzi na tak kluczowe pytania, jak choćby, ile czasu potrzeba na rekonstrukcję i doprowadzenie do stanu gotowości operacyjnej wyrzutni pocisków po ewentualnym bombardowaniu. Wystarczy kilka godzin – zapewniała Agencja<sup>1</sup>.

Informacje dotyczące rakiet pochodziły od pułkownika Olega Pienkowskiego, zwerbowanego przez CIA w 1960 roku. Pienkowski dostarczył ponad dziesięć tysięcy stron radzieckich dokumentów wojskowych, w tym dotyczące najnowszych osiągnięć radzieckiej techniki oraz szczegółowe opisy rakiet i charakterystyki.

CIA mogła więc przedstawić prezydentowi i kierownictwu Pentagonu dokładne dane o zasięgu rakiet, a także o trybie rozwijania rakietowych stanowisk bojowych oraz o procedurze osiągania stanu operacyjnego. Do czasu kryzysu kubańskiego niewiele z owych ściśle tajnych dokumentów radzieckich miało praktyczną wartość. Teraz – wręcz przeciwnie. Dzięki dokumentom oraz zdjęciom wykonywanym przez samoloty *U-2*, CIA wiedziała o radzieckim arsenale rakietowym na Kubie niemal tyle, ile sami Rosjanie.

Jeszcze przed lądowaniem samolotu prezydenckiego w Waszyngtonie wydano polecenie niezwłocznego sprowadzenia do stolicy przywódców Kongresu. Lider republikanów w Kongresie, Charles Halleck, polował właśnie na bażanty w Południowej Dakocie, sekretarz republikanów w Senacie, Thomas Kuchel, przebywał w San Diego, prowadząc kampanię wyborczą, *speaker* Izby Reprezentantów ściągnięto z rodzinnego Bostonu, sekretarzowi demokratów w Kongresie, Hale'owi Boggsowi, przerwano wakacje, które

spędzał na rybach nad Zatoką Meksykańską. W podobnym trybie wezwano wielu innych prominentnych parlamentarzystów.

Nim jeszcze przedstawiciele Kongresu dotarli do Waszyngtonu, Kennedy zwołał posiedzenie gabinetu. Atmosfera była poważna. Wszyscy w skupieniu wysłuchali informacji o sytuacji. Zaraz potem w sali posiedzeń rządu zebrali się przywódcy Kongresu. Niektórzy, prosto z drogi, stawili się w podróżnych strojach. Zapoznano ich ze zdjęciami lotniczymi. Te mówiły wszystko. „Krew zmroziło nam w żyłach” – zwierzył się jeden z kongresmanów po posiedzeniu.

Prezydent przedstawił plan wprowadzenia tzw. kwarantanny. Richard Russell, demokratą jak prezydent, przewodniczący senackiej Komisji Sił Zbrojnych, był zdania, że kwarantanna nic nie da. „Nie ma co zwlekać” – oświadczył, opowiadając się za natychmiastową inwazją na Kubę. Prezydent jednak pozostał przy swojej decyzji.

Było to jedno z najbardziej dramatycznych posiedzeń tego typu w całej historii Stanów Zjednoczonych, ważyły się bowiem sprawy bezpieczeństwa narodowego. Ale tuż po zakończeniu spotkania, w nieco lżejszym nastroju, prezydent podszedł do Huberta Humphreya – swego dawnego rywala w wyborach prezydenckich, obaj bowiem walczyli o nominację Partii Demokratycznej w 1960 roku.

– Wiesz Hubert – zażartował – gdybym wiedział, że ta posada jest tak trudna, to dałbym ci wygrać w Wirginii Zachodniej (gdzie odbyły się decydujące prawyborzy, w wyniku których Humphrey wycofał się z wyścigu do Białego Domu).

Humphrey znany był z tego, że nigdy nie tracił rezonu.

– Ja wiedziałem i dlatego pozwoliłem ci wygrać! – odpalił z humorem, aż cała sala zatrzęsała się ze śmiechu<sup>3</sup>.

Tego samego popołudnia, 22 października, przed siedzibę Departamentu Stanu zajechał czarny cadillac ambasadora Związku Radzieckiego w USA, Anatolija Dobrynina. Uśmiechnięty, jak gdyby nigdy nic, dyplomata pospieszył do wnętrza. Przybył na wezwanie Deana Ruska. Formalności trwały krótko, a rozmowy właściwie nie było. Sekretarz stanu wręczył ambasadorowi tekst przemówienia, jakie jeszcze tego wieczoru prezydent wygłosi w telewizji, oraz osobisty list Johna Kennedy'ego do Nikity Chruszczowa.

Wychodząc z budynku, ambasador był blady jak ściana. Szedł pochylony, jakby dźwigał niezmierny ciężar. Pytanie czekających reporterów – Co się stało? – zbył krótko – Sami wkrótce się dowiedziecie<sup>4</sup>.

A tysiąc sześćset kilometrów na południe od Waszyngtonu, w bazie amerykańskiej Marynarki Wojennej na Guantanamo, trwały ru-

tynowe ćwiczenia DEFEX (Defense Mobilization Exercise – Ćwiczenie Mobilizacji do Obrony). Odbywały się regularnie co sześć tygodni od dwóch lat i wszyscy już zdążyli się do nich przyzwyczaić. Teraz jednak miało być inaczej. 20 października dowódca bazy, kontradmirał Edward J. O'Donnell, otrzymał bowiem pilny szyfrogram nakazujący postawienie Guantanamo w stan gotowości bojowej. Uprzedzono go także, by przygotował się na przyjęcie posiłków.

W obozie Pendleton w Kalifornii zawrzało jak w ulu, gdy stacjonująca tam 1 Dywizja Piechoty Morskiej otrzymała rozkaz „przygotowania się do wymarszu”. Twardzi marines z „Jedynki” stanowiąc będą pierwszy rzut oddziałów wyznaczonych do wzmocnienia garnizonu na Guantanamo. Po krótkich dziewięciu godzinach od chwili ogłoszenia alarmu dywizja z Pendleton, w pełnym uzbrojeniu, gotowa była do drogi i do natychmiastowej akcji. Na odprawach oficerom i podoficerom podano cel wymarszu, „i niech ludzie założą kamizelki kuloodporne” – dodano.

Trzy godziny później pierwszy ciężki transportowiec z ludźmi i sprzętem wystartował z Pendleton, biorąc kurs na odległą o sześć godzin lotu bazę Gitmo. Poza załogą nikt na pokładzie nie wiedział, że przed startem, zgodnie z otrzymanym rozkazem, zatankowano tyle paliwa, by samolot mógł wrócić do Stanów bez uzupełniania zapasu na Guantanamo. Nie można było bowiem wykluczyć, że zanim transportowiec dotrze na miejsce, bazę zajmą Kubańcy lub Rosjanie albo i jedni, i drudzy.

Każdy z transportowców zabierał stu dwudziestu pięciu ludzi – dwa pełne plutony plus wsparcie. Większość żołnierzy po raz pierwszy w życiu miało zasmakować prawdziwej wojny. Nie wszyscy jednak wiedzieli, gdzie lecą. Nie brakowało więc plotek i spekulacji, że wylądują na Hawajach, na Filipinach, w Strefie Kanału Panamskiego, a nawet – jak ktoś głośno przypuszczał – w Indiach.

Pierwszy samolot wylądował na Guantanamo 21 października o piątej dwadzieścia siedem. Następne siadały co osiem minut. Przybyłych marines przewożono natychmiast ciężarówkami na pozycje wzdłuż MLR (Main Line of Resistance – głównej linii obrony), pasa bunkrów, transzei i schronów, ciągnącego się wzdłuż całego czterdziestodwukilometrowego ogrodzenia z siatki oddzielającego bazę od Kuby.

Nazajutrz, 22 października, transportem morskim na Guantanamo zaczęły przybywać oddziały 2 Dywizji Piechoty Morskiej z obozu Lejeune w Karolinie Południowej. Te również kierowano do obsadzenia MLR.

Od świtu 21 października, przez następnych siedemdziesiąt dwie godziny nad Guantanamo rozlegał się nieustający grzmot silników

lotniczych. W sumie na obu lądowiskach bazy – Leeward Point, po zachodniej stronie wejścia do zatoki i McCalla Field, z ponadpółtora-kilometrowym pasem startowym kończącym się na urwistym, wschodnim brzegu zatoki – przyjęto sto osiemdziesiąt siedem transportowców z ludźmi i sprzętem.

W błyskawicznym tempie, w ciągu paru zaledwie dni, garnizon na Guantanamo rozrósł się do dziesięciu tysięcy żołnierzy gotowych stawić czoło siłom Castra, gdyby ten zdecydował się przypuścić szturm. Tempo mobilizacji zadziwiło wszystkich, zaimponowało nawet admirałowi Robertowi L. Dennisonowi, dowódcy VI Floty w Norfolk w Wirginii i jego sztabowcom, którzy przygotowywali operację. Bywali na frontach II wojny światowej i wojny w Korei weterani, mieli wszelkie prawo do dumy z wzorowo wykonanego zadania.

Po sprawnie przeprowadzonej akcji Guantanamo prezentowała wielką siłę, co więcej, w każdej chwili mogła liczyć na wsparcie z powietrza. W pobliżu krążyły amerykańskie lotniskowce, a w razie czego do dyspozycji były także samoloty z baz na kontynencie.

Z pomocą mogły też przyjść okręty VI Floty, wyposażone w potężne działa. Mimo to admirał Bob Anderson w Pentagonie i admirał „Danny” Dennison w Norfolk, z troską spoglądali w przyszłość. Rosjanie bowiem, działając w głębokiej tajemnicy, wystawili na Kubie nie tylko potężny arsenał raketowy, ale także przeobrazili zbrojne bandy Fidela Castro w silną, doskonale wyposażoną armię. Wedle ocen CIA i wywiadu wojskowego, Związek Radziecki razem z Czechosłowacją oraz innymi krajami komunistycznymi, dostarczył na Kubę od stu pięćdziesięciu do dwustu pięćdziesięciu ciężkich i średnich czołgów, od pięćdziesięciu do stu dział samobieżnych, około siedmiuset pięćdziesięciu dział przeciwlotniczych, blisko tysiąc innego typu dział oraz dwadzieścia tysięcy sztuk broni mniejszego kalibru. Prócz tego Castro miał do dyspozycji bliżej nieokreśloną liczbę, bo nie udało się tego ustalić, baterii rakiet ziemia-powietrze, tego samego typu, za pomocą których Rosjanom udało się zestrzelić samolot wywiadowczy U-2 nad Swierdłowskiem.

To jeszcze nie wszystko, Castro miał ponad sto nowoczesnych myśliwców MiG ze znakomicie wyszkolonymi załogami, nie licząc znacznej liczby MiG-ów starszego typu. Liczebność wojsk kubańskich oceniano na dwieście tysięcy pełnych nienawiści do Ameryki ludzi, bo poddano ich komunistycznemu praniu mózgow. Jeśli do tego dodać sowieckie okręty podwodne dalekiego zasięgu, które wedle danych wywiadu operowały w pobliżu Kuby, to admirałowie rzeczywiście mieli powody do głębokiej troski.

Obie dywizje marines, wzmocnione dwoma batalionami „Seabees” (oddziałów inżynieryjnych Marynarki Wojennej) na pozycjach wzdłuż MLR, znalazły się w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa. Ilu kubańskich żołnierzy stało po drugiej stronie, nie było wiadomo. Były to oddziały regularnej armii, zdyscyplinowane, umundurowane i uzbrojone na wzór radziecki, „zawodowcy i prawdziwe sukinsyny” – jak orzekł jeden z marines, który w życiu sporo widział i sporo przeżył. Kilka miesięcy wcześniej regularne wojska zastąpiły na pozycjach wokół Guantanamo mniej pewne oddziały milicji, złożone de facto z cywilów, których jedynym pragnieniem był rychły powrót do domu.

Wrogów po drugiej stronie siatki marines obdarzyli przydomkiem „Rubenów”.

– Nocą – zwierzał się jeden z młodszych marines reporterowi prasy amerykańskiej – „Rubenowie” dają nam się we znaki. Podchodzą, sukinsyny, pod sam płot, szarpia siatkę, obrzucają nas przekleństwami.

Gdy zaczynały się nocne podchody, marines stawali w pogotowiu. Broń gotowa do strzału, nerwy napięte, wzrok wyteżony. Ze swej strony marines pomysłowo zabezpieczyli się przed zaskoczeniem – na granicznej siatce umieścili dziesiątki pustych puszek po piwie jako swoisty „system antywłamaniowy”. Wystarczał najmniejszy ruch i już rozlegał się dźwięk „puszkowego” alarmu.

O dziesiątej rano, dzień po przybyciu pierwszych oddziałów marines, dowódca Guantanamo, admirał O'Donnell, wydał rozkaz ewakuacji cywilnych pracowników bazy oraz rodzin. Był poniedziałek, tradycyjny dzień wielkiego prania w amerykańskich domach. Admirał uprzedzał w komunikacie radiowym:

Każdemu wolno wziąć tylko jedną sztukę bagażu. Psy proszę przywiązać na podwórku, klucze zostawić na stole w jadalni i czekać przed domem na autobus.

W tym trybie ewakuowano w sumie dwa tysiące siedemset siedemdziesiąt siedem osób. Autobusy przewiozły je do portu. O siedemnastej było już po wszystkim. Cztery statki z personelem cywilnym i rodzinami odplynęły z Guantanamo. Pilne przypadki – kobiety w ciąży i chorych – ewakuowano transportem lotniczym, korzystając z samolotów, które przywiozły marines. W całej bazie pozostało jedenaście kobiet – dziesięć sanitariuszek Marynarki Wojennej i przedstawicielka Czerwonego Krzyża.

22 października od samego rana stacje radiowe i telewizyjne zaczęły informować słuchaczy, że w godzinach wieczornych prezydent Kennedy wystąpi z przemówieniem do narodu w sprawie „najwyższej

wagi państwowej". Ten sam komunikat wydrukowała też prasa w południowych wydaniach. Amerykanie czekali w napięciu.

Również w poniedziałek Połączeni Szefowie Sztabów wydali rozkaz o postawieniu sił zbrojnych w stan najwyższego pogotowia. W bazach rakiet międzykontynentalnych w zachodnich stanach USA personel wyrzutni przeszedł na tryb bojowych, dwunastogodzinnych dyżurów.

W południe tego samego dnia generał Thomas S. Power ze Strategic Air Command – SAC (Dowództwa Lotnictwa Strategicznego) w bazie Offutt, w pobliżu Omaha w stanie Nebraska, wydał polecenie dyslokacji bombowców strategicznych B-47. Zgodnie z planem alarmowym, rozmieszczono je na czterdziestu lotniskach cywilnych w całym kraju. Stałe bazy bombowców stanowiły cel radzieckich rakiet międzykontynentalnych, mogłyby więc zostać zniszczone już w pierwszym uderzeniu. Luki bombowe wszystkich odlatujących na nowe miejsca dyslokacji maszyn były zamknięte. Oznaczało to, że znajdowały się tam bojowe ładunki nuklearne.

Wieczorem tego samego dnia cała Ameryka wysłuchała przemówienia prezydenta Kennedy'ego w telewizji. Był to najdramatyczniejszy moment w dziejach USA od 7 grudnia 1941 roku, kiedy Amerykanie ze ściśniętym sercem dowiedzieli się o zagładzie całej floty w Pearl Harbor. Sprawa była poważna i takiż był ton przemówienia prezydenta:

Stany Zjednoczone mają dwa cele. Chodzi po pierwsze o to, aby (radzieckie) rakiety nie zostały użyte przeciwko Ameryce, i w ogóle przeciwko nikomu, a po drugie o wycofanie tych rakiet z zachodniej półkuli bądź ich likwidację.

Spokojny i opanowany, najmłodszy prezydent w dziejach Ameryki ostrzegał:

każdy atak nuklearny z Kuby przeciwko jakiegokolwiek krajowi na zachodniej półkuli Stany Zjednoczone potraktują jako napaść ze strony Związku Radzieckiego i odpowiedzą zmasowanym odwetem<sup>5</sup>.

Świat stanął na krawędzi atomowej zagłady, ale większość Amerykanów wyrażało uznanie dla odważnego i zdecydowanego stanowiska swego prezydenta. Wybrali go przecież, aby „coś wreszcie zrobił w sprawie Kuby”<sup>6</sup>.

A w Hawanie, nazajutrz wieczorem, ulice opustoszały. Kubańscy zasiedli przed telewizorami i przy głośnikach, aby wysłuchać zapowiedzianego wystąpienia Fidela Castro. Najwyższy Przywódca prze-

mawiał przez półtorej godziny, a starannie dobrani słuchacze w studiu telewizyjnym rechotali posłusznie za każdym razem, gdy Castro potępiał amerykańskiego prezydenta i senatorów.

– Kennedy – oświadczył Castro, komentując wystąpienie prezydenta – mówił jak „przyjaciel” do „zniewolonego ludu”. – Pewnie wydaje mu się, że przywódcy kubańscy nie są Kubańczykami, że zjawili się z Marsa! – zakpił. Sala posłusznie zarechotała.

– I ten niby-dobry, niby-święty dżentelmen, nie tylko wygłasza takie perfidne rzeczy, ale także dopuszcza się czynu, który gwałci wszelkie zasady prawne i moralne – oświadczył Castro.

– Zwraca się nawet do Boga o błogosławieństwo dla przestępstwa, które popełnił i które planuje... To nie były słowa męża stanu, lecz pirata! Żadne państwo nie może bezkarnie zatrzymywać na morzu statków innego państwa – dokończył podniesionym głosem<sup>7</sup>.

## „Spotkamy się w piekle”

Z nastaniem świtu, we wtorek 23 października, nad Waszyngtonem uniosło się westchnienie ulgi, bo mimo wszystko nie rozpętała się atomowa pożoga. Pokój trwał.

– Zrobiliśmy pierwszy krok – przyzna później Bobby – a jednak byliśmy jeszcze wśród żywych<sup>1</sup>.

Ale też ani Bobby, ani Jack, ani generałowie, nie mówiąc już o ExComie, nie mieli złudzeń. Kryzys nie został jeszcze zeżegnany. Przeciwnie, to co najgorsze dopiero nastąpi.

ExCom nadal zbierał się codziennie, nadal pilnie śledzono reakcje w Moskwie, na Kubie i na całym świecie, a te wydawały się groźne. Chruszczow określił amerykańską „kwarantannę” mianem „piractwa”.

W środę, 24 października, sowiecki dyktator zaprosił na Kreml Williama Knoxa, prezesa Westinghouse Electric, jednego z największych koncernów amerykańskich, który akurat przebywał w Moskwie w interesach. Nie owijając niczego w bawełnę, Chruszczow oświadczył wprost, że Kennedy wstąpił na ogromnie ryzykowną drogę i że jeśli amerykańska marynarka zatrzyma i podda kontroli jakikolwiek radziecki frachtowiec zdążający na Kubę, to radzieckie okręty podwodne otrzymają rozkaz zatopienia jednostek amerykańskich<sup>2</sup>.

– A źródłem całego kryzysu – oceniał Chruszczow – jest niedojrzałość amerykańskiego prezydenta. I, jakby dla podkreślenia tej tezy, dodał ku zdumieniu Knoxa: – Kennedy jest młodszy od mojego pierworodnego<sup>3</sup>.

Chruszczow oczywiście odrzucił oskarżenie prezydenta, że rakiety zagrażają Stanom Zjednoczonym i że właśnie po to zostały zainstalowane na Kubie.

– Radzieckie rakiety na Kubie to broń defensywna – grzmiał, bijąc pięścią w stół, jakby to miało stanowić ostateczny argument.

– Jeśli Kennedy nie wierzy, niech się sam przekona. Wystarczy, aby dokonał inwazji na wyspę. Mnie – zapewniał dyktator swego amerykańskiego rozmówcę – nie zależy na tym, ale jeśli Kennedy tego chce, to wszyscy możemy spotkać się w piekle<sup>4</sup>.

Admirał George Anderson miał za sobą już kilka nie przespanych nocy. Nie opuszczał Pentagonu i swego utrzymanego w błękitach gabinetu, ozdobionego cennymi obrazami przedstawiającymi wielkie bitwy morskie. Choć śmiertelnie zmęczony, z podkrążonymi z braku snu oczami, osobiście kierował zakładaniem „kwarantanny”. (Słowa „blokada”, choć to o nią chodziło, Waszyngton unikał jak diabeł święconej wody ze względu na implikacje międzynarodowe, bo wedle prawa blokada stanowi akt wojenny.) Szef operacji morskich studiował dziesiątki depech i szyfrogramów, dyktował odpowiedzi i rozkazy. Napięcie rosło z minuty na minutę. Mało który dowódca staje przed tak odpowiedzialnym zadaniem.

Zjawił się adiutant z niepozorną, białą kopertą. Czerwone, odręczne litery głosiły: Pilne, Szef Operacji Morskich, do rąk własnych! Zaskoczony i zdziwiony admirał niecierpliwie sięgnął do środka. Treść rzeczywiście była przeznaczona wyłącznie dla niego. „W chwilach napięcia najważniejsza jest zimna głowa!” brzmiało przesłanie, a na odwrocie kartki znajdowała się stosowna do treści ilustracja – latryna na lodzie. Pod tym wszystkim widniał podpis – „Twoja korespondencyjna małżonka”. Od wybuchu kryzysu admirał miał niewiele okazji, by widzieć się z żoną, Mary Lee, i rodziną.

A tymczasem radzieckie frachtowce szły pełną parą w stronę Kuby. Kontrkursem płynęły amerykańskie okręty. Wszędzie – w Gabinetach Ovalnym w Białym Domu, w Pentagonie, w Norfolk – w Dowództwie Floty Atlantyckiej, także w „Kwaszarni” – siedzibie CIA nad Potomakiem i na Guantanamo czekano w napięciu. Ściśnięte serca, nerwy z trudem trzymane na wodzy. Co zrobi Chruszczow? Dyktator jest nieprzewidywalny, a to jego ręka spoczywa na atomo-

\* Dowcip polegał na nieprzetłumaczalnej na polski grze słów: „head”, czyli „głowa”, to w amerykańskim żargonie żeglarskim „toaleta” lub „ustęp” na statku [przyp. tłum.].

wym guziku. Wiedziony emocjami, może go nacisnąć w każdej chwili. Co zrobi Castro? Ruszy na Guantanamo? Admirał Dennison nerwowo krążył po swoim gabinecie. Radzieckie frachtowce i amerykańskie okręty szły kursem na spotkanie. Nie było problemu z lokalizacją tych pierwszych. Pośród raf na Karaibach na Kubę wiedzie kilka tylnych szlaków, więc wiadomo, gdzie znajdują się frachtowce.

- Mamy do dyspozycji znaczne siły - odparł admirał na pytanie reportera, który obserwował wydarzenia w Dowództwie Floty Atlantyckiej - nasze liczne jednostki są już na pozycjach (na Karaibach)<sup>5</sup>.

Siłami na Karaibach dowodził pięćdziesięcioletni kontradmirał Alfred G. Ward, artylerzysta. Wiele wskazywało na to, że rychło będzie się mógł wykazać profesjonalną wiedzą. Miał pod sobą około osiemdziesięciu jednostek, w tym lotniskowiec atomowy *Enterprise* z zespołem myśliwców na pokładzie. Z baz lądowych na Florydzie i innych stanów Wschodniego Wybrzeża USA oraz z lotniskowców bez przerwy startowały maszyny zwiadowcze, przeczesując ocean i wody wokół Kuby.

Admirał Ward doskonale wiedział, na czym polega jego zadanie. Do każdego z radzieckich frachtowców zdążających na Kubę, w stosownym momencie podejdzie okręt US Navy, wydając polecenie zastopowania maszyn. Jeśli załoga statku nie zastosuje się do polecenia, wtedy z okrętu zostanie oddana salwa ostrzegawcza - pociski wzbijają fontanny wody tuż przed dziobem frachtowca. Jeśli statek mimo to nie zatrzyma się, zostanie zatopiony ogniem z dział bądź rakietami, lub też zostanie zbombardowany z powietrza. Frachtowiec, który zastopuje maszyny, zostanie poddany kontroli. Uzbrojeni ludzie Warda wejdą na pokład i sprawdzą ładunek. Jeśli stwierdzą, że statek wiezie broń ofensywną z przeznaczeniem na Kubę, każą kapitanowi zawrócić i udać się do wybranego portu poza Kubę. Jeśli zaś nie stwierdzą niczego podejrzanego, to statek otrzyma zezwolenie na kontynuowanie podróży na Kubę.

Podobną procedurę stosuje się wobec radzieckich samolotów transportowych. Amerykańskie myśliwce będą je przechwytywać i zmuszać do lądowania na terytorium USA. Tam samoloty poddawane będą kontroli. Zatrzymywane będą także radzieckie okręty podwodne. Po zlokalizowaniu okrętu jednostka nawodna odpali salwę „bezpiecznych” bomb głębinowych, a następnie nada sygnał IDKCA, co w międzynarodowym kodzie oznacza polecenie wynurzenia.

Sekretarz Departamentu Obrony, Robert McNamara, też niewiele sypiał w tych krytycznych dniach. Co najwyżej drzemał na kanapce

w swoim gabinecie na trzecim piętrze zewnętrznego pasma budynków Pentagonu, oznaczonego literą „E”, gdzie znajdują się biura wszystkich członków kierownictwa Departamentu Obrony. Wojskowi zdążyli już nadać mu przydomek „Nasz jajogłowy rezydent”, co nawiązywało do akademickiej przeszłości czterdziestoczteroletniego ówczesnie ministra. Był gruntownie wykształcony. W latach trzydziestych skończył z wyróżnieniem ekonomię na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley, ale studiował też statystykę, interesował się psychologią i socjologią<sup>6</sup>.

W środę 24 października, o dziesiątej rano, pięćdziesiąt jeden godzin po telewizyjnym wystąpieniu prezydenta, McNamara w towarzystwie swego zastępcy, Roswella Gilpatrica, udał się na czwarte piętro Pentagonu, do Dowództwa Marynarki Wojennej, aby osobiście sprawdzić, czy i jak admirał Anderson wciela w życie decyzje szefa państwa. Najpierw wszakże minister i jego wice musieli przejść przez posterunki marines. Dowództwo „kwarantanny” pracowało za zamkniętymi drzwiami pod silną strażą.

Anderson, który od trzech dni nie zmrzył oka, nie był specjalnie zachwycony nie zapowiedzianą wizytą. McNamara zwrócił tymczasem uwagę na wielką mapę Atlantyku wiszącą na ścianie. Wskazał na pozycję pojedynczego okrętu US Navy, dość daleko od centrum wydarzeń.

- A ten, co tu robi? - spytał niecierpliwie. Dyplomacja nie była jego mocną stroną.

Anderson milczał, ale widać było, że czuje się dotknięty tonem, a zwłaszcza wścibstwem cywila. W gabinecie powiało mrozem. Wszyscy nadstawili ucha. Po chwili Anderson wziął McNamara pod łokieć.

- Ten okręt siedzi na radzieckim okręcie podwodnym - wyjaśnił wyraźnie niezadowolony, że musi mówić o oczywistościach<sup>7</sup>.

Atmosfera jeszcze bardziej stężała, gdy McNamara zaczął domagać się wyjaśnienia, jak przebiegać będzie pierwsze zatrzymanie statku pod czerwoną banderą. Anderson odparł, że marynarka doskonale wie, co to znaczy blokada morska i to nie od dziś, bo zbierała doświadczenia od stuleci. Z historii wiadomo, że pierwszą taką operację na wielką skalę przeprowadził legendarny John Paul Jones pod koniec XVIII wieku.

McNamara nie dał się zbyć i zaczął przepytывать admirała o najdrobniejsze szczegóły operacji, takie, które zdaniem starego marynarza, nie powinny go w ogóle obchodzić, bo nie należały do kompetencji cywilnego kierownictwa resortu, lecz do wojska. Nigdy chyba za-

den sekretarz obrony nie zaryzykował tak nieprzyjemnej rozmowy z szefem operacji morskich.

- Czy na okrętach (biorących udział w blokadzie) są oficerowie znający rosyjski? - dopytywał McNamara podejrzliwie.

- Nie wiem - brzmiała odpowiedź.

- To niech pan się dowie - uciął McNamara. W istocie sprawa już dawno była załatwiona. Przed wyjściem w morze do załóg oddelegowano lektorów z Akademii Marynarki Wojennej.

Cała ta rozmowa odbywała się w sali operacyjnej, w której przebywało około trzydziestu sztabowców. Mieli pilne sprawy, starali się nie słuchać, choć nie było to łatwe. Admirał poczerwieniał z gniewu, ale starał się jeszcze trzymać nerwy na wodzy. McNamara też ledwo się opanowywał.

Wreszcie Anderson nie wytrzymał.

- Gdyby zechciał pan, panie sekretarzu, opuścić nas razem z panem Gilpatrickiem, to Marynarka Wojenna mogłaby się wreszcie zająć blokadą - rzekł kwaśno.

McNamara obrócił się na pięcie i wyszedł bez słowa, a Gilpatric podreptał za nim<sup>8</sup>.

W sześćdziesiątej godzinie po przemówieniu prezydenta, Waszyngton znów wydał westchnienie ulgi. Kilka spośród radzieckich statków płynących na Kubę nagle zmieniło kurs. Inne jednak parły dalej. W czwartek, 25 października, w czwartym dniu „kwarantanny” okręty zatrzymały zbiornikowiec *Bukarest*, ale Kennedy, nie chcąc stawiać Chruszczowa w trudnej sytuacji, wydał polecenie, aby nie dokonywać kontroli i zezwolić jednostce na dalszą podróż na Kubę.

Szesnaście godzin później dwa niszczyciele - *John R. Pierce* oraz *Joseph P. Kennedy Jr.* (zbiegiem okoliczności w akcji brała jednostka nazwana na cześć brata prezydenta - lotnika poległego w czasie II wojny światowej) - przechwyciły statek *Marcula*, libański, co prawda, ale w radzieckim czarterze. W piątek o świcie miała miejsce scena, jakby żywcem wzięta ze starych hollywoodzkich filmów o morskich przygodach. Z *Kennedy'ego* opuszczono szalupę, a uzbrojona grupa abordażowa, pod dowództwem pierwszego oficera, komandora porucznika Kennetha C. Reynoldsa, popłynęła w stronę *Marculi*. Drugą grupą, wysłaną przez *Pierce'a*, dowodził komandor porucznik Dwight G. Osborne, też pierwszy oficer na macierzystym okręcie.

Kapitan *Marculi*, który okazał się Grekiem, był wylewny, życzliwy i uprzejmy. Kazał nawet opuścić trap, aby inspektorzy bez trudu mogli wejść na pokład. Obu oficerów poczęstował kawą. Kontrola wyka-

zała tylko ładunek papieru, samochody ciężarowe, części do tychże i siarkę w beczkach. Po wymianie uprzejmości Osborne i Reynolds wrócili na okręty, *Marcula* zaś znów wzięła kurs na Kubę.

W sobotę, 27 października, dyrektor FBI przekazał swemu przełożonemu, Bobby'emu Kennedy'emu alarmującą wiadomość z Nowego Jorku. Radzieckie placówki dyplomatyczne w mieście, także rezydentura KGB, rozpoczęły przygotowania do zniszczenia tajnych akt. Szykowano się więc na najgorsze.

Bobby pospieszył z wiadomością do Białego Domu. Konkluzja była oczywista, Chruszczow, znany z huśtawki nastrojów, jął skłaniać się ku innemu niż pokojowe, rozwiązaniu kryzysu.

Ale to nie koniec wydarzeń tego dnia. Napięcie sięgnęło szczytu, gdy nadeszła wiadomość, że nad Kubą strącono za pomocą radzieckiej rakiety ziemia-powietrze samolot wywiadowczy *U-2*. Pilot, major Rudolf Anderson jr, zginął na miejscu. Nie była to jedyna strata. Tego samego dnia bowiem strącono nad Kubą cztery inne samoloty zwiadowcze.

Widmo wojny, także nuklearnej, zaczęło się wyraźnie przybliżać. ExCom wnioskował bowiem wcześniej, a prezydent Kennedy zaakceptował takie rozwiązanie, że w przypadku zestrzelenia samolotu *U-2* należy zastosować retorsję w postaci nalotu na wyrzutnię, z której odpalono celną raketę. Gdyby doszło do zestrzelenia kolejnej maszyny, wtedy miano przystąpić do ataku na wszystkie kubańskie wyrzutnie rakiet przeciwlotniczych.

Bobby Kennedy wspomni później:

- Wszyscy odnosiliśmy wrażenie, że pętla zakładana nam i światu zacieśnia się, a droga odwrotu staje się szalenie wąska<sup>9</sup>.

Jakby tego było mało, do incydentu doszło również na Dalekiej Północy. Prowadząc samolot *U-2* w rutynowym locie nad biegunem północnym, pilot niechcący dostał się w radziecką przestrzeń powietrzną. Natychmiast podniosły się rosyjskie myśliwce. W odpowiedzi z Alaski wystartowały amerykańskie maszyny. Rychło jednak pilot *U-2* zorientował się w sytuacji, zmienił kurs i wyszedł z zagrożonego rejonu.

W Białym Domu i w Pentagonie znów odetchnięto z ulgą, ale też nadal nie miano złudzeń, że dramat trwa. Każda kolejna chwila groziła nowym wybuchem.

Tego wieczoru, w prywatnej rozmowie z Bobbym, prezydent zdecydował się wyjść naprzeciw Chruszczowowi, uczynić gest, który pozwoli mu zachować twarz. Gest miał zaś polegać na tym, że Ameryka wycofa z terytorium Turcji rakiety typu *Jupiter*, zdolne do przenoszenia

ładunków jądrowych, czego domagał się Chruszczow. Zaraz następnego dnia rano Bobby wezwał do siebie ambasadora Dobrynina i poinformował go, że *Jupiter* zostaną zdemontowane tak szybko, jak to będzie możliwe, zaraz po rozwiązaniu obecnego kryzysu.

Jack z Bobbym mieli jednak coś w zapasie. Wkrótce bowiem do wyposażenia amerykańskich sił zbrojnych wejdą rakiety typu *Polaris*, wystrzeliwane z okrętów podwodnych. Wycofanie *Jupiterów* nie będzie stanowić zbyt dużego uszczerbku w amerykańskim systemie obrony strategicznej.

Tymczasem jednak prezydent miał się w sekrecie zobowiązać wobec Moskwy, że jeśli rakiety zostaną usunięte z Kuby, Stany Zjednoczone oświadczą, że nigdy nie dokonają inwazji na wyspę.

A tymczasem nastąpił doniosły zwrot w sytuacji. Radzieckie frachtowce z ładunkiem rakiet zdążające na Kubę, raptem zawróciły i wzięły kurs na macierzyste porty. Groźba konfrontacji na morzu, wobec której cały świat wstrzymał oddech, została zażegnana.

Przez cały długi tydzień Jack Kennedy i Nikita Chruszczow stali oko w oko. Przywódca radziecki pierwszy nie wytrzymał napięcia.

Ale wojna nerwów trwała, niebezpieczeństwo nie zostało jeszcze odwrócone. Na Kubie pozostały przecież rakiety i Kennedy musiał doprowadzić do ich usunięcia. Chruszczow nie porzucił jeszcze myśli o konfrontacji. Zwiad z powietrza ustalił, że prace na wyrzutniach zostały wyraźnie przyspieszone.

Waszyngton uruchomił jeszcze jeden kanał nacisku. Zwrócił się do sekretarza generalnego ONZ, U Thanta, o pilne nawiązanie kontaktu z Chruszczowem i przekazanie żądania usunięcia rakiet z Kuby. Chruszczow próbował zwlekać. Kennedy nasilił wojnę nerwów. Do dwóch baz lotnictwa wojskowego na Florydzie, McDill i Patrick Air Force, skierowano setki ponaddźwiękowych myśliwców odrzutowych. Do czynnej służby powołano z rezerwy dwadzieścia cztery eskadry transportowców, łącznie czternaście tysięcy ludzi. Na Florydę zaczęto też przenosić oddziały piechoty, czołgów i artylerii. Sygnał miał być jasny i czytelny: jeśli Chruszczow nie usunie rakiet, Stany Zjednoczone rozpoczną inwazję.

Aby nie było żadnych wątpliwości, prezydent Kennedy wystosował list do przywódców na Kremlu. Ponowił żądanie natychmiastowego wycofania rakiet. Dwa tygodnie od dnia, gdy Kennedy po raz pierwszy zobaczył lotnicze zdjęcie rakiet na Kubie, Chruszczow skapitulował. Zwrócił się do prezydenta z pojednawczym posłaniem:

Rozumiem pański niepokój i niepokój, jaki społeczeństwo amerykańskie może żywić wobec broni, którą zechciał pan określić mianem broni ofensywnej. Ta broń rzeczywiście jest straszna. Obaj doskonale wiemy, czym ona jest.

Kennedy przyjął posłanie z ulgą i zadowoleniem. Odpowiedział nań w ciągu trzech godzin, pisząc:

Witam pańską decyzję – decyzję męża stanu – o wstrzymaniu rozbudowy baz na Kubie, o usunięciu broni ofensywnych pod nadzorem ONZ ...<sup>10</sup>

Mogłoby się wydawać, że w pojedynku grożącym globalnym wybuchem, zwycięstwo odniósł Kennedy. Sam prezydent był jednak daleki od takiej myśli. Gdy kamery samolotów zwiadowczych *U-2* potwierdziły kilka dni później, że rozpoczął się demontaż wyrzutni i ładunek rakiet na radzieckie statki, powiedział na konferencji prasowej:

– Jestem przekonany, że staniemy wobec konieczności podjęcia znacznie trudniejszych decyzji (w sprawie Kuby)<sup>11</sup>.

O decyzji swego przyjaciela Chruszczowa w sprawie wycofania rakiet Fidel Castro dowiedział się od pośredników, a konkretnie od Carlosa Franqui, redaktora „*Revolución*”. Zatelefonował on do Fidela, gdy tylko agencje podały wiadomość. Castro, jak powiadają, wpadł w furję, zaczął miotać się po gabinecie, kopał ściany, rozbił okno. Ego Najwyższego Przywódcy doznało strasznego upokorzenia, bo jak to jest, że supermocarstwa pozwalają sobie podejmować decyzje dotyczące Kuby bez pytania go o zdanie.

W niespełna cztery godziny później, nie chcąc pozostawać na marginesie wydarzeń, Najwyższy Przywódca ogłosił własne warunki zbudowania pokoju na Karaibach. Sprowadzały się one do pięciu żądań pod adresem Stanów Zjednoczonych: po pierwsze Kennedy ma znieść sankcje gospodarcze wobec Kuby i wstrzymać działania sabotażowe; po wtóre ma zaprzestać organizowania i finansowania „najeźdźców-najemników”; po trzecie musi położyć kres naruszaniu kubańskiej przestrzeni powietrznej i wód terytorialnych; po czwarte musi zaprzestać „pirackich ataków” oraz po piąte położyć kres nielegalnej okupacji części terytorium Kuby, czyli bazy na Guantanamo.

– Dopóki Kennedy nie spełni powyższych żądań, wszelkie jego „gwarancje” odnoszące się do Kuby nie będą miały żadnego znaczenia – podkreślił Castro<sup>12</sup>.

## Czystka w dowództwie tajnej wojny

Śnieżny tuman spowijał Moskwę, mroźne porywy wiatru szalały na Kremlu, gdy Nikita Chruszczow wkraczał na mównicę w sali obrad Rady Najwyższej. Był 12 grudnia 1962 roku. Nie minął jeszcze miesiąc od dnia, kiedy John Kennedy po raz pierwszy dowiedział się o groźnych rakietach na Kubie. Chruszczow miał przed sobą trudne zadanie. Musiał wyjaśnić społeczeństwu, dlaczego wycofał się z Kuby. Mówił długo i zawile, przy pełnej bierności sali. Stwierdził, że wysyłka rakiet na Kubę stanowiła akt ze wszech miar pokojowy, a wycofując rakiety z wyspy, Związek Radziecki odniósł wielkie zwycięstwo nad Stanami Zjednoczonymi.

– Ani przez chwilę – grzmiał Chruszczow – nie zamierzaliśmy zaatakować Ameryki i nie po to rakiety i bombowce znalazły się na Kubie – wywodził, bijąc pięścią w pulpit, jak zwykle, gdy obwieszczał kolejny akt komunistycznej wiary. – Zostały tam rozmieszczone dla obrony kubańskiej rewolucji<sup>1</sup>.

Fidel i Raúl Castro oraz „Ché” Guevara nie posiadali się z oburzenia, byli wręcz wściekli na Chruszczowa. Ich duma doznała głębokiego uszczerbku, gdy kremłowski przywódca bez słowa uprzedzenia, nie pytając ich o zdanie, kazał spakować rakiety i odesłać je z powrotem do Rosji.

Chruszczowowi – rzekł Fidel z wyraźną kpina – po prostu brak *cojones* (jaj). Guevara był jeszcze bardziej rozgoryczony. W połowie grudnia udzielił wywiadu przedstawicielowi komunistycznej gazety londyńskiej „Daily Worker” i nie owijając niczego w bawełnę, oświadczył, że „gdyby rakiety pozostały na naszym terytorium, to użylibyśmy ich do

zadania ciosu w samo serce Stanów Zjednoczonych, nie wyłączając Nowego Jorku”.

Argentyński lekarz, który porzucił medycynę dla rewolucji, zabrnął jeszcze dalej. Cel Kuby – oświadczył – to walka, walka aż do śmierci, aby zadać największe straty wrogowi (Stanom Zjednoczonym)<sup>2</sup>.

Guevarowskie potrząsanie rakietową szabelką wprawilo w zakłopotanie redakcję „Daily Worker” w Londynie. Mieli oto w rękach dowód, że na tle sprawy rakiet zaistniał rozdźwięk między Hawaną a Moskwą. Tymczasem trzy dni wcześniej Wielki Miś, Chruszczow, dał obowiązującą wykładnię całej sprawy w przemówieniu na forum Rady Najwyższej: Związek Radziecki wysłał rakiety na Kubę wyłącznie w celach obronnych. A oto Guevara pozwala sobie zadać kłam słowom Chruszczowa i obwieszcza światu, że kubańscy zapaleńcy zamierzali zetrzeć na proch co najmniej kilka amerykańskich miast.

Redakcja postanowiła załatwić sprawę w jedyny, w istocie, możliwy sposób. Ocenzurowała i stonowała wypowiedź Guevary tak, aby nie odbiegała ona od linii nakreślonej przez Wielkiego Brata<sup>3</sup>.

James Donovan, adwokat z Nowego Jorku, nadal jeszcze prowadził trudne rozmowy z Fidelem Castro w sprawie zwolnienia z kubańskich więzień około tysiąca dwustu jeńców, wziętych w czasie inwazji w Zatoce Świń. Od półtora roku trzymano ich w lochach starożytnego zamku Príncipe oraz w obozie na Isla de Pines – wyspie położonej przy południowych brzegach Kuby. Wreszcie, w połowie grudnia 1962 roku, wysiłki przyniosły owoce. Castro zgodził się uwolnić więźniów za królewski wręcz okup w postaci sprzętu medycznego, lekarstw (przekazanych nieodpłatnie przez amerykańskie wytwórnie farmaceutyczne) oraz odżywek dla dzieci, ogólnej wartości pięćdziesięciu trzech milionów dolarów.

Wiele wysiłków na zebranie potrzebnej kwoty poświęcił Bobby Kennedy. Wydzwaniał do właścicieli koncernów, przekonywał, argumentował, a gdy nie dawało się sprawy załatwić inaczej – groził, szantażował, przypierał do muru. Czynił to z zacięciem i poczuciem misji. Odpowiedzialnością za straszliwy los więźniów na Kubie obarczano Jacka. Bobby zdawał sobie sprawę, że ich uwolnienie będzie miało ogromne znaczenie dla prezydentury Kennedy'ego.

Nadszedł wreszcie dzień, gdy przed weteranami Brygady 2506 uchyliły się więzienne wrota. Przystano fryzjerów, aby ich ostrzygli i ogolili, wydano nowe mundury i obuwie, a następnie przewieziono na lotnisko i odesłano do Miami, dokąd dotarli w wigilię Bożego Narodzenia. Cztery

dni później szczęśliwi i uradowani przywódcy organizacji emigracyjnych zorganizowali huczną imprezę powitalną na największym stadionie w mieście.

Oczywiście zaproszono prezydenta Kennedy'ego. Kenny O'Donnell – doradca i bliski współpracownik prezydenta – odradzał mu jednak udział w uroczystości.

– Nie powinien pan tam jechać. Nie wolno panu składać hołdów rebeliantom – argumentował. – Będzie to wyglądać, jakby zachęcał ich pan do nowej inwazji.

– Masz absolutną rację – odparł Kennedy. – Rzeczywiście, nie powinienem jechać, ale pojedę<sup>4</sup>.

W sobotę, 29 grudnia, prezydent w towarzystwie małżonki Jacqueline zjechał na stadion białym kabrioletem. Czterdzieści tysięcy zgromadzonych powitało go ogłuszającą owacją. Na trybunach wykwitły dziesiątki tysięcy amerykańskich i kubańskich flag. Kennedy przeszedł przed szpalerem członków brygady. Każdemu uściśnął rękę.

– Panie prezydencie – rzekł dowódca brygady, gdy zaczęła się oficjalna część uroczystości – moi ludzie pragną przekazać panu na przechowanie sztandar brygady – i wręczył Kennedy'emu starannie złożony skrawek złoto-błękitnej materii. Wyraźnie wzruszony prezydent rozwinął sztandar, podszedł do mikrofonu.

– Panie komendancie, panie doktorze, chcę pana zapewnić, że brygada odzyska swój sztandar w wolnej Hawanie!<sup>5</sup>

Na trybunach rozbrzmiały gromkie wiwaty i okrzyk: *guerra, guerra!* (wojna, wojna!).

1 stycznia 1963 roku Fidel Castro uroczystie obchodził czwartą rocznicę przejęcia władzy. Zorganizował z tej okazji widowisko rzadkiej miary, wielką, dwugodzinną paradę wojskową. Miejsca na trybunie honorowej na placu Rewolucji w Hawanie zajęło czterystu notabli nowego reżimu i zaproszeni goście z zagranicy (a wśród nich radziecki kosmonauta, Paweł Popowicz). Z zachwytem obejrzeli nie kończący się strumień narzędzi wojny, dostarczonych przez Moskwę.

Przed trybuną przeciągnęły kolumny ciężkich i średnich czołgów, przetoczyły się setki wozów pancernych i ciągników wlokących potężne rakiety. Górą defilowały formacje *MiG-ów*. Castro pokazał znacznie więcej sprzętu, niż – według amerykańskich agentów wywiadowczych – posiadał przed rozpoczęciem kryzysu raketowego.

Po defiladzie Najwyższy Przywódca wspiął się na mównicę, aby wygłosić ostre słowa krytyki pod adresem prezydenta Kennedy'ego za sposób, w jaki powitał w Miami jeńców z Zatoki Świń. Z każdym słowem podniecał się coraz bardziej:

Nigdy żaden prezydent Stanów Zjednoczonych nie dopuścił się takiej obrazy godności swego urzędu jak ten bandyta, ten herszt piratów i korsarzy, który wyszedł na powitanie bandy tchórzy (jeńców z Zatoki Świń), zapewniając ich, że odzyskają swój sztandar w wolnej Hawanie<sup>6</sup>. Zapewne – ciągnął Castro pośród rechotu spędzonego tłumu zwolenników – miał na myśli bar w Miami o nazwie „Wolna Hawana”. A może po prostu wstał tam wcześniej i wypił o jednego za dużo!<sup>7</sup>

Bobby Kennedy tymczasem dokonał przeglądu rezultatów operacji „Mangusta”. Nie był zadowolony. Przy bliższym wejrzeniu wszystko, co udało się zrobić, sprowadzało się do wysadzenia w powietrze kilku mostów i paru cukrowni na Kubie.

I znów w CIA gilotyna poszła w ruch. Jako pierwszy dał głowę szef Grupy Specjalnej, wielki Bill Harvey. Został odesłany najdalej jak można – na kierownika rezydentury CIA w Rzymie, pięć i pół tysiąca kilometrów od Waszyngtonu.

Kennedy serdecznie go nie znosił i już dawno wpisał na czarną listę, a zaczęło się to od błahego, zdawałoby się, incydentu na początku 1962 roku. Bobby wizytował wtedy JM WAVE – tętniącą życiem placówkę CIA w Miami. Zupełnym przypadkiem zwrócił uwagę na depeszę, która właśnie nadeszła dalekopisem z „Kwaszarni” – centrali CIA w Langley, w Wirginii. Nie wiedzieć dlaczego, zerwał ją z maszyny i trzymając w ręku ruszył do wyjścia. „Hej – zainteresowałeś, tyle przytomnie co niezbyt dyplomatycznie, Harvey – gdzie do cholery pan z tym idzie?”

Harvey zadziałał czujnie i nader energicznie. Dokument przeznaczony był do użytku wewnętrznego. Zawierał między innymi kryptonimy operacyjne CIA i w niepowołanych rękach mógł poczynić sporo szkód. Wyrwał Kennedy'emu papier z garści. Kennedy poczerwieniał ze złości i wtedy to Harvey dostał się na czarną listę prokuratora generalnego. Wkrótce po odesłaniu Harveya na boczny tor, ze sceny zniknął także generał Ed Lansdale, legendarny agent, którego bracia Kennedy chcieli uczynić szefem operacji „Mangusta”. Ogłoszono, że generał udaje się na zasłużoną emeryturę.

Jednocześnie zapadła decyzja o rozwiązaniu Grupy Specjalnej W. W jej miejsce powołano ciało o nazwie Special Affairs Staff (Sztab

do spraw Specjalnych) z Desmondem FitzGeraldem jako kierownikiem.

Des Fitz – jak go nazywano w Agencji – pracował w sekcji daleko-wschodniej CIA i znał się na rzeczy. Do wywiadu trafił po ukończeniu prawa na Harvardzie. Zwerbowany do OSS, służył w czasie II wojny światowej jako doradca przy oddziałach Czang Kaj-szeka w Chinach.

Des Fitz znakomicie wpasował się w pieczołowicie tworzony obraz dworu Kennedych. Miał po temu stosowne przygotowanie. Nim wstąpił do CIA, pracował w prestiżowej firmie prawniczej. Stosownie się też ożenił. Małżonka, Marietta Tree, należała do waszyngtońskiej śmietanki towarzyskiej.

Wkrótce po objęciu sukcesji po Harveyu Des Fitz wymyślił dość niezwykły plan pozbycia się Fidela Castro. W dziale technicznym CIA zamówił nafaszerowaną materiałem wybuchowym muszlę. Plan zaś polegał na tym, że ową konchę miano umieścić na morskim dnie, w pobliżu ekskluzywnego kąpieliska Varadero, gdzie Najwyższy Przywódca lubił się pływać i gdzie nurkował pod strażą goryli. Minę ukrytą w muszli zamierzano odpalić właśnie w czasie jednej z podmorskich wypraw wielkiego Fidela. Podwładni Desa Fitz'a nie podzielali entuzjazmu swego szefa. Pytali wprost, jaka jest pewność, że spośród setek muszli spoczywających na morskim dnie, Fidel zwróci uwagę akurat na tę jedną? Plan więc zarzucono. Nie tyle ze względu na trudności techniczne, ile za sprawą nowej polityki Kennedych, którzy poważnie potraktowali zobowiązanie wobec Nikity Chruszczowa, że nie dokonają najazdu na Kubę i że wstrzymają tajne akcje wymierzone przeciwko Najwyższemu Przywódcy.

Jednocześnie z czystką w CIA bracia Kennedy zdecydowali o zmianach w ExComie. Komitet został znacznie okrojony i przemianowany na Stałą Grupę w następującym składzie: Bobby Kennedy, Robert McNamara, John McCone – szef CIA, Theodore Sorensen – zaufany doradca prezydenta oraz McGeorge Bundy. Już na pierwszym posiedzeniu ujawniły się głębokie różnice między członkami grupy, jeśli chodzi o kierunki działań wobec Kuby. Jedni chcieli biec do Hawany z gałązką oliwną, drudzy, przeciwnie, woleli grozić kijem.

Jack Kennedy nie potrafił zapamiętać imienia Bundy'ego. Bywało, że zwracał się doń per „McBundy”, innym razem wołał nań zwyczajnie „George”. Były dziekan jednego z wydziałów Uniwersytetu Harvarda był człowiekiem wielkich ambicji, ogromnej inteligencji i nie-

spożytej energii. Jego autorstwa była teza, że Ameryka „musi wreszcie ułożyć sobie stosunki” z Fidelem Castro<sup>9</sup>.

Na drugim biegunie znaleźli się przedstawiciele Pentagonu, opowiadający się za wzmaganiem presji „politycznej, gospodarczej, psychologicznej i wojskowej” w celu doprowadzenia do „obalenia Fidela Castro i reżimu komunistycznego”. W rozmowach prywatnych generałowie i admirałowie wyrażali żal, że „pociąg odjechał”, czyli że Ameryka przegapiła szansę dokonania inwazji na Kubę przy okazji kryzysu raketowego.

## Radziecki statek ostrzelany

Pokojowe rozwiązanie kryzysu kubańskiego było gorzką pigułką dla antycastrowskiej emigracji na Florydzie. Zostawiało ich ojczyznę w niewiarygodnych rękach Najwyższego Przywódcy. Rozgoryczeni takim stanem rzeczy emigranci zaczęli więc naciskać na administrację Kennedy'ego, chcąc ją zmusić do podjęcia zbrojnej interwencji na Kubie. Kampania na rzecz inwazji miała charakter zorganizowany, a w jej ramach stosowano wiele różnych środków, od rozpuszczania odpowiednich pogłosek i plotek, po własne zbrojne akcje i tajne operacje.

Do CIA zaczęły docierać meldunki, że anonimowi informatorzy alarmują telefonicznie i listownie europejskie przedstawicielstwa w Hawanie, iż Chruszczow wcale nie wycofał wszystkich rakiet dalekiego zasięgu z Kuby, przeciwnie, sporą część zostawił, a Castro ukrył je w górskich jaskiniach. Do ambasad zgłaszali się tajemniczy informatorzy ze szkieletami kryjówek i przechowywanych w nich rakiet.

Siłą rzeczy informacje te dotarły także do Kongresu. Taki zresztą był zamiar tych, którzy je rozpowszechniali. W konsekwencji, 31 stycznia 1963 roku senator Kenneth Keating opublikował oświadczenie, że Moskwa ukrywa rakietę atomową w kubańskich pieczarach i jaskiniach. Dwa dni później senator zażądał, aby prezydent Kennedy przedstawił plan konkretnych działań, zmierzających do usunięcia siedemnastotysięcznego radzieckiego personelu wojskowego z Kuby<sup>1</sup>.

Richard Nixon, czując, że na tej sprawie może zbić polityczny kapitał, też wtrącił swoje trzy grosze:

Najpierw podjęliśmy nieudolną próbę inwazji, później złożyliśmy finansowy hołd Fidelowi Castro za jeńców, a teraz przyznajemy prawo sowieckim dzikim lokatorom do panoszenia się na naszym własnym podwórku<sup>2</sup>.

Kubańscy uchodźcy tymczasem podejmowali zbrojne rajdy przeciwko Fidelowi. Oddziały bojowe, kryjące się pod szyldami takimi jak Alpha 66, Commando L, czy Second Front of Escambray (Drugi Front Escambray) wyprawiały się szybkimi motorówkami z Florydy i Bahamów na wody wokół Kuby, atakując kubańskie statki handlowe. „Nie uzgodnione rajdy” wielce komplikują sytuację – oświadczył Kennedy w wywiadzie dla prasy<sup>3</sup>.

18 marca jedna z takich motorówek wdarła się do portu Isabela de Sagua, dwieście pięćdziesiąt kilometrów na wschód od Hawany, i ostrzelała cumujący tam sowiecki statek *Lwow*. Osiem dni później w podobny sposób zaatakowano inny radziecki frachtowiec *Baku* w porcie Caibarien. W obu przypadkach atakujący wyrządzili znaczne szkody materialne, a ponoć były też ofiary w ludziach.

W Miami przywódcy Alpha 66 i Commando L triumfalnie ogłaszali, że to ich dzieło.

Chruszczow naturalnie podniósł krzyk, a odpowiedzialnością za napaści obciążył Waszyngton.

Fidel Castro pospieszył z oświadczeniem, że w zaistniałej sytuacji będzie zmuszony zwrócić się (do Moskwy) o przekazanie Kubie bombowców dalekiego zasięgu oraz okrętów wojennych do ochrony morskich szlaków transportowych.

Szef CIA, John McCone, złożył Bobby'emu Kennedy'emu, jako członkowi Rady Bezpieczeństwa Narodowego, długi meldunek, z którego wynikało, że za pomocą odpowiednich, tajnych oczywiście działań, dałoby się wywołać w łonie kubańskich sił zbrojnych bunt przeciwko Fidelowi Castro.

Zgodnie ze swym zwyczajem Bobby natychmiast sporządził stosowną notatkę na użytek prezydenta:

John McCone stwierdził z niejakim optymizmem, że istnieje możliwość wywołania buntu (w kubańskich siłach zbrojnych). Co w tej sytuacji możemy i powinniśmy zrobić?... Czy mamy dowody na istnienie konfliktów w łonie kierownictwa kubańskiego, a jeśli tak, to czy CIA lub USIA (US Information Agency – Agencja Informacyjna Stanów Zjednoczonych) podejmują jakiegokolwiek działania, aby owe konflikty podsycać? Nie chciałbym, aby za – powiedzmy – rok od dziś ktoś powiedział, że była szansa doprowadzenia do rozłamu na Kubie, a my siedzieliśmy z założonymi rękami<sup>4</sup>.

Ale Jack nie był ani taki prędko, ani tak chętny jak brat do wznowienia tajnej wojny przeciwko Fidelowi. Nie odpowiedział, po raz pierwszy chyba, na notatkę Bobby'ego, sugerującą nasilenie tajnych operacji. Prezydent obawiał się, że dywersyjne akcje podejmowane

przez emigranckich zapaleńców mogą sprowokować zbrojną interwencję radziecką, a także odwetowe kroki ze strony Kuby, wymierzone w statki amerykańskie. Tymczasem jednak zbrojne rajdy trwały.

Tydzień później Rada Bezpieczeństwa Narodowego ponownie podjęła problem Kuby. Po posiedzeniu Bobby powiadomił prezydenta, że Rada zdecydowała, iż należy położyć kres wyprawom bojowym podejmowanym z Florydy.

Nazajutrz prezydent wydał oświadczenie, iż „podejmie wszelkie niezbędne kroki”, aby wykluczyć w przyszłości wyprawy bojówek emigranckich wymierzone przeciwko Kubie. Zaraz potem Departament Sprawiedliwości pod kierownictwem Bobby'ego wystąpił z nader głośnym oskarżeniem przeciwko kilku przywódcom kubańskich organizacji emigranckich o „pogwałcenie ustaw o neutralności Stanów Zjednoczonych”. Jednocześnie też Centralna Agencja Wywiadowcza otrzymała kategoryczne polecenie wycofania pomocy finansowej dla Miró Cardony i jego antycastrowskiej Kubańskiej Rady Rewolucyjnej<sup>5</sup>.

Rok wcześniej, w marcu 1962 roku, J. Edgar Hoover powołał W. Raymonda Wannalla, pracownika FBI z dwudziestoletnim stażem, na szefa tzw. Nationality Intelligence Section (Sekcji Wywiadu Narodowościowego) – specjalnej komórki w Wydziale Wywiadu, zajmującej się zbieraniem materiałów i działaniami wywiadowczymi we wszystkich krajach poza blokiem komunistycznym. W jej ramach trzyosobowy zespół zajmował się problemami krajów Ameryki Łacińskiej, włącznie z obszarem Karaibów.

W sumie zaś Nationality Intelligence Section skupiała około dwudziestu oficerów operacyjnych. Ich meldunki trafiały na biurko Wannalla, dzięki czemu trzymał on rękę na pulsie wydarzeń na Kubie, w Ameryce Środkowej i Południowej oraz na Karaibach.

29 marca 1963 roku Wannall został w pilnym trybie wezwany do Alana Belmonta, zastępcy Hoovera<sup>6</sup>.

Belmont oczekiwał nań w towarzystwie Courtney'ego Evansa, oficera łącznikowego FBI w gabinecie Bobby'ego Kennedy'ego oraz w Białym Domu.

Evans zajmował to niezwykle trudne stanowisko od dwóch lat. Funkcjonował jakby między młotem a kowadłem, starając się objaśnić zdanie Bobby'ego Hooverowi, a Bobby'emu opinie Hoovera i łagodzić ich wzajemne stosunki. Nicholas Katzenbach, ówczesny zastępca prokuratora generalnego, wspominał później, że był tylko jeden sposób, w jaki Evans mógł spełniać swoją misję, musiał mianowicie

„każdemu z nich – Bobby'emu i Hooverowi – zupełnie inaczej naświetlać sprawę”.

Z ust Belmonta Wannall dowiedział się, że tego samego dnia, o piętnastej, a więc za kilkadziesiąt minut – bowiem spotkanie w gabinecie zastępcy Hoovera odbywało się już po lunchu – ma wspólnie z Courtem Evansem reprezentować FBI na naradzie zwołanej przez Bobby'ego, właśnie na temat zbrojnych rajdów podejmowanych przez bojówki uchodźców przeciwko sowieckim i kubańskim statkom.

Sprawa była pilna, nadeszła bowiem wiadomość, iż dwa „niezidentyfikowane” odrzutowce typu *MiG* ostrzelały na wodach międzynarodowych, w rejonie na północ od Kuby, prywatną jednostkę pod banderą USA. Z Florydy natychmiast wysłano w rejon zdarzenia myśliwce amerykańskie. Eskortowały one ostrzelany statek aż do Miami.

W naradzie u Bobby'ego wzięli udział przedstawiciele wszystkich „siłowych” agend i instytucji państwowych. Poza delegatami FBI obecni byli reprezentanci CIA, Służby Imigracyjnej, Marynarki Wojennej, Straży Wybrzeża, Służby Celnej, Wydziału Bezpieczeństwa Wewnętrznego Departamentu Sprawiedliwości oraz Departamentu Stanu.

Bobby, jak zwykle, nie dbał o formalności ani o protokół. Pojawił się bez marynarki, z zawiniętymi rękawami koszuli i rozluźnionym krawatem. Bez żadnych wstępów obwieścił, że prezydent domaga się, aby wreszcie położyć kres zbrojnym wyprawom przedsięwziętym przez organizacje emigranckie przeciwko Kubie. Szesnastu spośród uczestników narady ma się natychmiast udać na Florydę i tam na miejscu podjąć stosowne decyzje.

Dyrektorowi Defense Intelligence Agency\* polecił, aby niezwłocznie przygotowano transportowiec wojskowy. Odlot na Florydę ma nastąpić jeszcze dziś o dziewiętnastej, z bazy Andrews pod Waszyngtonem.

Narada skończyła się o siedemnastej, wyznaczeni do wyjazdu mieli więc tylko trzy godziny na ewentualne przygotowania. Nikt nie miał pojęcia, jak długo będą przebywać na Florydzie.

Większość postąpiła zapewne jak Ray Wannall. Zadzwoił zaraz do żony, Trudie, do pracy z informacją, że właśnie „trafiają mu się nie planowane, darmowe wakacje na Florydzie” i z prośbą, aby spakowała mu walizkę i przywiozła do biura najpóźniej o osiemnastej.

\* Agencji Wywiadu Obronnego, czyli wywiadu wojskowego, podległego Pentagonowi [przyp. tłum.].

- Na jak długo jedziesz? - spytała zaskoczona Trudie.

- Tego nie wiem - odparł<sup>7</sup>.

Nie pytając o nic więcej, Trudie wybiegła z pracy, wskoczyła do auta i popędziła do domu. Wybrała sporą walizkę, wrzuciła do niej co trzeba. Było w pół do szóstej, do miasta ponad siedemnaście kilometrów w szalonym tłoku, bo właśnie zaczynał się przedwieczorny szczyt na ulicach.

Za piętnaście osiemnasta Ray Wannall wyszedł z gabinetu, stanął przed budynkiem, czekając na żonę i bagaż. Nie doczekał się. Trudie utknęła w korkach. Pięć po osiemnastej Ray wziął taksówkę i pojechał na lotnisko. Na wszelki wypadek kazał jednak jednemu ze swoich pracowników poczekać jeszcze trochę przed biurem.

Trudie wreszcie dotarła. Na złamanie karku pracownik Wannalla popędził na lotnisko. Dotarł na miejsce w ostatniej chwili. Właśnie dochodziła dziewiętnasta. Za chwilę samolot wystartował.

W Miami lądował dziesięć minut po północy. Miasto spało. Wannall prosto z lotniska udał się do miejscowej placówki FBI, żeby omówić sprawę przed spotkaniem wyznaczonym na siódmą piętnaście rano.

Narada trwała do południa. Podjęto wiele praktycznych decyzji. Postanowiono uprzedzić wyznaczonych działaczy spośród kubańskiej emigracji, że w przypadku, gdy opuszczą, choćby na chwilę, terytorium Stanów Zjednoczonych i wypłyną przynajmniej na metr poza pięciokilometrowy pas wód terytorialnych, nie zostaną wpuszczeni z powrotem. Zdecydowano też, że Straż Wybrzeża nasili patrole wzdłuż Florydy, a FBI wzmoże działania operacyjne i penetrację organizacji emigranckich, aby wykluczyć dalsze ataki na kubańskie i sowieckie statki.

Osiemdziesiąt minut po zakończeniu odprawy delegacja odleciała do Waszyngtonu. „Darmowe wakacje na Florydzie” trwały w sumie niespełna dwadzieścia godzin. Wannall nawet nie otworzył walizki, którą Trudie przygotowała z takim trudem, licząc się z tym, że może przyjdzie mu spędzić w Miami tydzień, a może nawet miesiąc<sup>8</sup>.

Po naradzie na Florydzie odpowiednie agendy przystąpiły do realizacji podjętych decyzji. FBI doprowadziło do zamknięcia licznych obozów i placówek organizacji emigranckich, konfiskując spore ilości broni, amunicji i materiałów wybuchowych.

Prezydent Kennedy oficjalnie obarczył antycastrowskie ugrupowania działające na Florydzie winą za napaści na kubańskie i sowieckie statki. Ale czy ugrupowania te funkcjonowały samodzielnie i podejmowały działania na własną rękę? Ktoś przecież musiał je finansować, ktoś koordynował akcje rozmaitych grup, ktoś je inspirował,

któs zachęcał. Nie można więc wykluczyć, że za działaniami emigrantów stali funkcjonariusze CIA, którzy prowadzili własną politykę, różną od polityki Białego Domu.

Warto zwrócić uwagę na zdanie, jakie kapitan Bradley E. Ayers z US Army, delegowany do CIA, usłyszał od generała Victora „Brute” Krulaka - ongiś wielce zasłużonego na frontach II wojny światowej oficera piechoty morskiej, a później szefa służby do walki z ruchami rewolucyjnymi w Pentagonie. W marcu 1963 roku generał Krulak powiedział, że ataki oficjalnie przypisywane kubańskim emigrantom, były w istocie „zaplanowane przez CIA” i że prowadzono je z „tajnych baz CIA na południowej Florydzie”<sup>9</sup>.

## „Trzeba wreszcie coś zrobić z tym Fidelem”

3 czerwca 1963 roku, o szesnastej dwadzieścia dwie, samolot z Najwyższym Przywódcą na pokładzie wylądował na lotnisku w Hawanie. Fidel Castro wracał na Kubę po blisko sześciotygodniowej wizycie w Związku Radzieckim. Przyjmowano go tam po królewsku. Chruszczow i inni nie szczędzili wysiłków, aby niczego mu nie brakowało. Czekaającym na lotnisku dziennikarzom Fidel powiedział tylko tyle: – Możecie napisać, że wreszcie uporaliliśmy się z północnoamerykańskim osłem!<sup>1</sup>

Dwadzieścia cztery godziny później Fidel wystąpił w telewizji. Odpowiadał na pytania dziennikarzy kubańskich. Niespodzianek nie było. Pytający doskonale wiedzieli, o co mają pytać. Wszystko było uzgodnione. Castro mógł więc w odpowiedzi na „spontaniczne” pytania, głosić chwałę Wielkiego Misia Chruszczowa i Związku Radzieckiego w ogóle. W ZSRR, głosił Castro przez blisko trzy godziny, wszystko jest „naj” – najlepsi przywódcy, najlepsze władze, społeczeństwo, szkoły, wojsko, a nawet metro.

Na zakończenie jednak Castro dał do zrozumienia, że nie odrzuca możliwości przywrócenia normalnych stosunków ze Stanami Zjednoczonymi i nie wyklucza rozpoczęcia rozmów na temat rekompensaty za znacjonalizowane (czyli po prostu zrabowane) mienie amerykańskie na Kubie.

Jack Kennedy zbył to oświadczenie wzruszeniem ramion. Dziennikarzom oświadczył, że Stany Zjednoczone nie godzą się na pokojowe współistnienie z radzieckim satelitą. – Żaden inny przywódca satelicki nie spędził w Rosji aż czterdziestu dni bez przerwy – dodał prezydent z zamierzoną ironią<sup>2</sup>.

Castro oczywiście dostał furii. Zaraz też pospiesznie zaczął udowodniać, że Kuba wcale nie jest państwem satelickim: – Satelita, to taki kraj, który się wykorzystuje – orzekł – a Związek Radziecki nie wykorzystuje żadnego państwa<sup>3</sup>.

W Waszyngtonie stała grupa Rady Bezpieczeństwa Narodowego analizowała rezultaty wizyty Fidela w Związku Radzieckim, starając się dociec istoty wyraźnego zwrotu w jego retoryce wobec Kremla. Jeszcze niedawno Castro nie krył niezadowolenia, wręcz złości, na sposób, w jaki rozwiązano kryzys rakietowy, a teraz nie szczędzi pochwał pod adresem Chruszczowa. Czy oznacza to, że Chruszczow obiecał Najwyższemu Przywódcy kolejne dostawy nowoczesnych broni?

Szef CIA, John McCone, wyraził opinię, że najpewniej zaczyna się „zupełnie nowa gra” i w związku z tym należałoby wznowić tajne operacje sabotażowo-dywersyjne przeciwko Kubie, realizowane przez kubańskich uchodźców. Sekretarz obrony, Robert McNamara, opowiadał się za wzmożeniem presji gospodarczej na Kubę. Najbardziej wojowniczy okazał się jednak Bobby Kennedy. – Trzeba coś wreszcie zrobić z tym Castrem – zagrzmiał.

Stała grupa zaleciła wznowienie tajnej wojny. Dwa tygodnie później prezydent Kennedy przyjął plan CIA zakładający rozpoczęcie operacji sabotażowo-dywersyjnych z udziałem uchodźców kubańskich, nacelowanych na obiekty o istotnym znaczeniu gospodarczym na Kubie, takich jak: elektrownie, rafinerie ropy naftowej, szlaki kolejowe i drogowe. Po raz pierwszy prezydent Stanów Zjednoczonych dał zielone światło akcjom wymierzonym przeciwko wyłączonym do tej pory obiektom, a mianowicie zakładom, które Castro zrabował amerykańskim właścicielom<sup>4</sup>.

Ani prezydent, ani Bobby, ani CIA nie żywili złudzeń, że rozpoczynająca się kampania doprowadzi do upadku castrowski reżim. Sprawa polegała na czymś innym. Jak w lustrze odbijała się w niej bezsilność i frustracja Waszyngtonu. Chodziło więc o stworzenie przynajmniej pozorów, że w sprawie komunistycznego bastionu na Karaibach „coś się jednak robi”.

Od czasu kryzysu rakietowego obowiązywał cichy, ale ściśle przestrzegany, zakaz podejmowania prób zabójstwa Fidela Castro i rzeczywiście niczego takiego nie odnotowano. Teraz jednak i w tej mierze nastąpiła zmiana. CIA odnowiła kontakty z niejakim Rolando Cubelą Secadesem, tajnym współpracownikiem w Hawanie. Zostawiono go samego sobie, gdy Kennedy obiecał Chruszczowowi, że Ameryka nie dokona inwazji na Kubę.

Cubela był awanturnikiem z powołania, urodzonym bojownikiem. Powiadano, że to właśnie on dokonał udanego zamachu na szefa wywiadu wojskowego Fulgencio Batisty, a w każdym razie dzięki temu wyczynowi Cubela stał się ważną postacią w Ruchu 26 Lipca. U boku Fidela Castro dowodził oddziałem studentów w górach Escambray. Na tydzień przed triumfalnym przybyciem Fidela do Hawany, w styczniu 1959 roku, Cubela ze swoimi studentami zajął Pałac Prezydencki. Później jednak Cubela rozczarował się do Najwyższego Przywódcy, chętnie przystał na ofertę CIA i został jej tajnym agentem w Hawanie.

Jeszcze chętniej odnowił kontakty po kryzysie. Aż się palił, żeby znów wejść w jarzmo Agencji. Być może za sprawą wysokiej gaży, ale też serdecznie nienawidził Fidela i marzył, aby zadać mu cios.

W nowej sytuacji Fidelowi pozostały już tylko dwa symbole „jankeskiego imperializmu” na wyspie, na których mógł się wyżywać: baza Guantanamo oraz budynek ambasady amerykańskiej. Zbliżała się właśnie dziesiąta rocznica Ruchu 26 Lipca (ataku na koszary Moncada) i na tę uroczystą okazję Najwyższy Przywódca, zawsze dbały o swój publiczny wizerunek, zwłaszcza w krajach Ameryki Łacińskiej, potrzebował czegoś, co pozwoliłoby mu przedstawić Stany Zjednoczone w stosownym świetle.

Znalazł coś takiego, a raczej wyczuł sposobność, gdy 8 lipca amerykański Departament Skarbu – powołując się na zalecenia Organizacji Państw Amerykańskich (OPA), mające na celu położenie kresu castrowskiej dywersji komunistycznej w Ameryce Łacińskiej – wydał decyzję o zamrożeniu aktywów kubańskich (wartości około trzydziestu trzech milionów dolarów) w bankach Stanów Zjednoczonych.

26 lipca dziesiątki tysięcy owieczek Fidela oraz około dziewięćset pięćdziesięciu gości z zagranicy wypełniło plac Jose Marti w Hawanie, aby wysłuchać przemówienia Fidela. Wśród zgromadzonych była nawet spora grupa studentów ze Stanów Zjednoczonych, przybyłych na Kubę wbrew zakazom Departamentu Stanu. Trzech z jej uczestników zostało w stosownym czasie zwerbowanych przez FBI i jako TW (tajni współpracownicy) mieli złożyć odpowiedni raport<sup>5</sup>.

Castro oznajmił, że „gotów jest do rozmów na sporne tematy ze Stanami Zjednoczonymi”, ale – podkreślił – prezydent Kennedy odrzuca wszelkie propozycje rokowań. Wyrzucił też „współczucie” społeczeństwu amerykańskiemu, że musi ono płacić za „głupią i niewłaściwą” politykę Kennedy'ego.

– Ten dżentelmen (Kennedy) jak kowboj strzela głupstwa i popełnia jeden błąd za drugim – grzmiał Najwyższy Przywódca z trybuny na placu Jose Marti, a gdy oznajmił, że właśnie „w imieniu ludu kubańskiego” kazał zająć pusty budynek Ambasady USA w Hawanie, tłum zawył z radości.

W ten sposób Fidelowi pozostał już tylko jeden symbol na wyspie – jeden cel – baza na Guantanamo. Również i ten „bastion jankeskiej arogancji” będzie musiał zniknąć.

W połowie 1963 roku agent specjalny\*, James P. Hosty jr, z oddziału regionalnego FBI w Dallas w stanie Teksas, zwrócił uwagę, że niejaki Lee Harvey Oswald – mający skądinąd zaszarganą opinię i pozostający w kręgu zainteresowania FBI jako niepewny osobnik – zaprenumerował komunistyczną gazetę „Daily Worker”. Wcześniej jeszcze Hosty przesłuchał małżonkę Oswalda, Marinę, obywatelkę radziecką, którą Oswald poślubił tuż przed powrotem z rocznego pobytu w Związku Radzieckim. FBI ustaliło także, że Oswald jest członkiem organizacji o nazwie Fair Play for Cuba Committee (Komitetu na rzecz Uczciwych Stosunków z Kubą), będącej w istocie agendą komunistów. Odnotowano także, że Oswald zajmował się rozdawaniem procastrowskich ulotek na ulicach Dallas.

Oswald tymczasem opuścił Teksas, przeniósł się do Nowego Orleanu w Luizjanie, miasta będącego jednym z głównych ośrodków ruchu antycastrowskiego. Na przedmieściach Nowego Orleanu FBI zlokalizowało spory arsenał broni, zorganizowany przez antycastrowskie bojówki, konfiskując między innymi ponad tonę dynamitu.

7 sierpnia Oswald zgłosił akces do pewnego antycastrowskiego ugrupowania, ale wkrótce potem jeden z członków tego właśnie ugrupowania przyłapał go w czasie rozdawania na ulicach procastrowskich materiałów propagandowych. Doszło do bójki. Oswald znalazł się w areszcie. Wydaje się, a przynajmniej takiej możliwości nie można wykluczyć, że próbując przeniknąć w szeregi ugrupowania antycastrowskiego, działał na czyjeś polecenie. Czyje – nie wiadomo.

Pod koniec sierpnia Oswald wystąpił w debacie radiowej, dając się poznać jako gorący zwolennik Fidela. Wyrażał się o nim niezwykle pochlebnie, bronił jego polityki, a i sam zadeklarował się jako komunista.

Na początku sierpnia opuścił Nowy Orlean, udając się do stolicy Meksyku. Tam zauważono go w czasie rozmowy z pewnym dyplomatą radzieckim – zdaniem FBI – kadrowym funkcjonariuszem KGB.

\* Tak brzmi tytuł służbowy oficerów operacyjnych FBI [przyp. tłum.].

Wkrótce potem wrócił do Dallas i właśnie wtedy Hosty znów przeluchiwał Marinę, odnosząc wrażenie, że biedna kobieta jest do głębi czymś przerażona, co Hosty odnotował w raporcie.

Dwa dni po przesłuchaniu Oswald wrócił do siedziby FBI w Dallas, zostawiając list adresowany do Hosty'ego, w którym groził, że wysadzi FBI w powietrze, jeśli Hosty nie przestanie nękać Mariny.

A tymczasem na początku września Rolando Cubela, dawny zastępca Fidela, otrzymał od swoich obecnych mocodawców z CIA polecenie udania się do São Paulo w Brazylii. W São Paulo właśnie Cubela otrzymał nową „robotę”. W czasie nocnego spotkania przedstawiciel CIA polecił mu „zająć się” Fidelem.

Tak się złożyło, że nazajutrz po tym spotkaniu Fidel pojawił się na przyjęciu w Ambasadzie Brazylii w Hawanie. W rozmowie z korespondentem agencji Associated Press, Danielem Harkerem, wytoczył kilka dział przeciwko Kennedy'emu. – Kennedy – oznajmił – to Batista naszych czasów, największy oportunistą ze wszystkich prezydentów. Jeszcze większy demagog – ciągnął – niż Eisenhower, a co więcej, należy do „rodziny oligarchów”, która kontroluje kilka najwyższych urzędów w państwie.

Między jednym pociągnięciem cygara a drugim Fidel dodał jeszcze, że Kennedy znacznie więcej uwagi poświęca sprawie wyborów na drugą kadencję, aniżeli potrzebom własnego społeczeństwa i „w ogóle myśli tylko o sobie” – podkreślił, wymachując cygarem.

Kennedy'ego też obarczył odpowiedzialnością za zbrojne wyprawy organizowane przez antycastrowskich emigrantów „sponsorowanych przez CIA”<sup>7</sup>.

Czy rzeczywiście był to zbieg okoliczności, że Fidel pojawił się w ambasadzie Brazylii niemal dokładnie wtedy, gdy Cubela w São Paulo snuł plany zabójstwa Najwyższego Przywódcy? A może Fidel już o wszystkim wiedział, może już go uprzedzono? W rozmowie z Harkerem pojawił się znamieny wątek. Castro zagrzmiął: – Kennedy powinien się strzec terrorystycznych planów, obliczonych na likwidację przywódców kubańskich. Jesteśmy w pełni przygotowani, aby odpowiedzieć w ten sam sposób. Jeśli przywódcy Stanów Zjednoczonych udzielą poparcia terrorystom, to sami też znajdą się w niebezpieczeństwie i niech mają tego świadomość!<sup>8</sup>

Trzy tygodnie później, tuż po wielogodzinnym przemówieniu wygłoszonym do grup rewolucyjnych, Castro udzielił posłuchania grupie dziennikarzy. Kuba – oświadczył – jest ofiarą „nie wypowiedzianej wojny”, za którą winę ponosi prezydent Kennedy. Wyjaśnił zarazem,

że wojna ta polega na blokadzie gospodarczej, pirackich napaściach podejmowanych przez uciekinierów z Kuby oraz aktach sabotażu. (Kennedy i inni uczestnicy amerykańskich władz) to wrogowie, a my już potrafimy odwzajemnić się pięknym za nadobne – podkreślił<sup>9</sup>.

Głęboką nocą 21 października kuter *Rex*, należący niegdyś do Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych, rzucił z cicha kotwicę osiemset metrów od brzegów Kuby. Dwunastu wyszkolonych przez CIA komandosów zwerbowanych spośród uchodźców, w pełnym rynsztunku bojowym, z twarzami pomalowanymi na czarno, z ładunkiem materiałów wybuchowych, zsunęło się do dwóch nadmuchiwanym łodzi motorowych ze specjalnie wyciszonymi silnikami i ruszyło ku brzegowi. Czuli się pewnie i bezpiecznie. Linia brzegowa Kuby liczy ponad trzy tysiące kilometrów, pełnych zatok, zatoczek, rzecznych ujść i skał. Nie sposób upilnować wszystkiego.

Nagle jednak nocną ciszę rozdarł potworny huk. Do brzegu pozostawało nie więcej niż sto metrów, gdy w stronę łodzi pomknęły serie pocisków smugowych. Desant wpadł w pułapkę. Castro bez wątplenia wiedział o planowanej operacji. Celne kule rozdarły poszycie pierwszej łodzi, dosięgnęły pasażerów. Martwi i ranni osuwali się w wodę. Załoga drugiej łodzi rozpaczliwie szukała ratunku. Starając się uciec spod ognia, powiosłowała w kierunku brzegu, prosto w ręce oprawców Fidela.

Z wysokości mostka Alejandro Brooks, kapitan *Rexa*, widział wszystko jak na dłoni. Nic jednak nie mógł zrobić. Nie miał szans, a rozkaz CIA nie pozostawiał wyboru. Za wszelką cenę musiał ratować statek. Nie wolno mu było dopuścić, aby cenny sprzęt elektroniczny do nashuchu nieprzyjacielskich stacji dostał się w ręce wroga.

Ze ściśniętym sercem dał sygnał do odwrotu, zwłaszcza że od brzegu nadlatywały kubańskie śmigłowce. Dostarczone przez Moskwę maszyny kierowały się prosto na *Rexa*. Jeszcze jeden dowód, że ktoś zdradził, że szpiegzy Fidela znali każdy szczegół operacji. Ze śmigłowców wystrzelono flary. Morze rozjaśniało po horyzont. Od brzegu pędziły już kubańskie kutry patrolowe, omiatając fale potężnymi reflektorami, ale *Rex* zdołał ujść. Wyrwał się z okrażeń, nikiąc w mroku nocy.

Przypadek sprawił, że w pobliżu przepływał właśnie frachtowiec *J. Louis*, trzydziestodwutysięcznik należący do armatora ze Stanów Zjednoczonych, ale pod banderą Liberii. Szedł z Jamajki do Corpus Christi, portu w Teksasie. Choć znacznie większy od *Rexa*, to załogi pięciu kubańskich *MiG-ów-21*, które zjawiły się na scenie, wzięły go za ściganą jednostkę. Zaczęła się jatka. Myśliwce zawracały dziesięć,

a może piętnaście razy, odpalając rakiety i ostrzeliwując statek z kabinów maszynowych.

Już po chwili kadłub wyglądał jak sito. Na pokładzie wybuchły pożary. Szczęśliwie jednak nikt z załogi nie został nawet ranny. Gdy po wyczerpaniu amunicji kubańscy, a może radzieccy piloci *MiG-ów*, wreszcie dali spokój, *J. Louis* powlókł się dalej, do portu w Teksasie.

Tymczasem na brzegu schwytano czterech nieszczęsnych uczestników desantu. Fidel promieniał ze szczęścia. Znow przydybał Wuja Sama na gorącym uczynku, a to oznaczało propagandową bonanzę. Wykorzystał ją do końca. 30 października nieszczęsną czwórkę pokazano światu na specjalnej, telewizyjnej „konferencji prasowej”. Cała też czwórka posłusznie przyznała się „do winy”.

Poza tym mówili niewiele, bo Fidel swoim zwyczajem nie odstąpił od mikrofonu. Wygłosił tyradę przeciwko CIA, potępił „robactwo” (czyli uchodźców politycznych z Kuby), które stale – jak podkreślił – próbuje sabotować kubańską rewolucję z podpuszczenia „tego nędznika”, prezydenta Kennedy'ego. Zaatakował nawet amerykański Czerwony Krzyż, co to „oszukał” go na dziesięć milionów dolarów, bo nie dopłacił za uwolnienie jeńców z Zatoki Świń<sup>10</sup>.

Rolando Cubela, kandydat na zabójcę Fidela z nominacji CIA, wrócił tymczasem z Brazylii na Kubę. Nie podjął jednak żadnych działań, zażądał natomiast spotkania z Bobbym Kennedym. Celu i tematu nie chciał ujawnić. CIA miała opory. O bezpośrednim kontakcie agenta z prokuratorem generalnym nie powinno być mowy, choćby dlatego, że nie można było wykluczyć, iż Cubela pracuje na dwie strony – dał się zwerbować, pozostając w istocie na usługach Castra.

Cubela jednak nie ustępował. Problem rozwiązał wreszcie Richard Helms, szef tajnych operacji. Na spotkanie z Kubańczykiem delegował Desmonda FitzGeralda. Miał on wystąpić w imieniu Bobby'ego<sup>11</sup>.

Do spotkania doszło 29 października. Do dziś nie ujawniono, gdzie się odbyło. FitzGerald oświadczył, że przybywa z polecenia prokuratora generalnego. Cubela zaczął się skarżyć, że zadanie, jakie ma wykonać, jest wyjątkowo trudne i właściwie nie wie, jak się do niego zabrać. Fidela stale otacza silna ochrona. Nie ma sposobu, żeby do niego dotrzeć, zbliżyć się na odległość strzału. Nawet, gdy jedzie samochodem ulicami Hawany, to ochrona otacza go ze wszystkich stron. CIA, podkreślał Cubela, musi zrewidować plan, wymyślić coś innego i to coś takiego, co jemu, Cubeli, pozwoli jednak ująć z życiem.

Trzy tygodnie później obaj rozmówcy spotkali się ponownie, tym razem w Paryżu, i w czasie tego spotkania FitzGerald miał ponoć

zapropnować Cubeli „pieniądze oraz taki sprzęt, jakiego tylko sobie życzy – tłumiki na broń, lunety snajperskie” i tym podobne rzeczy.

Miał też wręczyć Cubeli rzecz, która później stała się sławna za sprawą filmów z Jamesem Bondem, a mianowicie, stosownie przysposobiony długopis. Umieszczono w nim specjalną igłę z trucizną, tak cienką, że ukłucia nie można by stwierdzić nawet przy najskrupulatniejszych oględzinach. Cubela nie był zachwycony. Jego zdaniem, CIA mogłaby jednak wymyślić coś lepszego<sup>12</sup>.

Plan zabójstwa Fidela – ostatni, jaki CIA starała się zrealizować – upadł definitywnie, gdy Cubelę aresztowano w Hawanie. Odbył się proces. Zapadł wyrok – kara śmierci, który Castro osobiście, z siebie tylko znanych powodów, zamienił na trzydzieści lat więzienia.

Prezydent Kennedy tymczasem zaczął mieć dość werbalnych ataków Fidela przeciwko Ameryce i sobie. 18 listopada wystąpił na forum Inter-American Press Association (Międz amerykańskie Stowarzyszenie Prasy) w Miami. Mówił o sojuszu dla postępu. Podkreślał, że powołany przezeń do życia program działań wcale nie polega na tym, aby dyktować jego uczestnikom – krajom Ameryki Łacińskiej – „jak powinny organizować własną gospodarkę”, ale dodał też, że „garstka spiskowców (kubańskich) próbuje podminować” demokratyczne państwa półkuli zachodniej.

Słowo „spiskowcy” odnosiło się oczywiście do Fidela Castro i jego popleczników. Ich to działania – podkreślał prezydent – dzieli Kubę i Stany Zjednoczone, ale gdy Kubańczycy odzyskają suwerenność, gdy Kuba będzie mieć możliwość decydowania o sobie, wtedy Stany Zjednoczone „wyciągną do niej pomocną dłoń i zaoferują przyjaźń”. W tłumaczeniu na język bardziej zrozumiały oznaczało to, że jeśli Kubańczycy wykopią wreszcie Fidela Castro, to wtedy na wyspę spłynie rzeka dolarów, a dzięki niej anemiczna gospodarka ruszy z miejsca i ludziom będzie lepiej.

## „Zastrzelono prezydenta!”

22 listopada 1963 roku, tego samego dnia, kiedy Desmond Fitzgerald spotkał się w głębokiej tajemnicy z Rolando Cubelą w Paryżu, prezydent Kennedy gościł w Teksasie. Rankiem wziął udział w śniadaniu zorganizowanym przez Izbę Handlową w Fort Worth, zrzeszającą miejscowych biznesmenów. Prezydent zjechał do Teksasu z całym orszakiem, aby załagodzić spór, jaki wybuchł w szeregach teksańskiej Partii Demokratycznej.

Po wystąpieniu w Izbie Handlowej prezydent wrócił do hotelu – razem ze swą żoną zatrzymał się w Teksasie, najlepszym hotelu w mieście. Wkrótce miał odlecieć do Dallas. Tymczasem rozmawiał z małżonką Jacqueline i Kennethem O'Donnellem, przyjacielem z czasów wspólnych studiów na Harvardzie, a obecnie zaufanym doradcą. Była to znamienita rozmowa. Prezydent bowiem podniósł sprawę własnej ochrony, Secret Service, elitarnego oddziału, usytuowanego formalnie w Departamencie Skarbu, odpowiedzialnego za bezpieczeństwo głowy państwa. Prezydent z niejaką rezygnacją zauważył, że agenci mogą co najwyżej ochronić go przed entuzjazmem tłumów, ale nie przed zamachem, bo jeśli już ktoś chciałby go pozbawić życia, to mógłby to uczynić w stosunkowo prosty sposób. Wystarczy, że strzelec wyborowy ukryje się na piętrze jakiegoś budynku przy trasie przejazdu prezydenta i że będzie miał do dyspozycji karabin z lunetą. W takiej sytuacji ochrona na nic się nie zda<sup>1</sup>.

Ten sam temat poruszono jeszcze raz tego samego ranka, podczas lotu do Dallas, na pokładzie prezydenckiej maszyny *Air Force One*. Lot z Fort Worth do Dallas trwał krótko. O jedenastej trzydzięci jeden samolot wylądował na lotnisku Love Field w Dallas. Wśród

osób towarzyszących prezydentowi w podróży był między innymi kongresman Henry Gonzalez z Teksasu. Nawiązując do rozmowy na pokładzie samolotu, Gonzalez zażartował przy wysiadaniu: – No cóż, ryzykuję – nie założyłem kamizelki kuloodpornej!<sup>2</sup>

Z lotniska prezydent udawał się do Dallas Trade Mart, gdzie zaplanowano spotkanie z mieszkańcami miasta. W otwartym samochodzie prezydentowi towarzyszyła małżonka i gubernator Teksasu, John Connally. Wzdłuż całej trasy z lotniska tłumy wiwatowały na cześć prezydenta.

– Nie zaprzeczy pan, panie prezydencie – odezwał się gubernator Connally – że Dallas po prostu pana kocha.

– Tak, to widać – odparł Kennedy z ujmującym jak zawsze uśmiechem.

O dwunastej trzydzięci dwie orszak samochodów znalazł się na wysokości budynku stanowej School Book Depository (Składnicy Podręczników Szkolnych). Z otwartego okna na jednym z wyższych pięter wysunęła się lufa karabinu typu Mannlicher Carcano 6.5, produkcji włoskiej, z lunetą. Został nabyty w systemie sprzedaży wysyłkowej, za dziewiętnaście dolarów i dziewięćdziesiąt pięć centów.

Gdy kolumna prezydenckich samochodów zdążyła do Trade Mart w Dallas, Bobby Kennedy z dwoma towarzyszami zajeżdżał właśnie przed Hickory Hill, swoją rezydencję w podwazyngtońskim osiedlu McLean w Wirginii. Wraz z żoną Ethel mieszkał tam od 1956 roku. Jego dzisiejszymi gośćmi byli: Robert Morgenthau, prokurator okręgowy z Nowego Jorku oraz Silvio Mollo, szef wydziału kryminalnego w nowojorskim przedstawicielstwie Departamentu Sprawiedliwości. Bobby zaprosił ich do siebie na nieformalną naradę w sprawie zwalczania zorganizowanej przestępczości oraz korupcji w organizacjach związkowych.

Dwupiętrowa willa z białej cegły wznosi się na przepięknej, sześćoakrowej działce. Od strony drogi zaślania ją rząd wielkich drzew i starannie utrzymany, podobnie jak trawnik wokół domu, żywopłot. Posiadłość kupił jeszcze Kennedy senior w 1956 roku, gdy John został wybrany do Senatu. Miał to być prezent dla młodego polityka i jego małżonki. Ale John z Jacqueline woleli zamieszkać w Georgetown, najstarszej, malowniczej i wielce cenionej przez eleganckie towarzystwo dzielnicy Waszyngtonu. Ojciec podarował więc Hickory Hill młodszemu synowi, Bobby'emu i jego małżonce, Ethel.

Dzień był piękny, minęło właśnie południe. W promieniach listopadowego słońca willa jawiła się jak uosobienie spokoju. Do czasu, bo ledwie Bobby z gośćmi zasiedli do lunchu, wezwano go do telefonu.

- Mówi Edgar Hoover - w słuchawce zabrzmiał bas dyrektora FBI - mam złą wiadomość. Postrzelono prezydenta.  
Bobby poczuł się jak rażony piorunem.

- Co? - wyjąkał z trudem.

- Prezydent został postrzelony.

- Czy rana jest poważna?

- Sądzę, że tak. Będę jeszcze dzwonił.

Chwilę później Hoover zadzwonił ponownie.

- Szpital Parkland Memorial w Dallas podał właśnie, że prezydent zmarł.

W głosie dyrektora nie było nawet cienia smutku. Tak przynajmniej Bobby wspominać będzie tę rozmowę<sup>3</sup>.

I on, i jego otoczenie uznają później, że Hoover celowo przybrał obojętny ton i nie okazał nawet odrobiny współczucia. Niekoniecznie jednak tak było. Bardziej prawdopodobna wydaje się inna wersja. Szef FBI musiał się liczyć z najgorszym, a nie wiedział, bo nikt wtedy jeszcze nie mógł wiedzieć, czy zamach na prezydenta nie jest częścią większego spisku, czy nie padną kolejne ofiary pośród głównych postaci w państwie. Miał więc tysiące problemów, nie mówiąc już o rozwiązaniu zagadki zabójstwa prezydenta.

A w Hawanie Fidel Castro udzielał właśnie wywiadu korespondentowi francuskiego tygodnika „L'Express”, Jeanowi Danielowi, gdy - też przez telefon - zawiadomiono go o śmierci prezydenta USA. Wedle Daniela, Najwyższy Przywódca przyjął wiadomość z kamienną twarzą, nie okazał żadnej emocji, nie zadał nawet pytania, kto dokonał zamachu na człowieka, którego przecież traktował jak największego wroga. Słowem - wspomni później Daniel - zachował się tak, jakby się spodziewał takiej właśnie wiadomości.

- Jedno tylko mogę panu powiedzieć - rzekł Castro - Kennedy był wrogiem, do którego zdążyliśmy się przyzwyczaić. - Wstał i zaczął krążyć po pokoju<sup>4</sup>.

- A ten Lyndon Johnson, kto to taki? - spytał ni to siebie, ni Daniela. - Jakie właściwie są jego związki z Centralną Agencją Wywiadowczą?

W istocie Castro musiał wiedzieć sporo o Johnsonie. Wiedział też, że w amerykańskim systemie politycznym prezydent stoi na czele władzy wykonawczej i z tego tytułu sprawuje zwierzchnictwo nad wszystkimi agendami i instytucjami rządowymi, w tym także nad CIA. Na pytania Castra Daniel odparł, że nie zna Johnsona i nie miał okazji z nim rozmawiać<sup>5</sup>.

Tuż po trzeciej po południu (według czasu waszyngtońskiego, w Teksasie była druga) do Hoovera zgłosił się telefonicznie z pilnym meldunkiem Gordon L. Shanklin, szef oddziału FBI w Dallas. Zawiadomił o aresztowaniu Lee Harveya Oswalda, jako podejrzanego o zabójstwo prezydenta, a także jednego z policjantów. FBI w Dallas od niejakiego czasu gromadziło materiały na Oswalda. Shanklin w skrócie przedstawił Hooverowi zawartość teczeki.

Trzy godziny później *Air Force One* ze zwłokami prezydenta lądował w bazie Andrews pod Waszyngtonem. Na pokładzie była Jacqueline. Był także Lyndon Johnson. Jeszcze przed startem z Dallas został on zaprzysiężony jako nowy prezydent.

Do Hoovera tymczasem zadzwonił były wiceprezydent, Richard Nixon.

- Co się stało? - spytał - Czy to któryś z tych prawicowych szaleńców? - upewniał się, mając na myśli zamachowca.

- Nie - odparł Hoover - to komunista<sup>6</sup>.

Kiedy „The New York Times” dał na pierwszej stronie wielki tytuł *Działacz ugrupowania procastrowskiego oskarżony o zabójstwo*, Najwyższy Przywódca zaraz pospieszył z wygłoszeniem specjalnego przemówienia w radiu i telewizji:

Zbrodni nie mógł dokonać komunista. To prawda, że Kubańczycy nienawidzą „imperializmu i systemu kapitalistycznego”, ale zamach był z pewnością dziełem prawicowych reaktionistów spod znaku faszystowskiej organizacji John Birch Society, Ku-Klux-Klanu albo spadkobierców McCarthy'ego. Są to ludzie „bez żadnej moralności”. Lee Harvey Oswald był narzędziem w ich ręku. Ultrareakcyjni posłużyli się nim w ściśle określonym celu - likwidacji prezydenta, który jednak nie godził się na tak wojowniczą i agresywną politykę, jakiej sobie życzyli<sup>7</sup>.

24 listopada, dwa dni po zabójstwie Johna Kennedy'ego, o godzinie trzeciej piętnaście nad ranem Gordon Shanklin, szef oddziału FBI w Dallas, kazał obudzić Hoovera. Centrala FBI miała wyraźne polecenie, żeby w pilnych sprawach łączyć rozmowy bez względu na porę dnia czy nocy. Shanklin meldował, że w biurze w Dallas właśnie odebrano anonimowe, telefoniczne ostrzeżenie, iż szykuje się zamach na Oswalda. Zostanie on zastrzelony w czasie transportu z aresztu policyjnego do więzienia, co ma nastąpić jeszcze tego dnia. Hoover polecił Shanklinowi, aby skontaktował się w tej sprawie z Jessem Currym, komendantem policji w Dallas<sup>8</sup>.

Dziewięć godzin później, o dwunastej dwadzieścia jeden, anonimowa przepowiednia spełniła się co do joty. Oswald padł z ręki niejakiego Jacka Ruby'ego, właściciela klubu nocnego w Dallas, związanego ponoć z mafią. Dokonało się to w siedzibie policji w Dallas, na oczach całej Ameryki i świata, bo telewizja NBC transmitowała moment wyprowadzania Oswalda z aresztu. Postrzelony przez Ruby'ego Oswald został natychmiast przewieziony do szpitala Parkland Memorial, tego samego, do którego dwa dni wcześniej odwieziono prezydenta Kennedy'ego. Zmarł o drugiej siedem.

Dyrektor FBI wydał komunikat dla prasy. Wszystkie posiadane przez biuro informacje – oświadczał – wskazują, że Oswald działał sam i na własną rękę. W komunikacie podkreślono:

Nie ma żadnych dowodów wskazujących na udział innych osób w zabójstwie, ani na istnienie spisku, mającego na celu dokonanie morderstwa na osobie prezydenta<sup>9</sup>.

Mimo zapewnień i wysiłków ze strony wielkiego mistrza FBI, w Waszyngtonie, i nie tylko w Waszyngtonie, zaczęły krążyć pogłoski, że zabójstwo prezydenta wcale nie było dziełem działającego w pojedynkę, sfanatyzowanego komunisty. Szeptano, iż w rzeczywistości za zabójstwem stały „złowieszcze ugrupowania prawicowe”. Wedle innych wersji zamach miał nastąpić z inicjatywy Fidela Castro.

W tej sytuacji 29 listopada, w tydzień zaledwie po śmierci Johna Kennedy'ego, prezydent Lyndon Johnson powołał komisję pod kierownictwem prezesa Sądu Najwyższego, sędziego Earla Warrena, do wyjaśnienia wszelkich okoliczności zabójstwa Kennedy'ego. W skład Komisji Warrena – bo pod taką nazwą zespół ten przeszedł do historii – weszli wybitni przedstawiciele obu partii politycznych oraz eksperci: senatorowie – Richard Russell i John S. Cooper, kongresmani – T. Hale Boggs i Gerald R. Ford\*, a także były dyrektor CIA – Allen Dulles oraz John McCloy – były doradca prezydenta Kennedy'ego.

Bobby Kennedy, co zrozumiałe, był wręcz załamany śmiercią starszego brata, który był dlań wzorem i którego zawsze podziwiał. 9 grudnia odbył długą, nocną rozmowę z Arthurem Schlesingerem,

\* Późniejszy *speaker* Izby Reprezentantów i prezydent Stanów Zjednoczonych po ustąpieniu Richarda Nixona [przyp. tłum.]

byłym doradcą Johna. Pojawił się oczywiście temat Oswalda. Podniósł go Schlesinger. Zanotował on następującą uwagę Bobby'ego:

Oswald jest winny, nadal jednak otwarta jest kwestia, czy działał sam, czy też był częścią większej akcji, spisku zawiązanego przez Fidela Castro bądź mafię. FBI twierdzi, że Oswald działał sam, ale (dyrektor CIA) John McCone uważa, że zabójców było dwóch<sup>10</sup>.

Dwa tygodnie po śmierci prezydenta Kennedy'ego obywatele Stanów Zjednoczonych nadal żądni byli rewanzu. W środkach masowego przekazu o Oswaldzie mówiono i pisano nie inaczej, jak o agencji Fidela Castro, bądź Rosji. Określano go mianem komunistycznego wyrotowca i podkreślano jego udział w Komitecie na rzecz Uczciwych Stosunków z Kubą.

Pojawiały się żądania natychmiastowej inwazji na Kubę, w celu pojmania Fidela Castro i postawienia go przed sądem za zabójstwo prezydenta. Jeśli nie wszyscy, to wielu Amerykanów żywiło przekonanie, iż morderstwo Oswalda, dokonane w podziemiach siedziby policji w Dallas, miało na celu zatarcie śladów wiodących do Hawany lub Moskwy.

O śmierci amerykańskiego prezydenta debatowali także przywódcy krajów komunistycznych. Kierownictwo radzieckie postanowiło, po dłuższym namyśle, rozpocząć kampanię propagandową na światową skalę, w celu przekonania społeczności międzynarodowej, a zwłaszcza Amerykanów, że za zabójstwem w Dallas stali ultrakonserwatywni „prowokatorzy” ze Stanów Zjednoczonych i to oni, a nie zdeklarowany komunist, który swego czasu mieszkał w Związku Radzieckim, i wierny zwolennik Fidela Castro, dopuścili się tego strasznego czynu.

## Gitmo w oblężeniu

W niespełna dwa tygodnie po pogrzebie trzydziestego piątego prezydenta Stanów Zjednoczonych na Cmentarzu Narodowym w Arlington na Guantanamo przybył pięćdziesięciodwuletni kontradmirał, John Bulkeley, jeden z najbardziej zasłużonych oficerów w całej historii Ameryki. To właśnie on dwadzieścia dwa lata wcześniej przyjmował młodziutkiego Jacka Kennedy'ego do służby w „morskiej kawalerii”, we flotyli kutrów torpedowych.

Krótko przed śmiercią prezydenta admirał gościł u Bobby'ego i od niego usłyszał, iż prezydent życzy sobie, aby wziął Fidela „na muszkę” i jego nowa misja, jako komendanta bazy Guantanamo, na tym właśnie ma polegać. Od kilku tygodni bowiem Najwyższy Przywódca grzmiał w hawańskiej telewizji i radiu, że Stany Zjednoczone muszą opuścić „terytorium Kuby”, czyli bazę nad Zatoką Guantanamo, dając jednocześnie do zrozumienia, że jeśli tego nie uczynią dobrowolnie, to zostaną przepędzone przez kubańskie siły zbrojne.

– Prezydent chce – mówił Bobby – żeby pan pokazał temu brodatemu sukinsynowi, kto naprawdę rządzi w tej części świata<sup>1</sup>.

Zadanie było wyraźne: obronić kluczowy bastion USA, stawić czoło groźbom Castra, a zarazem uczynić wszystko, by nie dopuścić do wybuchu III wojny światowej. Amerykańskie media określały wówczas bazę Guantanamo mianem beczki prochu, amerykańską tratwę na morzu pełnym czerwonych rekinów. Tygodnik „Life” zamieścił nawet specjalny reportaż z Guantanamo pod wielkim tytułem: *Najbardziej zagrożona forteca Stanów Zjednoczonych*<sup>2</sup>.

Na dwa tygodnie przed przybyciem Bulkeleya na Guantanamo Nikita Chruszczow potwierdził hałaśliwie, że gdyby doszło do konfliktu

zbrojnego między Kubą a „jej jankeskimi, dzikimi lokatorami”, to radzieckie wojska ruszą sojusznikowi na pomoc.

Baza w istocie znajdowała się w okrążeniu. Z trzech stron otaczały ją elitarne oddziały, wchodzące w skład kubańskiego Batalionu Granicznego, wspomagane przez artylerię i moździerz, z czwartej rozciągało się morze. Od strony lądu, na wzór i podobieństwo żelaznej kurtyny w Europie, Kubańczycy otoczyli bazę specjalnym pasem bezpieczeństwa, liczącym od trzech do dziewięciu kilometrów szerokości. Wysiedlono ludność cywilną, zbudowano gęstą siatkę dróg strategicznych, aby zapewnić większą mobilność wojsk, zwłaszcza pancernych i zmotoryzowanych.

Gdyby Fidelowi rzeczywiście przyszło do głowy zaatakować bazę, Bulkeley musiałby jej bronić siłami ledwie pięciu tysięcy ludzi. Kubańskie siły zbrojne liczyły wtedy dwieście pięćdziesiąt tysięcy wyszkolonych przez Rosjan ludzi – wojsk i oddziałów milicji. W skład pięciotysięcznego kontyngentu Bulkeleya wchodził oddział marines oraz grupa marynarzy i saperów marynarki, przeszkolonych do działań na lądzie. Miał także do dyspozycji kilka ciężkich, solidnie wyposażonych, śmigłowców i mógł liczyć na wsparcie artylerii pokładowej okrętów, które zawijały do bazy w czasie rejsów szkoleniowych.

Ale, tak czy owak, rachunek sił był niekorzystny, co jednak wcale Bulkeleya nie przerażało. Już na pierwszej po objęciu dowództwa bazy konferencji prasowej oświadczył, że „Gitmo za diabła nie stanie się drugim Pearl Harbor ani za sprawą Castra, ani kogokolwiek!” To ostatnie słowo oznaczało oczywiście Moskwę<sup>3</sup>.

Stwierdzenie było mocne, padło też z ust żołnierza z krwi i kości, który – jak pisał wtedy jeden z reporterów – „nie ugnie się przed niczym, o czym Castro może się przekonać, jak Japończycy po Pearl Harbor!”<sup>4</sup>

Najwyższy Przywódca rzeczywiście postanowił się przekonać, sprawdzić czy Bulkeley jest tak zdecydowany, jak głosi. W kilka ledwie dni po objęciu dowództwa bazy, Bulkeley otrzymał „zawiadomienie” od majora Ramiro Valdesa, castrowskiego ministra bezpieczeństwa, że dziewięćdziesiąt jeden metrów siatki z płotu otaczającego bazę od zachodu zostanie zlikwidowane. Z „zawiadomienia” doręczonego zresztą przez płot wynikało także, że operacja odbędzie się jeszcze tego samego dnia i że płot legnie pod wojskowymi spychaczami. Valdes ostrzegał również przed próbami odbudowy ogrodzenia. Napisał wprost, że byłby to czyn „wysoco nierozważny”.

Bulkeley zacisnął tylko zęby. – Jeszcze zobaczymy – mruknął do swoich sztabowców.

A Kubańczycy tymczasem rzeczywiście obalili prawie kilometr ogrodzenia, zgodnie z zapowiedzią Valdesa. Godzinę później Bulkeley wysłał Valdesowi zawiadomienie, że „nazajutrz o dziesiątej rano ogrodzenie stanie na swoim miejscu”. Dokument przekazano podobną drogą, jak uczynili to Kubańczycy – wciskając do ręki kubańskim strażnikom przy północno-wschodnim (rzadko zresztą używanym) przejściu do bazy.

I nazajutrz, tuż przed dziesiątą, Bulkeley w pełnym rynsztunku bojowym, w hełmie, z coltem 375 przy pasie i trzema granatami, zjechał jeepem na miejsce akcji, tam, gdzie Kubańczycy poprzedniego dnia zniszczyli ogrodzenie.

Nie był oczywiście sam. Dwa tysiące marines pod komendą pułkownika George'a Killena, weterana wojny na Pacyfiku, okopało się wzdłuż całego kilometrowego odcinka, mierząc w przeciwników po drugiej stronie z ciężkiej broni maszynowej i wyrzutni rakietowych.

Góra, jak jastrzębie wypatrujące zdobyczy, krążyły odrzutowce typu *Crusader*. Niżej sześć ciężkobrajnych śmigłowców patrolowało cały odcinek. To jeszcze nie wszystko, bo na wodach Zatoki Guantamano stały cztery niszczyciele z działami gotowymi do strzału.

Był to przekonywający pokaz siły i tak odczytała to strona kubańska. W każdym razie wojska Fidela, które od miesięcy stały na pozycjach po drugiej stronie ogrodzenia, nagle zniknęły z pola widzenia.

Na sygnał Bulkeleya nadjechał oddział saperów z potrzebnym sprzętem. Geodeci dokładnie sprawdzili przebieg linii granicznej i o czwartej po południu było już po wszystkim. Nowe ogrodzenie stało na swoim miejscu. Bulkeley zdawał sobie sprawę, że stąpa po szalenie grząskim gruncie, że granica między obroną konieczną a wyzwaniem jest wyjątkowo wąska. Wiedział też, że jego zdecydowana akcja wywoła nerwową reakcję biurokratów w Departamencie Stanu, ale też z pierwszego starcia z Fidelem Castro stary wyga wyszedł zwycięsko.

Upokorzony Castro i jego specjaliści od propagandy zareagowali wzmoczoną, wręcz histeryczną, kampanią polityczną na rzecz wyparcia Amerykanów z Guantanamo. 13 stycznia 1964 roku wielotysięczny tłum poddanych Fidela Castro zebrał się przed opustoszałym budynkiem ambasady amerykańskiej w Hawanie. Widowisko zostało starannie przygotowane i rzetelnie wyreżyserowane. Wyznaczeni krzykacze z megafonami intonowali stosowne okrzyki, a tłum podchwytywał hasło, skandując na całe gardło: *Pim pam fuera – abajo Caimanera!* (Precz z Caimanero! Caimanero to kubańska nazwa Guantanamo).

Wrzaski jeszcze spotężniały, gdy z balkonu zwieszono kukłę wyobrażającą Wuję Sama. Gdy jeszcze podpalono flagę amerykańską, tłum zawył z radości, cisnąc się niemiłosiernie, aby tylko dostąpić zaszczytu jej podeptania<sup>5</sup>.

Trzy tygodnie później w kubańskim kotle znów się zagotowało. 2 lutego kuter amerykańskiej Straży Wybrzeża trafił na zespół czterech kubańskich trawlerów, stojących ledwie dwa i pół kilometra od florydzkich wysp Dry Tortugas, dziewięćdziesiąt sześć kilometrów na zachód od Key West. *Lambda 8* i trzy pozostałe jednostki rybackie naruszyły, i to głęboko, pięciokilometrowy pas amerykańskich wód terytorialnych.

Dowódca kutra Straży Wybrzeża zamierzał zrazu ostrzec tylko Kubańczyków, że wpłynęli na zamknięte dla nich wody i zażądać wycofania się, ale zmienił zamiar, gdy nasłuch radiowy zameldował, że radiostacja na *Lambdzie 8* łączy się z Kubą i że trwa właśnie wymiana depeesz. Dziwne było, że na zwykłym niy-trawlerze rybackim znajduje się tak silny nadajnik. Podejrzenia wzmogły się jeszcze bardziej, gdy okazało się, że „rybacy” – a na czterech trawlerach było ich w sumie trzydziestu ośmiu – odziani są w jednakowe, zielono-oliwkowe mundury kubańskich rewolucjonistów. W tej sytuacji dowódca kutra Straży Wybrzeża postanowił wszystkie cztery jednostki doprowadzić do Key West.

Władze Florydy uznały, że Kubańczycy pogwałcili przepis zakazujący statkom pod komunistyczną banderą wpływania na amerykańskie wody terytorialne. Zakaz ów wprowadzono w 1963 roku, z myślą o zabezpieczeniu przed ewentualnymi aktami sabotażu i dywersji ze strony Kuby. Trawlery zatrzymano, członków załogi umieszczono w areszcie w oczekiwaniu na rozprawę sądową.

Castro natychmiast pojawił się w telewizji hawańskiej, obwieszczając światu o, jak to określił, „głupiej prowokacji ze strony jankeskich imperialistów i agresji, której żadną miarą nie wolno tolerować!”<sup>6</sup>

Także moskiewska „Prawda”, organ partii komunistycznej, pośpieszyła ze znamienym komentarzem, iż „[amerykańskich] piratów, co za nic sobie mają prawa międzynarodowe, trzeba wreszcie przywołać do porządku”. W miejsce nazwiska autora dano słowo „Komentator”, co oznaczało, że artykuł wyraża poglądy samego Chruszczowa<sup>7</sup>.

W Waszyngtonie, na zwołanym w trybie pilnym posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa Narodowego, doszło do ostrej wymiany zdań między Bobbym Kennedym a Thomasem Mannem, doradcą prezydenta

Johnsona do spraw Ameryki Łacińskiej. Mann był zdania, że kubańskie trawlerzy celowo wysłano na amerykańskie wody terytorialne, aby sprawdzić reakcje nowego prezydenta. Bobby uważał, że incydent nie ma głębszego znaczenia i trzeba go oceniać raczej w kategoriach zwykłego wykroczenia przeciwko „przepisom drogowym”<sup>8</sup>.

Nagła przemiana jednego z najostrzejszych jastrzębi w tajnej wojnie przeciwko Fidelowi Castro w obrońcę niby to rybackich jednostek, które miały tylko „zabłądzić” na morzu, odzwierciedlała głęboki konflikt między młodym Kennedym a Lyndonem Johnsonem.

W nowym układzie Bobby stracił pozycję prezydenta-bis. Złościło go też zbliżenie, a w jego mniemaniu wręcz sojusz, Johnsona z szefem FBI, J. Edgarem Hooverem, za sprawą którego kluczowe decyzje zapadały bez jego – prokuratora generalnego – udziału. Johnson z Hooverem mieli podobne, konserwatywne spojrzenie na świat, a co więcej, przez lata mieszkali po sąsiedzku w Waszyngtonie.

Gdy Johnson objął Biały Dom, Hoover „wyzwolił się” spod kurateli prokuratora generalnego. Zaczął się kontaktować bezpośrednio z prezydentem, pomijając swego nominalnego przełożonego, co Bobby w prywatnych rozmowach z zaufanymi doradcami określał mianem „buntu FBI”<sup>9</sup>. Tymczasem sąd na Florydzie uwolnił załogi czterech trawlerów od zarzucanych im czynów. Sędzia uznał, że członkowie załóg nie ponoszą winy, jako że jedynie wykonywali rozkazy. Inaczej odniósł się jednak do dowódców jednostek. Uznał, iż dopuścili się „klusownictwa” na amerykańskich wodach terytorialnych i skazał ich na kary pozbawienia wolności na sześć miesięcy z zawieszeniem na dwa lata oraz nałożył na nich grzywnę po pięćset dolarów (zapłaciła ją ambasada czeskosłowacka). Ostrzegł też Kubańczyków, aby nigdy więcej nie pokazywali się na florydzkich wodach. Zaraz potem wszystkich wsadzono na statki i kazano im się wynosić.

Choć wyrok był nader łagodny – „rybacy” bowiem dostali tylko przysłowiowego klapsa – Fidel Castro nie posiadał się ze złości. Przez bite dwie godziny grzmiał w telewizji, że proces był „nielegalny”, że Ameryka działała „arbitralnie” i „niehumanie”.

Dwa dni po zwolnieniu załóg, flotyła czterech trawlerów zawinęła do portu w Hawanie. Tu powracającym „rybakom” zgotowano wielkie przyjęcie. Witano ich jak bohaterów – wszystko wedle wskazówek i instrukcji pretorianów Najwyższego Przywódcy, który też się zjawiał i osobiście uściskał swoje owieczki, a przy okazji oczywiście znów palnął długą mowę. – Nie wątpimy – mówił – że wasza godna postawa, wysokie morale wywarły wielkie wrażenie na naszych wrogach. Oto nowe pokolenie Kubańczyków – oznajmił wszem i wobec.

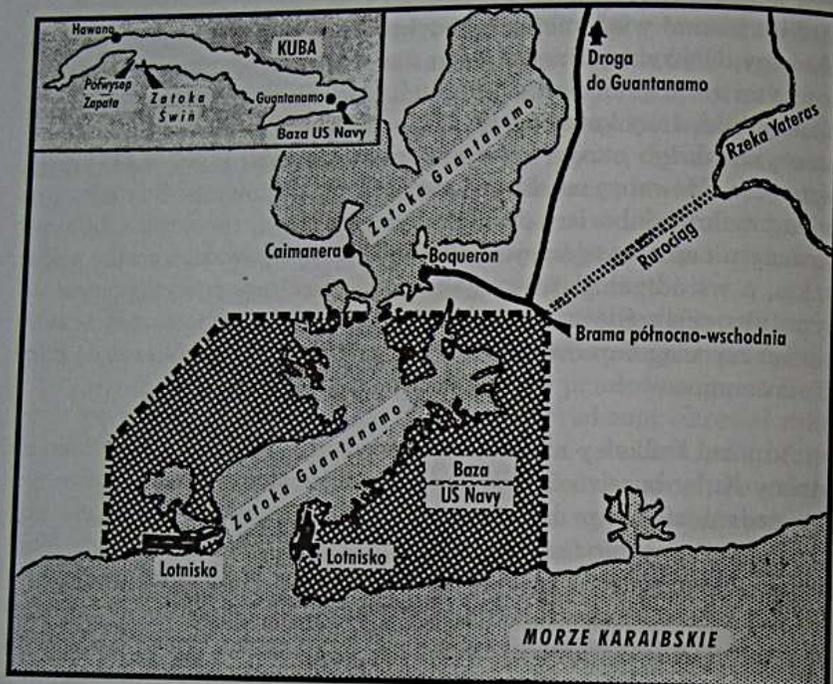
Ale w czasie uroczystości omal nie doszło do skandalu, a to za sprawą szyprów dwóch trawlerów. Poskarżyli się oni mianowicie, że ich sprowadzone z Rosji jednostki mają bez liku wad. Potwierdzali w ten sposób to, co wcześniej pisała prasa amerykańska, i co Najwyższy Przywódca uznał za właściwe potępić, jako „kalumnie”.

Nim jeszcze wiadomość o werdykcie sądu na Florydzie dotarła do Hawany, Najwyższy Przywódca zastanawiał się z doradcami nad stosownymi retorsjami wobec Ameryki. Rozważano różne pomysły, jak choćby taki, żeby kubański myśliwiec przeleciał nisko nad pokładem amerykańskiego okrętu wywiadowczego, *Oxford*, który stale krążył w pobliżu Hawany, na skraju wód międzynarodowych. Gdy odrzutowiec przekroczy barierę dźwięku tuż nad celem, na okręcie nafaszerowanym najnowocześniejszą elektroniką szpiegowską, zaczną pękać szkło, a wśród załogi zapanuje przerażenie. Inny pomysł polegał na tym, aby zestrzelić samolot szpiegowski *U-2*, a jeszcze inny – żeby odciąć rurociąg doprowadzający wodę z ujść na rzece Yateras do bazy Guantanamo.

Admirał Bulkeley uważał, że w przypadku ewentualnego ataku ze strony Kuby baza może się skutecznie bronić od czterdziestu ośmiu do siedemdziesięciu dwóch godzin, a więc dostatecznie długo, aby zmobilizować pomoc – oddziały marines ze stałych baz Piechoty Morskiej z Camp Lejeune w Karolinie Północnej, z Camp Pendleton w Kalifornii, z Roosevelt Roads w Puerto Rico oraz siły amerykańskiej Floty Atlantyku. Guantanamo miała wszakże słaby punkt. Piętą Achillesa, spędzającą sen z oczu admirała, była sprawa zaopatrzenia bazy w wodę pitną. Zużywano jej około dwóch milionów galonów dziennie. Wodę sprowadzano z ujść na rzece Yateras, odległej od bazy o około osiem kilometrów, oczywiście po stronie kubańskiej, co oznaczało, że Fidel Castro panował nad każdą kroplą wody, docierającą do kranów w Guantanamo. Jednak nawet w czasie inwazji w Zatoce Świń i kryzysu rakietowego, Castro dokładał starań, aby strumień wody nieprzerwanie płynął do bazy. Nie ma wątpliwości, że czynił to z wyrachowania. Anemiczna gospodarka kubańska potrzebowała pieniędzy, a Wuj Sam płacił za wodę sporo – czternaście tysięcy dolarów miesięcznie (sto czterdzieści tysięcy wedle wartości dolara z 1997 roku).

Tymczasem ponad tysiąc sześćset kilometrów na północ od Guantanamo, w Nowym Jorku, gościł prezydent Lyndon Johnson. W planie miał kilka spotkań politycznych, miał też wygłosić przemówienie.

Był 6 lutego. Prezydent opuszczał właśnie apartament w hotelu Carlyle, udając się do siedziby „The New York Timesa” przy 43 Ulicy Zachodniej, na spotkanie z kierownictwem redakcji, gdy rozległ się telefon. Dzwonił sekretarz stanu Dean Rusk. – Kubańcy – zameldował – odcięli właśnie dostawy wody do Guantanamo!



Rurociąg doprowadzający wodę z ujęć na rzece Yateras do Amerykańskiej Bazy Morskiej na Guantanamo

Prezydent wiedział, co to oznacza. Odkładając słuchawkę miał świadomość, że stoi w obliczu poważnego kryzysu, który może pociągnąć za sobą konsekwencje w skali globalnej.

Kilka godzin po przejęciu przez wojska kubańskie pompowni wody na rzece Yateras, dr Raúl Roa, kubański minister spraw zagranicznych, wezwał do siebie ambasadora Szwajcarii i wręczył mu oficjalną notę dyplomatyczną. Szwajcaria reprezentowała na Kubie interesy amerykańskie\*. Nota zawierała przesłanie od Fidela Castro. Jej istotny fragment brzmiał tak:

\* Interesy Kuby w USA reprezentowała Czechosłowacja [przyp. tłum.].

W odpowiedzi na niezwykle, arbitralne i bezprawne uwięzienie rybaków kubańskich, stanowiących załogi statków zatrzymanych w piracki sposób przez Stany Zjednoczone na międzynarodowych wodach, wstrzymuje się dopływ wody... jest to stosowna reakcja na imperialistyczne zuchwałstwo<sup>10</sup>.

Admirał Bulkeley niezwłocznie ogłosił Water Condition Alpha (Alarm wodny alfa), procedurę racjonowania wody, przewidzianą w regulaminach bazy „w przypadku wystąpienia długotrwałej awarii lub uszkodzenia systemu zaopatrzenia w wodę”. Od tej chwili ścisłej kontroli podlegać będzie każda kropla w każdym kranie. Nad zbiornikami objęli straż marines, z rozkazem otwarcia ognia do każdego podejrzanego o próbę ich uszkodzenia.

Bulkeley, i słusznie, chciał się jeszcze upewnić, czy Castro rzeczywiście fizycznie wyłączył wodociąg. O trzynastej udał się więc w towarzystwie komandora Zabisco „Zipa” Trzyna, szefa obsługi technicznej bazy, na jej północno-wschodni skraj, w miejsce, gdzie przechodzi rurociąg od rzeki Yateras. Obaj zaopatrzyli się w słuchawki lekarskie. Trzyna, Polak z pochodzenia, słynął z pogodnego charakteru i ostrego dowcipu. Był jednym z najbardziej popularnych i lubianych członków kadry oficerskiej w bazie.

Bulkeley z Trzyną za pomocą stetoskopów jęli osłuchiwać obie nitki rurociągu, dwie rury o przekroju dwudziestu pięciu i trzydziestu pięciu centymetrów, składające się na magistralę wodną. Szmer świadczył, że woda jeszcze płynęła. I nic dziwnego, bo osuszenie potężnych rur wymaga czasu. Obaj oficerowie trwali na posterunku przez pięć godzin. Wreszcie o osiemnastej komandor Trzyna odłożył słuchawki.

– Panie doktorze – oświadczył z poważną miną, zwracając się do admirała – pacjent zmarł.

Woda w rurociągu wyschła. Castro rzeczywiście spełnił groźbę. Bulkeley też odłożył stetoskop, po czym pospiesznie udał się do siebie, by wysłać pilny meldunek do Waszyngtonu.

Tego wieczoru prezydent Johnson był gościem na obiedzie wydanym przez Instytut Chaima Weizmanna w nowojorskim hotelu Waldorf-Astoria. Rozważał nową sytuację – kolejny kryzys w stosunkach z Kubą, a pośrednio z Moskwą, bo Kuba pozostawała w ścisłym sojuszu z ZSRR. Do przygotowanego tekstu przemówienia włączył więc następujący fragment:

Żyjemy w świecie i czasach, kiedy w kilka krótkich chwil bylibyśmy w stanie zgładzić sto milionów mieszkańców Związku Radzieckiego, a Związek Radziecki

mógłby zgładzić sto milionów Amerykanów i mieszkańców Europy, ale Stany Zjednoczone nie dadzą się wyprzeć z Guantanamo<sup>12</sup>.

Tego samego dnia, ale wcześniej, triumfujący Fidel Castro wystąpił na konferencji prasowej. Tryskał zadowoleniem, jakby radował się z „figla”, jakiego spletał Wujowi Samowi. Wymachując nieodłącznym cygarem, oświadczył łaskawie, że mając na uwadze „kobiety i dzieci” przebywające w Guantanamo, postanowił „zezwoić” na ograniczone dostawy wody do bazy. Wodociąg będzie uruchamiany codziennie na godzinę, między ósmą a dziewiątą rano.

Gdy dziennikarze zrelacjonowali admirałowi Bulkeleyowi oświadczenie Castra, ten zareagował krótko: – Niech się ten sukinsyn po-całuje w nos. Załatwimy sobie własną wodę.

Castro nie wiedział jeszcze, że Bulkeley postanowił całkowicie wyłączyć rurociąg z Yateras i nie ma mowy o wznowieniu nawet ograniczonych dostaw. W obawie, że kubańskiemu dyktatorowi mogłoby przyjść do głowy, żeby zatruć wodę dostarczaną do bazy, admirał osobiście zaspawał zawory wodociągu po stronie amerykańskiej.

W Waszyngtonie wrzało. Pentagon był gotów ruszyć do akcji. Jeśli bowiem Fidelowi Castro udałoby się wziąć bazę Guantanamo, to Moskwa mogłaby ewentualnie stacjonować tam swoje okręty nuklearne, a to oznaczałoby, że radzieckie rakiety znalazłyby się rzut kamieniem od Stanów Zjednoczonych.

Rzecznik Białego Domu, powołując się na wypowiedź „wysoko postawionej osobistości”, oświadczył na konferencji prasowej, że „jeśli Fidelowi Castro wydaje się, że jest w stanie szantażować prezydenta Johnsona, to znaczy, że absolutnie błędnie odczytuje jego intencje”<sup>13</sup>. „Wysoko postawioną osobistością”, której wypowiedź rzecznik zacytował, był sam prezydent.

Senator Barry Goldwater, przyszły nominat Partii Republikańskiej i rywal Johnsona w jesiennych wyborach prezydenckich, przebywał właśnie w New Hampshire, starając się o pozyskanie głosów. Tego dnia wystąpił z przemówieniem na wiecu zorganizowanym w sali gimnastycznej gimnazjum w Hampton. Spoglądając zza grucych rogowych okularów na tłum zwolenników, grzmiał:

Ufam, że prezydent Johnson znajdzie w sobie tyle odwagi, aby rzec Fidelowi Castro, że albo otworzy kurek z wodą, albo zrobią to za niego nasi chłopcy z Piechoty Morskiej. Już oni postarają się, żeby woda płynęła stale!<sup>14</sup>

Wszystkie dzienniki donosiły na czołówkach następnego dnia: „Goldwater żąda wysłania marines (na Kubę)”. Castro zareagował natychmiast, udzielając wypowiedzi dla radzieckiej agencji prasowej TASS:

Jeśli choć jeden marines postawi stopę na kubańskiej ziemi, to będziemy się bronić do ostatka, do śmierci, gdy tak trzeba będzie (...) Goldwater to szaleniec, powinien trafić do domu wariatów, a jak już tego chce, to niech przybędzie tu z pierwszym oddziałem i sam się przekona<sup>15</sup>.

Goldwater, generał major rezerwy w korpusie Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych, odpowiedział na to krótko:

Jeśli Castro obieca, że stawi się w pompowni (na rzece Yateras), to osobiście poprowadzę naszych marines do natarcia!<sup>16</sup>

## „Wara od Gitmo!”

Groźba wybuchu wojny nuklearnej na tle kryzysu wokół bazy Guantanamo doskonale ilustruje ogromny ciężar odpowiedzialności, spoczywający na barkach prezydenta Stanów Zjednoczonych. Jego to palec spoczywa na „atomowym guziku”. W istocie ów „guzik” to skomplikowany, a zarazem pewny system łączności kodowej, który gwarantuje, że w każdej sytuacji i okolicznościach, nawet w przypadku skażenia Ameryki w wyniku radzieckiego ataku nuklearnego, rozkaz prezydenta o odpaleniu rakiet atomowych dotrze na stanowisko ogniowe.

Ów system i stosowne urządzenia są do dyspozycji prezydenta w każdej chwili dnia i nocy. Stale towarzyszą mu oficerowie z DCA – Defense Communications Agency (Agencji Łączności Obronnej), specjalnego oddziału Pentagonu, odpowiedzialnego za łączność z bojowymi centrami dowodzenia. Ekipa DCA montuje stosowne urządzenia łączności w każdym miejscu, gdzie aktualnie przebywa prezydent. Samolot prezydencki, *Air Force One*, wyposażony jest w radiotelefon z automatycznym systemem szyfrowania rozmów i sygnałów. W czasie przejazdów samochodem, tuż za limuzyną prezydenta – lincolnem continental, wyprodukowanym na specjalne zamówienie – zawsze podąża wóz DCA.

Stają postacią w orszaku prezydenta jest oficer DCA z czarną aktówką z kodami uruchamiania procedury atomowej. Oficerów w istocie jest pięciu, każdy po wielokroć sprawdzony przez odpowiednie służby, pracują na zmianę dwadzieścia cztery godziny na dobę. Gdy prezydent urzęduje w Gabinetcie Ovalnym, oficer z czarną teczką czeka na korytarzu przed drzwiami. Podobnie gdy prezydent udaje się na spoczynek, dyżurny czuwa przed sypialnią. Rzecz w tym, żeby kody były zawsze pod ręką, w pogotowiu. Procedura wyklucza

oczywiście ich przypadkowe użycie. Rozkaz odpalania rakiet jest weryfikowany na wszystkich szczeblach, od góry do dołu.

W centrum ogniowym – głęboko pod ziemią, w betonowym bunkrze, do którego dostęp ma garstka ledwie osób, a niewiele więcej wie, gdzie on się naprawdę znajduje – stale dyżuruje dwóch oficerów. Każdy z nich ma na szyi specjalną kartę, o wymiarach 7,6 na 12,7 cm, z szyframi pozwalającymi na odpalenie rakiet.

Tuż obok stanowisk obu dyżurnych znajduje się czerwony aparat telefoniczny – końcówka Primary Alert System (PAS – Pierwszego Systemu Alarmowego). Dźwięk tego telefonu (wyjąwszy oczywiście okresowe próby) oznacza jedno – prezydent Stanów Zjednoczonych podjął decyzję o przystąpieniu do działań wojennych.

Głos w słuchawce podaje wtedy całą listę haseł, jak na przykład: Romeo, Tango, Mike, Yankee, Papa, itd. Są to zaszyfrowane oznaczenia konkretnych obiektów lub miejsc, słowem, celów uderzenia raketowego. Obaj dyżurni, niezależnie od siebie, notują hasła, rozszyfrowują je, sprawdzają ze sobą i dopiero wtedy przystępują do uruchamiania procedury startowej. Wszystkie te zabezpieczenia mają wykluczyć wszelkie pomyłki, zagwarantować, że rozkaz odpalania rakiet jest autentyczny i że wydał go prezydent Stanów Zjednoczonych.

Zaszyfrowany rozkaz prezydenta trafia jednocześnie do Centrum Dowodzenia Lotnictwa Strategicznego – Strategic Air Command (SAC) – w bazie Offutt w Nebrasce, oraz do stanowisk dowodzenia na pokładach dwóch samolotów, stale krążących w powietrzu. Samolotów jest oczywiście więcej, latają na zmianę, ale zawsze w powietrzu dyżurują dwie takie maszyny. Jest to zabezpieczenie na wypadek, gdyby naziemne centrum dowodzenia zostało zniszczone w wyniku ataku nuklearnego. Na dany sygnał bombowce strategiczne B-52 kierują się na z góry wyznaczone cele w Związku Radzieckim. Nie wolno im wszakże przekroczyć określonego punktu na trasie. Zwie się on *fail-safe* i stanowi ostateczne zabezpieczenie. Można go przekroczyć po otrzymaniu nieodwoływalnego już rozkazu.

A tymczasem w Guantanamo, nowym ognisku zimnej wojny, zgodnie z procedurą przewidzianą przez Water Condition Alpha (Planu Alarmowego Alfa) ograniczono dzienne zużycie wody z dwóch do jednego miliona galonów. Jednocześnie pracowano gorączkowo nad nowym systemem zaopatrzenia w wodę. 10 lutego Pierre Salinger, „odziedziczony” po administracji Kennedy’ego rzecznik prasowy prezydenta Johnsona, poinformował media o rozpoczęciu budowy urządzeń do odsalania wody morskiej. Inwestycja była ko-

sztowna – dziesięć milionów dolarów – ale konieczna, aby na stałe uniezależnić Guantanamo od Kuby<sup>1</sup>.

Nadzieje Castra na wyparcie Amerykanów z Guantanamo rozwiewały się jak dym na wietrze. Najwyższy Przywódca był w kłopotcie, próbował jeszcze ratować twarz. 13 lutego, w tydzień po odcięciu dostaw z ujęcia na Yateras, wystąpił przed kamerami telewizji, oskarżając admirała Bulkeleya o... kradzież wody. Oznajmił, że za pomocą potężnych pomp ssących baza czerpie co najmniej czternaście tysięcy galonów wody z rurociągu. Gdyby nie to – oświadczył Castro – gdyby Bulkeley nie rabował wody, to Stany Zjednoczone wycofywałyby się już z bazy, oddając Guantanamo „prawowitym właścicielom – społeczeństwu Kuby”.

Dziennikarze natychmiast zaczęli oblegać dowództwo bazy, oczekując odpowiedzi admirała na oskarżenia Fidela. Ten odparł krótko: – Absurd. Wodę sprowadzamy tankowcami, a poza tym odcięliśmy magistralę od Yateras, nie da się więc czerpać ich wody ani pompami ssącymi, ani w ogóle w żaden sposób<sup>2</sup>.

Niewiele to pomogło. Prasa kubańska, radio i telewizja, nadal prowadziły ostrą kampanię – nie przebierając w oskarżeniach – przeciwko komendantowi bazy. Do chóru dołączył sam Castro, grzmiąc w telewizji, że Bulkeley „należy do wojowniczej klikki spod znaku [generała] MacArthura” i że jest typem, który „nie cofnie się przed żadnym świństwem, żeby tylko osiągnąć swoje cele!”<sup>3</sup>

– Nazywa mnie kłamcą, już ja mu pokażę – brzmiała odpowiedź starego admirała. Nie za to dostał całą kolekcję medali i orderów, że pozwalał wrogowi grać sobie na nosie. Posłał po komandora Trzynę.

– „Zip” – powiedział – utniemy ten pieprzony rurociąg i skończymy z tymi pomówieniami, że kradniemy wodę Kubańczykom!

Jak powiedział, tak zrobił. Kazał Trzynie, żeby jego ludzie zaraz dostarczyli kilka palników acetylenowych do stacji pomp, gdzie on osobiście dokona operacji na rurociągu.

Sam zaś wskoczył do jeepa (zawsze jeździł bez kierowcy) i, prowadząc za sobą orszak czternastu reporterów prasy amerykańskiej, którym powiedziano tylko, że szykuje się „coś wielkiego”, udał się na miejsce zamierzonej operacji chirurgicznej na skraj bazy, tam, gdzie przechodził rurociąg ze strony kubańskiej.

Ściągnięto kilku robotników (w bazie zatrudniano jeszcze Kubańczyków, głównie do prac fizycznych). Zaczęli odkopywać spory fragment rurociągu. Nie minęły dwie godziny, gdy oczom wszystkich ukazał się blisko metrowy odcinek trzydziestopięciocentymetrowej rury. W ruch poszły palniki i już po chwili ważyły coś ze trzysta

funtów kawał rury został odcięty i wydobyty na powierzchnię. Zza ogrodzenia ciekawie zerkali żołnierze kubańscy. Nadszedł bowiem moment prawdy. Zaraz będzie wiadomo, kto łże – Bulkeley czy Castro. Jeśli rura jest sucha, to znaczy, że od tygodnia – od 6 lutego, gdy z polecenia Castra odcięto wodę – nie spłynęła nim ani jedna kropla. Zarzut o rzekomej kradzieży wody okaże się zwyczajnym łgarstwem. Reporterzy przepychali się do przodu, żeby niczego nie prze-gapić. Rura była sucha, ani kropli wilgoci.

– Sami widzicie – rzekł krótko Bulkeley – i niech go diabli wezmą<sup>4</sup>. „Go”, to znaczy Najwyższego Przywódcę po drugiej stronie ogrodzenia. Przez większość nocy w tych krytycznych dniach Bulkeley w hełmie, mundurze polowym, z nieodłącznym coltem przy pasie, był ze swoimi ludźmi na pierwszej linii. Niestrudzenie wędrował po okopach i stanowiskach obronnych wzdłuż całej linii odgraniczającej bazę od Kuby. Gdyby Castro postanowił zemścić się za upokorzenie, jakiego doznał z rąk starego wygi, admirał był na miejscu. Wędrował w mroku od wzgórza do wzgórza, krążył między polami minowymi w tempie, które ledwie wytrzymywał osobisty ochroniarz komendanta, młodszy odeń o ponad ćwierć wieku.

Suicide Ridge – Wzgórze Samobójców, tuż obok przejścia północno-wschodniego, wyglądało jakby żywcem przeniesione z krajobrazu bitewnego II wojny światowej. Po całym wzgórzu ciągnęły się transeje ze stanowiskami ogniowymi. Promienie księżyca wyłapywały z ciemności szare hełmy marines.

Bulkeley osobiście przemierzył każdy metr linii obronnej wzdłuż wschodniej granicy bazy. Gdyby miało dojść do ataku, to właśnie tu. W krytycznym okresie był na nogach czterdzieści pięć godzin bez przerwy. Po tym pozwolił sobie na ledwie dwie godziny snu.

Wiadomość o „operacji chirurgicznej” na rurociągu obiegła całą Amerykę. Marynarka Wojenna była dumna ze swego admirała. Dumny był prezydent, dumni byli Amerykanie. W prasie nie szczędzono pochwał i pochlebstw pod adresem admirała.

„Knickerbocker”, dziennik ukazujący się w Albany, w stanie Nowy Jork, pisał:

Trzykrotne hura na cześć admirała Bulkeleya, który jako pierwszy po Kennedym usadził Fidela jak trzeba.

„Arizona Republic” podkreślał:

Ameryka zbyt długo klęczała przed samozwańczym dyktatorem, a (za sprawą Bulkeleya) wreszcie podniosła się z kolan.

Z dnia na dzień wykopana przez Bulkeleya w Guantanamo dziura w ziemi stała się niemal świątynią narodową – symbolem wolności. Za cichą zgodą admirała komandor „Zip” Trzyna kazał swoim ludziom wystawić obok wykopu wielką tablicę z takim oto napisem:

W ODPOWIEDZI FIDELOWI ... W TYM MIEJSCU AMERYKANIE WYZWOLIŁI SWOJĄ WODĘ SPOD PANOWANIA KUBY

Żaden amerykański VIP, czy to senator, czy kongresman, generał, admirał, czy minister, odwiedzający później Guantanamo, nie omieszkał zrobić sobie zdjęcia na tle wykopu i planszy.

Faktem jest, że Castro został zrobiony w konia, ośmieszony, na oczach całego świata udowodniono mu łgarstwo. Nic dziwnego, że posłuszna mu prasa kubańska nie ustawała w wylewaniu wiader żółci na admirała Bulkeleya. „Revolución” zamieściła nawet zdjęcie na pierwszej stronie, przedstawiające kukłę admirała, zwisającą na stryczku z balkonu dawnej Ambasady USA w Hawanie. Podpis pod zdjęciem brzmiał: „Krwiożerczy (Bulkeley) chciał sprowokować starcia” wokół Guantanamo i rozpetać wielką wojnę.

Lyndon Johnson, zawsze dbały o swój polityczny wizerunek, a zwłaszcza teraz, gdy ubiegał się o wybór na nową kadencję, z uwagą śledził reakcje prasy i społeczeństwa na starcie Bulkeleya z Castrem. Był też pełen uznania dla rezultatów. 21 lutego, przemawiając na wiecu wyborczym w Los Angeles, powiedział:

Podjęliśmy wyzwanie i znaleźliśmy właściwą odpowiedź na prowokację Hawany... Myślę, że postąpiliśmy mądrze. Lepiej bowiem, żeby jeden admirał odciął wodę, niż by batalion marines odkręcał kurek<sup>5</sup>.

Była to nie tylko pochwała działań Bulkeleya, ale i odpowiedź na zarzuty Goldwata, rywala do prezydentury, że Johnson siedzi z założonymi rękami, nie reagując na zaczepki Fidela Castro. Johnson był sprytnym politykiem. Mówił „podjęliśmy wyzwanie” i dalej w tym samym trybie liczby mnogiej dawał do zrozumienia, że odcięcie wodociągu było jego pomysłem. Tymczasem Waszyngton dowiedział się o wyczynie Bulkeleya dopiero po fakcie, a poza tym to nie Johnson, a Kennedy, krótko przed śmiercią, mianował Bulkeleya na komendanta Guantanamo z zadaniem trzymania Fidela Castro „na muszce”.

W każdym razie Castro musiał teraz zmienić zamiary wobec Guantanamo. 25 lutego, podczas spotkania z grupą zagranicznych dziennikarzy, powiedział nawet, że „obecnie, w sytuacji gdy nasi rybacy zostali uwolnieni, nie ma już potrzeby wstrzymywania dostaw wody

do Caimanery”. Po tej deklaracji zawiesił na chwilę głos, strzepnął popiół z cygara i dodał: „oczywiście Stany Zjednoczone musiałyby najpierw o to poprosić”<sup>6</sup>.

Poproszony o komentarz Bulkeley rzekł krótko:

– Pan Castro może iść w diabły!<sup>7</sup>

A Departament Stanu znów dostał drzączki. W ten bowiem sposób nikt, a zwłaszcza wysoki oficjał, admirał US Navy siedzący na beczce prochu, nie powinien mówić o głowie obcego państwa. Całe Guantanamo, przeciwnie, znów było dumne ze swego komendanta.

Prace nad wielką destylarnią wody morskiej, dzięki której Guantanamo na zawsze już uwolni się od kaprysów Fidela Castro, zaczęły się 1 kwietnia – w prima aprilis – 1964 roku. Projekt i plany konstrukcji przygotował koncern Westinghouse, za realizację odpowiadała firma Burnes and Roe Western Hemisphere Corporation z Nowego Jorku. Przedsięwzięcie było skomplikowane, powstawała wytwórnia wody ogromnych rozmiarów, a tymczasem wszystko, od materiałów i surowców, poprzez sprzęt budowlany i narzędzia, trzeba było sprowadzać ze Stanów. Od początku jednak pracowano w ogromnym tempie, dzień i noc na okrągło. Postępem prac interesowali się wszyscy – cały Pentagon i Biały Dom. Prezydent Johnson uznał sprawę za priorytetową.

Trudności było wiele i wiele też trzeba było pokonać przeszkód. Plan zakładał oddanie pierwszej linii produkcyjnej 31 lipca, a więc zaledwie cztery miesiące po rozpoczęciu robót. Później, etapami, miano oddawać dwie pozostałe linie, aż do osiągnięcia zakładanej mocy wytwórni. Admirał Bulkeley poprosił jednak, aby pierwszy etap zakończono wcześniej, 26 lipca, tak by wytwórnia słodkiej wody ruszyła dokładnie w dniu wielkiego święta kubańskiego, ustanowionego na cześć Ruchu 26 Lipca. Bulkeleyowi marzył się toast szklanką świeżej wody, z wytwórni wniesionej tuż pod boki Najwyższego Przywódcy.

Bulkeley wyraźnie zachodził Fidelowi za skórę. Pod koniec kwietnia służba nasłuchu radiowego w bazie zarejestrowała przemówienie Fidela, wygłoszone w Hawanie, a poświęcone w znacznej części osobie admirała. Najwyższy Przywódca określił go mianem „dzikiego zabójcy”, i co więcej, ustanowił nagrodę za jego głowę w niebagatelnej wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów<sup>8</sup>.

Budowa odsalarni wody posuwała się do przodu w imponującym tempie. Inżynierowie przyrzekli, że termin 26 lipca zostanie dotrzymany, gdy tymczasem, jak piorun z jasnego nieba, w sprawę wmieszal się Departament Stanu, śląc całą serię przedziwnych instrukcji:

Zabrania się (powtarzamy – zabrania) rozgrywania sprawy wytwórni wody. Należy unikać (powtarzamy – unikać) wszelkiej ostentacji, nie (powtarzamy – nie) podkreślać wydajności wytwórni, nie popisywać się. Sprawa ma poważny wydźwięk polityczny.

Nie udzielać wywiadów, nie inspirować materiałów prasowych. Uroczystości zaplanowane na 26 lipca przenieść na inny termin. Pod żadnym pozorem i w żadnych (powtarzamy – żadnych) okolicznościach nie wygrywać przewagi psychologicznej nad Fidelem Castro<sup>9</sup>.

Bulkeley oczywiście zastosował się do zalecenia, ale prywatnie nie krył oburzenia. Był wściekły, zwłaszcza za zakaz „wygrywania psychologicznej przewagi nad Fidelem Castro”. Była to przecież wspaniała okazja – nieczęsta skądinąd – do odtrąbienia spektakularnego zwycięstwa w zimnej wojnie. Ale rozkaz to rozkaz, uroczystości otwarcia wytwórni przełożono na 31 lipca.

W wyznaczonym jednak pierwotnie terminie, a więc 26 lipca, o godzinie trzeciej rano, Bulkeley z kilkoma zaufanymi oficerami, w tajemnicy udał się do ukończonego zakładu i tak jak zapowiadał, wznosił stosowny toast szklanką świeżutkiej wody.

Cztery dni później odbyło się oficjalne otwarcie zakładu. Zgromadziła się z tej okazji „cała baza”. I choć agenci Departamentu Stanu baczyli, aby „nie wygrywać przewagi psychologicznej” i w ogóle milczeć, radości nie było końca.

W Santiago, „kolebce rewolucji”, niedaleko Guantanamo, dwieście pięćdziesiąt tysięcy *campesinos* (robotników rolnych) pociło się pod gorącym słońcem na głównym placu miasta. Upakowano ich jak sardynki w puszcze, a Najwyższy Przywódca przez ponad dwie godziny głosił nienawiść do Stanów Zjednoczonych, a zwłaszcza do admirała Johna Bulkeleya.

Na liście najbardziej znieawidzonych jankesów Bulkeley zajął dawne miejsce Jacka i Bobby'ego Kennedych.

– Bulkeley to najgorsza mała ze wszystkich! – grzmiał Najwyższy Przywódca. – I tylko marzy, aby z naszej ręki padło paru marines, bo w ten sposób wzrosłyby szanse Goldwatera w rywalizacji z Johnsonem o prezydenturę!<sup>10</sup>

Najwyższy Przywódca przerwał na chwilę, potoczył wzrokiem po posłusznym tłumie i zawołał z mocą:

– Zrobią wszystko, żeby tylko zamącić sprawę wokół Caimanery<sup>11</sup>... ale nasi chłopcy odpowiedzą ogniem, jeśli prowokacjom nie położą się kresu.

Tłum ryknął radośnie, owacji nie było końca, tysiące gardeł jęło skandować:

– Fidel wymierzy jankesom dotkliwy cios! Fidel wymierzy jankesom...

Sześć dni później Castro udzielał łaskawego posłuchania grupie dziennikarzy ze Stanów Zjednoczonych. Audiencja odbywała się w Varadero, ulubionym przez Fidela eleganckim ongiś kurorcie, w luksusowym – też oczywiście w dawnych czasach – hotelu International. Castro rozsiadł się w fotelu, zapalił długachne cygareto i, jak to miał w zwyczaju, rozpoczął równie długi jak cygareto monolog.

– Są tacy – oświadczył – którym wydaje się, że agresja na Kubę nie musi rozpętać wojny światowej. Mylą się. Niech nikt nie ma złudzeń, napaść na Kubę to początek wojny globalnej!

W odpowiedzi na konkretne pytanie jednego z dziennikarzy Castro odpowiedział wprost:

– Tak, przyjmę znów rakiety ... Związek Radziecki jest poważnie zaangażowany na Kubie<sup>12</sup>.

Trzy dni później trzydzieści ciężkich spychaczy, wyprodukowanych w Związku Radzieckim, zajechało z nagłą pod ogrodzenie okalające bazę Guantanamo. Grupa „ochotników” w niebieskich kombinazonach zaczęła oczyszczać i niwelować szeroki na trzysta metrów pas ziemi wzdłuż całej, trzydziestoosmiokilometrowej linii granicznej. Ścięto wszystko, do ostatniego kaktusa i krzaka.

Admirał Bulkeley wruszył tylko ramionami. – Mama Castro porządkuje ogródek – zauważył z ironią.

Tychczas jednak za spychaczami nadjechały wielkie ciężarówki, z których „ochotnicy” zaczęli wyładowywać ciężkie betonowe głazy. W ciągu kilku tygodni wkopano je w ziemię na okolicznych wzgórzach, budując linię umocnień, składającą się ze stu czterdziestu jeden bunkrów<sup>13</sup>.

Bulkeley depešował do Pentagonu, na bieżąco informując o postępach robót „Linii Siegfrieda” – jak w Guantanamo nazwano castrowskie fortyfikacje. W Pentagonie przeanalizowano sprawę. Uznano, że budowie patronowali sowieccy specjaliści i że musiało to kosztować co najmniej piętnaście milionów dolarów. Chruszczow tyle musiał wyłożyć, nie licząc sprzętu i wyposażenia<sup>14</sup>.

Prasa oczywiście domagała się komentarzy od Bulkeleya. – Wycelowaliśmy działa we wszystkie te betonowe pudła – odparł – i w mgnieniu oka zmieciemy je w proch, gdyby Castro coś zaczął! Jeśli zaś przyjdzie

rozkaz, żeby ruszyć, to przejdziemy przez te ich fortyfikacje, jak nóż przez masło<sup>15</sup>.

Bulkeley stale liczył się z możliwością nagłego ataku ze strony kubańskiej. Codziennie osobiście obserwował z pokładu śmigłowca całe otoczenie bazy, sprawdzając, czy coś się szykuje. Codziennie też wizytował marines na wysuniętych pozycjach wzdłuż całej linii odgraniczającej Guantanamo od reszty wyspy. Nie dbał o to, że kubańscy snajperzy po drugiej stronie ogrodzenia mogą go mieć na muszce.

W sierpniu 1964 roku dowództwo kontyngentu marines w bazie objął pułkownik Anthony Walker. Miał przydomek „Cold Steel” (Zimna Stal) i doświadczenie z walk na Pacyfiku w czasie II wojny światowej. Walczył też w Korei. Zaraz po objęciu dowództwa kazał ustawić dwa czołgi z potężnymi reflektorami tuż przy linii odgraniczającej bazę. Całymi nocami strumień światła omiatał pozycje kubańskie. Nie był to jedyny pomysł czterdziestosiedmioletniego pułkownika, absolwenta Uniwersytetu Yale. Od czasu do czasu kazał również oświetlać kubańskie umocnienia z powietrza. Szturmowe śmigłowce z reflektorami wisiąły nad granicą jak wielkie świetliki.

Pułkownik Walker wspominał:

Nie był to kaprys ani nic takiego. Zależało nam na tym, aby ci po drugiej stronie mieli świadomość, że czuwamy, jesteście w pogotowiu i że nie wezmą nas z zaskoczenia. Własnymi siłami, a w bazie mieliśmy marines, marynarzy i saperów, zdołalibyśmy zatrzymać lub wręcz odeprzeć ich czołgi i piechotę, zyskać wystarczająco dużo czasu na przerzucenie 2 Dywizji Marines, a ta pogoniłaby sukinsynów do Hawany.

Pułkownik, mówiąc te słowa, zaraz też dodał:

Ich artyleria mogłaby oczywiście poczynić trochę szkód w bazie<sup>16</sup>.

Nie było dnia, żeby na granicy coś się nie działo. Kubańczycy bez przerwy coś wszczynali: obrzucali marines obraźliwymi okrzykami, rzucali kamieniami, czasami nawet ich patrole przenikały nocą na teren bazy, bywało, że rozlegały się strzały. Czasami ustawiali po swojej stronie gigantofony i grozili, że niebawem ruszą do ataku. Baza stanowiła pierwszą linię frontu w zapalnym miejscu zimnej wojny i dziesięć tysięcy jej personelu miało tego świadomość.

Ale też wszyscy dumni byli z admirała, który potrafił stawić czoło wyzwaniu Fidela Castro. Wszystkich też łączyło uczucie braterstwa, wspólnoty i odpowiedzialności za „obleganą i najbardziej narażoną na niebezpieczeństwo fortecę Stanów Zjednoczonych”.

W wojskowym żargonie o Guantanamo powiadano „Gitmo”. To z kolei w kolokwialnej angielszczyźnie znaczy „daj mi”. Ta gra słów dała początek popularnemu wśród marines powiedzeniu: „They call it Gitmo – but we won't git!” (w wolnym tłumaczeniu mogłoby to brzmieć: Choć nazwa stara, od Gitmo wara!)

Wara od Gitmo. O to chodziło prezydentowi Kennedy'emu i właśnie dlatego jego wybór padł na nieugiętego admirała Bulkeleya. Guantanamo miało pozostać własnością Ameryki i pozostało.

## Międzynarodówka rewolucjonistów

Choć wiadomo było, że Bobby Kennedy i Lyndon Johnson serdecznie się nie znoszą, to latem 1964 roku w Waszyngtonie pojawiły się pogłoski, że pragmatyczny prezydent dobierze sobie właśnie Bobby'ego jako partnera w wyborach. Zwróci się doń, aby kandydował na wiceprezydenta, licząc, że w ten sposób przyciągnie głosy liberałów. Johnson nie zaprzeczał, bo takie opinie były mu na rękę, prywatnie jednak odcinał się od sprawy. – Bez tego karzełka też wygram – mówił.

Ze swej strony Bobby gotów był spuścić z tonu i przyjąłby propozycję, bo, po pierwsze znalazłby się blisko najwyższego urzędu – o jedno uderzenie serca od prezydentury – jak się powiada, a po wtóre dawałoby mu to znakomitą pozycję wyjściową do następnych wyborów w roku 1968, kiedy to sam zamierzał sięgnąć po Biały Dom.

Sprawy potoczyły się jednak inaczej. Gdy Johnson zaprosił Kennedy'ego do siebie, do Gabinetu Ovalnego, aby oznajmić mu, że na kandydata na wiceprezydenta wybrał jednak kogoś innego, a mianowicie senatora Huberta H. Humphreya, Bobby zauważył czerwone światelko na stojącym na biurku dyktafonie prezydenta. Oznaczało to, że rozmowa jest nagrywana<sup>1</sup>.

Zachował się ostrożnie, choć w rzeczywistości czuł się głęboko dotknięty. Johnson bał się – zwierzył się później jednemu z przyjaciół – że będą mu patrzyli na ręce<sup>2</sup>.

Gdy latem Johnson zyskał oficjalną nominację swojej partii na prezydenta, Kennedy złożył dymisję ze stanowiska prokuratora generalnego, a 25 sierpnia zgłosił swoją kandydaturę w wyborach do Senatu. Zamierzał wystartować w stanie Nowy Jork, ubiegając się

o mandat piastowany od lat przez republikanina, senatora Kennetha Keatinga. W kierownictwie Partii Republikańskiej powiadano w związku z tym złośliwie, że hasło wyborcze Bobby'ego brzmi: „Rób drugiemu, co tobie miło i wal do innego stanu!”

Kennedy miał w istocie wątpliwy tytuł do ubiegania się o mandat w Nowym Jorku, co zaraz zaczęła podnosić konkurencja i część prasy. Był tam obcy, mógł się, co najwyżej, wylegitymować eleganckim apartamentem w luksusowym hotelu Carlyle, który rodzina wynajmowała na stałe.

Aby jednak spełnić formalne warunki i przekonać wyborców, że rzeczywiście jest, a przynajmniej zamierza być, obywatelem Nowego Jorku, wynajął wiekowy, dwudziestopięciopokojowy dworek w prestiżowej miejscowości Glen Cove na Long Island, na przedmieściach nowojorskiej metropolii. Ale rodzina rzadko tam gościła. Ethel zdążyła bowiem zapisać dzieci – a miała ich z Bobbym sporą gromadkę – do prywatnych szkół w pobliżu Hickory Hill w Wirginii. Sama też najczęściej przebywała w Wirginii, a Bobby w czasie pobytów w Nowym Jorku zatrzymywał się zwykle w apartamencie hotelu Carlyle.

Nie był nawet zarejestrowany jako wyborca w Nowym Jorku i 4 listopada – w dniu wyborów – głosował z Ethel w Massachusetts, swoim rodzinnym stanie.

Ale nowojorczy, nadal oczarowani mitem Kennedy'ego, nie zważali na wątpliwy status Bobby'ego jako mieszkańca ich stanu i wybrali go na swego przedstawiciela w Senacie ogromną większością głosów w stosunku do rywala, Kennetha Keatinga.

A tymczasem 24 września Komisja Warrena opublikowała raport w sprawie zabójstwa prezydenta Kennedy'ego. Czynności śledcze na rzecz komisji prowadziło oczywiście FBI i była to największa operacja w dziejach biura. Osiemdziesięciu sześciu funkcjonariuszy FBI delegowano do Dallas. Przesłuchano dwadzieścia pięć tysięcy osób. Sporządzono dwa tysiące trzysta sprawozdań i ekspertyz, liczących w sumie trzydzieści tysięcy stron.

Oczekiwano, że biuro przeprowadzi śledztwo na najwyższym poziomie, najbardziej wnikliwe i dokładne, na miarę uzasadnionej reputacji FBI jako najbardziej profesjonalnej w świecie i szanowanej instytucji do walki z przestępczością – stwierdzano w końcowym sprawozdaniu Komisji Specjalnej Izby Reprezentantów do spraw Zabójstw Politycznych. I biuro dołożyło wszelkich starań, przeprowadziło operację na bezprecedensową skalę<sup>3</sup>.

Komisja Warrena stwierdziła, że:

prezydent poniósł śmierć od kul wystrzelonych przez Oswalda z szóstego piętra Składnicy Podręczników Szkolnych stanu Teksas i że Lee Harvey Oswald działał sam.

Stwierdziła także, że Jack Ruby, zabijając Oswalda w siedzibie policji w Dallas, też działał na własną rękę. Nie znaleziono żadnych konkretnych dowodów na istnienie spisku, tak w przypadku zabójstwa Kennedy'ego, jak i Oswalda.

Na Kubie tymczasem Fidel Castro usuwał ostatnie przeszkody na drodze do władzy absolutnej. Sprawa dotyczyła dziennika „Revolución”. Redaktor naczelny gazety, Carlos Franqui, należał wprawdzie do grona starych towarzyszy Fidela jeszcze z czasów Sierra Maestra, ale Najwyższy Przywódca uznał, że dziennik dopuszcza się wykroczenia w postaci naświetlania pewnych wydarzeń inaczej niż on. Co więcej, „Revolución” wdaje się od czasu do czasu w polemiki z „Hoy”, drugą gazetą na Kubie. Castro położył kres „zagrożeniu”, zamykając oba tytuły i powołując na ich miejsce jeden dziennik – „Granma”. Franqui zbiegł z Kuby i stał się z czasem jednym z najsurowszych krytyków Najwyższego Przywódcy.

Redaktorem „Granmy” mianowano wypróbowanego sojusznika Fidela, Jorge Enrique Menéndeza. Wprowadził on w redakcji jedną żelazną zasadę: żadnej krytyki Fidela Castro i żadnej krytyki jego reżimu.

Enrique Menéndez doskonale znał swoje miejsce w szeregu i wiedział, że jego najświętszym obowiązkiem jest propagowanie aktualnej linii autorstwa Fidela Castro. Przez całe lata, codziennie rano będzie wydzwaniał do Celi Sanchez, zaufanej powiernicy Fidela, aby się upewnić co do bieżących poglądów i zaleceń Najwyższego.

Jesienią 1964 roku, pięć lat po przejściu władzy, Castro ostatecznie przekształcił Kuba w państwo policyjne na wzór radziecki. W rzeczy samej sprowadzeni z Rosji agenci współdziałali w tworzeniu ogólnokubańskiej sieci donosicieli, znanej pod nazwą Comités para la Defensa de la Revolución (Komitetów Obrony Rewolucji).

Już wkrótce liczba uczestników tychże komitetów sięgnie trzystu tysięcy. Ich zadanie polegało na szpiegowaniu sąsiadów, przyjaciół, a nawet rodziny i donoszeniu o wszystkim władzom. Dla większości Kubańczyków staną się oni symbolem dyktatury i ucisku, tak jak osławieni *Blockwarten* (blokowi) w hitlerowskich Niemczech.

Mieszkania oficjalnych donosicieli oznaczano specjalnym znakiem, miniaturową flagą z inicjałami. Robotę w istocie mieli łatwą, choćby dlatego, że za sprawą „rewolucyjnych reform” wykluczono niemal

możliwości zmiany miejsca zamieszkania. Nie można więc było zniknąć z pola widzenia donosicieli, a donosicielem – *chivato* – mógł okazać się każdy: znajomy, przyjaciel, czy nawet krewny.

Pieczę nad Komitetami Obrony Rewolucji sprawował minister spraw wewnętrznych, a był nim Ramiro Valdés – ten sam, który wydał rozkaz zniszczenia części ogrodzenia wokół bazy Guantanamo, w czasie przepychanek z admirałem Johnem Bulkeleyem w 1963 roku. Valdés wydał szczegółową instrukcję swoim obywatelom-szpiegom, dotyczącą „wrogów”, na których mają baczyć, a gdy trzeba – demaskować. Lista była spora i obejmowała: imperialistów, najemników z Zatok Świń, kolaborantów poprzedniego reżimu, agitatorów upowszechniających wrogą propagandę, bumelantów, którzy unikają pracy bądź nie dokładają należytych wysiłków, malkontentów, księży katolickich, Adwentystów Dnia Siódmego, amerykańskich marines, agentów CIA i ich współpracowników, świadków Jehowy, „bandytów” czyli antycastrowskich partyzantów i bojowników, Badaczy Pisma Świętego, baptystów, osobników aspołecznych, „robactwo” i każdego, kto zbyt długo pali w nocy światło.

W październiku 1964 roku w moskiewskiej „Prawdzie” ukazała się krótka nota:

Towarzysz Chruszczow został na własną prośbę, dyktowaną podeszłym wiekiem i pogarszającym się stanem zdrowia, zwolniony ze wszystkich zajmowanych stanowisk partyjnych i państwowych.

Jego sukcesorem na stanowisku premiera został Aleksiej Kosygin, a pierwszym sekretarzem Leonid Breżniew.

Nowi przywódcy, z powodu których Chruszczow został usunięty, po paru dniach doszli do wniosku, że lepiej jednak zmienić wersję i objawili inne powody usunięcia poprzednika. „Prawda” jęła zarzucać Chruszczowowi „tchórzliwe knowania, pochopne decyzje, kunktatorstwo i obłudę”<sup>4</sup>.

Na łamach gazety ukazała się długa lista dwudziestu dziewięciu poważnych błędów politycznych i nadużyć, jakich Chruszczow miał się dopuścić. Na pierwszym miejscu przypomniano sprawę kryzysu raketowego na Kubie, który – jak napisano – „ugodził w prestiż Związku Radzieckiego”.

W Ameryce dobiegał końca zaciekle wyścig o prezydenturę. Głównym tematem kampanii była Kuba i Castro. Rywal Johnsona, senator Barry Goldwater, głosił, że „nawet teraz, po upadku protektora

Castra, Chruszczowa", Najwyższy Przywódca nadal umacnia „swoją bazę komunistycznej dywersji, strzeżoną przez radzieckie wojska i radziecką broń”.

Wyborczy partner Goldwata, kandydat na wiceprezydenta, William E. Miller, oskarżył Johnsona o „rozpieszczanie Fidela”, mimo że rząd Stanów Zjednoczonych ma możliwości i instrumenty, za pomocą których mógłby zadać dotkliwe ciosy reżimowi „komunistycznego tyrańca”.

Johnson nie odpowiadał osobiście na te zarzuty, uważając, że prezydentowi nie wypada wdawać się w karczemne awantury. W jego imieniu na zaczepki odpowiadali inni, on sam natomiast oświadczył, że stosuje „energiczne, ale też rozsądne” podejście do problemu Kuby. Pretorianie Johnsona natomiast bezlitośnie obnażali Goldwata jako nieodpowiedzialnego awanturnika, który spycha świat ku nuklearnej zagładzie.

Sześcioletni procent głosujących w listopadowych wyborach Amerykanów poparło demokratów – listę Johnsona-Humphreya. Goldwatter z Millerem wygrali tylko w Arizonie, rodzinnym stanie tego pierwszego i pięciu innych stanach na Południu. Odnosząc tak przekonujące zwycięstwo, Johnson pospieszył z deklaracją, że „nie będzie tolerował żadnych nowych Kub” na półkuli zachodniej.

Kilka miesięcy później, w czerwcu 1965 roku, całą Amerykę zelektryzowała niespodziewana wieść, że starsza siostra Fidela – Juana Castro Ruz – wystąpi na forum Komisji Izby Reprezentantów do Badania Działalności Antyamerykańskiej. Rok wcześniej Juana zbiegła z Kuby do Ameryki. Rozczarowały ją niesprawiedliwości, jakich dopuszcza się terrorystyczny reżim (Fidela i Raúla)<sup>5</sup>.

– Amerykanie nawet nie wyobrażają sobie ogromu nienawiści, jaką Fidel żywi wobec Stanów Zjednoczonych – oświadczyła Juana, zznając przed komisją. – Jego celem i obsesją jest zniszczenie Ameryki<sup>6</sup>.

Właśnie po to, aby zrealizować ten cel, „Fidel finansuje wyprawę na Kubę, podejmowaną przez uczestników (nowojorskiego) Studenckiego Komitetu na rzecz Podróży na Kubę. Czyni z nich propagandystów, którzy po powrocie do Stanów powtarzają i upowszechniają hasła kubańskich komunistów”<sup>7</sup>.

3 stycznia 1966 roku Fidel Castro zorganizował w Hawanie Pierwszą Konferencję Solidarności Narodów Afryki, Azji i Ameryki Łacińskiej, zwaną w skrócie Konferencją Trzech Kontynentów. Przyby-

ło na nią blisko siedmiuset pięćdziesięciu „delegatów” z osiemdziesięciu dwóch krajów. Celem było zainicjowanie zmasowanej ofensywy przeciwko „krajom kapitalistycznym i imperialistycznym”, zwłaszcza zaś przeciwko Stanom Zjednoczonym. Służyć temu miała Międzynarodówka partyzantów – jak nazwano ruch, czy też organizację powołaną do życia właśnie wtedy.

Castro liczył, że uda mu się wywołać niepokoje i zamieszki wśród murzyńskiej ludności Stanów Zjednoczonych. Miał także nadzieję, że sfrustrowaną na tle rozszerzającej się wojny w Wietnamie młodzież da się wykorzystać do siania zamętu i akcji przeciwko władzy.

W konferencji uczestniczyli przedstawiciele Vietcongu, nowej Organizacji Wyzwolenia Palestyny pod kierownictwem Yasira Arafata, oraz radykalni działacze polityczni ze Stanów Zjednoczonych, jak Jerry Rubin, Bernadine Dohrns, Eldridge Cleaver (przywódca „Czarnych Panter”) i Stokely Carmichael (szef struktur organizacyjnych „Czarnych Panter”). Cleavera, którego w Stanach poszukiwano listem gończym za gwałt, Kubańczycy uhonorowali w sposób szczególny. Sprezentowano mu oliwkowo-zielony uniform rewolucjonisty, stosowny beret do kompletu, dano limuzynę z szoferem i oficera armii kubańskiej do towarzystwa i opieki.

W roli głównego wykładowcy na Konferencji Trzech Kontynentów wystąpił niejaki Huynh Van Ba, od 1963 roku oficer łącznikowy Vietcongu na Kubie. Uczył on chętnych słuchaczy z Ameryki, jak organizować demonstracje antywojenne, jak namawiać młodych ludzi, aby nie dali się wcielać do wojska, paląc karty powołania albo zbiegając za granicę i jak propagandowo wykorzystywać rosnącą liczbę amerykańskich ofiar w Wietnamie.

Z kolei taktykę działań terrorystycznych wykladał Brazylijczyk, Carlos Marighella, komunistyczny fundamentalista, mogący służyć za pierwowzór zawodowego rewolucjonisty. Podkreślał dwa cele tzw. miejskiej partyzantki. Likwidację (czyli zabójstwo) jak największej liczby szefów policji i wojska oraz wyższych oficerów w ogóle, i przejmowanie (czyli rabunek) zasobów państwowych, takich jak broń i amunicja oraz wywłaszczanie (też rabunek) banków i innych symboli „wielkiego kapitału”<sup>8</sup>.

Rozdawano materiały zawierające instrukcje, jak domowym sposobem sporządzać i jak stosować koktajle Mołotowa. Chętni mogli zapatrzeć się w pojemniki z farbą w aerozolu z napisem „pomaluj policję na żółto”. Na fali Konferencji Trzech Kontynentów radykalni rewolucjoniści zaczęli tworzyć w Stanach Zjednoczonych solidne zaplecze do działań terrorystycznych. Postarano się o placówki przy-

gotowujące fałszywe dokumenty; organizowano kryjówki i meliny, transport, pomoc prawną i medyczną, wywiad; gromadzono i dostarczano broń i amunicję.

Jedną z najbardziej groźnych i aktywnych grup, jakie powstały po hawańskim konklawe, była organizacja o nazwie Weathermen. W „Komunikacie nr 1”, opublikowanym na łamach „The New York Timesa”, jej twórcy obwieścili „wypowiedzenie wojny Stanom Zjednoczonym”. Rewolucyjna przemoc to jedyna metoda walki z „amerykańskim imperializmem” – stwierdzał komunikat. „Naszym wzorem jest klasyczna taktyka partyzancka Vietcongu ... przysposobimy ją do naszych, amerykańskich warunków – do najbardziej rozwiniętego pod względem technicznym kraju na świecie”.

Pod szyldem Weathermenów dobierano się do zasobów bankowych, stosując rozmaite techniki oszustw. Organizowano zamachy bombowe na placówki wojskowe i policyjne w Detroit, Chicago, Nowym Jorku, Waszyngtonie i San Francisco, w których ginęli funkcjonariusze, a wielu zostało rannych<sup>9</sup>.

W tajnej siedzibie – a właściwie melinie innej terrorystycznej organizacji podziemnej Symbionese Liberation Army (SLA – Symbiotycznej Armii Wyzwoleńczej) – agenci FBI znaleźli broszury autorstwa Carlosa Marighelli, między innymi, *Minimanual for the Urban Guerilla* (Minipodręcznik partyzantki miejskiej). Setki tych książek rozprowadzono wśród uczestników Konferencji Trzech Kontynentów. Zawarte w nich były „modelowe przykłady akcji”, obliczone na sianie zamętu i wywoływanie zamieszek. Nie ma wątpliwości, że właśnie opierając się na tych wzorach, SLA dokonała morderstwa na osobie dr. Marcusa Fostera, kuratora oświaty w Oakland w Kalifornii, uprowadziła Patty Hearst, córkę wpływowego wydawcy prasowego (która zresztą przystąpiła do porywaczy), i przeprowadziła kilka napadów na banki<sup>10</sup>.

W Puerto Rico Macheteros – najliczniejsza z czterech band terrorystycznych działających w tym kraju, której przywódcy przeszli szkolenie na Kubie pod okiem samego Carlosa Marighelli – napadli na bazę lotniczą, niszcząc większość maszyn należących do miejscowego oddziału Gwardii Narodowej. Istnieje podejrzenie, że ta sama grupa ostrzelała raketami siedzibę FBI w San Juan – stolicę Puerto Rico<sup>11</sup>.

# 37

## Tragedia w Los Angeles

Wiosną 1966 roku Fidel Castro i Lyndon Johnson zawarli się w pojedynku... o zawody sportowe. Przygotowywano właśnie w San Juan regionalne Igrzyska Krajów Ameryki Łacińskiej i basenu Morza Karaibskiego, bez Kuby wszakże, bo tak pod naciskiem Waszyngtonu zdecydowali organizatorzy. Castro jednak wniósł protest do Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego, a ten oświadczył, że jeśli sportowcy z Kuby nie zostaną zaproszeni, to komitet wycofa się z patronowania imprezie.

Powstał impas, który Castro starał się przełamać. Załadował swoją reprezentację na statek i kazał płynąć na Puerto Rico. W odpowiedzi Johnson kazał Straży Wybrzeża zatrzymać kubańską jednostkę na redzie. Kapitanowi statku oświadczone, że nie wolno mu zawinąć do portu. W tej sytuacji kubańscy sportowcy spuścili szalupy i udali się na ląd. Minikryzys został zażegnany.

Zgodnie z przewidywaniami fachowców, Kubańczycy zdobyli większość medali. W Hawanie zgotowano im huczne powitanie. Castro, jak to on, palnął półtoragodzinne przemówienie. Powiedział, że większość sędziów na igrzyskach wywodziło się z CIA i tylko dlatego reprezentacja kubańska nie mogła zdobyć jeszcze więcej medali.

W oskarżeniach poszedł zresztą dalej. Oświadczył, że CIA sprowadziła do San Juan sporą liczbę „ślicznotek” z zadaniem uwodzenia i przekupywania zawodników kubańskich. Dodał też, że Kubańczyków próbowali demoralizować „zbiry CIA w przebraniu księży”<sup>1</sup>.

W październiku 1966 roku nieodłączny towarzysz Fidela, jego „lewa ręka”, „Ché” Guevara, opuścił Hawanę. Posługując się fałszywym

paszportem urugwajskim przedostał się do Boliwii z zamiarem wznowienia wspólnych działań z partyzantką boliwijską w celu obalenia prezydenta René Barrientosa i jego rządów. Barrientos zmobilizował wojsko do poszukiwań rewolucjonisty.

Guevara utrzymywał stałą łączność z Hawaną za pomocą krótkofalówki. Posługiwał się kryptonimem „Ramón”. Fidel miał kryptonim „Leche”.

Świtem 8 października 1967 roku oddział wojsk boliwijskich otoczył chatę na odludziu, gdzie ukrywał się Guevara z garstką towarzyszy. Zaskoczono ich we śnie. Doszło do wymiany ognia. Walka trwała krótko, „Ché” został ranny i pojmany. Skarżył się, że Fidel „opuścił go w decydującym momencie”, że „rzucił go na głęboką wodę, nie przejmując się, czy wypłynie”<sup>2</sup>.

Dwadzieścia cztery godziny później, na rozkaz z La Paz, trzydziestodwuletni dr Ernesto „Ché” Guevara został rozstrzelany na miejscu przez oddział, który go schwycił. Aby nie dopuścić do powstania „świątyni Ché” w Boliwii, władze oświadczyły, że ciało „Ché” zostało spalone, a prochy złożone w nieznanym miejscu.

A jednak niemal natychmiast po śmierci Guevary zrodził się i rozwinął „kult Ché”, nie tylko na Kubie, ale na całym niemal świecie. Na Uniwersytecie Wisconsin w Madison, na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley, na Harvardzie i w wielu innych ośrodkach akademickich pojawiły się plakaty i tysiące koszulek z portretem „Ché”. W metropoliach światowych – Waszyngtonie, Nowym Jorku, Londynie, Paryżu, Rzymie, Berlinie, Tokio i wielu innych, z inspiracji komunistów, odbywały się wiece pod sztandarami, na których „Ché” przedstawiano niemal jak Chrystusa<sup>3</sup>.

W Santiago de Cuba, „kolebce rewolucji”, znów zebrały się tysiące zwolenników Fidela, aby wysłuchać przemówienia Najwyższego Przywódcy z okazji cztertnastej rocznicy Ruchu 26 Lipca. Na trybunie w charakterze gościa honorowego zajął miejsce rzecznik „Czarnych Panter”, Stokely Carmichael.

Jeszcze przed uroczystością Fidel Castro przekonywał dziennikarzy na konferencji prasowej, że czarna ludność Ameryki gotowa jest podjąć śmiertelną walkę partyzancką i że wkrótce władza Waszyngtonu zostanie obalona. Castro przedstawił Carmichaela jako „najwybitniejszego przywódcę walki o prawa człowieka w Stanach Zjednoczonych”<sup>4</sup>.

7 sierpnia 1967 roku rano w Hawanie ogłoszono, że po południu tego samego dnia w hotelu Havana Libre, dawnym Hiltonie, odbędzie się

sensacyjna konferencja prasowa. Dziennikarze zjawili się tłumnie, a wtedy agenci kubańskiego bezpieczeństwa wprowadzili do sali pięciu wystraszonych biedaków. Dziennikarzom oznajmiono, że są to schwytani właśnie „kontrrewolucjoniści”, wysłani na Kubę przez CIA w celu zamordowania Fidela Castro.

Widać było, że wystawieni na pokaz biedacy dostali mocne lanie od swych oprawców, zaraz też zaczęli wyznawać swoje winy. Dziennikarzom pokazano też sprzęt i wszystko to, co rzekomi kontrrewolucjoniści mieli ze sobą, gdy ich złapano, a więc karabiny maszynowe, nadajniki radiowe, granaty, tysiące sztuk amunicji, bazooki oraz brzoskwinie w puszkach i kilka nienaruszonych butelek whisky.

Laura Bergquist, rezolutna reporterka tygodnika „Look”, nie kryła wątpliwości, bo też całość sprawiała wrażenie jeszcze jednego widowiska propagandowego. Zapytała więc, jak tych kilku ludzi dawało sobie radę z transportem tak wielkiego arsenału, a podobno przeszli szmat drogi? Zapytała też o brzoskwinie w puszkach, ciężkie i niewygodne w transporcie. Zwykle uczestnicy tego typu operacji zaopatrują się w znacznie poręczniejsze, wojskowe racje żywnościowe. Dodała na marginesie, że nigdy nie słyszała, aby na akcje zabierano taki zapas whisky, jaki rzekomo znaleziono przy „kontrrewolucjonistach”.

Na takie dictum do sali wtargnął Osvaldo Dorticós, marionetkowy prezydent Kuby. Podśmuchiwał widać pod drzwiami. Czerwony na twarzy, wyglądał jak rozjuszony byk, ze złości trzęsły mu się ręce. – Słyszeliście zeznania – wrzasnął – sprawa jest jasna!

Sala milczała, tylko reporterka komunistycznego „Daily Worker” pospieszyła z zapewnieniem – Ależ oczywiście!

Laura Bergquist i inni nie byli przekonani. Domagali się dowodów. – Jakich dowodów? – zagrzmiał Dorticós, dodając, że po dowody może się zwrócić do Johnsona i CIA.

Zawtórował mu korespondent z Urugwaju, rzucając kąśliwą uwagę, że Laura wysługuje się CIA, a być może jest wręcz agentką, co obecni na sali Kubańczycy skwitowali hałaśliwym rechotem<sup>5</sup>.

A tymczasem Najwyższy Przywódca znów wystąpił z kazaniem w telewizji, zapowiadając kampanię na rzecz „oczyszczenia kraju z resztek prywatnej inicjatywy. Oznaczało to ostateczną likwidację około sześćdziesięciu tysięcy firm, w większości małych, wręcz miniaturowych rodzinnych przedsiębiorstw lub takich, które zatrudniały co najwyżej parę osób, jak sklepy, warsztaty, pralnie, itp. Wedle Castra ich właściciele byli „wyzyskiwaczami”. Ich istnieniu trzeba położyć kres.

Tymczasem te właśnie miniaturowe przedsiębiorstwa – straganiarze, obwoźni handlarze, rzemieślnicy – wypełniały lukę, z którą wielkie państwowe zakłady i tak sobie nie dawały rady. W wyniku wygranej „bitwy o handel” ze sklepów zniknęły resztki towarów, rozwinął się natomiast czarny rynek, pojawiły się oznaki społecznych niepokojów. Te jednak Komitety Obrony Rewolucji dość skutecznie tłumili.

Wczesną wiosną 1968 roku senator Bobby Kennedy zastanawiał się, czy pójść w ślady brata i wystartować w wyścigu do Białego Domu. Wielu doradców i przyjaciół, pomnych tragedii w Dallas, sprzeciwiało się tej idei w obawie, by znów nie doszło do dramatu. Przewodził im i najenergiczniej oponował młodszy brat Roberta, Teddy, który głęboko wierzył, że nad rodziną wisi klątwa.

Przeciwnego zdania była matka, Rose Kennedy. Starsza pani straciła już dwóch synów w tragicznych okolicznościach, ale życzyła sobie, aby Bobby zasiadł w Białym Domu. – Ma wiele wspaniałych idei – zachwalała syna – potrafi je wcielić w życie<sup>6</sup>.

Także Ethel, ambitna małżonka senatora, kobieta o niezwykle silnej woli, szykująca się do urodzenia jedenastego dziecka, oraz siostry Bobby'ego nalegały, aby wystartował po prezydenturę.

Był to okres, kiedy wskaźnik popularności prezydenta Johnsona sięgnął niemal dna. Tylko dwadzieścia jeden procent Amerykanów udzielało mu poparcia. Kraj był rozdarty. Krwawa wojna w Wietnamie dzieliła społeczeństwo. Wraz z niepokojami rosła przestępczość, niebezpiecznie było chodzić po ulicach. Bobby zdawał sobie sprawę, że startując w wyborach przeciwko Johnsonowi, narazi się na oskarżenia o oportunizm i wykorzystywanie sytuacji, zwłaszcza że jego zardawiony konflikt z Johnsonem dla nikogo nie był tajemnicą.

W sobotę, 16 marca rano, Bobby stanął na tej samej mównicy na Kapitolu, z której przed ośmiu laty jego brat zgłosił swoją kandydaturę na prezydenta i oświadczył:

Pragnę, aby społeczeństwo Stanów Zjednoczonych spoglądało w przyszłość z nadzieją, a nie rozpaczą, aby opowiedziało się za porozumieniem, a nie za rosnącym zagrożeniem wojennym<sup>7</sup>.

Prezydent Johnson tylko zaklął, słuchając w telewizji, jak Bobby poddaje krytyce jego przywództwo.

Dla większości Amerykanów decyzja Bobby'ego nie była zaskoczeniem. Spodziewano się, że wcześniej czy później Bobby wskoczy na białego konia i ruszy na Biały Dom.

Dwa tygodnie później sieci telewizyjne zapowiedziały, że wieczorem z przemówieniem do narodu wystąpi prezydent Johnson. Większość dziennikarzy i społeczeństwa też spodziewało się kolejnego oświadczenia na temat wojny w Wietnamie. Johnson tymczasem zaskoczył wszystkich, mówiąc, że „nie będzie się ubiegał i nie przyjmie nominacji swojej partii na prezydenta Stanów Zjednoczonych”.

Wkrótce potem Bobby zwrócił się do sztabowców Białego Domu z prośbą o spotkanie z prezydentem w celu określenia jego roli w kampanii wyborczej w sytuacji, kiedy nie kandyduje na następną kadencję. Johnson zareagował z furją. – Co sobie ten karzeł wyobraża? Żadnych spotkań nie będzie, nawet odpowiedzi – zagrzmiał<sup>8</sup>.

5 czerwca, niespełna trzy miesiące później, Bobby zjechał do Los Angeles. Był to dzień prawyborów w Kalifornii. Bobby prowadził bardzo intensywną kampanię w tym stanie i wedle prognoz telewizyjnych powinien wygrać prawybory, wygrana zaś w Kalifornii dawała mu niemal stuprocentową gwarancję uzyskania nominacji partyjnej na sierpniowej konwencji demokratów. Lokale wyborcze zamykano o dwudziestą. Bobby z Ethel i całym orszakiem doradców i sympatyków, wśród których byli znani i wpływowi komentatorzy TV – Roger Mudd z CBS i Sander Vanocur z NBC – czekali na ogłoszenie wyników w apartamencie „królewskim” w hotelu Ambassador.

O dwudziestą trzecią dwadzieścia dwie, gdy już nie było wątpliwości, że Bobby wygrał i że został pokonany najgroźniejszy w Kalifornii przeciwnik, senator Eugene McCarthy, liberał ubiegający się o prezydenturę pod hasłem natychmiastowego położenia kresu wojnie w Wietnamie, w apartamencie wybuchła radość. Bobby i Ethel w towarzystwie Billa Barry'ego, byłego funkcjonariusza FBI, a obecnie osobistego ochroniarza Bobby'ego, zjechali windą na dół, by udać się do sali balowej, gdzie oczekiwał tłum zwolenników, sympatyków i pracowników sztabu wyborczego.

Tak się złożyło, że tuż przed wyjściem, Barry uprzedzał, że może być bezradny i nie zdoła ochronić Bobby'ego, jeśli ten swoim zwyczajem wmisza się w tłum. Barry niepokoił się i poważnie martwił, że Bobby nie życzy sobie ochrony policyjnej. Bobby uważał bowiem, że ochrona stwarza niepotrzebną barierę między nim a ludźmi.

Dziesięć dni wcześniej z podobnym ostrzeżeniem wystąpił pewien znajomy Pierre'a Salinger, byłego rzecznika prezydenta Kennedy'ego, a obecnie sekretarza prasowego w sztabie wyborczym Bobby'ego. Ów znajomy wyraźnie uprzedzał, że Bobby może zginąć, jeśli nie zgodzi się na ściślejszą ochronę policyjną. Taką ochronę propo-

nował komendant policji w Los Angeles, Thomas Riddin. Bobby odmówił. Riddin wspominał:

Odniosłem wrażenie, że Bobby nie chciał, aby w jakikolwiek sposób kojarzono go z policją, wolał się prezentować jako jej przeciwnik, co zresztą w tamtych czasach było słusznym pociągnięciem politycznym<sup>9</sup>.

Gdy Bobby ze zwycięskim uśmiechem na ustach wkroczył na podium, sala balowa oszalała z radości. Dopiero po dłuższej chwili, gdy tłum nieco się uspokoił, Bobby wygłosił krótkie przemówienie, dziękując wszystkim, którzy „przyczynili się do tego ogromnego zwycięstwa”. Jeszcze tylko przy wtórze braw i owacji zrobił „zajączka” na znak zwycięstwa i zaczął się przepychać do wyjścia. Miał zaraz wystąpić na konferencji prasowej. Dziennikarze już czekali w sali „kolonialnej”, położonej po drugiej stronie hotelowego ciągu kuchennego. W gęstym tłumie Ethel nie nadązała za mężem i została z tyłu.

Bobby z kilkoma osobami ze świty przechodził właśnie przez pomieszczenia kuchenne, gdy z boku podbiegł doń niski, ciemny mężczyzna. Był nim dwudziestoosmioletni Sirhan Bishara Sirhan. Krzyżąc: „Kennedy, ty sukinyśnu” wymierzył weń z małokalibrowego pistoletu i błyskawicznie opróżnił cały magazynek. Dwie z ośmiu kul ugodziły Bobby'ego w głowę. Bobby upadł na podłogę.

Bill Barry i dwóch ochroniarzy-ochotników: były zawodowy futbolista – Rosey Grier oraz były mistrz olimpijski – Rafer Johnson rzucili się na napastnika, wytrącając mu broń z ręki. Pośród tumultu rozlegały się okrzyki: „Zabić go, zabić!”

Sirhan, Arab, ale wyznania chrześcijańskiego, przyjechał do USA z Jerozolimy w 1957 roku. Jedyne motyw zabójstwa, jaki udało się ustalić, to ten, że obwiniał on Kennedy'ego o nieszczęsny los swych rodaków. Gdy prowadzono go do aresztu, krzyczał: „Zrobiłem to dla ojczyzny!”<sup>10</sup>

Śmiertelnie rannego Bobby'ego zabrano natychmiast do pobliskiego, odległego zaledwie o półtora kilometra, szpitala rejonowego. Ethel była przy nim. Bobby zmarł o pierwszej czterdzieści cztery nad ranem. Kilka dni później pochowano go obok brata na Cmentarzu Narodowym w Arlington, skąd roztacza się widok na Waszyngton po drugiej stronie Potomacu.

Rola seniora rodu Kennedych przypadła teraz najmłodszemu z braci, Edwardowi – „Teddy'emu”.

Zabójstwo Bobby'ego wywołało w Ameryce nową falę spekulacji, czym naprawdę dziełem był zamach na prezydenta Kennedy'ego

w Dallas. Lyndon Johnson miał własny pogląd na sprawę, podobny wyrażała zresztą większość Amerykanów. Podzielił się nim, tuż przed końcem kadencji prezydenckiej, z Howardem K. Smithem, znanym i wybitnym dziennikarzem telewizyjnym. „Będzie pan zdumiony, jak panu coś powiem. Otóż Jack Kennedy próbował pozbyć się Fidela, ale ten uderzył pierwszy!”

W niedzielę 20 lipca 1969 roku, w niespełna rok po śmierci Roberta Kennedy'ego, miliard, jak oceniano, ludzi na całym świecie zasiadło przed telewizorami, spoglądając w zrozumiałym podnieceniu, jak astronauta Neil A. Armstrong opuszcza lądowik statku kosmicznego *Apollo 11* i stawia pierwszy krok na powierzchni Księżyca. „Orzeł wylądował” – w głośnikach rozbrzmiał historyczny meldunek.

Kubańskie radio i telewizja dopiero tydzień później wspomniały o tym wydarzeniu. Przez lata donosiły wyłącznie o radzieckich sukcesach w kosmosie. Lądowanie na Księżycu skwitowały zaś jako „jeszcze jedną próbę ukrycia prawdziwego oblicza amerykańskiego imperializmu, znieprawdzonego przez narody Ameryki Łacińskiej”.

Castro musiał przełknąć gorzką pigułkę. Nie ma wątpliwości, że sukces Ameryki odebrał jako osobistą porażkę, choćby dlatego, że był to także sukces najbardziej znieprawdzonego przezeń wroga, prezydenta Johna Kennedy'ego. On to bowiem, na początku 1962 roku, tuż po nieudanej inwazji w Zatoce Świń, zaapelował do Kongresu o uruchomienie programu, którego celem było „dotarcie człowieka na Księżyc przed upływem dekady”. Prezydenta nie było już wśród żywych, ale jego duch nadal prześladował Najwyższego Przywódcę.

## Epilog

W maju 1970 roku, Alpha 66, grupa kubańskich uchodźców działająca na Florydzie i wyspach Bahama, wymierzyła Fidelowi Castro kolejny, dotkliwy cios. Komandosi spod jej znaku zatopili dwa kubańskie statki rybackie, biorąc do niewoli jedenaście osób załogi. Ukryli ich następnie na bezludnej wysepce na Bahamach, proponując Hawanie wymianę jeńców na jedenastu więźniów przetrzymywanych przez Fidela.

Castro znów dostał furii. Jego pretorianie zorganizowali wielki wiec protestacyjny przed „jankeskim matecznikiem” – opustoszałym od lat budynkiem byłej ambasady amerykańskiej w Hawanie. Spędzili ponad sto tysięcy ludzi. Ściągnęli ich do stolicy autobusami, ciężarówkami, a nawet wozami zaprzężonymi w woły. Nad tłumem wznosiły się transparenty i plakaty obrazujące prezydenta Nixona, ucha- rakteryzowanego na Hitlera, i CIA jako „nowe gestapo”.

Hałaśliwa demonstracja i groźby Fidela przyniosły rezultat. Pod naciskiem Departamentu Stanu kierownictwo grupy Alpha 66 uwolniło zakładników, oddając ich w ręce przedstawicieli Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Ci z kolei przekazali ich Kubie. Powracającym rodakom zgotowano w Hawanie triumfalne powitanie z udziałem Fidela i tysięcy wiernych „fidelistów”.

FBI dokonało przeszukania w siedzibie przedstawicielstwa Alpha 66 w Miami. Żadnej broni ani w ogóle niczego podejrzanego nie znaleziono. Organa wymiaru sprawiedliwości nie podjęły żadnych czynności wobec Alpha. „Porwanie” rybaków nastąpiło na wodach międzynarodowych, poza jurysdykcją Stanów Zjednoczonych, więc z punktu wi-

dzenia prawa nie było podstaw do oskarżenia „winnych” o naruszenie ustawy o neutralności Stanów Zjednoczonych.

Rankiem 2 maja 1972 roku zmarł J. Edgar Hoover w domu w Waszyngtonie, gdzie mieszkał przez całe życie, siedemdziesiąt siedem lat. Przez czterdzieści osiem lat stał za sterem Federalnego Biura Śledczego. Zmarł na atak serca.

Kongres podjął uchwałę o wystawieniu trumny z ciałem Hoovera w Rotundzie, reprezentacyjnym hallu budynku amerykańskiego parlamentu. W całej historii tylko dwadzieścia jeden osób, w tym ośmiu prezydentów, uhonorowano w ten sposób. Hoover był pierwszym funkcjonariuszem służby cywilnej, który dostąpił tego zaszczytu. Trumna okryta flagą amerykańską spoczęła na tym samym katafalku, na którym przed laty wystawiono prochy prezydenta Abrahama Lincolna.

Do Waszyngtonu przesłano tysiące depech i listów kondolencyjnych z całego świata. Senator Edward „Ted” Kennedy, choć doskonale wiedział o konflikcie i głębokich sporach Hoovera z bratem, Robertem, wydał oświadczenie, że Ameryka poniosła bolesną stratę. Odszedł bowiem „wierny, oddany sprawom publicznym, funkcjonariusz państwowy”<sup>1</sup>.

Cała prasa, z jednym tylko wyjątkiem, w komentarzach i okolicznościowych artykułach podkreślała zasługi Hoovera. Wyjątek zaś stanowiła publikacja na łamach nowojorskiego dziennika – „Daily Worker”. W niej to Hoovera określono mianem „reakcjonisty i prześladowcy” oraz „politycznego zbrodnicę”.

Trzy lata po śmierci Hoovera specjalna komisja Senatu USA, badająca, czy rzeczywiście planowano zabójstwa zagranicznych przywódców i polityków, ogłosiła o zamiarze przesłuchania Sama Giancana w sprawie wydarzeń sprzed dziesięciu lat, kiedy to mafia przygotowywała zbójstwo Fidela Castro. Dwa dni po ogłoszeniu postanowienia komisji Giancana został zastrzelony w swoim luksusowym domu w Chicago. Sprawcy nie znaleziono. Wiadomo tylko, że Giancanę trafiło siedem kul<sup>2</sup>.

W połowie 1976 roku, mieszkający na Florydzie Johnny Roselli, który swego czasu współdziałał z Giancaną i uczestniczył w przygotowaniach do zabójstwa Fidela Castro, wyszedł z domu, udając się na partię golfa i ... zniknął. Ciało znaleziono kilka tygodni później. Poćwiartowane zwłoki nieznanego sprawcy ukrył w beczce po ropie i zatopił w wodach Zatoki Biskajskiej u wybrzeży Florydy<sup>3</sup>.

Sam Traficante, trzeci mafioso wplątany w sprawę Fidela, zbiegł do Kostaryki, gdy tylko rozeszła się wieść, że komisja także i jego zamierza wezwać na przesłuchanie.

Ted Shackley, młody szef placówki CIA określanej kryptonimem JM WAVE w czasach vendetty między braćmi Kennedy a Fidelem Castro, wspiął się na najwyższe szczeble w hierarchii CIA. Z JM WAVE został przeniesiony na stanowisko rezydenta Agencji w Laosie, a później do Sajgonu. W latach sześćdziesiątych, w okresie eskalacji działań wojennych w Wietnamie, CIA odgrywała wielką rolę na tamtejszym terenie. Następnie Shackley awansował na szefa oddziału tajnych operacji do spraw półkuli zachodniej, a jeszcze później stanął na czele wydziału do spraw Dalekiego Wschodu.

Morris i Jack Childsowie (agent 58 i agent 69) oddawali ogromne usługi Stanom Zjednoczonym przez cały okres zimnej wojny jako podwójni agenci. Cieszyli się niepodważalnym zaufaniem Fidela Castro, dyktatorów radzieckich oraz przywódców komunistycznych na całym świecie. Szczyt ich szpiegowskiej kariery nastąpił w 1975 roku, kiedy to Jack Childs, w uznaniu wielkich zasług, otrzymał jedno z najwyższych odznaczeń... radzieckich – Order Czerwonego Sztandaru.

Przez ponad dwie dekady FBI potrafiło osłaniać operację „Solo” ścisłą tajemnicą. Powodzenie zawdzięczać należy przestrzeganiu zasad konspiracji i dbałości o najdrobniejsze szczegóły. W 1975 roku jednak pojawiła się groźba dekonspiracji. Nie ze strony KGB, jak mogłoby się wydawać, ale ze strony senatora Franka Churcha, znanego liberała i, wedle dość powszechnej opinii, polityka niezycliwego wobec biura. Church stał na czele komisji senackiej badającej działalność biura.

Gdy działania komisji w nie zamierzony przez nią sposób zaczęły zagrażać dekonspiracją, a co za tym idzie, utratą najcenniejszych źródeł informacji o Kubie, Związku Radzieckim i Chinach, zastępcy dyrektora FBI, Raymondowi Wannallowi, polecono interweniować osobiście u Churcha.

Tak doszło do spotkania w pewnej zamkniętej sali na Kapitolu. Wannall wyciągnął zdjęcie ukazujące Leonida Breżniewa w czasie konferencji na Kremlu w otoczeniu czołowych współpracowników. Wskazując na jedną z postaci, siedzącą tuż obok Breżniewa, nie ujawniając jej nazwiska, Wannall powiedział tylko: „Panie senatorze, to jest nasz człowiek i ten człowiek przez was zginie!”

Church zbladł jak kreda, szczeka mu opadła, przez dłuższą chwilę zaskoczony spoglądał na Wannalla, jakby nie wierzył własnym uszom

i oczom. Potem wyjąkał, że biuro składa na jego barki zbyt duży ciężar. Rezolutny Wannall skwitował rzecz krótko: „Liczymy na pański honor i pańskie poczucie patriotyzmu, panie senatorze”<sup>4</sup>.

Komisja prowadziła badania jeszcze przez cały 1975 rok. Church nigdy jednak nie wspominał o operacji „Solo”. Apel do „patriotyzmu i honoru” senatora okazał się skuteczny.

Jack Childs zmarł w 1980 roku. Siedem lat później, w 1987, prezydent Ronald Reagan nadał obu braciom – Jackowi pośmiertnie – Prezydencki Medal Wolności. Przez blisko ćwierć wieku Jack i Morris Childsowie narażali życie jako podwójni agenci. Prezydent pragnął szczególnie uhonorować Morrisa i wręczyć mu medal osobiście w Białym Domu. FBI, a zwłaszcza kierownictwo operacji „Solo”, było przeciw. Uroczystość na taką skalę była, zdaniem biura, niewskazana ze względów bezpieczeństwa. Morris otrzymał więc medal z rąk ówczesnego dyrektora FBI, Williama Sessionsa, podczas prywatnej ceremonii w siedzibie biura w Waszyngtonie<sup>5</sup>.

Chyba po raz pierwszy w dziejach obywatel Stanów Zjednoczonych, działający jako podwójny agent, został uhonorowany przez obie strony – Amerykę i Związek Radziecki.

Admirał John Bulkeley opuścił Guantanamo w połowie roku 1966, ale jego imię pozostało na trwale związane z bazą, do której wysłał go prezydent John Kennedy, aby „trzymał Fidela na muszce”. Nie tylko jego imię, z pewnością pozostał tam także duch niezłomnego admirała. Koszary marines w „Gitmo” otrzymały nazwę „Obozu im. Bulkeleya”. To oficjalnie, zaś sami marines w spontanicznym odruchu jęli określać wzgórze, na którym admirał spędził z nimi wiele nocy w okopach, wyglądając ataku ze strony Kuby, mianem „Góry Bulkeleya”. W 1989 roku nowy biurowiec w bazie też nazwano jego imieniem.

Służba admirała na Guantanamo przypadła na okres, gdy świat stanął na krawędzi wojny nuklearnej. Później zaś Bulkeley został wyznaczony do pracy w Naval Board of Inspection and Survey (Zarządzie Inspekcji i Nadzoru Marynarki Wojennej), odpowiadającym za należyty stan sześciuset okrętów, samolotów i w ogóle całego sprzętu. Bez podpisu admirała żaden nowy okręt czy samolot nie mógł wejść do służby.

Na początku 1973 roku admirał z asystą, specjalistami z inspektoratu, udał się do Bazy Marynarki Wojennej w Norfolk, w celu dokonania inspekcji i przyjęcia do służby nowego i najnowocześniejszego lotniskowca US Navy.

Zastrzeżeń nie miał, i tak marynarka otrzymała prawdziwą perłę w postaci lotniskowca *John F. Kennedy*. Los jeszcze raz połączył dwóch Johnów – prezydenta i admirała<sup>6</sup>.

Sirhan Bishara Sirhan, zabójca Roberta Kennedy'ego, został skazany na karę śmierci. Sąd Najwyższy złagodził jednak wyrok na dożywotnie więzienie, uznając, że kara śmierci przewidziana w kodeksie stanu Kalifornia jest sprzeczna z konstytucją. Sirhan wielokrotnie zwracał się o darowanie reszty kary i warunkowe zwolnienie z więzienia. Wszystkie prośby zostały jednak odrzucone przez rozpatrującą je komisję.

Wielu krytyków odrzucało i odrzuca ustalenia Komisji Warrena, że Lee Harvey Oswald działał sam i że to tylko on, oszalały komunistą, ponosi odpowiedzialność za zabójstwo prezydenta Kennedy'ego. Jednak Robert, a także Edward Kennedy, jednoznacznie zgadzali się ze zdaniem komisji.

W latach siedemdziesiątych pogłoski, że do zabójstwa prezydenta doszło w wyniku wielkiego spisku, stały się tak głośne, że specjalna komisja Izby Reprezentantów postanowiła dokonać ponownej analizy materiałów zgromadzonych w śledztwie. Przewagę w komisji mieli reprezentanci Partii Demokratycznej, co późniejszym krytykom pozwalało stwierdzić, iż uwaga, jaką przywiązywała ona do tezy biegłych akustyków, że do prezydenta strzelano z dwóch różnych punktów, miała wyraźne polityczne tło.

W sprawozdaniu przyjętym w 1978 roku komisja stwierdzała, iż „prezydent zginął prawdopodobnie w wyniku spisku”. Ewentualnych spiskowców raport jednak nie ujawniał.

Atrament na dokumencie komisji jeszcze nie wysechł, gdy wielu mniej lub bardziej wiarygodnych ekspertów zaczęło podważać zawarte w nim wnioski. Do najbardziej głośniejszych krytyków należała National Research Council (Narodowa Rada Badań [naukowych]). Podważała ona zwłaszcza tezę wysuwaną przez wspomnianych akustyków.

W ciągu trzydziestu pięciu lat, jakie upłynęły od tragedii w Dallas, powstała cała biblioteka książek poświęconych temu wydarzeniu, ukazały się tysiące artykułów w prasie, nakręcono dziesiątki filmów kinowych i telewizyjnych. W większości autorzy tych mniej lub bardziej wymyślnych publikacji odrzucali i podważali ustalenia Komisji Warrena, skutkiem czego znakomita większość Amerykanów w wieku czterdziestu pięciu lat skłonnych jest dziś uważać, że odpowie-

działność za zabójstwo Kennedy'ego spada na ugrupowania konserwatywne, działające zgodnie z agentami bezpieczeństwa.

Największy bez wątpienia wpływ na poglądy i postawy Amerykanów w tym względzie wywarł film Olivera Stone'a, producenta z Hollywood, „JFK”. Obraz ten, nakręcony w 1991 roku, sugerował i to przekonywająco, że za spiskiem stał waszyngtoński establishment. Film wyprodukowano wielkim kosztem, w doskonałej obsadzie. Miejszały się w nim wszakże fakty z pomówieniami, rzeczywistość z półprawdami i plotkami, ale też wersja przedstawiona w scenariuszu stwarzała wrażenie co najmniej prawdopodobnej.

Niewielu Amerykanów obserwowało wydarzenia związane z zabójstwem tak skrupulatnie i z takiej perspektywy jak Walter Cronkite, wieloletni redaktor i prezenter dzienników w sieci telewizyjnej CBS, wymieniany w wielu ankietach jako „najbardziej wiarygodna osobistość w Stanach Zjednoczonych”. Cronkite zaliczał się do oddanych sympatyków Kennedy'ego i był z nim zaprzyjaźniony (wspólnie żeglowali na wodach wokół przylądka Cod). W połowie 1996 roku, w wywiadzie telewizyjnym Cronkite poddał druzgocącej krytyce tezy o spisku i w ogóle całą falę „spiskowych” publikacji i książek, szczególnie zaś skrytykował film Olivera Stone'a, określając obraz mianem „śmiecia”:

Nie mam absolutnie żadnego wiarygodnego dowodu na poparcie tezy, że ktokolwiek poza Oswaldem był wmieszany w zabójstwo (Kennedy'ego). Obracałem się w Waszyngtonie przez ponad czterdzieści lat i doskonale wiem, że w tym mieście żadna tajemnica nie uchowa się dłużej niż dwa dni. Nonsensem więc byłoby wierzyć, iż dziesiątkom ludzi udało się coś ukrywać przez z górą trzydzieści pięć lat.

Pogląd wielu osób najdobitniej wyraził Anthony Lewis, dziennikarz, liberał i, podobnie jak Cronkite, zwolennik i przyjaciel Johna Kennedy'ego:

Spiskowa teoria (zabójstwa) przyczynia się tylko do pogłębiania niezdrowych, paranoicznych, wręcz fantastycznych nurtów w życiu Ameryki. Przystania gorzką prawdę, z którą jednak musimy się zgodzić, że życie przynosi często tragedie bez żadnego powodu.

---

---

## Przypisy

### Rozdział 1. Terroryści w akcji – zamach na Nowy Jork

1. W. Raymond Wannall, były zastępca dyrektora FBI, w wywiadzie dla autora, kwiecień 1996.
2. Tamże.
3. „The New York Times”, 19 listopada 1962.
4. „The Washington Post”, 19 listopada 1962.
5. Odtajnione dokumenty FBI, listopad 1962.
6. Tamże.
7. „The New York Times”, 20 listopada 1962.
8. Tamże, 21 listopada 1962.
9. „Baltimore Sun”, 21 listopada 1962.
10. „Revolución”, 23 listopada 1962.
11. Theodore Shackley w wywiadzie dla autora, maj 1996.
12. Tamże.
13. Tamże.
14. Tamże.
15. Tamże.

### Rozdział 2. Machinacje w Meksyku

1. „La Calle”, 4 czerwca 1955.
2. Rafael Díaz Balart jr – zeznanie przed Komisją ds. Bezpieczeństwa Wewnętrznego Senatu USA, 3 maja 1960.
3. Tamże.
4. Tamże.
5. Hugh Thomas, *Kuba*, New York 1971, s. 138–139.
6. Tamże.
7. Tamże.
8. Kubańska milicja nigdy nie postawiła zarzutów Fidelowi Castro w związku z postrzeleniem Leonela Gomeza.
9. „The Real Castro” („Prawdziwy Castro”) – seria artykułów opublikowanych na łamach „New York Daily News”, marzec–kwiecień 1960.

10. Tamże.
11. Willard L. Beaulac, *Career Ambassador*, New York 1961, s. 242–244.
12. „Daily Worker” (New York), 12 kwietnia 1948.
13. Carlos Franqui, *Diary of the Cuban Revolution*, New York 1980, s. 126–127. „The New York Times”, 26 kwietnia 1959.
14. Thomas, op. cit., s. 886. „The New York Times”, 30 sierpnia 1956. Ramon L. Bonachea, Nelson P. Valdes, *Struggle*, Cambridge, Mass. 1972, s. 285, 311–312.

### Rozdział 3. Plan zdobycia Białego Domu

1. Bonachea, Valdes, op. cit., s. 79–80. „National review”, 24 sierpnia 1957.
2. Świadkiem katastrofy, w której zginął por. Joseph P. Kennedy jr był plk Elliot Roosevelt, syn prezydenta Franklina Delano Roosevelta. Prowadził samolot przelatujący obok miejsca wypadku.
3. Joan i Clay Blair jr, *The Search for JFK*, New York 1976, s. 16.
4. Thomas O'Neill, *Man of the House*, New York 1987, s. 158.
5. „Saturday Evening Post”, 13 czerwca 1953.

### Rozdział 4. Widowisko w górach

1. Teresa Casuso, *Cuba and Castro*, New York 1972, s. 112–114.
2. „Bohemia”, 27 grudnia 1959. „The New York Times”, 8 grudnia 1959.
3. Ruby Hart Phillips, *Cuba: Island of Paradox*, New York 1959, s. 245.
4. „The New York Times”, 24 lutego 1957.
5. Tamże, 25 lutego 1957.
6. „Philadelphia Sunday Bulletin”, 3 sierpnia 1958.
7. „Intelligence Digest” (London), sierpień 1958.
8. Tamże.

### Rozdział 5. Wąsy Wuja Sama

1. „The New York Times”, 1 stycznia 1962.
2. Thomas, op. cit., s. 947.
3. „Washington Daily News”, 3 lutego 1961.
4. Earl E. T. Smith, *The Fourth Floor*, New York 1962, s. 142.
5. Robert Murphy, *Diplomat Among Warriors*, London 1964, s. 456.
6. John Dorschner, Roberto Fabricio, *Winds of December*, New York 1961, s. 54.
7. Tamże.
8. Tamże.

### Rozdział 6. „Dwa zgniłe jaja”

1. Dorschner, Fabricio, op. cit., s. 59.
2. Notatka Christiana A. Hertera dla prezydenta Eisenhowera z 23 grudnia 1958 roku, Dwight D. Eisenhower Library, Abilene, Kansas.
3. Tamże.
4. Tamże.
5. Notatka Gordona Garya – doradcy prezydenta ds. bezpieczeństwa narodowego, z 24 grudnia 1958. Eisenhower Library.
6. Tamże.
7. James Monahan, Kenneth O'Gardner, *The Great Deception*, New York 1963, s. 8.
8. Peter Wyden, *Bay of Pigs*, New York 1963, s. 107.

9. Doświadczeni dziennikarze amerykańscy, co niejedno w życiu widzieli, porównywali powitanie Fidela Castro w Hawanie do przyjęcia, jakie zgotowano amerykańskim oddziałom po wyzwoleniu Paryża w sierpniu 1944.
10. „Times”, 12 stycznia 1959.
11. Tamże.
12. Victor Marchetti, John D. Marks, *The CIA and the Cult of Intelligence*, New York 1974, s. 304–305.
13. Tamże.
14. Allen W. Dulles, *The Craft of Intelligence*, New York 1963, s. 178.

### Rozdział 7. „Zginie dwieście tysięcy jankesów”

1. Nathaniel Weyl, *Red Star over Cuba*, New York 1961, s. 34–35.
2. Tamże, s. 41–43.
3. Edwin Tetlow, *Eye on Cuba*, New York 1966, s. 29.
4. Tamże, s. 31.
5. „Time”, 19 stycznia 1959.
6. Casuso, op. cit., s. 35.
7. Tamże, s. 179.
8. „Time”, 26 stycznia 1959.

### Rozdział 8. Sprzeczności na szczytach amerykańskiej władzy

1. „Time”, 16 marca 1959.
2. Tetlow, op. cit., s. 145.
3. Dwight D. Eisenhower, *Waging Peace*, Garden City, N.Y. 1965, s. 522–523.
4. Richard Powers, *Secrecy and Power*, New York 1987, s. 341.
5. Curt Gentry, *J. Edgar Hoover*, New York 1991, s. 442.
6. Tamże, s. 443.
7. Sprawozdanie Komisji Senatu USA (pod przewodnictwem senatora Franka Churcha) do zbadania działań rządowych związanych z operacjami wywiadowczymi oraz rzekomymi planami zabójstw zagranicznych przywódców (dalej: Sprawozdanie Komisji Churcha). Druk U.S. Government Printing Office, 1975, księga III, s. 279.
8. William Sullivan odszedł z FBI po trzydziestu latach służby, w 1971, po kłótni z Edgarem Hooverem. Zmarł tragicznie sześć lat później, na skutek przypadkowego postrzału w czasie polowania.
9. „Washington Evening Star”, 14 stycznia 1959.
10. „U.S. News and World Report”, 30 kwietnia 1959.

### Rozdział 9. Amerykańskie safari

1. Casuso, op. cit., s. 211.
2. „The New York Times”, 19 kwietnia 1959.
3. Tamże.
4. Tad Szulc, *The Cuban Invasion*, New York 1962, s. 35.
5. Eisenhower, op. cit., s. 402–403.
6. Richard Nixon, *Six Crises*, Garden City, N.Y. 1962, s. 214–215.
7. Eisenhower, op. cit., s. 403.
8. Raport CIA, 23 kwietnia 1959. Eisenhower Library.
9. Tamże.

10. Tamże.
11. Tamże.
12. Dwight Eisenhower diary, 22 kwietnia 1959. Eisenhower Library.
13. U.S. Army handbook, *Cuba*, Washington 1978, s. 54
14. Rufo Lopez-Fresquet, *My Fourteen Months with Castro*, Cleveland 1966, s. 123.
15. Notatki z narad, 28–29 września 1959. Eisenhower Library.

#### Rozdział 10. „Stany Zjednoczone powinny działać na własną rękę”

1. Monahan, Gardner, op. cit., s. 66–67.
2. Tamże, s. 83–85.
3. Warren Hinckle, William W. Turner, *The Fish Is Red*, New York 1981, s. 43.
4. Notatka Christiana Hertera dla prezydenta Eisenhowera z 30 kwietnia 1960. Eisenhower Library.
5. Tamże, 6 maja 1960.
6. Dwight Eisenhower diary, 25 stycznia 1960. Eisenhower Library.
7. Stephen E. Ambrose, *Eisenhower the President*, New York 1984, s. 557.
8. E. Howard Hunt, *Give Us This Day*, New York 1973, s. 184–185.

#### Rozdział 11. „Bobby – twardy jak stal!”

1. „The New York Times”, 2 – 5 kwietnia 1958.
2. Joe McCarthy, *The Remarkable Kennedys*, New York 1960, s. 30–32.
3. Jean Stein, George Plimpton, *American Journey*, New York 1970, s. 42.
4. Victor Lasky, *J.F.K.: The Man and the Myth*, New York 1977, s. 518–519.
5. William Robinson diary, 21 lipca 1960. Eisenhower Library.
6. Ellis Slater, *The Ike I Knew* (nakładem autora, 1980), s. 229
7. Ambrose, op. cit., s. 597.
8. George B. Kistiakowsky, *A Scientist in the White House*, Cambridge, Mass. 1976, s. 402.
9. Arthur Schlesinger, *Robert Kennedy and His Times*, Boston 1978, s. 18.
10. „Newsweek”, 12 marca 1960.

#### Rozdział 12. Tajny plan

1. Thomas Powers, *The Man Who Kept the Secrets*, New York 1979, s. 103.
2. David A. Phillips, *The Night Watch*, New York 1976, s. 87.
3. Pod koniec 1961 Juan Orta zerwał z Fidelem Castro i uciekł z Kuby.
4. „U.S. News and World Report”, 2 maja 1960.
5. Tamże, 23 maja 1960.
6. „Newsweek”, 25 lipca 1960.
7. Tamże.

#### Rozdział 13. Intrygi i akcje

1. Thomas P. McCann, *The Tragedy of United Fruit*, New York 1976, s. 93–94.
2. Albert C. Persons, *Bay of Pigs*, Birmingham, Ala. 1963, s. 4.
3. „New York Daily News”, 20 maja oraz 20 czerwca 1975.
4. W 1972 Frank Sturgis znalazł się w grupie włamywaczy, zamierzających założyć podsłuch w siedzibie Komitetu Krajowego Partii Demokratycznej, w kompleksie „Watergate” w Waszyngtonie. Aresztowanie grupy i ujawnienie sprawy doprowadziło do rezygnacji Richarda Nixona z urzędu prezydenta USA.

5. „New York Daily News”, 13 czerwca 1976.
6. Hunt, op. cit., s. 38.
7. Kistiakowsky, op. cit., s. 363.
8. Eisenhower, op. cit., s. 538.

#### Rozdział 14. Ćwiczenia z „poprawiania zdrowia”

1. Sprawozdanie Komisji Churcha, s. 381.
2. Tamże, s. 382.
3. Hinckle and Turner, op. cit. s. 30.
4. Tamże, s. 32.
5. „Time”, 10 października 1960.
6. Hinckle and Turner, op. cit., s. 48.
7. Tamże.
8. „Time”, 10 października 1960.
9. Foreign Broadcast Information Service, 29 września 1960.

#### Rozdział 15. Tajniacy i „załatwianie Fidela”

1. Wedle ocen FBI Castro miał ponad dwustu agentów.
2. Hunt, op. cit., s. 47–54.
3. Notatka J. Edgara Hoovera dla dyrektora CIA, Allena Dullesa z 18 października 1960. National Archive.
4. Protokół CIA z 14 maja 1978. National Archive.
5. Jim Hougan, *Spooks*, New York 1978, s. 273.
6. Raport amerykańskiego Biura ds. Narkotyków z 10 lipca 1961. National Archives.
7. W CIA nie używano kryptonimu „Pluto”. Nazwa narodziła się zapewne w Pentagonie.

#### Rozdział 16. „Głupie gołowąsy”

1. Schlesinger, op. cit., s. 229.
2. Hunt, op. cit., s. 160–161.
3. Szczegóły według Richarda Nixona *Six Crises*. Zaufani doradcy Jacka Kennedy’ego twierdzą, że podówczas Kennedy nic nie wiedział o planach CIA dokonania inwazji na Kubę. „Co najwyżej – mogliśmy przypuszczać, że coś się szykuje” – przyznał jeden z nich.
4. Gentry, op. cit., s. 472.
5. „The New York Times”, 25 listopada 1960.
6. Ruby Hart Phillips, *The Cuban Dillema*, New York 1962, s. 265–274.
7. Akta Dwighta D. Eisenhowera z 3 stycznia 1961. Eisenhower Library.

#### Rozdział 17. „Złowrogie gniazdo jankeskich szpiegów”

1. Herbert S. Parmet, *JFK*, New York 1983, s. 72–74.
2. Kenneth Galbraith, *Ambassador's Journal*, New York 1982, s. 9.
3. „Saturday Evening Post”, 7 września 1957.
4. Paul B. Fay jr, *The Pleasure of His Company*, New York 1963, s. 11.
5. Clark Clifford, wywiad z 16 grudnia 1974. Oral History program. Kennedy Library.
6. „The New York Times”, 29 grudnia 1960.
7. „Wall Street Journal”, 30 grudnia 1960.

8. Bobby Baker, *Wheeling and Dealing*, New York 1975, s. 120–121.
9. Hunt, op. cit., s. 66.
10. Notatka z narady, 3 stycznia 1961. Eisenhower Library.
11. Tamże.
12. Oświadczenie Alfreda Naujocksa złożone przed Międzynarodowym Trybunałem w Norymberdze, 10 listopada 1945.
13. John F. Kennedy, *Public Papers*, Washington, D.C. 1963, s. 911–912.
14. „The New York Times”, 7 stycznia 1961.
15. Ambrose, op. cit., s. 615–616.
16. Evelyn Lincoln, *My Twelve Years with John F. Kennedy*, New York 1965, s. 237.
17. „The Washington Post”, 31 stycznia 1961.
18. „The New York Times”, 1 lutego 1961.

#### Rozdział 18. Próba sił w Zatoce Guantamo

1. „Saturday Evening Post”, 21 grudnia 1960.
2. The Navy Cross (Krzyż Marynarki Wojennej) jest drugim najwyższym odznaczeniem bojowym w Stanach Zjednoczonych.
3. Hunt, op. cit., s. 101.
4. Schlesinger, op. cit., s. 279.
5. Victor S. Navasky, *Kennedy Justice*, New York 1971, s. 8.
6. Gentry, op. cit., s. 475.
7. Joseph L. Schott, *No Left Turns*, New York 1975, s. 192–103.
8. Arthur Schlesinger, *A Thousand Days*, Boston 1965, s. 25.
9. Tamże, s. 259.
10. „The Washington Post”, 12 kwietnia 1961.

#### Rozdział 19. „Prezydent powiedział – nie”

1. Monahan, Gardner, op. cit., s. 110.
2. Tamże, s. 111.
3. Hunt, op. cit., s. 196–198.
4. Tamże, s. 112.
5. Monahan, Gardner, op. cit., s. 111.
6. Tamże, s. 112.
7. Thomas C. Reeves, *A Question of Character*, New York 1991, s. 368.
8. Hunt, op. cit., s. 201.
9. „Time”, 28 kwietnia 1961.

#### Rozdział 20. „To katastrofa”

1. „The New York Times”, 18 kwietnia 1961.
2. Tamże.
3. Tamże.
4. „The Washington Post”, 19 kwietnia 1961.
5. Monahan, Gardner, op. cit., s. 127.
6. Schlesinger, *Robert Kennedy*, op. cit., s. 445.
7. Tamże, s. 447.
8. Monahan, Gardner, op. cit., s. 114.
9. Tamże, s. 116.
10. Tamże.

#### Rozdział 21. Szukanie kozła ofiarnego

1. Schlesinger, *Thousand Days*, op. cit., s. 281.
2. Tamże, s. 285, 291.
3. Reeves, op. cit., s. 272.
4. „Baltimore Sun”, 22 kwietnia 1961.
5. „St. Louis Post-Dispatch”, 21 kwietnia 1961.
6. „The New York Times”, 17 kwietnia 1961.
7. Wyden, op. cit., s. 198–204.
8. Thomas Powers, *The Man Who Kept Secrets*, s. 113–116.
9. „The New York Times”, 21 kwietnia 1961.
10. Richard M. Nixon, *Memoires*, New York 1978, s. 234.
11. Tamże, s. 235.
12. Tamże, s. 236.
13. „The Militant”, 1 maja 1961.
14. Ambrose, op. cit., s. 638–639.
15. „The New York Times”, 26 kwietnia 1961.
16. Tamże.
17. *Robert Kennedy in His Own Words*, s. 247, Oral History program, JFK Library.
18. Schlesinger, *Robert Kennedy*, op. cit., s. 291.
19. Notatka Roberta F. Kennedy'ego z 1 czerwca 1961, zbiór dokumentów RFK, JFK Library.
20. William Manchester, *Portrait of a President*, Boston 1962, s. 35.
21. Kaynes Johnson, *Bay of Pigs*, New York 1962, s. 194–195.
22. Fay, op. cit., s. 186.

#### Rozdział 22. „Prezydent-bis” pojawia się na scenie

1. Autor zna tożsamość funkcjonariusza Białego Domu podejrzanego przez niektórych członków kierownictwa CIA o zdradę.
2. „Harper's”, sierpień 1975.
3. Tamże.
4. Thomas C. Reeves, *The Life and Times of Joe McCarthy*, New York 1982, s. 149.
5. Jerry Oppenheimer, *The Other Mrs. Kennedy*, New York 1993, s. 138.
6. Tamże.
7. Sprawozdanie Komisji Churcha, s. 135.
8. „U.S. News and World Report”, 28 stycznia 1963.

#### Rozdział 23. Eleanor Roosevelt – „stara, głupia baba”

1. Kenneth P. O'Donnell i David F. Powers, *Johnny, We Hardly Knew Ye*. Boston 1972, s. 273–276.
2. Wywiad Roberta Kennedy'ego udzielony Johnowi B. Martinowi 30 kwietnia 1964. Dokumenty RFK, JFK Library.
3. Reeves, *Question*, op. cit., s. 276.
4. Schlesinger, *Robert Kennedy*, op. cit., s. 489.
5. „The Washington Post”, 13 sierpnia 1961.
6. Tamże.
7. „The New York Times”, 16 sierpnia 1961.
8. Schlesinger, *Thousand Days*, op. cit., s. 769.

9. Szulc, op. cit., s. 127.
10. Tamże.

#### Rozdział 24. Ścisłe tajne: agenci CG-5824S oraz NY-694S

1. Theodore Shackley – wywiad udzielony autorowi w sierpniu 1996.
2. William „Rip” Robertson, mimo że przekroczył już wtedy pięćdziesiątkę, to nadal odgrywał kluczową rolę w tajnych operacjach CIA w Wietnamie.
3. „Przesłuchania w sprawie działań radzieckich w Stanach Zjednoczonych” przed senacką komisją do spraw wymiaru sprawiedliwości, czerwiec 1957, s. 107–108.
4. Tamże.
5. John Gates, *The Story of an American Communist*, New York 1958, s. 110. Joseph R. Starobin, *American Communism in Crisis*, Cambridge, Mass. 1972, s. 287.
6. Edward J. Epstein, *Legend*, New York 1978, s. 36–37 oraz 263–264. Chapman Pincher, *Their Trade Is Treachery*, London 1981, s. 76–77.

#### Rozdział 25. Dominikański łącznik

1. Fulgencio Batista zmarł w 1977, w Hiszpanii, gdzie mieszkał z rodziną.
2. Robert F. Kennedy w wywiadzie udzielonym Johnowi B. Martinowi, 30 kwietnia 1964. Dokumenty RFK. JFK Library.
3. Robert D. Crassweller, *Trujillo*, New York 1966, s. 430.
4. Porfirio Rubirosa zginął w wypadku samochodowym w 1965.
5. Crassweller, op. cit., s. 439.
6. Zsa Zsa Gabor, *My Story*, New York 1960, s. 127–128.
7. Tamże, s. 133.
8. „The New York Times”, 27 lipca 1957.
9. Tetlow, op. cit., s. 287.
10. Wisoną 1996 były dyrektor CIA, William A. Colby, wyraził wobec autora opinię, że najlepszym szefem w całej historii Agencji był John McCone. Dwa tygodnie później Colby zmarł w wyniku nieszczęśliwego wypadku na jachcie.

#### Rozdział 26. Zielone światło dla „Mangusty”

1. Sprawozdanie Komisji Churcha, s. 139.
2. Tamże, s. 141.
3. Tamże, s. 166–169.
4. „The Washington Post”, 10 października 1976.
5. Philip Agee, *Inside the Company*, London 1975, s. 129, 168.
6. „The New York Times”, 25 września 1961.
7. Johnson, op. cit., s. 262.
8. Sprawozdanie Komisji Churcha, s. 1, 451.
9. Monahan i Gardner, op. cit., s. 184.
10. Tamże, s. 185.
11. „New York Post”, 19 stycznia 1971.
12. Notatka szefa delegatury FBI w Los Angeles dla J. Edgara Hoovera, 5 marca 1962.
13. Gentry, op. cit., s. 515–516.
14. Tamże, s. 517.

#### Rozdział 27. Napięcie w Waszyngtonie

1. Jamesa G. Donovana nie łączyły żadne więzy rodzinne z Williamem J. Donovanem – legendarnym twórcą OSS, znanym jako „Wild Bill” – „Dziki Bill”, ale obaj byli nowojorczykami, prawnikami i mieli jeszcze kilka innych wspólnych cech.
2. „Harper’s”, sierpień 1975.
3. „Revolución”, 26 sierpnia 1962.
4. „The New York Times”, 27 sierpnia 1962.
5. David Detzer, *The Brink*, New York 1979, s. 103, 114–115.
6. Roswell Gilpatric, Oral History program. JFK Library.
7. Elie Abel, *The Missile Crisis*, New York 1966, s. 58.
8. Tamże.
9. „Doktryna Monroe” – sformułowana przez prezydenta Jamesa Monroe 2 grudnia 1823 stanowi, że „odtąd półkula zachodnia nie będzie terenem kolonizacji ze strony (obcych) mocarstw”.
10. „Saturday Evening Post”, 8 grudnia 1962.
11. Robert F. Kennedy, *Thirteen Days*, New York 1965, s. 28.

#### Rozdział 28. „Krew zmroziło nam w żyłach”

1. Powers, op. cit., s. 329.
2. Joseph S. Burckholder, *Portrait of a Cold Warrior*, New York 1976, s. 37.
3. „Time”, 2 listopada 1962.
4. Associated Press, 22 października 1962.
5. „The New York Times”, 23 października 1962.
6. Badania ankietowe wykazały, że 74 procent społeczeństwa amerykańskiego popiera plan działań, zarysowany przez prezydenta w wystąpieniu telewizyjnym.
7. „The Washington Post”, 24 października 1962. Foreign Broadcast Information Service, 24–25 października 1962.

#### Rozdział 29. „Spotkamy się w piekle”

1. Kennedy, op. cit., s. 35.
2. „The New York Times”, 18 listopada 1962.
3. Tamże.
4. Tamże.
5. „U.S. News and World Report”, 16 grudnia 1962.
6. Robert McNamara służył w czasie II wojny światowej jako statystyk w korpusie wojsk lotniczych armii amerykańskiej; miał stopień pułkownika rezerwy.
7. Abel, op. cit., s. 154–155.
8. Admirał George Anderson udanie dowodził operacjami morskimi w czasie kryzysu rakietowego, ale popadł w niełaskę u cywilnych kierowników Pentagonu, nie został więc ponownie wyznaczony na stanowisko szefa operacji morskich (dowódcy marynarki wojennej), gdy jego pierwsza kadencja dobiegała końca w czerwcu 1963 roku.
9. Kennedy, op. cit., s. 75–76.
10. Tamże, s. 97.
11. „The New York Times”, 23 grudnia 1962.
12. „The Washington Post”, 29 i 30 października 1962. Foreign Broadcast Information Service, 29 października 1962.

## Rozdział 30. Czystka w dowództwie tajnej wojny

1. „Time”, 16 grudnia 1962.
2. „U.S. News and World Report”, 23 grudnia 1962.
3. Agencja United Press International zdobyła oryginalny tekst wywiadu Guevary dla londyńskiego „Daily Worker”.
4. O'Donnell i Powers, op. cit., s. 276–277.
5. „Miami Herald”, 30 grudnia 1962.
6. „Newsweek”, 14 stycznia 1963.
7. Tamże.
8. Sprawozdanie Komisji Churcha, s. 173.
9. Notatka Roberta Kennedy'ego dla Johna Kennedy'ego z 14 marca 1963. Dokumenty RFK. JFK Library.

## Rozdział 31. Radziecki statek ostrzelany

1. „The New York Times”, 21 kwietnia 1963.
2. Tamże.
3. Wywiad przeprowadzony przez Marquisa Childsa z „St. Louis Post-Dispatch”, 12 marca 1963.
4. Schlesinger, *Robert Kennedy*, op. cit., s. 154.
5. Navasky, op. cit., s. 87–88.
6. W. Raymond Wannall – były zastępca dyrektora FBI w wywiadzie dla autora, w roku 1966.
7. Tamże.
8. Tamże.
9. „The New York Times”, 29 października 1976.

## Rozdział 32. „Trzeba wreszcie coś zrobić z tym Fidelem”

1. „Revolución”, 4 czerwca 1963.
2. „The Washington Post”, 5 czerwca 1963.
3. „Revolución”, 7 czerwca 1963.
4. Sprawozdanie Komisji Churcha, s. 172–173.
5. Maurice Halperin, *The Rise and Decline of Fidel Castro*, Berkeley, Calif. 1972, s. 258.
6. Sprawozdanie Komisji Churcha, s. 87.
7. „The New York Times”, 9 oraz 30 września 1963.
8. Sprawozdanie Komisji Churcha, s. 14.
9. „The New York Times”, 8 października 1963.
10. Raporty CIA, 1963 – 1964, „Newsweek”, 7 listopada 1963, Hinckle i Turner, op. cit., s. 137–142.
11. Sprawozdanie Komisji Churcha, s. 174.
12. Tamże, s. 16–20.

## Rozdział 33. „Zastrzelono prezydenta!”

1. Schlesinger, *Thousand Days*, op. cit., s. 1024.
2. Tamże, s. 1025.
3. Schlesinger, *Robert Kennedy*, op. cit., s. 608.
4. Philip L. Geylin, *Lyndon Johnson and the World*, New York 1966, s. 4.
5. „New Republic”, 7 oraz 14 grudnia 1963.

6. Nixon, op. cit., s. 252.
7. Halperin, op. cit., s. 343–344.
8. Gentry, op. cit., s. 543.
9. „Baltimore Sun”, 26 listopada 1963.
10. Schlesinger, *Robert Kennedy*, op. cit., s. 643.

## Rozdział 34. Gitmo w oblężeniu

1. „Life”, 22 grudnia 1963.
2. Wiceadmirał w stanie spoczynku, John D. Bulkeley, w wywiadzie dla autora, kwiecień 1993.
3. „Male”, 12 lipca 1965.
4. Tamże.
5. „The New York Times”, 14 stycznia 1964.
6. „The Washington Post”, 11 lutego 1964.
7. Biuletyn agencji Reutera, 6 lutego 1964.
8. Stein and Plimpton, op. cit., s. 128.
9. Schlesinger, *Robert Kennedy*, op. cit., s. 657.
10. Biuletyn „Public Affairs” Departamentu Stanu z 7 lutego 1964.
11. Komandor Zabisco „Zib” Trzyna zmarł na początku lat osiemdziesiątych. Na jego nagrobku widnieje następujący napis, świadczący o miłości do przybranej ojczyzny: „Urodzony w Polsce, zmarł w Stanach Zjednoczonych. Niech Bóg błogosławi Amerykę”.
12. „The New York Times”, 7 lutego 1964.
13. „St. Louis Post-Dispatch”, 8 lutego 1964.
14. Tamże.
15. Biuletyn agencji United Press International, 7 lutego 1964.
16. „The Washington Post”, 8 lutego 1964.

## Rozdział 35. „Wara od Gitmo!”

1. „The New York Times”, 11 lutego 1964.
2. „Boston Herald”, 15 lutego 1964.
3. Odtajniony biuletyn wywiadu Bazy Marynarki Wojennej USA w Zatoce Guantamo, 14 lutego 1964.
4. „Time”, 24 lutego 1964.
5. „Los Angeles Times”, 22 lutego 1964.
6. Biuletyn agencji Reutera z 26 lutego 1964.
7. Wywiad Michaela L. Infante – adiutanta Bulkeleya w Guantanamo – dla autora, maj 1990.
8. „Male”, lipiec 1964.
9. Odtajniony biuletyn wywiadu Bazy Marynarki Wojennej USA w Zatoce Guantamo, lipiec 1964.
10. Przekład przemówienia Fidela Castro, zamieszczony w odtajnym biuletynie wywiadu Bazy Marynarki Wojennej USA w Zatoce Guantamo, 26 lipca 1964.
11. Tamże.
12. „Chicago Tribune”, 1 sierpnia 1964.
13. „Philadelphia Bulletin”, 26 sierpnia 1964.
14. „Norfolk Star-Ledger”, 29 sierpnia 1964.
15. „New York Journal American”, 28 sierpnia 1964.

16. Emerytowany pułkownik Piechoty Morskiej, Anthony Walker, w wywiadzie dla autora, kwiecień 1990.

### Rozdział 36. Międzynarodówka rewolucjonistów

1. Schlesinger, *Robert Kennedy*, op. cit., s. 658.
2. Tamże, s. 661.
3. Gentry, op. cit., s. 550.
4. „The New York Times”, 26 oraz 27 października 1964.
5. Sprawozdanie Komisji Izby Reprezentantów do Badania Działalności Antyamerykańskiej, czerwiec 1965.
6. Tamże.
7. Tamże.
8. Odtajnione dokumenty FBI, rok 1984.
9. Tamże.
10. Tamże.
11. Tamże.

### Rozdział 37. Tragedia w Los Angeles

1. „The New York Times”, 8, 14, 30 lipca 1966.
2. „Nation”, 20 listopada 1967.
3. W sierpniu 1996 roku, dwadzieścia dziewięć lat po śmierci Guevary, amerykańska telewizja Discovery wyświetliła film dokumentalny poświęcony jego osobie.
4. „The New York Times”, 26 oraz 27 lipca 1967. „Time”, 7 sierpnia 1967.
5. „Look”, 12 grudnia 1967.
6. „The Washington Post”, 18 marca 1968.
7. „Baltimore Sun”, 17 marca 1968.
8. Jules Witcover, *85 Days*, New York 1989, s. 47.
9. „National Enquirer”, 26 października 1976.
10. „Los Angeles Times”, 6 czerwca, 1968.

### Epilog

1. „The New York Times”, 3 maja 1972.
2. Morderstwo Sama Giancana nigdy nie zostało wyjaśnione.
3. Morderstwo Johnny'ego Rosellego nigdy nie zostało wyjaśnione.
4. Wywiad W. Raymonda Wannalla, byłego zastępcy dyrektora FBI, udzielony autorowi we wrześniu 1996.
5. Tamże.
6. Emerytowany wiceadmirał John D. Bulkeley w wywiadzie udzielonym autorowi, w maju 1993.
7. „The New York Times”, 25 września 1975.

## Indeks nazwisk

### A

Acheson Dean 215  
 Albertson William 68  
 Aleman José 22–23  
 Alsop Stewart 216  
 Anderson George W. jr 218, 222, 227, 229–230  
 Anderson Robert 106, 137  
 Anderson Rudolf jr 213, 231  
 Arafat Yasser 285  
 Armas Carlos Castilo 181  
 Armstrong Neil A. 293  
 Artime Manuel 108–109, 155  
 Ayers Bradley E. 245

### B

Baker Leo 163  
 Balageur Joaquin 194, 196–197  
 Ball George 174, 215  
 Barnes Tracy 92, 105, 107  
 Barquín Ramón 25–26, 155  
 Barraque Martha Frade 47  
 Barrientos René 288  
 Barry Bill 291–292  
 Batista y Zaldivar Fulgencio 20–21, 25–26, 28–29, 35–38, 40, 43, 45–58, 60–61, 64–65, 77, 79–81, 84, 88, 103, 119, 155, 176, 181, 190, 248, 250  
 Batista Marta Fernández 55  
 Bayo Alberto 26

Beck David 87  
 Belmont Alan H. 11–12, 242–243  
 Bender Frank (Drucher) 115–116, 142  
 Bergquist Laura 289  
 Bez Chabebe Jorgé 60–61  
 Bishop Jim 88  
 Bissell Dick 100, 107–108, 132, 152, 166, 170–171  
 Bissell Richard M. jr 91–92, 117, 147–148, 161, 181, 198  
 Boggs Hale 219, 258  
 Bohlen Charles „Chip” 217  
 Boland Frederick 111  
 Bolivar Simon 88  
 Boudin Leonard B. 14  
 Brezniew Leonid 187, 283, 296  
 Bridges Styles 45, 90  
 Broderick Vincent L. 13–14  
 Brooks Alejandro 251  
 Brown Constantine 69  
 Bulkeley John D. 260–262, 265, 267–268, 272–279, 283, 297  
 Bundy McGeorge 214, 238  
 Burke Arleigh „31 Węzłów” 85, 161, 218

### C

Cabell Charles L. 92, 151–152, 198  
 Cabote Lodge Henry jr 32  
 Callas Maria 48  
 Campanella Roy 82

- Campbell Judith 205  
 Cantillo Eulogio 55  
 Cardona José Miró 155, 158, 167, 242  
 Carmichael Stokely 285, 288  
 Carpenter Bill 151, 161-162  
 Carrillo Justo 25-26  
 Carter Marshall „Pat” 198  
 Cassini Igor (Knickerbocker Cholly) 191-193  
 Castro Angel 21  
 Castro Felix „Fidelito” 24  
 Castro Manuel (Manolo) 23  
 Castro Ruz Fidel passim  
 Castro Ruz Juana 284  
 Castro Ruz Raúl 20-21, 36, 39, 41, 44-46, 50, 52, 62, 65, 69, 72, 79-80, 85, 107-108, 158, 234  
 Casuso Teresa 34, 63, 71  
 Catledge Turner 71  
 Cejas Antonio 207  
 Childs Jack 185-189, 296-297  
 Childs Morris 184-188, 296-297  
 Chruszczow Nikita 77, 96, 98, 110-113, 138, 140, 160, 165, 169-170, 184, 187, 212, 216-218, 220, 226-227, 230-235, 238, 240-241, 246-247, 260 263, 277, 283-284  
 Church Frank 296-297  
 Churchill Winston 136  
 Cienfuegos Camilo 36, 56, 79-80  
 Cleaver Eldridge 285  
 Clifford Clark 134  
 Cline Ray 174, 177  
 Connally John B. 255  
 Cooper John S. 258  
 Cosculluela Juan Luis 155  
 Cramer Stuart III 119  
 Cronkite Walter 299  
 Cubela Secades Rolando 248, 250, 252-254  
 Curry Jessem 257  
 Czou En-lai 187
- D**  
 Dacosta Aristedes 66  
 Daley Richard 128  
 Daniel Jean 256
- Del Valle Alejandro 122, 156  
 Dennis Eugene 186-187  
 Dennison Robert L. 222, 228  
 Despaigne Enrique 62  
 Díaz Balart Mirta 24  
 Díaz Balart Rafael jr 22, 24  
 Díaz Balart Rafael sr 24  
 Díaz Lanz Pedro 76-80, 141-143  
 Díaz Ninó 158-159  
 Dickinson Angie 206  
 Di Constanzo Nicholas 37  
 Dillon Douglas 147, 180  
 Dobrynin Anatolij 220, 232  
 Dohrns Bernadine 285  
 Donovan James G. 209, 236  
 Donovan William J. „Wild Bill” 17, 198  
 Dorticós Osvaldo 13, 76, 98, 289  
 Doster George R. 101  
 Dubois Jules 71  
 Dulles Allen W. 53, 58-59, 67, 75, 84-85, 91-92, 116, 122, 127, 131-132, 148, 151, 165, 170, 190, 197-198, 258  
 Dulles John Foster 45
- E**  
 Echavarría Pedro Rodríguez 197  
 Eisenhower Dwight D. 29-31, 44, 48-53, 58, 63, 67, 72, 74-75, 77-78, 84, 88, 90, 92-93, 99, 123, 125-126, 129-130, 133, 136-138, 153, 168-170, 175, 250  
 Eisenhower Milton 179  
 Elena Martin 114-115  
 Elsmore Desmond 44  
 Ely Roland T. 74  
 Escala Rafael 61  
 Espín Vilma 69  
 Esterline Jacob 122, 166  
 Evans Courtney 242-243
- F**  
 Farley James 30  
 Fay Paul B. „Red” 172  
 Fenno Frank W. „Mike” 96, 141  
 Fernández Marcelo 40  
 Figueres José „Pepe” 42

- Fiorini Frank 104  
 FitzGerald Desmond 238, 252, 254  
 Fitzgerald John F. „Honey Fitz” 31  
 Flanagan Francis D. 175  
 Fonda Jane 48  
 Ford Gerald R. 258  
 Foster Marcus 286  
 Foster William Z. 186  
 Franco Francisco 49  
 Franqui Carlos 233, 282  
 Frost Robert Ellis 94  
 Fulbright J. William 149  
 Fulton James G. 71
- G**  
 Gabor Zsa Zsa 192, 195-196  
 Garcia Alfredo 100  
 García Calixto 96  
 Garcia José 13-14  
 Garcia Pilar 55  
 Gardner Arthur 43-44, 52, 192  
 Gates John 186  
 Gates Thomas S. 105  
 Giancana Sam „Moo Moo” 116-121, 204-206, 295  
 Gilpatric Roswell 229-230  
 Goheen Robert 74  
 Goldwater Barry 169, 179, 268-269, 276, 283-284  
 Gomez Elisa 14  
 Gomez José 14  
 Gomez Leonel 22  
 Gonzalez Henry 255  
 Goodpaster Andrew S. 127  
 Goodwin Richard 182, 190-191  
 Gordon Don 162-163  
 Grau Ramón 21-23  
 Gray Gordon 85  
 Gray Wade 163  
 Grayston Lynch „Gray” 203  
 Grier Rosey 292  
 Gromyko Andriej 217  
 Güell Gonzalo 51-52, 54  
 Guerrero García 193  
 Guevara Ernesto „Ché” 36, 54, 56, 85, 96-97, 107, 180-181, 234-235, 287-288
- H**  
 Hall Gus 68, 187-188  
 Halleck Charles 219  
 Harker Daniel 250  
 Harvey William 200-202, 205, 212, 237  
 Hawkins Jack 122  
 Healy George 70  
 Hearst Patty 286  
 Helms Richard 92, 198, 252  
 Hernandez Carlos „Batea” 210-211  
 Herrera Gonzala 162-163  
 Herter Christian A. 52-53, 67, 69, 71, 74-75, 84, 106, 126, 137  
 Hewitt Don 126  
 Hoff James R. „Jimmy” 87  
 Hoffman Wendell 40  
 Holland Henry 49  
 Hoover J. Edgar 11-12, 14-15, 67-69, 116-117, 128, 131, 143-145, 174-175, 185, 201, 205, 242-243, 256-257, 264, 295  
 Hosty James P. jr 249-250  
 Houston Lawrence 204  
 Hughes H. Stuart 168  
 Hughes Howard 118-119  
 Humphrey Hubert H. 220, 280, 284  
 Hunt E. Howard 105, 115-116, 141-142, 147, 153, 200
- I**  
 Ignacio Rivero José 83
- J**  
 Jimenez José 128  
 Johnson Lyndon B. 89-90, 128, 134, 165, 170, 256-258, 264-265, 267-268, 271, 274-276, 280, 283-284, 287, 289-291, 293  
 Johnson Rafer 292  
 Jones Lem 158, 160, 163, 166
- K**  
 Kahn Aly 48  
 Katzenbach Nicholas 242  
 Keating Kenneth H. 213, 240, 281  
 Kefauver Estes 30

- Kennedy Edward M. „Ted” 123, 292, 295, 298  
 Kennedy Ethel Skakel 124, 175-176, 255, 281, 290-292  
 Kennedy Eunice 32, 124, 134  
 Kennedy Jacqueline 48, 124, 236, 254-255, 257  
 Kennedy John Fitzgerald „Jack” 15, 29-33, 42, 46, 48, 86-90, 108, 111, 114, 120, 123-129, 131, 133-134, 138, 147-148, 151-153, 160-161, 164-170, 172, 174-181, 187, 189, 191, 194, 196, 199, 203, 205, 210, 212-220, 223-226, 230, 232-236, 238, 240-241, 244, 246, 248-251, 253-260, 279, 293, 297  
 Kennedy Joseph P. jr 29-30  
 Kennedy Joseph P. sr 29, 31, 48, 87, 89, 123, 131, 133-134, 139, 176, 192-193, 203  
 Kennedy Patricia 32  
 Kennedy Robert F. „Bobby” 15, 29, 32, 86-89, 124, 133-134, 138, 143-145, 161, 165, 170-171, 174-178, 181-182, 184, 190, 197, 200, 203-204, 206-208, 210, 214-216, 226, 231-232, 235, 237-238, 241-243, 247, 252, 255-256, 258-260, 263-264, 276, 280-281, 290-292, 298  
 Kennedy Rose 29, 31-32, 48, 124, 165, 290  
 Killen George 262  
 King J.C. 49, 85, 107  
 Kistiakowsky George 90  
 Knowland William 45  
 Knox William E. 226  
 Kohler Foy D. 217  
 Kosygin Aleksiej 283  
 Krulak Victor „Brute” 245  
 Kuchel Thomas 219
- L**  
 Lansdale Edward G. 181-182, 199-201, 237  
 Lansky Jake 37  
 Lansky Meyer 37, 56  
 Lasaga José 81  
 Lawford Peter 205-206  
 Lechuga Carlos 13-14  
 Lemnitzer Lyman L. 147, 152, 198  
 Lessiowski Wiktor M. 188  
 Lewis Anthony 299  
 Llada José Pardo 105  
 Llansó Enrique „Kikío” 145  
 Llerena Mario 64  
 Lorenz Heinrich 103  
 Lorenz Marie „Marita” 103  
 Louis Joe 82  
 Lovett Robert A. 133  
 Lynch Grayston 203
- M**  
 MacArthur Douglas 73, 272  
 Machado y Morales Gerardo 20  
 Macmillan Anthony 111  
 Magsaysay Ramón 182  
 Maheu Robert A. 117-121  
 Malone John F. 12, 14  
 Mann Thomas C. 147, 263-264  
 Mansfield Mike 177  
 Mao Tse-tung 97, 187  
 Marighella Carlos 285-286  
 Marshall George C. 23, 69  
 Martinez Augusto 66, 95  
 Masvidal Boza 95, 172  
 Matos Húber 80-81  
 Matthews Herbert 38-40  
 Maxwell Don 71  
 Mays Willie 82  
 McBundy George 214, 238  
 McCarthy Eugene 291  
 McCarthy Joseph 175-176, 257  
 McCloy John H. 216, 258  
 McCone John A. 197-198, 212-213, 238, 241, 247, 259  
 McCormack John 89  
 McGill Ralph 130  
 McGuire Phyllis 118, 120  
 McNamara Robert 148, 181-182, 228-230, 238, 247  
 Menéndez Jorgé Enrique 282  
 Merchant Livingston 85  
 Merrill Dina 48  
 Mienszykow Michail 138  
 Miller William E. 284  
 Mills C. Wright 168

- Mills Charles C. 100  
 Miralles Salvador 150, 163  
 Mollo Silvio 255  
 Morgenthau Robert 255  
 Moya de Manuel 195  
 Mudd Roger 291  
 Murphy Robert D. 193
- N**  
 Ngo Dinh Diem 182  
 Nitze Paul H. 147  
 Niven David 48  
 Nixon Richard M. 72-73, 108, 111, 123, 125-127, 129, 131, 133, 143-144, 167-168, 179, 240, 257-258, 294  
 Nixon Tricia 167  
 Noel James A. „Jim” 51  
 Novak Kim 192, 196  
 Novak Robert 134
- O**  
 Oberon Merle 48  
 O'Connell Jim 119  
 O'Donnell Edward J. 221  
 O'Donnell Kenneth P. 89, 178, 236, 254  
 Olivo Erneido 122, 154  
 Orelanno José Garcia 12  
 Orozco Miguel 15  
 Orta Juan 95  
 Osborne Dwight G. 230-231  
 Oswald Lee Harvey 120, 249-250, 257-259, 282, 299  
 Oswald Marina 249, 256
- P**  
 Patterson Alicia 71  
 Pawley William D. 49-52  
 Pazos Felipe 38  
 Pérez Faustino 36  
 Pérez Ospin 23  
 Pérez Robert 63  
 Pérez Serantes Enrique 95  
 Persons Albert C. „Buck” 101-102  
 Peters Jean 119  
 Phillips David 92, 112, 158, 160  
 Phillips Ruby Hart 38  
 Pienkowski Oleg 219  
 Pino del Rafael 23-24  
 Popowicz Paweł 236  
 Powell Adam Clayton jr 60  
 Power Thomas S. 224  
 Powers David F. 126, 129  
 Powers Gary 91, 209  
 Prío Socarrás Carlos 28, 38, 108
- Q**  
 Quintana Ramón 171
- R**  
 Raft George 37  
 Ray Pete 163  
 Reagan Ronald W. 297  
 Relling Bernard 70  
 Reston James „Scotty” 165  
 Reynolds Kenneth C. 230-231  
 Riddin Thomas 292  
 Rivero Agüero Andrés 47, 55  
 Roa Raúl 98, 153, 159-160, 266  
 Robertson William „Rip” 17, 156, 184  
 Robinson Jackie 82, 124  
 Robinson William 90  
 Rockefeller Nelson 169  
 Rodríguez Rene 38  
 Roosevelt Eleanor 179  
 Roosevelt Theodore 61  
 Roselli Johnny 117, 119, 205  
 Rosenberg Jaime 181  
 Rowan Dan 121, 204  
 Rubin Jerry 285  
 Rubirosa Porfirio 48, 192, 195  
 Rubottom R. Richard „Roy” 43, 49, 60  
 Ruby Jack 120, 258, 282  
 Rundquist Howard 95  
 Rusk Dean 147, 151, 159, 161, 220, 266  
 Russell Richard 134, 220, 258
- S**  
 Salinger Pierre 89, 194, 219, 291  
 San Román José Pérez „Pepe” 121, 154, 157, 159, 167, 202, 207  
 San Román Roberto 122, 202-203, 207  
 Sanches Curley 159

Sanchez Celia 282  
 Sánchez Miguel 26  
 Santana Carlos 121  
 Santiestebán Roberto 12  
 Sargent Richard 44  
 Scheider Joseph 103  
 Schergales William L. 95  
 Schlesinger Arthur S. jr 124, 148-149,  
 154, 164-165, 168, 258-259  
 Seaton Fred 127  
 Secades Rolando Cubela 247  
 Sessions William 297  
 Shackley Theodore „Ted” 16, 19, 183-  
 184, 296  
 Shamburger Riley W. jr 162-163  
 Shanklin Gordon L. 257  
 Shaw Charles 41  
 Shriver Sargent 89  
 Sinatra Frank 118, 205-206  
 Sirhan Sirhan Bishara 292, 298  
 Skakel George jr 176  
 Skakel James C. III 176  
 Slater Ellis 90  
 Smith Earl E. T. 43-45, 47-48, 58, 60  
 Smith Howard K. 126, 293  
 Smith José 26  
 Snow Lawrence 49  
 Sorensen Theodore 149, 238  
 Sparkman John 71  
 Spatz Edward 109  
 Starobin Joseph 24  
 Standolhofer Emil Anton  
 Stevenson Adlai 30, 153-154, 160,  
 215-216  
 Stone Oliver 299  
 Sturgis Frank (Frank Fiorini) 104  
 Sueiro Hugo 122  
 Sueiro Marino 13-14  
 Sullivan Ed 41  
 Sullivan William C. 41, 67-69, 185  
 Susskind David 112  
 Szulc Tad 182

## T

Taber Robert 40  
 Tabernilla Francisco „Pancho” 37, 55  
 Taylor Maxwell D. 176-177, 198  
 Tetlow Edwin 63, 110  
 Tolson Clyde A. 145  
 Toroello Luis 201-202  
 Torrado Osvaldo Dorticós 98  
 Tourine Charles „Zyleta” 37, 56  
 Trafficante Santos „Sam” 37, 56, 117,  
 119-121, 296  
 Tree Marietta 238  
 Trujillo Rafael Leonidas 22, 54, 81, 84,  
 190-194, 196-197  
 Trujillo Rafael Leonidas „Ramfis” jr  
 194-196  
 Truman Harry S. 30, 53, 215  
 Trzyna Zabisco „Zip” 267, 272, 274

## U

Urrutio Lleó Manuel 57, 76, 81  
 U Thant 188, 232

## V

Valdés Ramiro 109, 261-262, 283  
 Van Ba Huynnh 285  
 Vanocur Sander 291  
 Varona de Manuel Antonio „Tony”  
 108, 114

## W

Walker Anthony „Zimna Stal” 278  
 Wannall Trudie 243-244  
 W. Raymond Wannall 12, 242-244,  
 296-297  
 Ward Alfred G. 228  
 Warren Earl 138, 258  
 Werner Louis II 176  
 Wieland William 49  
 Wollam Park 46

## Z

Zayas Jorge 83

